

MEG LITTLE REILLY

**NIE
JESTEŚMY
GOTOWI**



Meg Little Reilly

NIE JESTEŚMY GOTOWI

Tłumaczenie:
Elżbieta Regulska-Chlebowska

Drogi Czytelniku!

Pomysł na tę powieść zrodził się podczas ostatniego roku, jaki spędziłam w świecie waszyngtońskiej polityki: gdy najważniejsza stała się nasza powiększająca się rodzina i wreszcie znalazłam czas na pisanie, o czym wcześniej mogłam tylko marzyć. Dorastałam w Vermontcie, zawsze wiedziałam, że tu będzie się rozgrywała akcja mojej pierwszej książki. Mimo dziesięciu lat spędzonych w stolicy w głębi serca pozostałam dziewczyną z prowincji. Stąd czerpałam inspirację: z nietkniętych ludzką stopą magicznych lasów mego dzieciństwa.

Północno-wschodnie Królestwo jest prawdziwą, niezwykle piękną krainą geograficzną w północno-wschodniej części Vermontu, tuż przy granicy z Kanadą. Wymarzone miejsce dla osób snujących marzenia o ucieczce z miasta. Ash i Pia – bohaterowie książki – nie poprzestają na marzeniach i naprawdę się tam przenoszą. Pozostawiają za sobą blaski i cienie wielkomiejskiej egzystencji i wyjeżdżają w poszukiwaniu bardziej autentycznego życia. Jednak ponure wieści o nadchodzącym kataklizmie rujną ich plany – zmuszeni są stawić czoła rosnącemu zagrożeniu, w nowym otoczeniu, z dala od cywilizacji.

Jest to mój ulubiony wątek – natura, którą człowiek postrzega jako raj utracony, staje się niebezpieczną pułapką. Nieskażona przyroda miała ocalić Asha i Pię, tymczasem stanowi dla nich śmiertelne zagrożenie. Od początku wyobrażałam sobie idylliczne fikcyjne miasteczko Isole jako kluczowe dla całej historii, generujące liczne zwroty akcji. To wpływ dzieciństwa spędzonego tam, gdzie matka natura dyktuje ludziom swoje prawa. Jednak osobą, z którą się naprawdę utożsamiam, jest siedmioletni August. Ma cechę, której brakuje dorosłym: zdolność dostrzegania pozytywnych stron w najtrudniejszych życiowych sytuacjach. Chociaż świat wokół pogrąża się w ciemnościach, August potrafi zaprzyjaźniać się z leśnymi zwierzętami, czerpie radość z drobnych codziennych czynności i wierzy w magię objawiającą się w czarcich kręgach. Nie portretuję w nim siebie, ale własne pragnienie, by wyrobić w sobie podobną zdolność. Nieustannie próbuję się wsłuchiwać w podszepty mego wewnętrznego Augusta.

Moje ulubione powieści oraz te, które dopiero zamierzam napisać, mają ułatwić czytelnikom zrozumienie ludzkiej natury. Tym razem stawiam uniwersalne pytanie, jak sobie radzić ze strachem. Niektórzy ludzie potrafią go okiełznać. Wielu innym się to nie udaje. Dzisiejsze kataklizmy być może przerastają skalą te z przeszłości, ale ludzkie reakcje na strach pozostają niezmiennie. Praca nad książką *Nie jesteśmy gotowi* była dla mnie okazją do zmierzenia się z kwestią, w jaki sposób śmiertelne zagrożenie wpływa na najbardziej intymne aspekty naszego życia – czy może nawet nas wzmacnia. Jako matka, żona i aktywna członkini swojej społeczności codziennie borykam się z podobnymi wątpliwościami.

Fascynuje mnie napięcie między ciemnością a światłem. Strachem a odwagą. Grozą a bezpieczeństwem. Wierzę, że w ostatecznym rozrachunku światło zawsze

zwycięża. *Nie jesteśmy gotowi* jest przerażającą opowieścią o prawdziwych zagrożeniach, ale zbyt wiele jest piękna w ludziach takich jak August oraz miejscach takich jak Północno-wschodnie Królestwo, żebym mogła uwierzyć w tryumf mroku.

Może nie jesteśmy gotowi, ale żyje w nas nadzieja. Dobrej lektury.

Meg Little Reilly

Ta książka jest dedykowana sanktuariom dzikiej przyrody, które powinniśmy chronić. I Danowi, z którym chciałabym je poznawać.

PROLOG

Isolé (francuski) – przymiotnik; izolowany, odosobniony, samotny.

Isole (angielski) – rzeczownik; miasteczko w Vermoncie, w Północno-wschodnim Królestwie. 6481 mieszkańców.

Byłbym skrajnym narcyzem, gdybym zakładał, że los zesłał na ziemię kataklizm, abym radykalnie zmienił swoje życie. My, ludzie, przez całe dziesięciolecia zatruwaliśmy naszą planetę i ignorowaliśmy znaki ostrzegawcze, tak więc Wielka Burza wcale nie była kosmiczną interwencją, lecz raczej przewidywalnym rezultatem naszej zbiorowej bezmyślności. Tak czy owak, dramatyczna destrukcja – zarówno Ameryki Północnej, jak i zwyczajnej egzystencji w Isole – nastąpiła tak błyskawicznie, że przysięgam, wcale się jej nie spodziewaliśmy.

Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, jak spokojne były ostatnie miesiące przed Wielką Burzą, kiedy przygotowywaliśmy się na katastrofę. Informacje o fluktuacjach zjawisk pogodowych stawiały przed nami klarowny cel. Niepokoiły i wytrącały z równowagi, ale całkowicie nas pochłaniały, jednakże w ten sposób traciliśmy z oczu inne sprawy, choć byłoby lepiej, gdybyśmy im poświęcili należyłą uwagę. Były pilne, zaś działanie pod presją czasu może działać pobudzająco. Jednak w stanie gorączkowego podniecenia łatwo pomylić lęki i fobie z racjonalnym celem, co jest jeszcze bardziej niebezpieczne niż pierwotne zagrożenie.

CZEŚĆ PIERWSZA

*Do mej młodości wracam tęsknymi
Do mej młodości wracam tęsknymi myślami,
Do szmeru wesołego górskiego strumyka,
Który raz rozbłyśnie słońca odbłaskami,
Raz znika w jarze, w gęstwinie paproci pomyka.
Ach, wiele bym dała, żeby się upoić
Powietrzem, co jak wino zmysły mami
A potem sny zielone w starym borze roić
Na kobiercu pachnącym leśnymi kwiatami.
Niechże się rozlegną ptaków dźwięczne trele,
Z nagłą przerywając błogą leśną ciszę,
Za jedną taką godzinę oddałabym wiele
Godzina w ojczystych górach serce ukołysze.
W dalekie i obce zaniósł mnie strony,
W duszy stale obecny ćmiący ból rozłąki,
Choć i tu mnie zachwyca majestat drzew zielonych
Choć i tutaj podziwiać mogę kwietne łąki.
Znam chlubę artystów, ich rzeźby i obrazy
Bywałam w salonach mecenasów sztuki
Wszak nie ludzka ręka namalowała
Spływające z gór potoki.
A chociaż i tutaj przyjaźń mnie otacza
Ów obcy także zachwyca mnie świat
Jednak moja dusza wciąż czule wspomina
Góry Zielone, góry moich młodych lat.*

Green Mountain Home – wiersz panny A.W. Sprague z Plymouth
w Vermoncie, opublikowany w 1860 roku.

JEDEN

Jechaliśmy z Pią z Burlington na wschód drogą numer piętnaście, gdy świat po raz pierwszy usłyszał o nadchodzącym kataklizmie. Byliśmy świeżo po wizycie u specjalisty od leczenia niepłodności i w milczeniu trawiliśmy to, co nam powiedział. Uważałem, że niepotrzebny nam lekarz. To dobre dla ludzi, którym przeszkadza wiek lub stan zdrowia albo bardzo im się spieszy, żeby spłodzić potomstwo, tymczasem my nie należeliśmy do żadnej z tych kategorii. Jednakże próbowaliśmy od roku, bez rezultatów, więc przy pewnej presji ze strony Pii zgodziłem się pójść na konsultację. W ostatnich miesiącach cięża stała się prawdziwą obsesją mojej żony, a jej determinacja przebiła moje niezdecydowanie.

W drodze powrotnej do nowego domu tkwiliśmy sztywno w fotelach, wbijając wzrok w pustą drogę przed nami. Kurczowo zacisnąłem dłonie na kierownicy, na dziesiątej i drugiej; skupiłem się na prowadzeniu, żeby nie zerkać na płaczącą cicho Pię. Mimo to miałem wrażenie, że wielkie łzy spływające po jej gładkich policzkach parują i tworzą mgłę. Chciałem ją przygarnąć, pocieszyć, ale nie potrafiłem wykonać żadnego serdecznego gestu.

W poczekalni Kliniki Leczenia Niepłodności „Księżyc w pełni” słychać było sentymentalną folkową muzykę celtycką, na ścianach wisiały obrazy olejne przedstawiające nagie kobiety w różnych trymestrach ciąży; ten widoczny brak empatii szczerze mnie zirytował. Kilka tygodni wcześniej oddaliśmy krew do analizy, wykonano też inne potrzebne badania, a teraz nadszedł dzień, gdy lekarz – opalony na brąz, jakby wrócił z tropików – łagodnym głosem objaśnił nam, że mamy niewielkie szanse na spłodzenie dziecka bez specjalistycznej interwencji. Pia ma problemy hormonalne wymagające „asysty”. Zalała się łzami na tę diagnozę, a mnie serce pękało na widok jej rozpacz.

W Vermoncie był ciepły jesienny dzień, zieleni zdążyła zbrązowieć w bezlitosnym słońcu. Było bardziej sucho i gorąco, niż powinno być dwudziestego września. Minęliśmy kilka przydrożnych stoisk, na których farmerzy sprzedawali swoje plony, i nieliczne auta na szosie, ale w zasadzie jak okiem sięgnąć były tylko pola i ani żywego ducha. Pobocza drogi gęsto zarastała wierzbowka, a kiedy wyciągałem szyję, mogłem dostrzec puchate dmuchawce i podeschnięte łodygi trojeści na okolicznych łąkach. Minęliśmy stado leniwie przeżuwających krów i samochód wypakowany dziećmi, które z ożywieniem wskazywały palcami zwierzęta. Staralem się wykrzesać z siebie więcej współczucia dla żony, ale wciąż byłem odrętwiały. Wszystko wokół pleniło się jak oszalałe, tylko my potrzebowaliśmy „asysty” do prokreacji. Rozumiałem, dlaczego trudno się z tym oswoić. Inne pary opowiedziały nam o cierpieniu z powodu bezpłodności i o zdruzgotanych nadziejach. Pragnąłem dzielić ból Pii, jednak

prawdę powiedziawszy, zamiast smutku czułem bezbrzeżną ulgę – ulgę, bo to jej maszynaria szwankuje, nie moja – a przede wszystkim ciche zadowolenie, że dostaliśmy w prezencie więcej czasu. Lekarz wyjaśnił, że zajście w ciążę może trochę potrwać, a na tym właśnie mi zależało – chciałem jeszcze przez pewien czas żyć jak młody i beztroski trzydziestopięciolatek, za jakiego się uważałem.

Powietrze wpadające przez uchylone okna pachniało rozgrzaną oborą i nadpsutą kukurydzą. Mogłem sobie wyobrazić, w jakim stanie są dojrzałe kolby. Wyjątkowy upał wymusił wczesne żniwa, soczyste żółte ziarna kukurydzy zdążyły przejrzeć, cukier zamienił się w skrobię. Znałem ten zapach. Wiedziałem też, że rzysko jest tak ostre, że można sobie poranić stopy, gdyby wbiec na nie na bosaka. Były to zamierzchłe wspomnienia, z wczesnego dzieciństwa, do tej pory magazynowane bezużytecznie w podświadomości przez wszystkie te lata, które spędziłem z dala od Vermontu. Zdziwiło mnie, że na skutek drobnych bodźców uruchamiają się z całą dokładnością i świeżością. Czułem się tak, jakby w moim mózgu istniały nieużywane przez dłuższy czas obszary, przypominające zamknięte pokoje, w których po otwarciu wszystko nadal znajduje się na swoim miejscu.

Kiedy cichy płacz Pii i moja milcząca koncentracja na prowadzeniu stały się nie do zniesienia, sięgnąłem do włącznika radia na desce rozdzielczej naszego leciwego volvo. Odbiornik nastawiony był na stację publiczną stanu Vermont. Ciszę rozdarł przenikliwy jazgot, niemile mnie zaskakując. Chciałem przyciszyć, ale Pia przytrzymała moją rękę.

– Poczekaj, Ash.

Poważny głos ze staranną dykcją spikera ogólnokrajowego radia publicznego informował właśnie, że szef Narodowej Służby Oceanicznej i Meteorologicznej powiadomił prezydenta Stanów Zjednoczonych o najnowszej długoterminowej prognozie dotyczącej burz i sztormów. W pierwszej chwili nie uznałem tego za wiadomość szczególnej wagi. Nawałnice stały się od pewnego czasu normą. Tornada, pożary lasów, powodzie, huragany – wszystko to występowało tak często, że w jakiejś części kraju zawsze panował stan klęski żywiołowej. A jednak ton głosu spikera i szczególna pora nadawania wiadomości świadczyły, że mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową.

– Mamy już pewność – mówił reporter – że z powodu gwałtownie rosnącej temperatury wód powierzchniowych Atlantyku i Zatoki Meksykańskiej czekają nas w najbliższym czasie ekstremalne zjawiska pogodowe. W nadchodzących miesiącach NSOM przewiduje przejście co najmniej trzydziestu nazwanych imionami cyklonów tropikalnych i huraganów oraz okresy rekordowo wysokiej temperatury i suszy na przemian z silnymi opadami deszczu, a nawet śnieżycami. Jest jeszcze za wcześnie, aby przesądzić, z czym mamy do czynienia, jednak tak wysoka temperatura wody nie była wcześniej odnotowana, więc skala burz i huraganów z pewnością będzie biła wszelkie rekordy. Trudno w tej chwili

oszacować ich destrukcyjną siłę.

Słowo „destrukcyjną” wymówił z wyraźnym naciskiem; łatwo było podłożyć pod nie obraz apokaliptycznego zniszczenia.

– O Jezu – powiedziałem głośno.

Pia przestała płakać. Pochyliła się do przodu i słuchała z napięciem.

– Jak dokładne są te prognozy? – spytała dziennikarka ze studia, a ja pożałowałem, że włączyliśmy radio dopiero teraz.

– Naukowcy pracujący dla rządu twierdzą, że pomiary rosnącej temperatury wód oceanicznych są bardzo precyzyjne. Nie są pewni, w jaki sposób te zmienne będą oddziaływać na inne parametry meteorologiczne. Eksperci, z którymi rozmawiałem, są zdania, że istnieje już katastroficzna prognoza, o której rząd nie chce na razie informować opinii publicznej.

– Jaka prognoza?

– Jeśli fala gorącego powietrza znad Atlantyku zderzy się ze znacznie zimniejszym frontem atmosferycznym z północnego zachodu, powstanie coś w rodzaju derecho, czyli gigantycznej strefy burzowej wzdłuż całego wschodniego wybrzeża. Jej skutki mogą być katastrofalne. Na razie żaden przedstawiciel władz centralnych nie wystąpił oficjalnie z taką hipotezą. Wiemy tylko, że czeka nas kilka miesięcy ekstremalnych zjawisk pogodowych. Jednak, jak mi się wydaje, po raz pierwszy mamy do czynienia z tym, że przedstawiciele administracji federalnej z wyprzedzeniem i dużym naciskiem podnieśli podobną kwestię, więc ostrzeżenie należy potraktować bardzo poważnie.

Dyskutanci w radiu przeszli teraz do innych globalnych konsekwencji wynikających z anomalii pogodowych – braku żywności, kryzysów politycznych, wojen – a my oboje wróciliśmy myślami do własnych problemów. Chwilę wcześniej martwiliśmy się tylko o to, jak powołać na świat nowe życie, teraz zostaliśmy skonfrontowani z perspektywą, że ludzkie życie może być bardzo kruche. Jednak nie zajmowaliśmy się tym dłużej – nasze dzieci były w sferze mglistej przyszłości, podobnie jak nadchodzące burze.

Skręciłem z asfaltu w prawo, w bitą dróżkę prowadzącą prosto pod nasz dom, mijając popsutą skrzynkę pocztową, której naprawę wciąż odkładałem. Kochałem ten dom. Kochałem podjazd, nad którym rozłożyste gałęzie starych klonów i brzoź tworzyły arkady jak z baśni, wiodące wprost na przestronny frontowy ganek. Kochałem galerijkę otaczającą stare wiejskie domostwo, zastawioną doniczkami i meblami z różnych parafii. Był to dom naszych marzeń, w którym mieliśmy wieść życie jak z bajki, a chociaż mieszkaliśmy tu zaledwie od trzech miesięcy, wydawało się, że zostaliśmy stworzeni do wiejskiej egzystencji. Przestronny kolonialny budynek pomalowany kiedyś na żółto był spełnieniem wszystkich fantazji, które snuliśmy od czasu zawarcia małżeństwa. To był nasz wspólny życiowy sukces.

Przez trawnik na tyłach posesji płynął strumień; wąska struga niczym fastryga łączyła okoliczne posiadłości, tędy wiosną spływały topniejące śniegi. Niektórzy sąsiedzi mieli zadbaną, pracowicie przystrzyżoną murawę, większość jednak postępowała tak jak my: od czasu do czasu kosili trawę, lecz na ogół pozwalali plenić się polnym kwiatom i radował ich widok wychodzącego z lasu jelenia albo, co jeszcze lepsze, przemykającego gdzieś w oddali niedźwiedzia, buszującego w krzakach czarnych jagód. Wymarzone miejsce dla ludzi, którzy nie chcieli wojować z naturą, ale żyć z nią w zgodzie. Północno-wschodnie Królestwo Vermontu – nie ma takiego drugiego miejsca na ziemi.

Wyłączyłem silnik i spojrzałem na Pię. Ponura mina ustąpiła miejsca ożywieniu. Jej twarz odzyskała swoje zwykłe piękno. Bo Pia była śliczna. Gęste jasne włosy przerzuciła przez jedno ramię; w tym upale kręciły się trochę. Miała jasnozielone oczy otoczone gęstymi rzęsami, wciąż wilgotnymi od łez. Oparła się o fotel, podciągnęła bosą piętę na siedzenie, krótkie szorty w tej pozycji były niemal niewidoczne. Jej ciało i całkowicie naturalna, niewymuszona swoboda, z jaką się nim posługiwała, stanowiło zaproszenie – nie tylko dla mnie, ale dla świata. Pia miała w sobie tę godną pozazdrosczenia kombinację urody, wdzięku i wewnętrznego spokoju, która sprawiała, że ludzie pragnęli się do niej zbliżyć. Przyciągała ich jak magnes. Niezbyt atletyczna, ale smukła i gibka jak boginka. Wszędzie, gdzie szła, zwracała na siebie uwagę mężczyzn i kobiet. Jej ruchy – każde przechylenie głowy, gestykulacja – chociaż sprawiały wrażenie zupełnie naturalnych, były doskonale wyreżyserowane na użytek niewidzialnej kamery, która jej towarzyszyła. Jako artystka osiągnęła jedynie umiarkowany sukces, ale była absolutną mistrzynią, gdy chodziło o uczynienie ze swego ciała dzieła sztuki.

– To brzmi serio, Ash – powiedziała Pia. Miała szeroko otwarte oczy. – Wszyscy wiedzieliśmy, że wichury i nawałnice będą się nasilać, a teraz, gdy słowo stało się ciałem, ci głupcy nie wspomną nawet o prawdziwych przyczynach.

Rzeczywiście, w wiadomościach nie było najmniejszej wzmianki o globalnym ociepleniu, ale nie potrzebowaliśmy wymuszonych potwierdzeń ze strony własnego rządu, żeby wiedzieć, jaka jest prawda.

Pia dla zasady kontestowała każdą władzę, teraz zdawała się usatysfakcjonowana groźnymi zapowiedziami meteorologów. Położyłem jej rękę na kolanie i ścisnąłem lekko, wyczułem, że nastrój w samochodzie uległ wyraźnej zmianie. Zapomnieliśmy o własnych problemach, zjednoczeni przez lęk i fascynację, jakie budziły w nas nadchodzące anomalie pogodowe. Ogarnęła mnie ulga podszyta poczuciem winy. zaproponowałem, żebyśmy wzięli piwo i usiedli na galerijce za domem.

Pia wyciągnęła się na hamaku, a ja wszedłem do środka i wyjąłem z lodówki dwie butelki Long Trail Ale. Słońce zniżyło się nad horyzontem, w domu wreszcie zrobiło się trochę chłodniej. Chociaż był już wrzesień, temperatura w ciągu dnia

nie spadała poniżej trzydziestu stopni.

Przycisnąłem wilgotną butelkę do uda Pii, zapiszczała. Pociągnęła mnie na hamak; nie było wygodnie, ale nasze ciała przywarły do siebie, a tego mi było trzeba po ostatnich frustrujących dniach. Pia – jako pełna inwencji sensualistka – potrafiła wyrażać czułość na najróżniejsze sposoby. Po tylu latach razem nadal byłem jej wdzięczny za hojne okazywanie miłości.

Powiodłem palcem po łuku jej piersi, zamknęła oczy.

– Trzeba się przygotować – powiedziała. – Musimy zrobić zapasy i zabezpieczyć dom... Powinniśmy być samowystarczalni.

Mówiliśmy w tych dniach o samowystarczalności, jakby to był mistyczny stan wyższego wtajemniczenia. W ten właśnie sposób wyjaśniliśmy naszą decyzję o przeprowadzce do Vermontu, gdy porzuciliśmy pracę i mieszkanie w Nowym Jorku. Oznajmiliśmy wszystkim, że chcemy coś uprawiać, coś robić własnymi rękami, coś przetwarzać i coś konserwować. Chcieliśmy grać naszą własną muzykę i warzyć własne piwo. Uważaliśmy, że tylko w ten sposób żyje się naprawdę. W idei samowystarczalności kryła się obietnica – rozkoszna obietnica, że nie tylko będziemy się pławić w samozadowoleniu i poczuciu moralnej wyższości, ale też zapewnimy sobie wieczną małżeńską miłość. W pewnym zakresie rzeczywistość spełniła nasze oczekiwania: z uczuciem głębokiej satysfakcji jedliśmy wyhodowane przez siebie ogórki i siadywaliśmy na własnoręcznie skleconych meblach (dokładniej mówiąc, dwóch fotelach ogrodowych z deszczulek, złożonych z gotowych części zgodnie z instrukcją). Pia poszła na kurs garncarstwa, nasz dom był wypełniony czarująco koślawymi garnuszkami i dzbankami z jej inicjałami wrytymi na denku, jakby była małą dziewczynką znakującą w ten sposób swoje skarby na letnim obozie. Ja skończyłem weekendowe szkolenie z pszczelarstwa, a materiały do założenia pasieki, zamówione przez Internet, tkwiły wciąż nierozpakowane pod domem. Kiedy pojawiły się wieści o nadchodzącej Wielkiej Burzy, przygoda z prawdziwym życiem trwała dopiero trzy miesiące i jeszcze niewiele się nauczyliśmy.

Nie byliśmy z Pią odosobnieni w swoich aspiracjach. Wszędzie na terenie Stanów młodzi (i nieco starsi) ludzie podejmowali próby życia w zgodzie z naturą. Był to skutek kryzysu ekonomicznego w Ameryce, pęknięcia banki spekulacyjnej na rynku nieruchomości oraz globalnego ocieplenia. Miałem wrażenie, że staliśmy się częścią nieformalnego ruchu ludzi, którzy odrzucili konsumpcyjny model życia. Chcieliśmy spędzać mniej czasu w pracy, a więcej ze sobą. Byliśmy próżni, to prawda, ale wciąż sądzę, że nie można nam odmówić racji, gdy szukaliśmy przyjemności w czynnościach prostych i pożytecznych. Chodziło nam nie tyle o bunt przeciw wszystkiemu, do czego dążyli nasi rodzice, ile o zamanifestowanie, że ich wybory nie są już dla nas możliwe. Świat się zmienił, a my musieliśmy się do niego przystosować.

Isole, miasteczko w stanie Vermont, stało się odpowiedzią na nasze tęsknoty. Mieszkała w nim niezwykła mieszanka hipisów i farmerów, koegzystowali zgodnie w malowniczej dolinie między dwoma górami. Trafiało się doń tylko wtedy, gdy człowiek wiedział, czego szuka. Zasiedziały rodziny drwali i farmerów mieszkały tu od zawsze, najstarsi pamiętali jeszcze czasy, gdy nazwę miejsciny wymawiano z tradycyjnym francuskim akcentem. Jednak w dzisiejszych czasach to zewnętrzny kapitał podsycał miejscową ekonomię – do Isole ściągali ekscentryczni samotnicy żyjący z funduszy powierniczych, pracujący na własny rachunek geniusze komputerowi oraz inwestorzy giełdowi, którym nieobcy był koncept odpowiedzialności społecznej. Wszyscy szukali schronienia w tej ślicznej osadzie, zbyt odległej od miasta, żeby się w pełni ucywilizowała.

Lubiłem myśleć o sobie jako o tubylcu, gdyż dorastałem w centralnej części Vermontu, ale dla górali byliśmy outsiderami jak inni. Przyjechaliśmy tu z Brooklynu, gdzie spędziliśmy ostatnich dwanaście lat, budując lukratywne kariery zawodowe. Pia pracowała w reklamie, a ja byłem współwłaścicielem firmy zajmującej się grafiką komputerową. Firma świetnie prosperowała, kiedy odsprzedałem swoje udziały kolegom – a byłem w niej od samego początku, zanim jeszcze dorobiliśmy się własnej siłowni i przyjęć świątecznych w strojach wieczorowych.

Pia i ja zachwyciliśmy się naszym wiejskim domem, gdy przyjechaliśmy wczesną wiosną na długi weekend nad Crystal Lake. Było za zimno, żeby pływać, więc robiliśmy długie przejażdżki po całym Północno-wschodnim Królestwie, ciesząc się leniwym tempem życia, ciszą i spokojem. Ostatniego dnia minęliśmy absolutnie doskonały wiejski dom stojący przy polnej drodze, z tabliczką „Na sprzedaż”. Uznaliśmy, że to znak z nieba adresowany właśnie do nas. Na coś takiego czekaliśmy.

Przed laty zawarliśmy z Pią pakt – obiecaliśmy sobie, że któregoś dnia będziemy żyć inaczej. Snuliśmy mgliste plany ucieczki z miasta, wyrwania się z wyścigu szczurów i wymyślenia siebie na nowo. Byliśmy pewni, że w stosownym czasie detale się skonkretyzują. Kiedy znaleźliśmy wymarzony dom, oboje uznaliśmy, że oto nadeszła właściwa pora. Ucieleśnił się nasz wspólny sen. Sprzedałem udziały w firmie i zacząłem w niej pracować jako konsultant na odległość, przez Internet. Dwa miesiące później zostaliśmy stałymi mieszkańcami stanu Vermont i rozpakowywaliśmy się w naszym nowym domu. Wszystko potoczyło się tak szybko i łatwo, że nie mieliśmy czasu wygładzić fałdek na nowej egzystencji. Pia nie miała na oku nowej pracy, nie zdążyliśmy też zawrzeć żadnych znajomości w okolicy.

Być może postępowaliśmy lekkomyślnie, ale pociągała nas niefrasobliwa bez troska nowego życia. Pia zawsze fantastycznie reagowała na wszystko co nowe i nieprzewidywalne, ja byłem dużo bardziej ostrożny, więc z mojej strony przeskok

z Nowego Jorku na łono natury stanowił też próbę zbliżenia się do żony. Mieliśmy odtąd kroczyć nową ścieżką ramię przy ramieniu, zbrojni tylko we wspólne marzenia o sielskim życiu w Isole.

Hamak kołysał się łagodnie, poruszany przez podmuchy wiatru. Czułem w powietrzu zapach nawłoci, dochodził gdzieś z farmy po sąsiedzku. Pia wymieniała rzeczy, które trzeba zrobić przed nadejściem kataklizmu: oczyścić rynny, położyć nowe kable w piwnicy, uszczelnić okno w sypialni. Miała rację, przyjdzie załamanie pogody, trzeba się przygotować. Jednak tylko głaskałem ją po włosach i bąkałem, że resztę piątkowego popołudnia powinniśmy spędzić na przyjemnym nieróbstwie. Jutro zaczniemy przygotowania do apokalipsy.

– Hej, cześć. Co robicie? – pisnął cienki głosik.

Jak spod ziemi wyrósł August, nasz siedmioletni sąsiad, który mieszkał w niewielkim domu ukrytym za grubą ścianą drzew i krzaków okalających naszą działkę od wschodu. Z ganku nie było go widać, ale obie posiadłości łączyła krótka, dobrze utrzymana ścieżka. Pomogłem Augustowi ją oczyścić, żeby mu ułatwić bieganie w tę i z powrotem. Poznałem chłopca pierwszego dnia po przyjeździe – wkroczył przez otwarte drzwi i zasypał nas licznymi pytaniami. Rozpaczliwie potrzebował przyjaciół, ciekawość wręcz go rozsadzała. Od tej pory był u nas niemal codziennym gościem. Przychodził kopać piłkę, pochwalił się przede mną szalaszem, który sam zbudował w lesie. Pia uważała go za słodkiego dzieciaka, ale to ja spędzałem z nim czas. Niekiedy zastanawiałem się, czy rodzice go zanedbują, skoro jest tak spragniony uwagi, ale nie zadawałem zbędnych pytań, po części dlatego, że nie wiedziałem, o co właściwie miałbym spytać, a po części – bo lubiłem się z nim bawić i chciałem go nadal widywać. August był niezwykle pomocny. Całe swoje krótkie życie spędził w tutejszych lasach i wiedział więcej o ich sekretach i radzeniu sobie w każdej sytuacji niż Pia i ja razem wzięci.

– Siema, brachu. – Wyciągnąłem rękę, żeby mógł przybić lepką piątkę.

Jak zwykle August był bosy, umorusany jak nieboskie stworzenie i uśmiechał się od ucha do ucha. W kędzierzawej rudawej czuprynie wciąż miał rzepy łopianu, które zaplątały mu się tam kilka dni temu.

Chciał się bawić w rzucanie frisbee, więc zwlekliśmy się z hamaka i wyszliśmy na trawnik. Nagle zabawa stała się atrakcyjną perspektywą. Tak to było z Pią: mogła się smucić i ronić łzy, ale kiedy nastrój jej się zmieniał, nie wracała do przyczyny wcześniejszego kryzysu. Sprawa była zamknięta na dobre. Na ogół przyjmowałem to z ulgą, chociaż czasem przychodziło mi do głowy, że powinniśmy raczej rozwiązywać nasze problemy, zamiast spychać je w niepamięć. Wybieraliśmy łatwiejszą drogę: pozwalaliśmy burzy się przewalić, a kiedy między nami znowu było dobrze, nie chcieliśmy psuć harmonii, wracając do przelotnych spięć. Żyliśmy dalej, pewni naszej miłości, przekonani, że nic innego się nie liczy. Nasze milczące porozumienie zakładało, że będę dogadzał wszystkim

emocjonalnym zachciankom Pii. W zamian ona nie dzieliła włosa na czworo, nie stwarzała problemów i nie zadawała wielu pytań. Przestrzeganie tych zasad sprawdzało się w naszym dobrze funkcjonującym prywatnym układzie.

Pia z teatralną przesadą rzucała się na frisbee, gdy tylko August podrzucał dysk w powietrze, co za każdym razem wywoływało paroksyzmy jego śmiechu. Zaśmiewałem się razem z nimi, gdy mój wzrok przykuło przelatujące stado ptaków. Tyrany, migrują na południe, to jasne, dziwiło mnie tylko, że są kilka tygodni spóźnione. O tej porze powinny już być w Ameryce Środkowej. W takich sprawach nigdy się nie myliłem. Pasjonowałem się przyrodą, podobnie jak Pia pasjonowała się sztuką; obyczaje wędrownego ptactwa były mi znane równie dobrze jak pieprzyki na moim lewym ramieniu. Jedno i drugie znałem na pamięć i uważałem za niezmiennie. Jednak pogoda zmyliła ptaki, opóźniły porę swojego przelotu.

Ogród za domem prezentował się wspaniale. Majestatyczne klony cukrowe otaczające rozłożysty trawnik szeleściły lekko podeschłymi liśćmi oświetlonymi przez zachodzące słońce. Równie dobrze mógłby to być idealny lipcowy wieczór, gdyby nie fakt, że była ostatnia dekada września; nie mogłem się pozbyć wrażenia, że coś jest nie w porządku. Drzewa zgubiły gdzieś fazę intensywnego pomarańczowo-żółto-czerwonego koloru i zaczęły brązowieć w przyspieszonym tempie. Nic dziwnego, przecież skakaliśmy po trawniku w samych szortach, na miłość boską.

Tego lata pogoda była głównym tematem rozmów w całym Północno-wschodnim Królestwie – częściej niż zazwyczaj – bo wszystko stanęło na głowie. Ludzie chodzili podminowani – farmerzy, producenci syropu klonowego, organizatorzy turystyki narciarskiej, zimowi wędkarze i fani hokeja. Pia wiele mówiła o globalnym ociepleniu i rządowej konspiracji, aby zamieść temat pod dywan, ale w naszym domu to ja boleśnie odczułem zmiany klimatyczne. Znałem Vermont, tu dorastałem (dokładniej w Rutland, sporym postindustrialnym mieście w środkowej części stanu). Kamienie milowe mego życia w jakiś sposób wiązały się z Nową Anglią i jej pogodą; wszystkie romantyczne wizje nowego sielskiego życia również opierały się na założeniu, że sytuacja nie ulegnie radykalnej zmianie. Do pewnego stopnia zdawałem sobie sprawę, że to nierealne, jednak nie chciałem tego zaakceptować.

Wreszcie słońce zaszło, stopy nam zmarzły, odesłaliśmy więc Augusta do domu, a Pia i ja poszliśmy zrobić kolację. Uwielbiałem kucharyć we dwoje. Dla mnie czynność ta podszyta jest erotycznym napięciem. Nie chodzi tylko o seks – aczkolwiek nieodmiennie wieńczył takie wieczory – ale również o wspólne picie wina, opowiadanie sobie różnych historii, śmiech i przelotne dotknięcia. Było to jak sceny z filmu. Wyobrażałem sobie, jak ktoś podgląda nas przez okno, a chociaż nie słyszy, o czym rozmawiamy, jest zafascynowany ciepłem i serdecznością naszego

domowego ogniska. Właśnie za to ceniłem sobie życie małżeńskie.

Pia podsmażyła na patelni kawałki bekonu, dodała pokrojoną brukselkę i pokropiła syropem klonowym – genialny przepis, którego nauczyła się od małej dziewczynki sprzedającej warzywa w przydrożnym kramie. Właśnie takie detale nieustannie nas zachwycaly, chociaż w rozmowach z przyjaciółmi z Brooklynu relacjonowaliśmy je zblazowanym tonem. „Wyobraź sobie, że kupujemy brukselkę od córki farmera w pobliskim gospodarstwie! Tam też zaopatrujemy się w jajka. Nie mów, że jadłaś jajka, jeśli nie były świeżo zniesione, prosto od kury. Nie chce mi się wierzyć, że mogliśmy kupować próżniowo pakowane mrożonki. Mięso powinno być świeże i pochodzić od zwierząt, które całymi dniami skubią trawę na łąkach. Tak się tutaj żyje...”. Narracja, którą stworzyliśmy na użytek znajomych, była równie ważna jak nasze doświadczenia z tutejszego życia.

Wtarłem sól i pieprz w steki z polędwicy, wyniosłem mięso na dwór, aby je usmażyć na grillu. Parę minut później dołączyła do mnie Pia z kieliszkiem pinot noir w dłoni. Uniosła go do moich ust, obejmując mnie w pasie. Pociągnąłem łyk, po czym nachyliłem się do pocałunku. Sprawiało mi przyjemność, że jestem od niej niemal o głowę wyższy. Wzrost i szerokie bary – to były moje fizyczne atuty. Nie musiałem się szczególnie wysilać, żeby sprawiać wrażenie wysportowanego, choć nie miałem już płaskiego brzucha, a w krótko przyciętej brodzie pojawiły się pierwsze siwe włosy. Moja pewność siebie w kontaktach z kobietami pochodziła przede wszystkim z przewagi wzrostu, przynajmniej na Pię to działało, lubiła wtulać się w kogoś, przy kim czuła się maleńka. Teraz też przywarła do mnie na chwilę, po czym wróciła do garnków i patelni.

– Chcę zmienić świat – powiedziałem kiedyś do Pii na wczesnym etapie naszej znajomości, podczas całonocnej sesji picia, obmacywania się i filozofowania. Byliśmy przy drugiej butelce wina i obojgu nam szumiało już w głowie.

– Tylko tak mówisz – zachichotała.

– Naprawdę chcę!

– Ludzie, którzy chcą zmieniać świat, wyjeżdżają z misją ratunkową na Haiti albo zawożą szczepionki afrykańskim dzieciom. Ty po prostu chcesz mieć kontakt z naturą i nie lubisz czuć się jak japiszon.

Zastanowiłem się przez chwilę nad jej ripostą, gapiąc się na wzorki na kocu. Siedzieliśmy na podłodze w niewielkim salonie naszego brooklyńskiego mieszkania, urządzając sobie coś w rodzaju pikniku pod dachem.

– Nie przejmuj się – kontynuowała. – Jestem taka sama. Zbyt wielka ze mnie egoistka, żeby poświęcać się dla innych, ale w przeciwieństwie do ciebie uważam, że wystarczy żyć tak, aby świat nie zmieniał się na gorszy. To też ma swoją wagę.

– Kurczę, masz rację – przyznałem. – No to jak żyć, żeby świat nie stawał się gorszy?

– Nie zapominać o ekologii, nawet jeśli są to drobiazgi, ograniczać konsumpcję do niezbędnej, praktykować tolerancję i wyrzekać się przesądów, ot, tego typu rzeczy. Brzmi jak frazesy, ale ma głębszy sens. Żyjesz bardziej świadomie niż pokolenie naszych rodziców, przekazujesz dzieciom swoje wartości, i voilà: rasa ludzka ewoluuje w dobrym kierunku. To ma znaczenie.

– Wolałbym robić coś dobrego niż po prostu nie szkodzić, ale w zasadzie masz rację – zgodziłem się. – Zawrzyjmy pakt: będziemy żyć w ten sposób. Gdzieś, kiedyś.

Pia wyciągnęła do mnie rękę, żeby przyklepać nasz układ.

– Świetnie. To mi się podoba.

Potrząsnęliśmy dłońmi.

– Od razu poczułem się jak dobry człowiek – powiedziałem.

– Jeszcze nie dobry, na razie po prostu nie-zły człowiek – poprawiła mnie.

Odstawiliśmy kieliszki, zanurkowałem do niej. Pia objęła mnie udami i opadła na plecy.

W tym pierwszym okresie wydawała mi się ósmym cudem świata – błyskotliwa i uduchowiona, a jednocześnie niezwykle zmysłowa. Uwielbialiśmy swoje towarzystwo i staliśmy się nierozłączni.

Jedliśmy kolację na sfatygowanym brudnawym stole na galerijce, ale zastawa prezentowała się wspaniale w świetle tuzina świeczek, które Pia rozstawiła wokół. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, popijaliśmy wino i gadaliśmy o dawno wymarłych gatunkach, które żyły na ziemi przed nami. Nie wspomnieliśmy ani słowem o jej cyklu owulacyjnym i moim cichym oporze wobec rodzicielstwa. To była przyjemna noc. Kiedy już przedyskutowaliśmy pewne anomalie na pięknym, ale niepokojącym niebie, wróciliśmy do tematu, który sam się narzucał.

– Co zrobimy, kochanie? – spytała Pia, ale w jej głosie więcej było podniecenia niż lęku. – Burze mnie przerażają! Musimy mieć plan.

– Potrzebujemy planu – przytaknąłem. – Nie sądzę, żeby niewielki śródlądowy stan narażony był na istotne niebezpieczeństwo, ale lepiej przesadzić z przezornością niż żałować poniewczasie. Trzeba załatać dziury w domu. Rozumiem, że zostaniemy tutaj, nawet jeśli przyjdą gigantyczne wichury i nawałnice?

– Oczywiście, musimy! – Pia przełknęła wino. – Ten dom jest naszym oczkiem w głowie. I dokąd mielibyśmy się ewakuować? Na pewno nie do twoich rodziców. I z pewnością nie do moich!

Zdziwiło mnie, że nie bierze pod uwagę takiej ewentualności, ale w zasadzie miała rację – nie było powodu do chronienia się u rodziców. Byliśmy dorośli i równie dobrze przygotowani do radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych jak oni, choć wciąż mi się wydawało, że osiągnęli taki stopień wtajemniczenia, do jakiego nam ciągle było daleko.

Rodzice Pii, nauczyciele akademicy, mieszkali w Connecticut, w eleganckich suburbiach Nowego Jorku. Tam wcześniej wychowywali swoją śliczną córkę. Byli trochę wyniośli i zadufani, ale zawsze traktowali mnie życzliwie. Pia mówiła o nich w taki sposób, jakby byli potworami w ludzkim ciele. Może miała rację. Początkowo byłem przekonany, że lubiła opowiadać o swoim ciężkim dzieciństwie, bo to czyniło ją niewinną ofiarą, godną współczucia. Jednak mogłem się mylić. Czegoś musiało brakować w jej domu rodzinnym; świadczyło o tym jej emocjonalne rozedrganie, wewnętrzny chaos, którego przyczyn nie umiałem zdefiniować.

Nie lubiłem rodziców Pii, ale nie z tych powodów, które mi podsuwała. Drażnili moje purytańskie przywiązanie do etosu pracy i porządku. Nie rozumiałem, skąd w nich tyle pychy, skoro, o ile mi było wiadomo, nie odcisnęli swego piętna na współczesnym świecie. Nie byli pierwszymi osobnikami demonstrującymi obraźliwe poczucie wyższości, z jakimi miałem do czynienia – w tej części Nowej Anglii, skąd pochodzę, nie brakuje zadzierających nosa liberalnych intelektualistów. Ja tylko nie chciałem dąć w ich dudkę. Rodzice Pii chodzili do filharmonii, stosowali się do najnowszych trendów kulinarnych, czytali recenzje teatralne, ale sami niczego nie tworzyli i to mnie w nich drażniło. Wierzyli, że ocierając się o wielką sztukę, sami stają się wielcy. Opowiadali nam o swoich znajomych takich czy owakich, którzy napisali jednoaktówkę albo wydali wspomnienia z wycieczki trekkingowej po Nepalu, a my z uznaniem kiwaliśmy głowami. Wizyty u nich wiązały się z udawaniem, że nie pijemy koktajli w towarzystwie miłośników wyższej sztuki, ale jej twórców. Co bardziej irytujące, nie omieszkali ubolewać nad niedostatkiem „prawdziwej” kultury w naszym życiu. W ten sposób wyrażali dezaprobatę dla naszej twórczej aktywności, która w ich oczach nie uprawniała do wstępu na salony arystokracji ducha, do jakiej sami się zaliczali.

Moja rodzina była dużo mniej wyrafinowana; Pia nie omieszkła mi tego wytykać, gdy ją czymś zirytowałem. Ojciec był prawnikiem w niewielkim biurze adwokackim w Rutland. Miałem dwie siostry i brata. Jako drugie dziecko znalazłem się w komfortowej sytuacji: nie wywierano na mnie presji, żebym odniósł sukces, nie byłem też najbardziej nieudanym z potomstwa. Mama została w domu, zajmowała się naszym wychowaniem. Pia miała jej to za złe, choć nigdy nie powiedziała tego głośno. Rodzice udzielali się społecznie w szkołach, zbierali śmieci podczas sprzątania Ziemi, sponsorowali lokalny teatr. Po wyprowadzce do Nowego Jorku nie spotkałem nikogo, kto tak dalece identyfikowałby się ze swoją lokalną społecznością jak oni. Lubiałem mamę i tatę, a chociaż w ostatnich latach całą ich uwagę pochłaniały dzieciaki młodszej siostry i narkotykowy nałóg brata, dobrze się rozumieliśmy. (Najstarsza siostra mieszka w Londynie ze swoją żoną. Byliśmy blisko, choć w ostatnich latach kontakt nieco się rozluźnił). Tak właśnie

powinna wyglądać rodzina. Nie zawsze jest łatwo i przyjemnie, ale ma się wielu krewnych, czasem się kłóć, a czasem kochają i wtedy bywa wesoło. Byłem pewien, że któregoś dnia będę miał podobną rodzinę, kiedy już będę gotowy.

– Zostaniemy niezależnie od okoliczności – przytaknąłem, otulając się szczelniej swetrem. Na dworze zrobiło się chłodno i tak ciemno, że ledwie widziałem twarz Pii unoszącą się nad świeczkami.

Odsunęła puste talerze na skraj stołu i z kieszeni obszernego swetra wyjęła notes i długopis. Czas na listę zadań. Pia przechowywała w sercu ideę, że kiedyś zostanie pisarką, więc nosiła przy sobie ładne małe notatniki, żeby mieć pod ręką coś do pisania, gdy nadejdzie natchnienie. Jej muza była kapryśna, odlatywała po kilku minutach. Notesiki coraz częściej wypełnione były spisami rzeczy do zrobienia. Notowała tytuły książek, które zamierzała przeczytać, nazwy roślin, które warto wykorzystać w organicznej kuchni, ćwiczenia jogi, które dobrze wpływają na to, co akurat jej dolegało. Wyliczanki Pii stanowiły odzwierciedlenie jej aspiracji i wyobrażeń o idealnej przyszłości. Rzadko je wcielała w życie, ale spełniały swoją rolę: dawały jej miłe poczucie, że sam fakt sporządzenia listy jest pierwszym krokiem na drodze do samodoskonalenia. Nigdy nie kwestionowałem ich sensowności.

Pia zaczęła spisywać zapasy, które pozwolą nam przetrwać Wielką Burzę. „Konserwy, multiwitamina, filtry do wody, podręczne ogniwa słoneczne”. To bardziej przypominało zestaw rzeczy koniecznych do przeżycia apokalipsy niż nawałnic i huraganów.

– Skarbie, myślałem raczej o zabiciu okien dechami i zabezpieczeniu piwnicy – powiedziałem. – Naprawdę myślisz, że to wszystko nam się przyda?

– Przeworność nie zaszkodzi. – Pia wzruszyła ramionami. – Jeśli prognozy meteorologiczne się nie sprawdzą, będziemy mieli w składziku różne rzeczy, które mogą się kiedyś przydać. Żaden problem.

Trudno było coś zarzucić jej rozumowaniu, zdziwiło mnie tylko ożywienie, jakie ją opanowało. Nadchodzący kataklizm ekscytował Pię.

Przeniosła się na miejsce obok mnie, zarzuciła nam na ramiona wełniany koc. Pachniał dymem z ogniska. Objęła mnie, po czym wróciła do notatnika. Wsłuchiwałem się w szelest liści na wietrze, ciche brzęczenie letnich owadów, które wciąż jeszcze pojawiały się całymi chmurami. Czułem zapach jej włosów. Szampon migdałowy, którego zaczęła używać, gdy przestawiła się na wiejskie nawyki higieniczne. Miała teraz burzę włosów, nieokiełznaną przez fryzjera. Pia czerpała energię z każdej nowej idei, która stawała się jej przejściową pasją. Kochałem ją – żywotną i uparcie dążącą do celu. W takich chwilach moja rola była oczywista. Wystarczało okazywać uwielbienie i opiekuńczość, a to przychodziło mi bez trudu.

Pia podciągnęła kolano pod brodę, wtedy dostrzegłem rysunek długopisem

na udzie. Pień drzewa z twarzą starego człowieka. Musiała to narysować dziś wieczorem, machinalnie. Otaczały nas drobiazgi przypominające o artystycznych zdolnościach Pii, ulotne, lecz niezbite świadectwa jej talentu. Na studiach dostawała nagrody za obrazy olejne, wcześniej renomowana galeria na Manhattanie chciała zrobić wystawę jej zdjęć. Jednak Pii brakowało systematyczności i dyscypliny, potrzebnych do związania się na stałe z jedną dziedziną sztuki; zbyt często je zmieniała, aby osiągnąć prawdziwy sukces. Gdyby się bardziej postarała, mogłaby zarabiać na życie, robiąc to, co kochała.

– Świetnie sobie poradzisz – stwierdziła Pia.

– Z czym?

– Och, wiesz, przygotujesz nas na huragan, będziesz wynajdywał genialne rozwiązania, gdy pojawią się niespodziewane problemy i będziemy musieli sobie radzić w spartańskich warunkach. A takie lubisz najbardziej.

Brała mnie pod włos, ale też się przekomarzała. Dobrobyt sprawił, że zrobiłem się trochę zbyt wygodny, te wszystkie poranne espresso i prywatny trener w siłowni. Bałem się, że się uzależnię od luksusu. Jakiś atawistyczny instynkt nie dawał mi spokoju, alarmował, że nie wolno się rozleniwiać, bo mogą przyjść ciężkie czasy. Nigdy nie zwierzyłem się Pii z narastającego dyskomfortu, ale powinienem zgadnąć, że intuicja jej nie zawiedzie.

– Trzymam kciuki za zamarzniete rury – zażartowałem.

Siedzieliśmy na dworze do jedenastej, opracowując plan na Wielką Burzę i chichocząc – flirtując nawet – gdy zgodnie tuliliśmy się do siebie. Wreszcie przekonałem Pię, że czas do łóżka. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła na piętro do sypialni, gdzie kazała mi usiąść w antycznym fotelu, a sama zaczęła się rozbierać, jeden ciuszek po drugim.

Brzydsza kobieta wyglądałaby śmiesznie, ściągając z ramion obszerną flanelową koszulę i wyskakując z seledynowych bawełnianych majtek, ale Pia była doskonała. Widok jej nagiego ciała nieodmiennie mnie podniecał, pożądanie nie osłabło przez te wszystkie lata, gdy byliśmy razem. A chociaż trochę rzadziej uprawialiśmy seks, stało się to jeszcze bardziej intensywne. Zupełnie naga odwróciła się i przeparadowała do łóżka, żeby na mnie czekać. Nos i uszy wciąż miała zimne od siedzenia na dworze, ale reszta ciała była rozkosznie ciepła, gorąca nawet. Początkowo starałem się ją powściągnąć, zwolnić tempo, ale wkrótce dałem za wygraną i zwarliśmy się w dzikim paroksyzmie namiętności, z wiekiem coraz mocniejszej, na której przed laty zbudowaliśmy nasz związek. Pieprzyliśmy się jak dwoje ludzi desperacko pragnących zawłaszczyć to drugie ciało. Gwałtowny, czysty seks. Miałem w ramionach żywą, ciepłą Pię, naszym wspólnym wrogiem była pogoda, a ze mnie wreszcie spłynęło napięcie.

Kiedy usnęła, leżałem, rozmyślając o niepoczętym dziecku i nadchodzących huraganach. Nie byłem gotowy na dziecko, nie wtedy, ale kochałem w Pii

nieposkromione pragnienie macierzyństwa, bo objawiały się w nim wszystkie cechy, które w niej lubiłem: odwaga, głód doznań, a nade wszystko optymizm. Czy w tym nowym, nawiedzonym przez burze i trąby powietrzne świecie będzie jeszcze miejsce na optymizm? Tego nie wiedziałem. I zastanawiałem się – po raz pierwszy w życiu – czy świat nadal jest miejscem, gdzie powinny się rodzić dzieci. Jak można nie odpowiedzieć twierdząco na to pytanie, skoro sami zębami i pazurami trzymamy się naszej ziemskiej egzystencji? Czy nastąpi taki moment, kiedy rasa ludzka zdecyduje się nie reprodukować, czy też będziemy generować kolejne pokolenia, aż jakaś kosmiczna siła podejmie decyzję za nas i zetrze nas z powierzchni Ziemi? To drugie wydało mi się bardziej prawdopodobne, więc deliberowałem jeszcze, w jaki sposób wszechświat unicestwi nasz gatunek – gwałtownie i bezboleśnie czy w sposób okrutny i rozciągnięty w czasie? A może proces wymierania człowieka już się zaczął, tylko postępuje tak powoli, że jeszcze go nie zauważamy? Czy to dopiero początek, czy już koniec?

DWA

Następnego dnia obudziliśmy się wcześniej, ale słoneczny sobotni poranek wydawał się zupełnie nieodpowiedni na ponure zadanie, jakim było przygotowanie się na nadejście frontu burzowego. Pia przez parę minut kręciła się po sypialni w stroju Ewy, sprawdzała informacje w telefonie, upinała i rozpuszczała włosy przed lustrem. Miły nastrój wczorajszego wieczoru jeszcze nas nie opuścił, jednak w jaskrawym dziennym świetle pilniejsze stało się zrobienie zapasów.

Zszedłem na dół, włączyłem radio jeszcze przed zaparzeniem kawy, licząc na aktualną prognozę pogody. Nie było żadnych nowych faktów, jednak przez noc w głowach komentatorów wykuło się mnóstwo interpretacji i zarysował się wyraźny podział na dwie grupy. Konserwatywny dziennikarz sugerował, że wszystko to jest częścią większego planu liberałów, który ma doprowadzić do potajemnego sfinansowania badań nad globalnym ociepleniem i zmianami klimatycznymi z funduszy publicznych. Jakiś mędrak z think tanku wyrażał obawy, że prezydent utajnił kluczowe informacje, toteż wzywał do powołania w kongresie komisji śledczej i ujawnienia, jakie sekrety ukrywają Agencja Ochrony Środowiska i NSOM. Pia i ja piliśmy kawę ze słodką śmietanką prosto od krowy, obserwując w telewizji debatę starców, którzy rozważali, jak to wszystko wpłynie na wynik wyborów do kongresu i władz federalnych. Burze zdominowały debatę publiczną, chociaż na razie były tylko hipotetyczne. Dla nas stały się projektem na sobotę.

Wzięliśmy prysznic i wsiedliśmy do samochodu, kierując się do najbliższego sklepu żelaznego, dwadzieścia pięć minut od nas. Tego ranka zdawało mi się, że jest tak, jak miało być. Między nami była bliskość, moja żona uśmiechała się, a krajobraz przypominał dziecięcy obrazek: niebieskie niebo i czerwone stodoły. Opuściliśmy szyby i chichotaliśmy, gdy poczuliśmy zapach obornika. Pia wyznała, że go nie znosi, ale nie może się oprzeć i oddycha głęboko. Z dumą wieśniaka oznajmiłem, że wiejskie zapachy nie tylko mi nie przeszkadzają, ale budzą milion skojarzeń z dzieciństwa – większość prawdziwych, a część wyprodukowanych przez nostalgię. Przechyliła się przez siedzenie i pocałowała mnie w kark, nazywając czule kmiotkiem. Tak zajechaliśmy pod Sklep Żelazny Deweya.

– Na pierwszy rzut oka widać, że jesteś chłopakiem z prowincji. – To właśnie powiedziała mi Pia, gdy poznaliśmy się przed dziewięciu laty. Byliśmy na zwariowanym balu kostiumowym w Williamsburgu, przepychałem się w zbitym tłumie półnagich męskich ciał, starając się nie dotykać torsów ludzi blokujących mi dostęp do beczki piwa. Gospodarz, nasz wspólny znajomy, był urodzonym balangowiczem i dilerem amatorem. Na jego przyjęcia przychodzili tłumnie znajomi geje, ale tamto było wyjątkowo wyuzdane. Zważywszy na proporcje, moje szanse poderwania ładnej dziewczyny były większe niż zazwyczaj.

Zaryzykowałem i uśmiechnąłem się do nieznajomej. W ten właśnie sposób poznałem Pię. Chwyciła mnie za ramię i pociągnęła do ustronnego miejsca w rogu pokoju.

– Jesteś nietutejszy?! – krzyknęła mi do ucha.

Jej kostium składał się z pędów winorośli owijających zgrabne ciało; plastikowe liście przykrywały wstydlive miejsca. Cienka zielona taśma łączyła całość.

– Nikt z obecnych nie jest tutejszy – odparłem. – To nie jest prawdziwe miejsce, tylko bal kostiumowy w dzielnicy przebierańców, jaką jest Brooklyn. Maskarada kuglarzy.

Głębia mego pijackiego spostrzeżenia zrobiła na Pii odpowiednie wrażenie, więc nawijałem dalej. Wyjaśniłem, że przeprowadziłem się do Nowego Jorku po skończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Amherst, że pracuję jako grafik komputerowy i nie mam zamiaru mieszkać w Nowym Jorku do końca życia. „Brak mi drzew”, stwierdziłem, co jej się spodobało. Kiedy Pia, która studiowała sztukę w Middlebury, dowiedziała się, że jestem ze stanu Vermont, dotknęła mego ramienia i oświadczyła, że „dzika przyroda podoba jej się do szaleństwa”. Opowiedziałem jej o święcie plonów w mojej rodzinnej okolicy, które by jej się spodobało, na co obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem i stwierdziła, że jestem prawdziwym „chłopakiem z prowincji”.

Tej nocy poszliśmy do łóżka. Niepotrzebne były długie namowy i te wszystkie ceregiele. Zabrała mnie do swojego zagraconego mieszkania i całkiem bezwstydlwie rozwarła nogi i przyciągnęła moją głowę, jakby dawała mi prezent, na który długo czekałem. W pierwszej chwili miałem ochotę zemdleć i zostać na zawsze w wilgotnej, pachnącej świeżą ziemią jaskini jej ciała, ale wszystko we mnie ożyło. Pia pachniała piżmem, nie perfumowanym mydłem, jak dziewczyny, z którymi sypiałem poprzednio; smakowała słonawo. Była najbardziej sensualną istotą, jaką w życiu widziałem, przyciskała wszystkie moje erotyczne guziczki. Chciałem ją posiąść, zawłaszczyć, pochłonąć, a ona grzała się w ciepłe moje pożądanie, toteż dopasowaliśmy się idealnie, poczynając od pierwszego szaleńczego aktu seksualnego. Od razu się zorientowałem, że ma zmienne i nieprzewidywalne nastroje, ale to mi nie przeszkadzało. Życie nabrało koloru i smaku, odkąd pojawiła się w nim Pia. Tak się zaczęło, na niewygodnym materacu, pod połyskliwymi chustami udrapowanymi na suficie, w pokoju pełnym książek, na nierzeczywistym Brooklynie. Zostaliśmy parą.

W pierwszym okresie związku z Pią moja pewność siebie brała się głównie z tego, że całkiem niedawno odkryłem, jak duże jest zapotrzebowanie na takich oryginałów jak ja w tym właśnie miejscu i czasie, w kulturze amerykańskiej. Zawsze byłem zbyt wysokim, trochę niezgrabnym chłopakiem, który wolał biegi przełajowe albo lekturę popularnonaukowych pism przyrodniczych od

balangowania w gronie rówieśników. W Nowym Jorku byłem postrzegany jako wrażliwy i postępowy fajny facet. Ludziom imponowała nawet moja garderoba: spodnie robociarza, flanelowe koszule i buty górskie. Byłbym wściekły, że mnie tak łatwo szufladkują, gdyby nie zachęcające spojrzenia atrakcyjnych hipsterek.

– Wiedziałam, że powinniśmy wyjechać wcześniej – mruknęła Pia pod sklepem.

Parking był zdumiewająco zatłoczony jak na dziewiątą rano w sobotę, ale w najdalszym rogu znaleźliśmy miejsce obok pickupa z wielkimi ubłoconymi kołami. Dwa rzędy dalej kobieta zapinała dwójkę dzieci w fotelikach samochodowych, bagażnik miała wypchany torbami ze sklepu.

– O matko – jęknąłem, gdy weszliśmy do środka. Zwykle panował tu ład i spokój, teraz w alejkach przepychali się klienci z wyładowanymi wózkami, trzymający w rękach listy podobne do naszej.

– Wszystko przez prognozy pogody – powitał nas przy wejściu młody sprzedawca w granatowej firmowej koszulce polo. – Ludzie chcą się przygotować.

Chętnie bym z nim pogadał, mógł być bardzo pomocny, ale Pia już wzięła wózek i stanęła w kolejce. Posuwaliśmy się z tłumem wzdłuż alejek, większość półek świeciła już pustkami, więc trudno było zgadnąć, jakich skarbów dla nas nie starczyło.

– Brezentowych płacht zabrakło o siódmej rano – narzekał jakiś mężczyzna. – O workach z piaskiem lepiej zapomnieć.

Nie było ich na naszej liście, a nagle wydały nam się artykułami pierwszej potrzeby.

Całe sekcje sklepu zostały opróżnione, kupujący przenieśli się więc do pozostałych, poszukując tam rzeczy, które być może mogłyby się przydać. Jakiś człowiek wykupił cały zapas plastikowych sanek, które pozostały z poprzedniej zimy. Zaobserwowałem, jak podchodził do kasy, bardzo z siebie zadowolony.

Jednak nie puste półki i zatłoczony parking zbiły mnie z pantafelów, ale dziwne zachowanie ludzi. Znajdowaliśmy się w samym środku Północno-wschodniego Królestwa, jego mieszkańcy przetrwali wcześniej dziesiątki ekstremalnych załamań pogody. Gradobicia niszczyły im plony, dachy stodół zapadały się pod czapami mokrego śniegu, huragany wyrwały drzewa z korzeniami i siały zniszczenie na farmach. Radzili sobie z każdą klęską żywiołową, wykorzystując to, co mieli w zagrodzie albo pożyczili od sąsiadów; nigdy, przenigdy nie panikowali. I tym razem to jeszcze nie była panika w całej krasie, ale coś na jej podobieństwo. (Znacznie później mieliśmy się dowiedzieć, jak naprawdę wygląda spanikowany tłum).

Pia zgmiotła listę i wetknęła ją do kieszeni dzinsowych szortów. W ten sposób nie da się robić zakupów. Zaczęła naśladować innych i łapała wszystko, co jej wpadło w ręce: rękawice ogrodowe, pudełko długich gwoździ i młotek, trzy

elastyczne liny, taśmę do pakowania. Miałem ochotę pohamować jej zapał, ale tak się rozkręciła, że ograniczyłem się do zachowania stoickiego spokoju. Zrobiliśmy w ten sposób rundę po hali, podeszliśmy do kasy i wreszcie opuściliśmy sklep z naręczami plastikowych toreb wyładowanych najdziwniejszymi przedmiotami. Jak Pia powiedziała wczoraj, nie zawadzi przygotować się na każdą ewentualność.

Na dworze spadły na nas pierwsze ciężkie krople deszczu. Temperatura gwałtownie malała.

– Cholera, okna – powiedziałem, przypominając sobie o niezabezpieczonym samochodzie.

Puściliśmy się biegiem w kierunku volva, chcąc uciec przed deszczem, ale niespodziewana burza była szybsza. Wielkie krople zacinały ostro. Zapiękło mnie ucho, biegnąca przede mną Pia zapiszczała głośno. Kiedy wreszcie dopadliśmy do auta, wrzuciliśmy torby na tylne siedzenie, zakręciliśmy okna i skuliliśmy się z przodu, oszołomieni. Otarłem wodę z twarzy i wtedy uświadomiłem sobie, że to już nie deszcz, ale grad. Kulki lodu wielkości piłeczek golfowych bombardowały auta i wystraszonych ludzi. Niebo nad nami było czarne, ale na północy pozostało przejrzyste i jasne. Na trawniku przed zderzakiem leżały dwa ptaki – martwe tyrany, które nie zdążyły uciec na południe; w ich zamrożonych oczach widać było szok lub ból. Miałem nadzieję, że Pia ich nie zauważy.

– O Jezus, to jak biblijne plagi – powiedziała. Miała mokre włosy i dygotała z zimna. Sięgnąłem na siedzenie z tyłu po bluzę, którą tam zostawiłem parę tygodni temu. Włożyła ją i pokręciła z niedowierzaniem głową. Uśmiechnęła się lekko.

– Ash, powinniśmy kupić wszystko zgodnie z planem. Natura nie odpuści.

Też to czułem. Słońce wróciło, ale nie ustąpiło poczucie zagrożenia, które dopadło nas razem z gradem. Trzeba było coś zrobić. Skierowałem samochód do Burlington, gdzie liczba sklepów gwarantowała, że znajdziemy wszystko, czego nam potrzeba, i niezliczone inne przedmioty, które jeszcze przyjdą nam do głowy w związku z nadchodzącym kataklizmem.

Pia roześmiała się, gdy pędziliśmy autostradą.

– Niezła zabawa, co?

– Co takiego?

– Oczekiwanie na koniec świata. To nie powinno być zabawne, a jednak jakoś tam jest.

Wiedziałem, co ma na myśli. Przerwy w dostawie prądu i śnieżne zawieje, które uniemożliwiały przez parę dni normalne życie, zawsze traktowałem jak przygodę. Powrót na krótko do bardziej prymitywnych warunków ma na ludzi taki wpływ. Najważniejszym czynnikiem był tu ograniczony czas i brak ryzyka – pewność, że to tylko chwilowy odskok od rzeczywistości – inaczej zabawa się kończyła. Prognozy meteorologiczne na najbliższy okres brzmiały jednak zbyt niepokojąco, żeby je traktować jak przelotne przygody z przeszłości.

– Pamiętasz tamtą letnią nawałnicę w naszym starym mieszkaniu, gdy przez trzy dni nie mieliśmy elektryczności? – spytała.

– Było niesamowicie. Moja siostra też to często wspomina.

Przed laty, tuż po naszych zaręczynach, przez Nowy Jork przeszedł straszliwy huragan znad oceanu, towarzyszyły mu gwałtowne ulewy. Przez trzy upalne dni w mieście brakowało elektryczności. Akurat przyjechała do nas z Londynu moja siostra ze swoją dziewczyną, trochę się lękałem, jak wypadnie ich pierwsze spotkanie z Pią. Niepotrzebnie, bo Pia zawsze była niezawodna, gdy sytuacja stawała się nieprzewidywalna.

Spędziliśmy dwa nudne dni, grając w półmroku w gry planszowe i wypijając całe wino, jakie można było znaleźć w mieszkaniu. Bez klimatyzacji snuliśmy się po nim spoceni i podenerwowani, czekając, kiedy wreszcie życie wróci do normy. Zwłaszcza Pia objęła się po ścianach jak ćma, podejrzewałem, że przy pierwszej okazji przystąpi do działania. Wreszcie przestało padać i Pia natychmiast wyszła z mieszkania. Pobiegła do pobliskiego sklepu po trzydzieści puszek piwa Miller Lite, wystawiła głośniki za okno i obiegała wszystkie okoliczne domy, zapraszając sąsiadów na uliczną prywatkę. Ludzie wyszli z mieszkań, wiele osób przyniosło dodatkowe zgrzewki piwa i zadzwoniło do znajomych, że szykuje się niezła zabawa. Ustawiliśmy tymczasową barykadę z krzeseł i pojemników na śmieci, żeby samochody nie wjeżdżały na ulicę, ktoś napełnił basenik dla dzieci czystą wodą. W ciągu dwudziestu minut na dworze zebrała się setka ludzi, wszyscy gotowi otrząsnąć się z klaustrofobicznego uczucia zamknięcia w czterech ścianach. Wydawało się, że prawdziwy karnawał ulicznych zabaw, jaki nastąpił po ulewach, był spontaniczny i przez nikogo nieinspirowany – nikt nie pamiętał, jak to się zaczęło. A jednak to nieprawda; Pia wywołała go pstryknięciem palców. Dostrzegając w otaczającym świecie potencjał i potrafiła stworzyć coś z niczego. Życie z taką osobą jest przygodą bez granic.

– Jest niesamowita – powiedziała później moja siostra. – Świruska, ale z fantazją. – Pia wywierała takie właśnie wrażenie na ludziach.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, wspominając tamtą prywatkę i szczególną przyjemność, jaką można znaleźć nawet w obliczu katastrofy.

– Widziałam ptaki – powiedziała cicho Pia. Znowu wyszło słońce. – Martwe. To upiorne: gorąco i nagle grad. Wszystko jest nieprzewidywalne.

Kiwnąłem głową i położyłem rękę na jej gołym kolanie. Nie było tu nic do dodania, więc milczeliśmy. Kiedy się rano obudziliśmy, na zewnątrz było prawie dwadzieścia siedem stopni Celsjusza, teraz termometr na desce rozdzielczej wskazywał szesnaście. Grad, ptaki, spanikowani ludzie. Wszystko wokół było przerażające, łatwiej było skupić się na prostym celu przed nami.

Czterdzieści pięć minut później krążyliśmy po alejkach Home Depot, żartując z nadchodzącej apokalipsy i czerpiąc przyjemność ze swojego

towarzystwa.

– Dolar poleci na pysk po Wielkiej Burzy, a wtedy będziemy musieli wrócić do bardziej prymitywnej waluty – powiedziałem, gdy mijaliśmy rząd kosiarek do trawy.

– Jak przyprawy i sfermentowany cydr? – podjęła moją myśl Pia.

– Myślałem o czymś dużo bardziej pierwotnym. Na przykład seks oralny. Można jeszcze użyć ręki zamiast ust, ale to znacznie mniej warte.

Zachichotała głośno, ściągając na siebie spojrzenia innych kupujących. Pia nigdy nie wstydziła się śmiechu (ani łez). Poczulem dumę, że to ja rozbawiłem tę śliczną kobietę.

Kupiliśmy łopatę do odśnieżania, dwie pary roboczych rękawic, taśmę izolacyjną i żel do uszczelniania. Sami nie wiedzieliśmy, po co, ale mieliśmy wrażenie, że jesteśmy aktywni. Ludzie wokół wymieniali przyciszonym głosem uwagi, co może być potrzebne i przy jakiej pogodzie; przyglądałem się im uważnie, też chciałem sprawiać wrażenie zaprawionego w bojach tubylca. Kupowaliśmy to, co oni, miałem nadzieję, że słusznie.

Kilka godzin później, lżejsi o kilkaset dolarów, piliśmy wino na ganku z tyłu domu, otoczeni nabytkami, które miały nam zapewnić bezpieczeństwo. Było to nasze ulubione miejsce. Mieliśmy stąd widok na nieprzystrzyżony trawnik, który rozpływał się w ciemnym lesie. Tu byliśmy u siebie.

Nie pamiętam wewnątrz mojego dzieciństwa. Mieszkałem w pięknym wiktoriańskim budynku, większym niż domy moich kolegów, otoczony czułą opieką rodziców, ale trudno mnie było utrzymać w czterech ścianach. Zresztą mama i ojciec uważali, że zabawy na dworze kształtują charakter, więc nas do nich zachęcali. Wybiegaliśmy rano i wracaliśmy wieczorem zziębnięci, głodni i podrapani, po czym spaliśmy jak zabici do następnego dnia. Moje rodzeństwo w pewnym momencie zaczęło stawiać opór rodzicielskim metodom wychowawczym, które dzisiaj byłyby uznane za pewną formę zaniedbywania dzieci, ale ja traktowałem je jak najcenniejszy dar aż do czasów liceum. Las był dla mnie synonimem wolności: pełnej, nieograniczonej przez dorosłych, stwarzającej możliwość poznawania świata na własną rękę. W lasach także panował ład, ale nie ten stworzony przez człowieka. Pragnąłem go zrozumieć, zyskać podwójne obywatelstwo: w świecie ludzkim i naturalnym. Swobodne przemieszczanie się między nimi dawało mi poczucie siły. W ten sposób stałem się namiętnym czytelnikiem książek o nauce i przyrodzie. Chciałem poznać wszystkie żyjące na swobodzie gatunki i wyuczyć się subtelnego języka, jakim się między sobą porozumiewają. Chciałem stać się częścią tego skomplikowanego organizmu i być postrzeganym jako swój przez inne stworzenia.

W okresie dojrzewania inne sprawy, ważne dla każdego młodego człowieka, przysłoniły mi ten cel i wreszcie porzuciłem las. Wróciłem do cywilizacji. W tym

czasie nie zastanawiałem się nad tym, dopiero później uświadomiłem sobie, że wszystko ma swoją cenę. Jako dorosły człowiek nie odnalazłem już nigdy tego poczucia sensu i przynależności, jakie towarzyszyło mi w dzieciństwie w lasach.

Huściliśmy się leniwie na ławeczce, obserwując zachód słońca, Pia z głową na moich kolanach. Znów zrobiło się ciepło, nie było śladu po wcześniejszym gwałtownym gradobiciu.

– Wrzesień nie powinien tak wyglądać. – Pokręciłem głową. Było mi przyjemnie z Pią w ramionach, jednak nie potrafiłem się w pełni zrelaksować.

– Ale jest pięknie – mruknęła bez otwierania oczu. Wierzyła, że piękno ma wartość samą w sobie. – Przypomnij mi, jak właściwie wygląda wrzesień w Vermoncie?

Odgoniłem komara znad jej czoła i zastanowiłem się przez chwilę.

– Sam nie wiem... Zazwyczaj jest zimniej, spokojniej... Słyszeć wiatr, a nie brzęczenie owadów i odgłosy zwierząt. Czy wiesz, że gdy jako dzieciaki biegaliśmy w Halloween od domu do domu, czasem brodziliśmy w śniegu? A to już za kilka tygodni.

– Wszystko przemija, mój kochany. – Pia otworzyła oczy i dotknęła mojej twarzy. – To przykre, ale nasze dzieci będą rosły w zupełnie innym świecie.

Była to zdumiewająco gorzka refleksja jak na jej ostatnie obsesyjne pragnienie macierzyństwa. Wtedy jeszcze nie podejrzewałem, że jej uwagę zaczęły pochłaniać sprawy dalekie od planów pełnych nadziei.

TRZY

– W listopadzie wody powierzchniowe osiągną temperaturę dwadzieścia siedem koma siedem stopni Celsjusza, może więcej. Znad Zatoki Meksykańskiej napłynie ciepłe i wilgotne powietrze. Ostrzeżenie przed silnymi uskokami wiatru.

Znajomy głos spikera stacji NPR rozbrzmiewał mi w uszach, gdy tępo wpatrywałem się w ekran komputera, udając, że pracuję. Minęło kilka dni od zapowiedzi nadchodzącego kataklizmu; pierwszy raz od przeprowadzki do Vermontu nie byłem w stanie skupić się na porannej pracy. Miałem swoją rutynę. Budziłem się o siódmej, wypijałem z Pią kawę przy kuchennym stole, choć ona nie była entuzjastką rannego wstawania, następnie robiłem sobie drugą filiżankę i koło ósmej szedłem na górę, gdzie zasiadałem przy dużym antycznym biurku w przestronnej sypialni. Kiedy podnosiłem wzrok znad ekranu, z fotela widziałem trawnik na tyłach domu i wysłużony termometr za oknem, przybity tam przez poprzednich właścicieli. Jeśli pracowałem do drugiej – wliczając w to przerwy na kawę i lunch – udawało mi się załatwić więcej zleceń niż w biurze przez cały dzień. Moi koledzy na Manhattanie wydawali się zadowoleni z wyników naszej współpracy, starałem się ich nie zawieść.

Tego dnia nie byłem w stanie usiedzieć na miejscu, nie próbowałem też wyłączyć radia. Piłem już trzecią kawę, co oznaczało wyraźne odstępstwo od normy.

– Może to zapowiadać całą serię potężnych huraganów na wschodnim wybrzeżu i północy kraju, przesuających się z południowego wschodu na północ i zderzających się z masami arktycznego powietrza napływającego z północnego zachodu – kontynuował głos z radia. – Każdy Amerykanin, od Chicago po Waszyngton, a na północy aż po Maine, powinien liczyć się z rekordowymi opadami deszczu i śniegu oraz regularnie występującymi niszczycielskimi huraganami. Same burze i wichury stanowią poważne zagrożenie, ale istnieje inny scenariusz, potencjalnie jeszcze bardziej złowrogi. Ze względu na nasiloną częstotliwość i intensywność wiatrów trzeba brać pod uwagę taką ewentualność, że cyklony tropikalne, wywołane przez nienotowaną wcześniej temperaturę wód, powstaną w tym samym czasie, w którym nasunie się front arktycznego powietrza ze śnieżycami. Temperatury wody przekraczają wszystko, z czym mieliśmy do tej pory do czynienia; trudno przewidzieć, jaką siłę będą miały huragany, ale z pewnością trzeba się liczyć z ich przerażającą mocą. Kiedy front powietrza arktycznego napływającego znad Kanady zderzy się z ciepłym powietrzem znad Atlantyku i Zatoki Meksykańskiej, nastąpi podobny efekt, jak w 2012 roku przy przejściu huraganu Sandy, znanego jako Frankenstorm. Jednak tym razem zimne powietrze będzie się przemieszczało szybciej i obejmie większe niż kiedykolwiek

dotąd partie Stanów Zjednoczonych. Wpływamy na nieznane i niebezpieczne wody.

Wiele czynników może mieć istotny wpływ na tegoroczny sezon zimowych cyklonów, jednak trzeba założyć, że ogromne połacie wschodnich stanów będą narażone na bezpośredni kontakt z przynajmniej jednym ekstremalnie silnym huraganem i wieloma śnieżycami, a powodzie i wichury poczynią tam wiele szkód. Nie jestem pewien, czy słowa „huragan” lub „śnieżyca” są adekwatne do opisanie katastrofy klimatycznej, jakiej doświadczymy. Jeśli któryś z huraganów osiągnie taką skalę jak w pesymistycznych modelach meteorologicznych, nie ma znaczenia, czy miejscowość znajdzie się na jego bezpośrednim szlaku, gdyż wichury i powodzie w regionach leżących po sąsiedzku będą równie niszczycielskie.

Nawet w najbardziej optymistycznych scenariuszach straty materialne dotkną całej podstawowej infrastruktury; sięgną dziesiątek miliardów dolarów, co zachwieje podstawami amerykańskiej gospodarki. Trudno ogarnąć umysłem skutki kataklizmu przewidywanego w pesymistycznych wariantach prognoz pogodowych.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi auta. Pia pojechała po zakupy spożywcze, zapewne wpadnie też do paru antykwariatów. Miała szukać pracy – praca jej służy, wiedzieliśmy to oboje – ale w ostatnich tygodniach najwyraźniej straciła do tego serce. Jako człowiek ceniący sobie rutynę życzyłem jej gorąco, żeby znalazła stałe zajęcie: powód do wyjścia z domu, coś nadającego cel codziennej krzątaniu. Nie przeszkadzała mi, gdy pracowałem, choć najwyraźniej nie wiedziała, czym wypełnić wolny czas. Załatwiała drobne sprawunki, wypożyczała książki z biblioteki. Na początku spędzała całe godziny, poszukując pracy w okolicznych galeriach i wszelkich instytucjach mających coś wspólnego ze sztuką, ale ostatnio tego zaniechała. Mieliśmy duże oszczędności pochodzące ze sprzedaży udziałów w firmie, ale moje zarobki zmalały, toteż nie byliśmy zabezpieczeni materialnie do końca naszych dni. Gdyby Pia znalazła przynajmniej dorywczą pracę, poczulibyśmy się komfortowo. Niemniej jednak muszę przyznać, że lubiłem jej towarzystwo, sprawiało mi przyjemność, że krząta się na dole i coś sadi w ogrodzie, coś pichci w kuchni. Czasem miałem wrażenie, że jesteśmy jak para dzieci bawiących się w dom, że tylko odgrywamy wydumane role, zamiast działać jak dorośli i zabezpieczyć sobie byt na niepewne czasy. Co kilka dni Pia znajdowała przepis, który ją inspirował, wtedy przez parę godzin tańczyła w kuchni i przygotowywała coś pysznego. Albo decydowała, że najwyższa pora na oryginalny dodatek do zastawy stołowej, i przez całe popołudnie buszowała po lokalnych sklepikach. Tak naprawdę wszystko było zabawą, brakowało nam systematyczności i ładu. Zdarzało się, że odgrzewaliśmy sobie na kolację mrożoną pizzę, a w zakamarkach naszego ukochanego domu w alarmującym tempie gromadził się kurz. Zabrakło nam czasu, jeszcze się nie odnaleźliśmy w nowej roli.

Pierwszą godzinę spędziłem, łypiąc znad komputera przez brudne okno na

podwórze za domem. Brązowiejąca trawa miała z piętnaście centymetrów i była upstrzona dmuchawcami. Na granicy działki rozrastały się paprocie, wietlice samicze; rozkładały się szeroko i zajmowały coraz więcej miejsca. W ich gęstwinie dostrzegłem intensywnie niebieski kwiatusek goryczki, nieomylny znak, że nadchodziła jesień, a przyroda nie zapomniała jeszcze, jaka jest naturalna kolej rzeczy. Dzisiejszy dzień różnił się od wczorajszego. Niebo zasłoniły ciemniejsze chmury, wydawało się, że pochłonęły światło słoneczne. Termometr wskazywał dwadzieścia stopni, więc przychodziło ochłodzenie, choć nadal bardzo wolno.

Na ścieżce wśród drzew pojawił się August z futbolówką. Kopał piłkę, wymijając wyimaginowanych przeciwników. Było trochę po ósmej, miał jeszcze pół godziny, zanim przyjdzie czas zbierać się do szkoły. Na widok chłopca bez wysiłku podskakującego na trawniku poczułem dreszczyk w zeszywniałych nogach, ogarnęła mnie ochota, żeby do niego dołączyć. Nie czekałem na zaproszenie i wkrótce kopaliśmy piłkę do siebie, w tę i z powrotem. August nie miał cela, zazwyczaj strzelał gole gdzieś na boki, więc zziębnięty uganiałem się za piłką, żeby ją sprowadzić na środek boiska. Po jakimś akrobatycznym kopnięciu wylądowała w środku gęstego krzaka dzikich jeżyn.

– Twoja kolej, brachu – powiedziałem, ale August już zrećnie rozgarniał kolczaste gałązki.

Podskoczyłem na jednej nodze, potem drugiej, żeby poczuć w sobie sprężystość zapamiętaną z dziecięcych czasów, z czasów kopania piłki z rówieśnikami.

– Hej, popatrz tutaj! – przywołał mnie August, wskazując na wyraźne ślady pozostawione w mokrej ziemi przez jakieś małe zwierzę.

– Lis? Sam nie wiem... – Pochyliłem się nad nimi, po czym przykucnąłem, żeby lepiej widzieć. August wy dostał się pomiędzy cierni i starannie ocierał piłkę rękami.

– Kiedy byłem młodym liskiem... – zaczął.

– Co?

– Kiedy byłem młodym liskiem, lubiłem biegać po lasach.

„Kiedy byłem młodym liskiem”. Nie mówił do mnie, po prostu myślał głośno. Pograżał się we własnym świecie. Opowiadał takie rzeczy od czasu do czasu i wplatał swoje fantazje w rzeczywistość. Ten rodzaj marzeń na jawie nie wydawał się niepokojący, nie dla mnie. Były to bezcenne świadectwa, kim jest August. Uchylał przede mną drzwi do swojego bogatego i barwnego życia wewnętrznego. Miałem wrażenie, że promień światła na moment rozjaśnił nasze podwórko. Chciałbym zobaczyć więcej. Czy wszystkie dzieci są tak niezwykle, a ja byłem na to ślepy, czy też jest coś wyjątkowego w tym brudnym, zaniedbanym chłopcu, który, gdy tylko mógł, wykradał się do lasu za domem?

Wiedziałem, że oryginalność Augusta bierze się po części z tego, że biega

samopas, zaniedbywany przez rodziców. Nikt nie troszczył się o jego wychowanie. August niewiele wiedział o realiach świata dorosłych. Był bardzo bystry – z pewnością ponad przeciętną – ale jako dziecko wciąż zanurzał się w świecie, gdzie można usłyszeć kolory, dotykać dźwięków i wracać wspomnieniami do poprzednich wcieleń. Kurtyna dzieląca to, co realne, od świata fantazji jeszcze nie opadła. Nie wiem, kiedy nieodwracalnie oddzielamy się od marzeń, ale dla większości z nas następuje to na tyle wcześnie, że nie zachowujemy świadomości zmiany. Być może to akt miłosierdzia dokonany przez ludzki mózg, gdyż pamięć naszej wcześniejszej jaźni skazałaby nas na wieczne niespełnienie. August wciąż trwał w tym błogosławionym pierwotnym stanie, nietknięty przez nakazy rozumu i rygory społecznego ładu. Miałem nadzieję, że nigdy się nie zmieni. Był jak drogocenna figurka, którą chciałoby się pieczołowicie opakować i przechowywać na półce. A przecież podobne pragnienie stało w sprzeczności z warunkami, które umożliwiły mu rozwinięcie się w ten sposób. August potrzebował bezpieczeństwa, nie złotej klatki. Jak rodzice potrafią pohamować naturalne zapędy i zachować złoty środek w wychowaniu swoich dzieci, nie miałem pojęcia.

Graliśmy w piłkę jeszcze przez dziesięć minut, nim August oznajmił, że musi zdażyć na szkolny autobus, i zniknął na ścieżce łączącej nasze domy. Spędziłem kolejne dwie godziny przy komputerze i dałem za wygraną, poszedłem do szopy, gdzie miałem warsztat. Od tygodni pracowałem nad stolikiem do kawy z klonowego drewna i zacząłem widzieć efekty. Ciągnęło mnie, żeby go skończyć. Nie było to prawdziwe stolarstwo – wszystkie części przycięto mi w tartaku, gdzie kupiłem deski – ale heblowanie, wygładzanie papierem ściernym, zbijanie części w całość i bejcowanie sprawiało mi satysfakcję. Miałem kompulsywną potrzebę, żeby każdego dnia posuwać rozpoczęte projekty, widzieć, że wchodzi w nowy etap. A jednak wśród licznych hobby, które sobie wynajdywałem w ciągu ostatnich lat, robienie mebli sprawiało mi największą frajdę. Brudny, zmachany, podrapany – tak powinien wyglądać prawdziwy mężczyzna. Jako dziecko najbardziej podziwiałem swojego ojca, kiedy zajmował się ciesielką. Pamiętam wyraźnie zapach jego potu zmieszany z wonią świeżych trocin i sposób, w jaki cienka koszulka przylegała do spoconego ciała. Po tylu latach spędzonych na Brooklynie, wśród ludzi znakomicie wykształconych i bardzo kreatywnych, mój podziw nadal budziła umiejętność budowania rzeczy własnymi rękami. To było samodoskonalenie przy pomocy młotka; miałem wrażenie, że przy każdym uderzeniu wykuwam lepszą wersję siebie.

Pogładziłem dłonią podstawę blatu i pomyślałem o Auguście w jego małym, ponurym domu. Był jedynym dzieckiem pary starzejących się, żyjących samotnie hipisów. Jak mi się zdawało, ojciec nigdy nie opuszczał swojego pokoju, a matka była kasjerką na część etatu w sklepie z włóczką w centrum miasteczka. Byli biedni, ale nie głodowali. Niepokoiła mnie tylko ich nieobecność w życiu syna,

jego niczym nieskrępowana wolność i wyraźny brak zainteresowania jego poczynaniami ze strony rodziców. W tym niewielkim, podniszczonym domu coś działo się nie tak, jak powinno, ale nie byłem pewien, w czym właściwie tkwi problem.

Szu, szu, szu. Hebel poruszał się rytmicznie wraz z moim ciałem, zdawał się być przedłużeniem ramienia; opuszkami palców pieściłem gładziznę drewna. Myślałem o Auguście i lesie czerniejącym za naszym domem, i o monumentalnej zmianie, jakiej dokonaliśmy w życiu w ciągu kilku krótkich miesięcy.

Widocznie spędziłem w warsztacie wiele długich godzin, nie zauważyłem nawet, że znacznie się ochłodziło, dopiero głos Pii wyrwał mnie z transu.

– Co robisz, Ash?

Stała w drzwiach do szopy z kluczami wiszącymi w jednej ręce i torbą na zakupy w drugiej.

– Hebluję nogi do stołu. Chodź, zobacz. Wreszcie finiszuję. Potrzebuję rady, jak go wykończyć.

Miałem wrażenie, że nie jest tym zainteresowana. Na dworze pociemniało, choć przecież nie mogło być wiele po pierwszej.

– Powinniśmy wrócić do domu i zacząć się przygotowywać – odparła lekko zdenerwowana. – Nie patrzyłeś na niebo? Burze nie czekają. To nie żarty.

Za sylwetką Pii w drzwiach dostrzegłem czarne jak węgiel chmury. Nie zauważyłem, że pogoda zmieniła się z ponurej na groźną, gdy pracowałem w warsztacie, coś rzeczywiście wisiało w powietrzu. Byłem zmęczony i szczęśliwy, że Pia już wróciła, więc poszedłem za nią do kuchni i patrzyłem, jak rozpakowuje zawartość torby. Mruknąłem, że pora cyklonów nadejdzie nie wcześniej niż za miesiąc, ale udała, że mnie nie słyszy.

– Trzeba polegać na miejscowych odmianach roślin – oświadczyła, jakby w odpowiedzi na niezadane pytanie. Wyjęła garść torebek z nasionami i rozłożyła je na kuchennym stole. – Krzyżówki i nasiona genetycznie zmodyfikowane będą w przyszłości bezużyteczne, bo są niepewne i nie dadzą się przechowywać, albo coś w tym rodzaju. My w każdym razie będziemy polegać na tradycyjnych miejscowych kultywarach.

Porządkowała torebki i układała je w rzędkie.

– Mam tu czarną fasolę, kalafior o białej róży, brokuły, rzodkiewkę Champion, kapustę głowiastą białą Golden Acre – wyliczała. – Kupiłam pojemniki chroniące nasiona przed wilgocią i ujemnymi temperaturami.

Wskazała na niewielkie pudełka wystające z torby na podłodze; sprawiały wrażenie, jakby należały do ekwipunku ekspedycji nurków. Rozejrzała się, oceniając, czy ma wszystko; nerwowo postukiwała palcami w torebkę z nasionami rzodkiewki.

– Jejku, widzę, że idziesz na całość – roześmiałem się, przekonany, że mi

zawtóruje, ale nie było jej do śmiechu, więc i ja zamilkłem. – Pio, naprawdę myślisz, że po jednym kataklizmie znikną zapasy żywności? W całych Stanach Zjednoczonych?

– Może nie od razu, ale z czasem tak się może stać. – Spojrzała na mnie sfrustrowana. – Wiesz, Ash, że masz niemal fanatyczną wiarę w stabilność systemu? Władzy państwowej, kapitalizmu, jakkolwiek to nazwiesz. Czy do ciebie nie dociera, że być może tylko kilka huraganów i nawałnic dzieli całą naszą cywilizację od kompletnego chaosu?

Jej powaga mnie zaskoczyła, ale przekaz był jasny: nie dowcipkuj, traktuj to serio. Nie miałem powodu wdawać się w utarczki, więc wzruszyłem ramionami i zajrzałem do lodówki, żeby ocenić jej żalostną zawartość. Po co miałbym wytykać Pii, że popada w przesadę z tymi swoimi przygotowaniami do końca świata, pomyślałem. W końcu nikomu to nie przeszkadza. Zirykowało mnie tylko, że już się z tego nie śmiała, jak robiliśmy to parę dni wcześniej. Cóż, nieważne. W lodówce były pustki: niewielkie opakowanie krewetek, śmietanka w szklanym naczyniu i butelka jasnego piwa. W brzuchu mi zaburczało.

– Nie mam problemu z twoimi przygotowaniami, Pio, ale nie zaczynaj ode mnie. – Zabrzmiało to wredniej, niż zamierzałem.

– Ale tu chodzi o ciebie – powiedziała. – O ciebie, o mnie i o nasze życie w tej głuszy. Pomożesz mi przygotować się na fronty burzowe czy nie?

Zdałem sobie sprawę, że rozmawiamy językiem prognoz meteorologicznych. Wielka Burza była nieuchronna: czekały nas natychmiastowe, nadchodzące całymi stadami huragany, nawałnice, gradobicia i śnieżyce wszelkiego rodzaju, które będą trwały całymi miesiącami. Wreszcie, trochę później, nadejdzie ta jedyna Burza – kataklizm totalny: kolizja kilku zjawisk atmosferycznych, która przyniesie tak apokaliptyczne zniszczenia, że wciąż wolimy wierzyć, iż jest statystycznym nieprawdopodobieństwem.

– Ash, wybieram się dzisiaj na spotkanie i naprawdę mi zależy, żebyś mi towarzyszył. Grupa miejscowych robi burzę mózgow, jak przetrwać najgorsze. Uważam, że to ważne.

Nie miałem ochoty uczestniczyć w nasiadówce. Chciałem leżeć na kanapie, pić piwo i czytać książkę, która nie będzie traktowała o meteorologii czy survivalu. Jednak nie mogłem jej odmówić, Pia mnie potrzebowała.

– Nie zaszkodzi. – Wzruszyłem ramionami.

Objęła mnie za szyję i od razu poczułem dumę, że tak zręcznie załagodziłem napiętą sytuację. Nie przeszkadzało mi, gdy Pia wciągała mnie w improwizowane przygody, doceniałem świeżość, jaką wносиła do naszego małżeńskiego życia. Brak rutyny nigdy nie był dla nas problemem.

– Musimy jakoś upamiętnić tę chwilę. – Tak właśnie powiedziała Pia, gdy przyjechaliśmy do nowego domu w Vermoncie.

Był niemożliwie gorący czerwcowy dzień, właśnie wysiedliśmy z auta po siedmiogodzinnej podróży. Klimatyzacja padła nam w Connecticut, więc mokre ciuchy kleiły się do pleców. Wysiadłem pierwszy, rozsiewając wokół okruszki po pączkach Dunkin' Donuts, i z ulgą rozprostowałem kości. Pia otarła koszulką pot z twarzy i zrobiła niski skłon.

Byliśmy sam na sam z naszym nowym domem, w parny i duszny dzień. Firma przeprowadzkowa zapowiedziała się z meblami za jakieś dwie godziny, a chociaż byliśmy brudni i skonani, cieszyliśmy się jak dzieci, mogąc zrzucić buty i poczuć trawę pod stopami. Naszą własną trawę. Bujnie wyrosła na żyznej ziemi, w nieskałanym środowisku naturalnym, a teraz była nasza. Cynizm zostawiliśmy w Nowym Jorku razem ze spalinami. To był nasz prywatny Eden.

Objąłem Pię ramionami, przytuliłem mocno i przez dłuższą chwilę trwaliśmy tak w milczeniu, głęboko oddychając.

Wreszcie weszliśmy po szerokich schodkach na ganek, podeszliśmy do frontowych drzwi, przekręciłem klucz. W środku było tak, jak zapamiętałem, ale lepiej: dom został wysprzątnany i wyszorowany, zniknęły ślady po byłych właścicielach. Uścisnęliśmy się raz jeszcze i biegaliśmy od pokoju do pokoju. Po tylu latach gnieźdzenia się w ciasnych wielkomiejskich mieszkaniach poczuliśmy się jak burżuje, którzy nagle mają tę całą przestrzeń dla siebie; tyle pokoi, a każdy z innym przeznaczeniem. Kuchnia była jasna i przestronna, z błyszczącym staromodnym wyposażeniem i wielkimi blatami. Strumień oślepiającego światła wpadającego przez okna do salonu koncentrował się na zabytkowym żelaznym kominku – największej maszynie, z jaką miałem do czynienia. Dwie sypialnie na piętrze ze swoimi załomami sufitu i przygórkami miały dla nas swoisty wdzięk. Łakomie chłonęliśmy wszystkie szczegóły.

Bez mebli niewiele było do zrobienia, więc wyszliśmy na ganek z tyłu i przysiedliśmy obok siebie na schodkach.

– Musimy zrobić dziś coś specjalnego, żeby uczcić początek nowego życia. Masz jakiś pomysł?

– Wykąpmy się na golasa w potoku. – Pierwszy raz to ja byłem szybszy.

– Fantastycznie.

Pobiegliśmy, zrywając z siebie ubranie. Ogromne drzewa pokryte bujnym listowiem skutecznie chroniły nas przed resztą świata.

Nie jestem pruderyjny, ale nigdy nie czułem się swobodnie, parując nago w pełnym świetle dnia, w pozbawionych seksualnego kontekstu sytuacjach. Różowe fragmenty ciała podskakujące i ocierające się o siebie stanowiły, jak dla mnie, zbyt naturalistyczny widok. Pia była biegunowo inna. Czuła się równie swobodnie w ubraniu jak w stroju Ewy – nic dziwnego, w każdej wersji wyglądała prześlicznie – i doceniała nagość innych, zachwycając się pięknem ludzkiej niedoskonałości. Powiedziała mi kiedyś, że widzi w tym rękę Boga, gdy

z upływem czasu na nowo ugniata i formuje pierwotną glinę. Miałem wrażenie, że poczucie wstydu jest jej obce. Co za piękny dar.

Zignorowałem cichy głos rozsądku protestującego przeciw igraszkom na golasa i wskoczyliśmy do potoku na granicy naszej posiadłości. Pia wrzasnęła radośnie, rozchlapując chłodną wodę, potem oboje zaczęliśmy się rozglądać za miejscem na kąpiel.

Trudno było mówić o pływaniu, strumień nie sięgał nam do kolan, ale w jednym miejscu tworzył idealny mały basen otoczony piachem, gdzie bystry prąd wyłobził głębszą nieckę i kręcił wodą, zanim przepchnął ją dalej na bardziej kamieniste podłoże. Ostrożnie stąpaliśmy po omszałych kamieniach na dnie i usadowiliśmy się w basenie. Zaskoczyło nas, że woda jest taka zimna, zdrętwiała nam kończyny, ale nie dbaliśmy o to. Byliśmy rozemocjonowani, szczęśliwi i nieprzytomnie zakochani.

– Pomyśl, dwieście lat temu mieszkała w tym domu jakaś rodzina. Pewnie robili pranie w tym potoku – powiedziała Pia, szcękając zębami. Już parę tygodni wcześniej wymyśliła długą, romantyczną fikcję związaną z nowym domem, nie omieszkałem teraz tego wykorzystać.

– Członkowie milicji obywatelskiej Republiki Vermontu, Green Mountain Boys, także prali tu swoje gacie – przekomarzałem się z nią.

Przysunęła się bliżej, objęła mnie udami. Całowaliśmy się i chichotaliśmy piskliwie, choć trudno było wytrzymać w lodowatej wodzie.

Wreszcie daliśmy za wygraną, wyleźliśmy na brzeg i poszliśmy w górę zbocza w kierunku domu. Ciepłe, wilgotne powietrze przyjemnie grzało skórę, gdy łąziliśmy po trawie w oczekiwaniu, że wreszcie wyschniemy na słońcu. Zerwałem z krzaka niedojrzałą jeżynę, smakowałem na języku jej gorycz. Pia położyła się na plecach wśród czerwonej koniczyny. Naszej własnej czerwonej koniczyny.

Wyciągnąłem się na boku przy niej, położyłem rękę na jej gołym brzuchu. W nosie kręciło od intensywnych zapachów późnej wiosny. Mech, wiciokrzew, trójlist. Było cieplej niż zazwyczaj w czerwcu, ale to nam nie przeszkadzało. Na początku wydawało się, że czerwcowe temperatury sięgające trzydziestu kilku stopni to przejściowa anomalia, idealny dodatek do przejmowania swych włości w posiadanie.

Pia przekręciła się na brzuch i pocałowała mnie, gdy moja ręka błądziła w okolicach jej gładkich pośladków. Przysunąłem się bliżej, wtedy usłyszeliśmy głośnie trzaśnięcie drzwi samochodu. Zamarliśmy oboje.

Wysoki dwudziestoparolatek pojawił się na podwórku i na nasz widok z miejsca odwrócił głowę.

– Hej, Adamie i Ewo, wskakujcie w ciuszki. Wasze graty przyjechały.

Parsknęliśmy śmiechem i rzuciliśmy się na poszukiwanie porozrzucanych ubrań, a tragarze czekali cierpliwie od frontu. Kiedy już się pozapinaliśmy

i wszystko było na swoim miejscu, jeszcze raz dopadł nas histeryczny atak śmiechu, tym razem nie mogliśmy złapać tchu i płakaliśmy z radości. To był pamiętny początek.

O szóstej po południu siedzieliśmy z Pią na składanych krzesłach w suterenie Elks Club w centrum Isole. Nie było plakatów na zewnątrz ani ulotek przy wejściu, nic nie sygnalizowało, że w środku odbywa się jakieś formalne zgromadzenie. Zastanowiło mnie, skąd Pia wiedziała o spotkaniu. Krzesła ustawiono w koło, wypełniły się szybko, a spóźnialscy robili drugi krąg za naszymi plecami. W pierwszym rzędzie znalazło się siedmiu mężczyzn i cztery kobiety, wszyscy o wiele lat starsi. Brodaty pięćdziesięcioparolatek w wyblakłej dżinsowej kamizeli przywitał się z Pią wylewnie, jakby się dobrze znali, a potem zajął miejsce w środku, najwyraźniej dla niego przygotowane.

– Dziękuję, że przyszliście – powitał nas brodac. Podwinął rękawy i wyciągnął spod koszuli wojskową zawieszkę identyfikacyjną. – Nazywam się Crow. Cieszę się, że dotarliście bez przeszkód. Nie posługuję się Internetem, za duże prawdopodobieństwo inwigilacji, więc w przyszłości będziemy przekazywać wiadomości z ust do ust. Rozpropagujcie informację o nas wśród swoich znajomych.

Kilka osób pokiwało głowami. Starsza pani, w której rozpoznałem właścicielkę lokalnego sklepu z nartami, poprawiła się na krześle. Poklepała rękę młodego człowieka, z trudem otwierającego zapuchnięte oczy; pozazdrościłem mu, że ma wszystkich w nosie i jest tak bezwstydnie naćpany.

– Mamy mnóstwo spraw do omówienia w czasie najbliższych tygodni, więc nie będziemy się rozdrabniać. Dzisiaj zaczniemy od źródeł energii. W dalszej kolejności będziemy się zajmować bezpiecznymi źródłami pitnej wody, zapasami żywności, technologiami komunikacyjnymi i wreszcie problemami bezpieczeństwa.

Kątem oka dostrzegłem, że Pia patrzy na mnie. To spotkanie najwyraźniej miało nieco inny cel, niż mi zapowiedziała. O co właściwie chodzi?

Facet w średnim wieku w schludnych spodniach khaki i flanelowej koszuli odchrząknął.

– Crow, co sądzisz o bateriach słonecznych? Łatwiej je zamontować niż wiatraki, ale z drugiej strony trudno na nich polegać, jeśli planujemy odcięcie od sieci elektrycznej.

– Dobre pytanie. – Crow pokiwał głową. – Kluczowe jest zapewnienie sobie dostępu do systemu hybrydowego. W najkorzystniejszej sytuacji oznaczałoby to korzystanie z energii wiatrowej, słonecznej i wodnej. Powinieneś przykroić ten plan do naturalnych zasobów na twojej ziemi. W tych twoich lasach trudno będzie wykorzystać siłę wiatru, Ron, ale masz strumień, więc pomyśl o minielekrowni wodnej jako uzupełnieniu do baterii słonecznych.

Otyła kobieta z prawej notowała z zapalem każde słowo wypowiedziane przez Crowa. Nachyliłem się w lewo.

– Co to ma być? – szepnąłem do Pii.

Udała, że mnie nie słyszy, za to dołączyła do dyskusji między Ronem a Crowem.

– Co sądzicie o gazyfikatorach? Czytałam, że produkcja energii z biomasy może być sensownym rozwiązaniem – powiedziała.

Co Pia wie o gazyfikatorach? Sąsiadka z prawej wyciągnęła głowę, żeby lepiej widzieć, kto mówi.

– Ważna uwaga, dziękuję, Pio – odpowiedział nieco zbyt entuzjastycznie Crow. – Gazyfikacja drewna jest kolejną dobrą opcją. Proces może być głośny i nieco brudny, nie zamierzam też dyskutować o jego prawnych ograniczeniach, ale jeżeli rozpęta się piekło, to akurat będzie najmniejszy problem.

Słuchacze kiwali głowami. Zaćpany młodzian uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi na jadowity komentarz Crowa na temat prawa. Co to, do diabła, za towarzystwo, pomyślałem. I skąd znają Pię?

– Kiedy rozpęta się piekło, nie jeżeli – sprostował przygarbiony starzec. Wyglądał jak Crow za dwadzieścia lat. – Kiedy wszystko się zawali, to prepersi przetrwają.

Prepersi. Czytałem o nich w „New Yorkerze” kilka miesięcy temu. To nie byli okoliczni mieszkańcy naradzający się, jak skutecznie zabezpieczyć okna przed burzą. Trafiłem na spotkanie bandy dziwaków opętanych myślą, że nadchodzi apokalipsa. O ile dobrze zrozumiałem, byli tam ekszołnierze podobni do Crowa, którzy nigdy nie uporali się z wojenną traumą, antyspołeczni samotnicy, którzy kontestowali każdą władzę i nikomu nie ufali, rasiści gotowi do konfrontacji z każdym przedstawicielem innej kultury i fanatycy religijni przekonani, że Bóg we własnej osobie przybędzie ukarać niegodnych zbawienia lewaków. Nie miałem z nimi nic wspólnego – ani ja, ani moja żona.

Wywiązała się dziesięciominutowa dyskusja na temat wyższości jednych akumulatorów elektrycznych nad drugimi, po czym zrobiono przerwę na kawę. Byłem zirytowany i myślałem tylko o tym, jak się stąd urwać.

– Polistyrenowe kubki – burknąłem do Pii. – Nie wiem, śmiać się czy płakać, takie to nieestosowne.

Nie uśmiechnęła się nawet, westchnęła tylko.

– Powinam się domyślić, że tego nie zrozumiesz. Jesteś zbyt konwencjonalny. Niepotrzebnie cię zabrałam.

Była zawiedziona moją reakcją i sprawiło mi to przykrość, ale w jej rozczarowaniu było też sporo jadu. Jej głos nabrał nieprzyjemnego tonu. I nagle wcale nie miałem ochoty się do niej dostosowywać.

– Chodźmy stąd – powiedziałem. – To już przesada. Czy nie moglibyśmy po

prostu kupić poradnika lub coś w tym stylu?

Pokręciła głową z politowaniem dla mojej naiwności.

– Koniec przerwy, ludzie! – zawołał Crow i zaklaskał.

Niechętnie zająłem miejsce między Pią i kobietą robiącą notatki.

– Zanim przejdziemy do kolejnego tematu – zaczął Crow – tytułem wprowadzenia chciałbym powiedzieć parę słów o naszej grupie i... społeczności.

Położył nacisk na ostatnim słowie i rozejrzał się, jakby posłużył się szyfrem, który każdy obecny z łatwością odczyta.

– W czasach takich jak dziś, kiedy stajemy oko w oko z niewyobrażalnym kataklizmem, autorytarna władza będzie próbowała pozbawić ludzi jakiegokolwiek kontroli nad swoimi działaniami. Rządy i politycy zrobią wszystko, żeby sprowadzić społeczeństwo do poziomu wystraszonego i uległego plebsu. Przejmą inicjatywę z rąk obywateli, stwarzając pozory, że robią to na ich życzenie. Nasze obecne działanie nie ogranicza się do przygotowań, żeby w kryzysowych sytuacjach przetrwać o własnych siłach. Chronimy przede wszystkim prawo do decydowania o sobie, naszą wolną wolę. Pamiętajmy o tym.

Kilka osób gorliwie pokiwało głowami, a starzec zacisnął wargi, gniewny na samo wspomnienie autorytarnego rządu.

– To nie moje klimaty – szepnąłem Pii na ucho. – Możesz zostać, jak długo chcesz, ja wychodzę.

Pożałowałem, że nie wymknąłem się wcześniej, zanim ludzie zajęli miejsca; przez chwilę łamałem głowę, jak to zrobić bez wielkiego zamieszania. Wreszcie udałem atak kaszlu i wyszedłem rzekomo po to, aby go opanować. Szczeniackie zachowanie, Pia będzie na mnie wściekła, ale było już za późno, aby się wycofać. Rzadko się kłóciliśmy, jednak kiedy już do tego dochodziło, oboje upieraliśmy się przy swoim głupio i dziecinnie, aż do momentu, gdy skruszeni padaliśmy sobie w ramiona. Trudno, byłem gotów ponieść konsekwencje, ale nie zamierzałem wrócić na zebranie prepersów.

Wbiegłem po schodach i wyszedłem na zewnątrz. Zimne nocne powietrze dmuchnęło mi w twarz, ruszyłem wzdłuż Main Street przez miasteczko. Co za ulga, byłem na dworze, samotnie. Przejście przez gęsto zabudowane centrum zajęło mi nie więcej niż pięć minut, tu znajdowała się większość sklepów i barów. Niebieska Żaba – zdecydowałem, że tam skończę dzisiejszy wieczór. Był to relatywnie nowy lokal, którego klientelą byli ludzie podobni do mnie. Można było napić się dobrego piwa z niewielkich browarów, zjeść chili z miejscowych produktów i posłuchać muzyki, bo przez większość wieczorów w kącie ktoś brzdąkał na gitarze i śpiewał w stylu folk lub bluegrass.

Na ciemnej ulicy spotkałem tylko jednego człowieka, właściciela księgarni, który zamykał lokal na noc. Kiwnęliśmy sobie głowami, wtedy przyszło mi do głowy, że jest mniej więcej w moim wieku. Zawsze mnie zastanawiało, co moi

rówieśnicy robią w takiej izolowanej górskiej miejscinie jak Isole. Dlaczego trzydziestolatek postanowił zostać tu księgarzem? Przypadkowe spotkanie uświadomiło mi, że istnieją inne ścieżki niż ta, którą wybrałem po ukończeniu studiów. Po studiach nawet mi do głowy nie przyszło wracać do Vermontu, nie szukałbym przyszłości w tak prowincjonalnym modelu, jak przejmowanie rodzinnego biznesu. A jednak teraz nasza mnie refleksja, że trudno o bardziej udane życie.

Kiedy podszedłem do drzwi Niebieskiej Żaby, dostrzegłem dużą grupę rozbawionych ludzi, na oko z pięć lat młodszych ode mnie, skupionych wokół długiego drewnianego stołu, i nagle boleśnie uświadomiłem sobie, że jestem sam. Zazwyczaj nie przeszkodziłoby mi to w zamówieniu piwa dla jednej osoby, jednak tym razem nastrój mi się zwarzył jeszcze bardziej, więc poszedłem dalej. Zatrzymałem się pod Polly's, ciemniejszą i smutniejszą miejską knajpą, pchnąłem drzwi.

Śmierdziało tam zastarzałym dymem papierosowym, stopy lepiły się do przetartej wykładziny. W lokalu poza mną był tylko jeden gość – zwałyści facet z przekrwioną twarzą – ale nawet nie podniósł głowy, pilnie studiował ogłoszenia w gazecie i coś na nich zakreślał.

– Co panu podać? – spytała niewysoka barmanka, gdy zająłem miejsce przy kontuarze. – Polecam beczkowego buda. Cała reszta w butelkach i puszkach.

Miała wydekoltowaną bluzkę wydzierganą szydełkiem i dzinsową minispódniczkę. Poczujęm się nieswojo, bo dość beztriosko odsłaniała ciało, dobrze chociaż, że to i owo zasłaniała kurtyna ciemnych włosów. Ileż mogła mieć lat – dwadzieścia dwa? Nie potrafiłem zgadnąć.

– Budweiser proszę – powiedziałem. – Zawsze tu tak cicho we wtorki? – Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Aha, przynajmniej przed przyjściem prepersów. Wtedy znowu będzie ruch.

– Rzeczywiście, prepersi. – Staralem się nie okazywać nadmiernej ciekawości. – O co im właściwie chodzi?

Podawała mi piwo i zaczęła wycierać kufle, oparta biodrem o zmywak.

– To świry – stwierdziła bez wahania. – Widuję tu najróżniejszych dziwaków, wie pan? Ale ci ludzie są całkiem paranoiczni. W kółko o tym gadają. Przychodzą z tych swoich zebrań nakręceni na maksa i pouczają mnie, że bez bunkra nie przetrwam końca świata. Odpowiadam im, że jeśli już nastąpi apokalipsa, mogą sobie wsadzić ten gówniany świat, nic mnie na nim nie trzyma.

– No właśnie, dziwna ta ich gadka – mruknąłem z nosem w kuflu.

Przestała wycierać kufle i spojrzała na mnie badawczo.

– A co pana dręczy? Nie jest pan typowym klientem. Schował się pan tu przed dziewczyną czy co?

– Coś w tym stylu – przyznałem.

– Domyśliłam się. Zresztą nietrudno zgadnąć, wielu facetów to robi. Ale jest pan bardziej w stylu Żaby – powiedziała, robiąc aluzję do mojej pierwotnej destynacji. – Założę się, że mieszkacie gdzieś na wzgórzach w starym domu, macie organiczny ogród i piwniczkę pełną wina. Przyjemne życie. Zdradził ją pan?

Ta mała, twarda dziewczyna podsumowała mnie tak bezwzględnie, że poczułem się zawstydzony i upokorzony.

– Nie zdradziłem. Zapasów wina też nie mamy.

Uśmiechnąłem się, a ona odrzuciła głowę i zaśmiała się pełną piersią. Pierwszy raz od wielu dni rozmawiałem z kimś innym niż Pia, było to odświeżające.

– Potrzebuję chwili dla siebie – przyznałem i pociągnąłem łyk piwa.

– Każdy wciska taki kit, gdy w związku coś nie gra.

– Och nie, między nami zdecydowanie wszystko gra. Po prostu dzisiaj wieczorem nie jest najlepiej.

– Jak dla mnie to jedno i to samo, ale co ja tam wiem? – odpowiedziała. – Jestem tylko dziewczyną z prowincjonalnego miasteczka. Nosa stąd nie wystawiłam.

– A mnie się tu podoba.

– Jasne, bo nic tu pana nie trzyma. – Barmanka wróciła do wycierania kufli.

– Mogłabym wylądować w każdej innej dziurze, byle nie tu, gdzie dorastałam. Każda zmiana jest dobra.

Kiwałem głową, jakbyśmy mieli podobne problemy, chociaż zupełnie nie pojmowałem jej frustracji.

– Mam przyjaciółkę, prowadzi elegancki lokal w Martha's Vineyard – ciągnęła. – Jak tylko odłożę wystarczająco dużo kasy, pojedę ją odwiedzić. Zrobię sobie pracujące wakacje.

Odeszła sprawdzić, czy drugi gość czegoś nie potrzebuje, a ja usiłowałem sobie wyobrazić, jak się czuje człowiek, który ze względu na brak pieniędzy jest uwięzany w naszej miejscinie. Nie znałem Isole od tej strony, niewiele miałem okazji do kontaktu z góralami. Z pewnością w północnym Vermoncie można znaleźć i bogaczy, i światowców, ale nie oni stanowią sól tej ziemi, są zaledwie przelotnymi gośćmi na kartach historii stanu. Prawdziwi Vermontczycy to twardzi, pracowici ludzie, którzy żyją skromnie i znają swoją ziemię na wylot, chociaż nie utrzymują się już z jej płodów. Nade wszystko cenią sobie niezależność i prawo do prywatności, bardziej nawet niż przynależność narodową czy polityczną, i dają stanowczy odpór wszelkim zewnętrznym naciskom, żeby przekształcić stan w socjalistyczną utopię. (Wiem, że operując stereotypami, sprawiam wrażenie protekcjonalnego dupka, ale miejscowi również bez oporów szufladkują takich jak ja; na tym polega nasza zgodna kohabitacja). Uświadomiłem sobie niespodziewanie, że zebranie prepersów, na które zaciągnęła mnie Pia, stanowiło

zabawną mieszankę tego, co w Vermoncie nowe, z tym, co najbardziej tradycyjne, aczkolwiek nie była to pochlebna konstatacja – ani dla miejscowych, ani dla przybyszów.

Zegar nad barem wskazywał ósmą, zapłaciłem i podziękowałem barmance za dobre rady, choć natychmiast się zawstydziłem, bo zabrzmiało to głupio. Zamierzałem wyjść, zanim skończy się zebranie i do Polly's przyjdzie Pia w towarzystwie swoich nowych przyjaciół. Nie chciałem się zdradzić przed barmanką, że wcześniej byłem na ich spotkaniu. Bałem się też gniewu żony.

Zimne powietrze mnie otrzeźwiło, czekałem w samochodzie, gdy z Elks Club zaczęli wychodzić ludzie, zatrzymywali się i żegnali między sobą. Niektórzy się śmiali, ale większość była poważna, widać serio traktowali całe przedsięwzięcie. I to właśnie mnie najbardziej niepokoiło. Sam w sobie projekt był sensowny, dobrze jest się przygotować, zanim nadejdzie katastrofa. Gdyby Pia nie przywlokła mnie na to spotkanie, zapewne traktowałbym prepersów jak niegroźnych dziwaków. Ale znałem swoją żonę: zawsze szukała religii. Kiedy została weganą, opróżniła lodówkę z wszystkich moich ulubionych potraw; na etapie bycia artystką performerką oznajmiła, że odtąd będzie się otaczać wyłącznie twórcami; kiedy była aktywistką polityczną, własnych rodziców wyzywała od faszystów.

Był też okres fascynacji prawdziwą religią: nawróciła się na buddyzm. Rozwiesiła w naszym mieszkaniu całe sznury tybetańskich flag modlitewnych i w zasadzie na tym się skończyło. Zapal Pii zawsze był szczery, ale brakowało jej uporczywości, żeby pozostać na obranym szlaku. W ten sposób, co nieuniknione, jej fascynacje szybko się wypalały, nie przynosząc spełnienia, którego po nich oczekiwała. Wszystkie te fazy przyjmowałem ze stoicką cierpliwością, traktując je jak naturalne poszukiwania kobiety obdarzonej artystyczną duszą. Na krótko zyskiwała cel, zachłystywała się gorączkową fascynacją. W naszym życiu brakowało spokoju, ale za to było ciekawe.

Jednak jej ostatnie hobby wydało mi się niebezpieczne. Nowi znajomi nie byli uduchowionymi chudzielcami, których sprowadzała do domu z kursów tantrycznej jogi. (Łatwiej jest przyznać taryfę ulgową ludziom, którzy są piękni i pełni wdzięku). Tym razem igrała z czymś ciemnym i dziwacznym. Może nawet stanowiło to odpowiedź na lęki, które w sobie kryła, na tę część jej duszy, której nigdy w pełni nie pojmowałem. Wmawiałem sobie, że to przejściowy wyskok, nie w jej stylu, ale gdzieś w głębi czułem, że sam się oszukuję.

Drzwi od strony pasażera gwałtownie się otworzyły.

– Możemy jechać. Zadowolony? – burknęła naburmuszona Pia, sadowiąc się w fotelu.

– Wcale nie jestem zadowolony. – Spojrzałem na nią z niedowierzaniem. – Jestem zirytowany i trochę zaniepokojony zebraniem, na które mnie podstępnie

ściągnęłaś. Coś ty sobie myślała?

Teraz ona spojrzała na mnie jak na głupka.

– Miałam nadzieję, że wreszcie spadną ci łuski z oczu, Ash.

Oboje byliśmy wściekli. Nie próbowałem jej przekonywać, nie wdałem się w kłótnię; ruszyłem z miejsca i pozwoliłem Pii dąsać się w milczeniu. Poprawiała włosy: spinała je i rozpuszczała, prychając pod nosem. Nie zareagowałem ani słowem, odmówiłem jej tej satysfakcji. Zamierzałem dojechać do domu, otworzyć butelkę wina, niech utopi złość w alkoholu. Spodziewałem się, że zacznie wreszcie przysypiać na kanapie, a w końcu przyjdzie do łóżka, do mnie. Tak zamierzałem to rozegrać.

Jednak po powrocie Pia nie była zainteresowana winem ani kanapą. Usiadła w kuchni przy stole i wyciągnęła notesik wypełniony katalogami zamiarów, listami spraw do zrobienia i podobnym nonsensem. Charakter pisma odzwierciedlał jej stan emocjonalny – raz były to duże i ostre litery, innym razem rządki pisane maczkiem. Tym razem starannie kaligrafowała coś na marginesach.

– Idź spać albo rób co chcesz – powiedziała, nie podnosząc głowy.

Łatwo było zgadnąć, co zrobię. W przeciwieństwie do swojej żony byłem przewidywalny, nudny nawet. Kiedy było ciepło, siadywałem na galeryjce z książką, opróżniając jedną lub dwie butelki Otter Creek Ale, aż wreszcie zmęczony dreptałem na górę do sypialni. Pia czasem dołączała do mnie i wtedy snuliśmy plany, jak będziemy żyli w Vermoncie. W rzadkich chwilach małżeńskich nieporozumień trzymaliśmy się na dystans i każde w samotności odreagowywało gniew. Dobrze było wiedzieć, że nawet nasze kłótnie mają przewidywalny scenariusz.

Miałem ochotę włączyć telewizor na cały głos, ale akurat to było niemożliwe. Brakowało mi kanału ESPN z całodobowym sportem albo bezmyślnego gapienia się na niewyszukane seriale, których w nadmiarze dostarcza kablówka. Niestety Pia zdecydowała, że podłączenie telewizji kablowej byłoby „destrukcyjne” dla naszego nowego vermonckiego stylu życia. A chociaż korzystaliśmy z niej na Brooklynie dzięki sąsiadowi, z którym dzieliliśmy kabel, Pia uważała, że w gruncie rzeczy wcale nie mamy telewizji, skoro nie płacimy za nią, a zresztą to wstydlive pudło – kiedy akurat nie było używane – stało przykryte argentyńskim szalem, jakby go wcale nie było w pokoju! Zawsze uważałem, że jest to komicznie pretensjonalne, ale prawdę powiedziawszy, zdążyłem już nasiąknąć tyłoma jej manierycznymi śmiesznostkami, że z łatwością przymykałem na nie oko. Tak więc szal i jego wstydlivy sekret przyjechały z nami do Vermontu, ale jedyną opcją, jaką miałem, były stacje informacyjne niewyraźnie odbierane z satelity.

Zdecydowałem się rozłożyć na galeryjce z wełnianym kocem i książką o migrujących gatunkach ptaków żyjących na terenie Ameryki Północnej.

Temperatura spadła do kilkunastu stopni Celsjusza, ale w powietrzu wciąż jeszcze słyhać było odgłosy lata, co wprawiało mnie w konfuzję. Dobiegł mnie trudny do pomylenia basowy głos amerykańskiej żaby ryczącej – płaza, którego w ogóle trudno spotkać, a już pod koniec września to wykluczone. Kiedy byliśmy mali, moja starsza siostra i ja wypuszczaliśmy się na długie wyprawy boso po polnej drodze i zbieraliśmy do wiaderka wszystkie żywe stworzenia, które nam wpadły w ręce. Głównie były to czerwone salamandry, w dobry dzień znajdowaliśmy je nawet tuzinami, ale zdarzały się i żaby leśne, i czasami nawet ryczące. Były trochę za duże, żeby je zabierać, więc jeśli jedno z nas miało szczęście trafić na taki okaz, zatrzymywaliśmy się, zaglądaliśmy do podręcznego przewodnika po płazach, po czym wypuszczaliśmy przerażone stworzenie na wolność. Pomyślałem, że miło byłoby znaleźć tę starą książeczkę, ale nie chciało mi się ruszać, więc tylko huśtałem się na ławeczce, aż oczy zaczęły mi się kleić.

CZTERY

– Ash, otwieraj! – Bum, bum, bum. – Jesteś tam, Ash?

Odsunąłem laptop, zeskoczyłem z kanapy i podszedłem do drzwi wejściowych. Pierwszym, co zobaczyłem za drzwiami, była matka Augusta. Miała czerwoną włóczkową czapkę na siwych włosach i wystraszony wzrok. Do tej pory nigdy nie znaleźliśmy się tak blisko, czułem od niej zapach, który przypominał mi kadzidełka używane w akademiku.

– August zniknął – oznajmiła. – Nie wiesz, gdzie jest?

Czułem ucisk żołądka, gdy próbowałem przetrwać tę informację. Późne popołudnie, zimny, wietrzny dzień. Ojciec Augusta stał parę kroków za żoną. Nie pamiętałem ich imion, nie wiedziałem, jak się do nich zwracać. Był szczuplejszy i smutniejszy od niej, ale mogli uchodzić za rodzeństwo, tak byli do siebie podobni.

– Nie mam pojęcia – wyjąkałem. – Jak długo go nie ma? Czekać, znajdę buty.

Wyszedłem już w adidasach i lekkiej kurtce. Teraz dostrzegłem na podjeździe niską, okrągłą kobietę w średnim wieku, z miłą twarzą. Chociaż było chłodno, miała na sobie tylko luźny T-shirt z logo pobliskiego parku rozrywki. Sprawdzała zasięg na swojej komórce. Trudno mi było zebrać myśli, ogarnął mnie popłoch. Pia wyszła rano, wciąż zagniewana po wczorajszej kłótni, a ja żałowałem, że nie ma jej teraz ze mną.

– Co się stało? Co się dzieje? – pytałem.

Nieznajoma kobieta schowała telefon i zrobiła parę kroków w moją stronę.

– August zniknął wczoraj wieczorem. Czasem to robi, wypuszcza się na włóczęgę, ale tym razem za długo go nie ma. – Spojrzała z dezaprobatą na rodziców chłopca. – Poszedł do lasu. Musimy ruszyć tyralierą i przeczesać okolicę.

– Wezwaliście policjantów? – spytałem.

Matka Augusta wyraźnie zeszywniała. Łatwo było zgadnąć, że nie podoba jej się ten pomysł.

Żołądek podszedł mi do gardła.

– Już tam są – powiedziała kobieta, wskazując brodą na las za domem. – Musimy do nich dołączyć. – Zwróciła się do rodziców Augusta. – Pójdziecie na wschód. Ja z Ashem sprawdzimy drugą stronę. Ruszajcie.

Odeszli szybko i posłusznie. Nie sprawiali wrażenia ludzi, którzy w lesie czują się jak w domu, ale komenderująca nimi kobieta wyraźnie chciała z jakiegoś powodu zostać ze mną sam na sam.

– Mów mi Bev. – Wyciągnęła rękę i wymieniliśmy krótki, suchy uścisk. – Jestem pracownicą socjalną. August mówił mi o tobie. Uważa cię za przyjaciela, więc porozmawiajmy.

Kiwnąłem głową i ruszyliśmy w stronę lasu szybkimi, długimi krokami.

– Nie rozumiem, co tu się dzieje – przyznałem.

– Jak pewnie się domyśliłeś... – Bev kroczyła przodem, machając energicznie ramionami – ...rodzice Augusta nie są w stanie zapewnić mu należytej opieki. Jego ojciec cierpi na ciężką depresję, większość dnia spędza jak w letargu. Matka Augusta tak bardzo przejmuje się mężem, że ledwo zauważa tego biednego dzieciaka. Nie powinnam ci o tym mówić, ale mały cię podziwia, a ja potrzebuję jakiegoś zaprzyjaźnionego dorosłego, który miałby na niego baczenie. Rodzice są lekomanami, nadużywają środków przepisywanych na receptę i nie pamiętają o tym, że czasem warto zrobić zakupy i napełnić lodówkę. Nie są potworami. Oboje kochają syna. Są jednak samolubni i nieodpowiedzialni, a ich stan cały czas się pogarsza. Zaczęłam do nich przychodzić przed rokiem, wtedy zauważono w szkole „wyprawy” Augusta. Tak nazywa swoje włóczęgi po lesie. Zawsze ma jakiś ważny cel i rusza przed siebie z plecaczkiem. Jednak do tej pory wracał po czterech czy sześciu godzinach. Raz nie było go przez osiem godzin. Nigdy do tej pory nie nocował poza domem. To jest... Niech ich szlag... Przepraszam. Jestem wściekła sama na siebie. Już dawno powinnam go zabrać z tego domu.

Zaczepiłem stopą o korzeń i o mało nie zaryłem nosem w ziemi. Próbowałem uporządkować w głowie to, co usłyszałem.

– Nocował na dworze? Co się mogło stać? Czego on szuka w lesie? Znajdziemy go, na pewno.

– Nie wiem. Chcę wierzyć, że go znajdziemy. August jest małym narwańcem, ale nie jest głupi. Tym razem naprawdę się niepokoję, Ash.

– Powiedziałaś, że chcesz go zabrać? Odbierzesz go rodzicom?

– Nieważne, na razie o tym zapomnij. – Pokręciła głową i znów szybko ruszyła przodem. – Po prostu go znajźmy. Musimy go znaleźć.

W głowie mi się kręciło, żołądek się zacisnął. August spędził w lesie całą noc. Próbowałem sobie wyobrazić uśmiechniętego chłopca, siedzącego u stóp wysokiego drzewa z plasterkiem suszonego bekonu w ręce, gadającego do wiewiórki. Jednak ten pogodny obraz szybko się rozwiewał. Zastępowały go ponure scenki, które jak film przewijały się przed oczami: August trzęsący się z zimna; August zraniony i płaczący; August leżący twarzą w opadłych liściach. Lęk był nie do zniesienia. Troska legła mi na piersiach kamieniem. Cóż to za eufemizm: troska. Byłem zdesperowany, w rozpacz – a przecież znałem Augusta zaledwie kilka miesięcy. Zastanawiałem się, co czują jego rodzice. Desperacja podsycona poczuciem winy. Para pieprzonych skurwieli. Ja też czułem się winny, powinienem się domyślić, jak się sprawy mają. Miałem ochotę ich znaleźć, wdeptać w poszycie, zostawić w zimnie na całą noc. Zasługują na wszystko, co ich spotka. Ale August, teraz trzeba go odnaleźć, nic innego się nie liczy.

– Ash? Ash! – Krzyk Bev przedarł się przez moje gorączkowe myśli.

– Słucham?

– Jesteś błądy. W porządku? Nie odpływaj.

– Jest okej. Może powinniśmy go wołać? Zróbnmy to.

– Dobry pomysł. – Bev sprawiała wrażenie równie jak ja wystraszonej, ale bardziej skoncentrowanej. Z pewnością znała inne rodziny z problemami, widywała podobne przypadki. Byłem pewien, że ona też walczy z czarnymi myślami na temat Augusta, tyle że jej wizje są bardziej obrazowe i prawdopodobne, bo wszystko już widziała, tak właśnie myślałem.

Patrzyliśmy pod nogi, idąc po nierównym leśnym poszyciu, to się schodząc, to oddalając od siebie. Wykrzykiwałem imię chłopca głośno i ochryple. Prawie nie rozpoznawałem własnego głosu i podejrzewałem, że August również mnie nie pozna, nawet jeśli usłyszy z daleka. W jakimś momencie uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od wielu tygodni wcale nie myślę o Wielkiej Burzy. Pogoda była nieistotna. Potem nagle znowu stała się bardzo ważna. „A jeśli oziębienie przyjdzie jutro, zanim znajdziemy Augusta? Jest gdzieś w lesie, bez ciepłej odzieży. A jeśli będzie zachmurzenie i mgła tak gęsta, że nie będzie się mógł kierować słońcem, aby ustalić kierunek i czas?”. Takie myśli krążyły mi po głowie i strach się potęgował.

Chciałem zapytać Bev, co dalej. Jak długo będziemy szukać, na co zwracać uwagę i gdzie u licha jest policja. Ale tylko posuwaliśmy się w głąb lasu. Krok, jeden, drugi, krzyk. Krok, jeden, drugi, krzyk. Po godzinie oddaliłem się na stronę, żeby się wysikać i sprawdzić komórkę. Miałem nadzieję, że znajdę wiadomość od Pii. Chciałem jej powiedzieć, co się dzieje, i poprosić o pomoc. Było mi ciężko. Mogłaby pomóc i dodać mi otuchy. Ale nie dzwoniła. Wydawało jej się, że to dzień jak każdy inny, więc ma prawo się na mnie wściekać i wrócić dopiero wtedy, gdy jej przejdzie.

August zaginął. Wracaj. Przepraszam za wszystko – napisałem.

Odpowiedziała niemal natychmiast: *To okropne! Będę za dwadzieścia minut.*

Poczułem niewielką, przelotną ulgę, gdy chowałem komórkę do kieszeni, ale zaraz wróciłem do ponurej rzeczywistości, w której poszukiwałem mojego siedmioletniego przyjaciela. Bo chłopiec był moim przyjacielem. To właściwe słowo. A może postrzegał mnie jako swojego mentora? Przybranego starszego brata? Nigdy nie miałem kumpla takiego jak on, ale skoro nie byłem jego ojcem, za kogo właściwie miałem się uważać?

Spostrzegłem Bev rozmawiającą z rodzicami Augusta. Byłem za daleko, żeby usłyszeć, co mówią, ale gestykulowała zawzięcie. Kiedy podszedłem, zwróciła się do mnie.

– Wróć do domu na wypadek, gdyby August się tam pojawił. Policjanci posuwają się w naszym kierunku z przeciwnej strony lasu. Jeśli dasz radę, możemy we dwójkę iść im na spotkanie. Mam nadzieję, że ktoś z nas natknie się na jakieś

ślady.

„Jakieś ślady”, to brzmiało pesymistycznie. Ścisnęło mi się serce.

– Oczywiście. Ruszajmy.

Wysłałem kolejny esemes do Pii z wyjaśnieniem, że jesteśmy za głęboko w lesie, żeby się spotkać, i że wrócę, kiedy będę mógł. Chciałem usłyszeć jej głos, ale zasięg zanikał, połączenie i tak by się zerwało. Spojrzałem na Bev-Pracownicę-Socjalną i kiwnąłem głową. Szkoda czasu.

Chodziliśmy po lesie przez kolejną godzinę. Wołaliśmy, pohukiwaliśmy, słyhać było trzask gałązek pod stopami, ale nie rozmawialiśmy. Nie było nic do dodania. Zaczynało się ściemniać, nie chcieliśmy nawet myśleć, co to oznacza. Byłem głodny, a raczej byłbym, gdybym nie był otępiaty z lęku. Stać mnie było tylko na to, żeby iść, krok za krokiem.

– Hop, hop! – rozległ się męski głos gdzieś z lewej strony.

– Tu Bev i Ash! – odkrzyknęła Bev.

– Mamy go – powiedział głos.

Potykać się, puściliśmy się biegiem, aż w naszym polu widzenia pojawił się postawny policjant. Nie widziałem Augusta, ale gdy mężczyzna się odwrócił, dostrzegłem umorusanego chłopca niesionego na barana. Chudymi nogami w przykrótkich spodenkach obejmował tors policjanta. Niższy gliniarz stał obok, trzymając niebieski plecaczek Augusta i jego butelkę z wodą.

Na nasz widok dzieciak puścił mężczyznę i zeskoczył na ziemię. Wylądował na nogach niczym kot i ruszył biegiem w naszym kierunku. Przez chwilę nie byłem pewien, do kogo biegnie, ale chodziło o mnie. Objął mnie za szyję, gdy przykucnąłem i z całych sił ucisnąłem małe ciało. Był szczęśliwy, że mnie widzi, ale nie rozumiał, po co to zamieszanie. Wyglądało na to, że jest cały i zdrowy.

– Zbudowałem superszałas, Ash! Potem zrobiło się ciemno, więc musiałem zostać na miejscu. Takie są zasady strażników leśnych: jeśli się zgubisz, nie ruszaj się z miejsca.

– Sprytnie, mały łobuzie. Nic ci nie jest? Bałeś się?

– Trochę. – August wzruszył ramionami.

To nam wystarczyło. Później wyciągniemy z niego więcej szczegółów na temat tego, gdzie i jak spędził noc, w tej chwili nic nie miało znaczenia. Wracaliśmy lasem: tyraliera policjantów z przodu, potem Bev, wreszcie ja z Augustem na barana. Zajęło to dobrą godzinę, nogi już mnie bolały, ale byłem wdzięczny za ciężar na plecach i cichy oddech przy moim uchu. Zaskoczyło mnie, że chłopiec pozwolił się nieść tak długo. Do tej pory nasz kontakt fizyczny ograniczał się do przybijania piątki, a jednak wydało mi się to zupełnie naturalne. August w końcu zasnął, tymczasem ja zastanawiałem się, co pomyślą jego rodzice, gdy dostarczę im dziecko wczepione we mnie ufnie i bezradnie, jakby było moje własne. „Zespół zaburzenia więzi”, tak nazwała to kiedyś Pia. Powiedziała, że

relacje między Augustem a jego rodzicami najwyraźniej są zaburzone, stąd jego emocjonalne uwieszanie się na mnie. Wtedy uznałem jej słowa za przesadę, teraz lepiej rozumiałem całą tę sytuację i do pewnego stopnia przyznawałem jej rację.

August obudził się, gdy wchodziliśmy na jego podwórze. Rodzice wybiegli mu na spotkanie i wyściskali go niezwykle wylewnie. Bez wątpienia byli przerażeni i uradowali się, że nic mu się nie stało, jednak widziałem ich teraz w nowym świetle i pomyślałem nieprzyjaźnie, że nie zasługują na takiego syna.

– Pogadajmy. – Bev wskazała ścieżkę prowadzącą na moje podwórko.

Podziękowaliśmy policjantom i skierowaliśmy się do mojego domu, który wydał mi się ciepły i przyjazny. Gdy weszliśmy do kuchni, długo i mocno pocałowałem Pię i przedstawiłem ją pracownicy socjalnej. Pia nastawiła czajnik, ale Bev uprzedziła, że nie zostanie na herbatę.

– Chciałam, żebyście dowiedzieli się ode mnie, że odbiorę Augusta rodzicom. Tym razem posunęli się za daleko. Niech to zostanie między nami, ale policjanci przeszukali ich dom i znaleźli zamelinowane w kilku miejscach środki przeciwbólowe. Pewnie się nimi szprycują na okrągło. Kto wie, jak długo August był w lesie, zanim spostrzegli jego nieobecność. Nie można go tam zostawić.

– Ale dokąd pójdzie? – Usiadłem na krześle naprzeciwko Bev, Pia przycupnęła obok.

– Do rodziny zastępczej. Znajdziemy dla niego tymczasowy dom. – Bev pokręciła głową. – To skomplikowany przypadek. Rodzice Augusta go nie maltretują, są po prostu nieobecni. Zaniedbanie tego typu łatwo przeoczyć, ale może być równie niebezpieczne, zwłaszcza ze względu na ucieczki Augusta. Czy można mu się dziwić? Kto by wytrzymał z taką parą zombie?

Próbowałem sobie wyobrazić Augusta mieszkającego z inną rodziną, w innym miejscu. Przychodziło mi to z trudem. Będzie nieszczęśliwy, gdy zabierze się go z jego ukochanego lasu, ode mnie i jego głupich rodziców. Kocha ich. Jednak nie potrafiłem o tym rozmawiać, zwłaszcza z pracownicą socjalną. O rodzinach zastępczych wiedziałem tyle co nic.

– A jeśli... – zacząłem. – Czy nie mogłabyś poczekać? Musisz działać od razu? A gdybym go przypilnował? Mógłbym odrabiać z nim pracę domową, codziennie sprawdzać, co robi. Mógłbym nawet dopilnować, żeby każdego dnia zjadł zdrowy posiłek.

– Ash, nie dasz rady chodzić za nim przez okrągły dzień. – Bev pokręciła głową. – August rozpaczliwie potrzebuje uwagi dorosłych, testuje też swoje granice, więc będzie cię wystawiał na próby i eskalował ryzyko, aż dostanie to, czego potrzebuje. W tej chwili jest dzieckiem wymagającym specjalnej troski. Oczywiście, gdybyś chciał zostać jego prawnym opiekunem, to byłaby zupełnie inna sprawa...

– Masz na myśli rodzinę zastępczą? – wtrąciła zaskoczona Pia.

Bev kiwnęła głową, propozycja nadal była otwarta.

Spojrzałem pytająco na żonę. Brzmiało to dziwacznie, ale może było dobrym rozwiązaniem. Mógłbym ocalić Augusta: cudownego małego oryginała. Pia patrzyła na mnie oszołomiona. Znałem ten wyraz twarzy. Powinniśmy porozmawiać. Oczywiście, że nie podjąłbym decyzji tego kalibru bez poważnej dyskusji.

– Jasne, to tylko wygląda tak łatwo. – Bev nie potrzebowała wyjaśnień. – Każda potencjalna rodzina zastępcza jest uważnie prześwietlana. Musielibyście mieć stuprocentową pewność. Nie można się wycofać po fakcie.

– Sądzę, że powinniśmy to jeszcze przemyśleć – przerwała uprzejmie Pia.

– Powinniśmy się zastanowić – przytaknąłem. – Co stanie się z Augustem teraz?

Bev nabrała powietrza. Gdzieś zniknęła jej pewność siebie, a ja uświadomiłem sobie, że cała przyszłość dziecka może być skutkiem przypadkowego zbiegu okoliczności. To dobra kobieta, ale zbyt wiele zależy od jej widzimisię. My wszyscy, dorośli, nie mieliśmy pojęcia, jaka odpowiedź będzie właściwa. A ja nie do końca rozumiałem, jakie jest pytanie.

– Na razie pozwolę mu zostać u rodziców – stwierdziła Bev – pod warunkiem, że będziesz do niego zaglądał rano i wieczorem. Spodziewam się regularnych raportów, zadzwonię.

Kiwnąłem głową.

– Nie da się tego przeciągać zbyt długo – ostrzegła mnie. – Masz trzy miesiące na podjęcie decyzji. Później przeniosę Augusta do rodziny zastępczej. Nie może zostać w tym domu, gdy zaczną się burze. To nie wchodzi w rachubę.

Pia i ja pokiwaliliśmy głowami. Miała rację: los Augusta musi ulec zmianie, zanim na Isole spadną klęski żywiołowe.

Siedzieliśmy w milczeniu przy kuchennym stole, wsłuchując się w odgłos odjeżdżającego samochodu Bev. Kiedy stało się jasne, że już nie wróci, objąłem głowę rękami i wrzasnąłem na cały głos, potem potarłem twarz. Pia podeszła i przytuliła mnie do siebie.

– Myślałem, że już po nim – wymamrotałem wtulony w jej ciało.

– Wiem.

– Tam, w lesie... wyobrażałem go sobie martwego. Co za koszmar.

Pia puściła mnie i usiadła obok. Kiwała głową ze współczuciem, tego właśnie było mi trzeba. Trudno dodać coś więcej po tym okropnym dniu. Na szczęście August odnalazł się cały i zdrowy.

– Dlaczego jego rodzice przeoczyli, co się dzieje z malcem? – zapytałem. – Bev ma rację. August nie może z nimi zostać.

– Chciałbyś, żebyśmy go wzięli, prawda? – spytała niechętnie Pia.

– Tak. A ty nie?

Westchnęła głęboko i pokręciła głową.

– Widzę, co ci chodzi po głowie, Ash. Przestań.

– Nie rozumiem?

– Nie traktuj tej sytuacji jako odpowiedzi jakiejś siły wyższej na nasze niedoszące rodzicielstwo. Proszę, nie rób tego. To brzydka rzeczywistość, nie palec Opatrzności. August jest chłopcem z potencjalnie toksycznego środowiska, a nie naszym dzieckiem.

– Nic podobnego nie przyszło mi do głowy – odparłem zaskoczony. I prawie w to wierzyłem.

Pia spojrzała na mnie czule, niemal z żalnością.

– Kocham cię za to, że biegniesz mu na ratunek i wierzysz, że to twój obowiązek. Kocham cię za dobre serce. Ale rzeczywistość nie jest czarno-biała, Ash. Nie stać nas na wzięcie na siebie takiej odpowiedzialności. Miłość nie jest uniwersalnym lekiem na każde zło świata. – Powiedziała to takim tonem, jakby słowo „miłość” odnosiło się do czegoś równie nierealnego jak Święty Mikołaj.

Rozumiałem, o co jej chodzi, ale mnie nie przekonała.

– Niektóre sprawy są czarno-białe. Jedno z dwojga: albo August zostanie tutaj, z nami, albo trafi do obcych ludzi, gdzie czeka go jedna wielka niewiadoma. Czas na decyzję jest ściśle określony. Nie prowadzimy filozoficznej dyskusji; mówimy o Augustacie i jego życiu. Jeśli nie do nas, trafi gdzie indziej, prawdopodobnie gorzej.

Pia mogła uznać, że ta argumentacja stanowi świadectwo mojej naiwności i nieumiejętności przewidywania. Trudno. Istniał konkretny problem, a my mogliśmy go rozwiązać. Nie twierdziłem, że to łatwe i proste rozwiązanie, ale jak mogliśmy zostawić bezradne ludzkie stworzenie na pastwę niepewnej przyszłości? W dodatku każda niepewność potęgowała się jeszcze w obliczu niemal nieuchronnej katastrofy. Nie dlatego chciałem wziąć Augusta, że przyświecał mi wydumany cel – choćby taki, że dziecko zwiąże nas na zawsze – pragnąłem po prostu wybrać to, co słuszne.

– Sprawa jest prosta: mamy wybór między dobrem a złem – upierałem się. – Sama to wiesz. Nie jest to szczególnie wyrafinowany powód, ale czasem, do cholery, należy po prostu zachować się przyzwoicie. Będziemy mieli wyrzuty sumienia, jeśli umyjemy ręce.

– Och, nie zaczynaj. – Pia pokręciła głową. Odsunęła się ode mnie. – Chcesz zademonstrować, jaki jesteś dobry, żeby poczuć się lepszy ode mnie. Tymczasem w grę wchodzi ważniejsza kwestia. Nie bierzesz pod uwagę całkiem prawdopodobnej ewentualności, że bylibyśmy koszmarnymi rodzicami dla tego dzieciaka. Wyrósł w kiepskich warunkach, zapewne ma jakieś specjalne potrzeby behawioralne, o których nawet nie wiemy; może będzie potrzebował specjalistycznej terapii albo szkół, na które nas nie stać. Wziąłeś pod uwagę

ewentualność, że to my okazemy się tą gorszą opcją? Odwrotne założenie świadczy tylko o twojej arogancji.

Trudno było odmówić racji jej rozumowaniu, zwłaszcza że już się rozkręciła i wyciągnęła z zanadru mocne argumenty. Prawda, nie mieliśmy wystarczającego doświadczenia, żeby zajmować się wychowaniem strauumatyzowanego siedmiolatka. Czy zachowanie Augusta jest skutkiem trudnego dzieciństwa? Nie wiedziałem. Pod tym względem Pia miała rację. A jednak robiło mi się niedobrze, gdy wyobrażałem go sobie samego wśród obcych, którzy nie umieją docenić jego oryginalności. Albo, co gorsza, myślą ją z upośledzeniem, czymś, co należy wyleczyć. Mój umysł prowadził mnie na coraz bardziej mroczne manowce.

– Czytałaś ten artykuł, chyba w „Nation”, o koszmarnym systemie rodzin zastępczych? – spytałem. – Molestowanie seksualne, nadużycia finansowe. Nie można go narazić na podobne rzeczy.

– Tekst dotyczył patologii, a nie większości rodzin – zaproponowała. Zająknęła się, jakby zbierała siły do dalszej polemiki. – Tak czy owak, to nie jest problem, który moglibyśmy rozwiązać. W tym tkwi sedno sprawy. Wszystkie opcje są wadliwe, łącznie z nami... a nawet: szczególnie z nami.

Wstałem i podszedłem do zlewozmywaka wypełnionego brudnymi kubkami, które zebrały się przez trzy ostatnie dni. Na powierzchni mętnej wody pływała warstewka okruchów.

– Nie wiem. Muszę to przemyśleć. Trzeba się szybko zdecydować.

– Kto miałby prawa opiekuńcze? – drążyła. – Na pewno nie ja. W tej chwili jeszcze nie wiem, co dalej z moją pracą.

– To prawda – przyznałem.

– Nie rób pogardliwych min. To nie zbrodnia być bezrobotnym i zdezorientowanym.

Nigdy nie słyszałem, żeby tak jasno i brutalnie podsumowała własną sytuację.

– Przez całe dzieciństwo wmawiano nam, że powinniśmy robić coś, co kochamy. Kształcić się w tym kierunku i tak dalej. Tak właśnie postąpiłam, ale wtedy świat się zmienił i okazało się, że trzeba przede wszystkim dobrze zarabiać. Może mnie uznasz za rozpieszczoną księżniczkę, ale nie zamierzam się do tego dostosować. Nie chcę pracować tylko dla pieniędzy.

To prawda, dotąd wszystko przychodziło jej zbyt łatwo, ale uczciwie stawiała sprawę. Ja też nie chciałem, żeby musiała podjąć pracę, której by nienawidziła. W moim wypadku sytuacja była inna. Nie miałem ukochanej pasji, nie wyżywałem się w niczym jak Pia w sztuce. Czułem się lepiej, gdy miałem jakieś zajęcie, mogłem robić wiele rzeczy. Nie do końca rozumiałem, co czuła moja żona, ale wierzyłem w jej szczerłość.

– Przepraszam, kochanie – powiedziałem. – Z pewnością powinniśmy o tym

poważnie porozmawiać, ale mam wrażenie, że kwestia Augusta to zupełnie inny temat.

– A może nie? – Wzruszyła ramionami. – Dyskutujemy przecież o tym, co chcielibyśmy zrobić z naszym życiem. Próbuję ci właśnie uświadomić, że jeszcze nie wiem, czego chcę, więc nie jestem gotowa, żeby ni stąd, ni zowąd zostać matką.

– Rodzicielstwo na ogół spada na ludzi znienacka. – Zabrzmiało to ponuro. – Chciałem powiedzieć, że nie ma czasu na przygotowania.

– Ostatnio wszystko dzieje się za szybko.

Wiedziałem, co ma na myśli. Minęło zaledwie kilka miesięcy od przeprowadzki do Vermontu – gdzie w naszych marzeniach czekała nas nieustająca sielanka – tymczasem niespodziewanie musieliśmy się mierzyć z nadchodzącym kataklizmem i teraz na dobitkę to. Życie piętrzyło przed nami kolejne wyzwania.

Wstałem i pocałowałem ją w czubek głowy.

– Niczego nie bagatelizuję. Usłyszałem wszystko, co mówiłaś. Proszę, zastanów się przez parę dni. Będę miał oko na Augusta i wrócimy jeszcze do tej rozmowy, dobrze?

– Dobrze – przytaknęła, ale myślami była gdzie indziej.

PIĘĆ

W połowie października bezsenność zaczęła mi dokuczać na dobre. Nigdy nie miałem problemów ze snem: o jedenastej zaczynały mi się kleić powieki i spałem jak kłoda do samego rana. Wszystko zmieniło się tej jesieni, kiedy w nasze życie wkradł się strach. Zaczęło się od kilku niespokojnych nocy – nic wartego wzmianki – ale wkrótce stały się normą. Do osiemnastego października, czyli do owego wieczoru, kiedy miały miejsce te wydarzenia, przewracałem się z boku na bok przynajmniej przez dwie godziny przed zaśnięciem. Myślami skakałem między nadchodzącym zagrożeniem a wspomnieniami. Kurczowo czepiałem się przeszłości, odnajdowałem w niej wiele dobrych chwil.

– Nasz dzieciak będzie udany – powiedziałem. – Albo dzieci, kilkoro.

Leżeliśmy w trawie za domem na plecach, gapiąc się na obłoki. Był to drugi dzień w naszym prywatnym królestwie w Vermoncie.

– Jasne, będą super – zgodziła się Pia. – I wcale nie muszą się starać. Same z siebie będą niezwykle, bez szpanowania.

– Mądre, zabawne i odważne.

– Bardzo odważne. Zresztą inaczej się nie da... Świat się zmienia. Może im być trudniej niż nam.

Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi, ale nie spytałem.

– Nasze wymyślone dzieci świetnie sobie poradzą – zapewniłem. – Przewyciężą wszystkie wydumane problemy.

– Bo są wyjątkowe, nawet jeśli istnieją tylko teoretycznie. – Czułem w jej głosie uśmiech.

– Bez dwóch zdań.

Pocałowaliśmy się ze śmiechem, bardzo z siebie zadowoleni i zgodni, że świat nam się ścięło do stóp.

Kręciłem się w łóżku, miłe wspomnienia nie odgoniły narastających obaw. Zastanawiałem się, jaki będzie świat, który poznają nasze dzieci. Każde pokolenie ma inaczej: czasem łatwiej, czasem trudniej. W historii ludzkości zdarzają się takie przyływy i odpływy. Pluralizm kulturalny zwyciężył w Ameryce, ale Kalifornia zмага się z suszą. Małżeństwa osób homoseksualnych stały się prawem, ale spada ruchliwość społeczna. Świat staje się lepszy czy gorszy? Czy naszym obowiązkiem jest przewidywanie, w jakich warunkach będą żyły nasze jeszcze niepoczęte dzieci?

Wreszcie udało mi się zdrzemnąć, ale ze snu wyrwało mnie łomotanie. Bum, bum, bum. Brzmiało tak, jakby ktoś walił młotkiem w kuchenny zlew. O mój Boże. Pia? Nie było jej w łóżku obok mnie. Gdzie jest? Sięgnąłem pod łóżko po pamiątkowy kij baseballowy, podpisany w 1990 roku przez Wade'a Boggsa,

i zbiegłem na dół w samych bokserkach. Wyobraziłem sobie, że ktoś włamał się przez okno, żeby nas obrabować z nielicznych kosztowności, a co gorsza, zaatakował moją żonę. Chociaż jeszcze minutę temu słodko spałem, teraz spocilem się jak mysz i w skroniach mi łomotało. W tej chwili nie liczyło się dla mnie nic innego, tylko najprawdziwsze, najgłębsze uczucie do żony. Była to instynktowna, rozpaczliwa miłość, z jaką samica broni swoich młodych. Byłem gotów walczyć, nawet zabijać, gdyby ktoś podniósł rękę na moją piękną, bezbronną Pię. Jakże podniecająca jest świadomość, że człowiek nie stracił kontaktu z pierwotną, zwierzęcą stroną swojej natury i w razie konieczności potrafi atakować jak pies obronny.

Zbiegłem po schodach z kijem baseballowym gotowym do uderzenia. Jednak na dole nie było intruza. Pia stała przy zlewozmywaku w długiej koszuli nocnej, w jednej ręce trzymała młotek, w drugiej plastikową rurę. Musiała mnie usłyszeć, ale nie zareagowała.

– Co ty wyrabiasz? – warknąłem, zadyszany po sprincie po schodach.

Spojrzała na mnie sfrustrowana, bliska łez, znad pilnej roboty, która wyrwała ją z łóżka o trzeciej nad ranem.

– Tutaj, ta część! – Wymachiwała mi rurą przed nosem, patrząc niby na mnie, ale gdzieś w bok. – Powinna wejść w tę drugą, ale nie pasuje!

Na podłodze u jej stóp wały się różne elementy czegoś, co – sądząc po opakowaniu – powinno być przepływowym sterylizatorem do wody. Miała ubłocone, mokre kapcie, jakby wychodziła i biegała po trawie. Byłem gotowy na konfrontację z rabusiem lub gwałcicielem, ale teraz zrozumiałem, że mam do czynienia z bardziej skomplikowaną sytuacją. Półprzytomna, opętana obsesyjną ideą kobieta, którą zobaczyłem przed sobą, wystraszyła mnie dużo mocniej.

– Nie musisz kończyć teraz, skarbie – powiedziałem łagodnie. – Napijemy się herbaty i wrócimy razem do łóżka.

Ku memu zaskoczeniu pokiwała głową i schroniła się w moich ramionach, zostawiając na podłodze cały ten bałagan. Podprowadziłem ją za rękę do kanapy w salonie, jakby jakiś intruz mógł się kryć w ciemnym kącie, opatuliłem kocem, po czym przygotowałem dla nas obojga po filiżance miętowej herbaty. Na dole było zimno. Wieczorem rozpaliliśmy w kominku, po raz pierwszy od przyjazdu, ale ogień wygasł wiele godzin temu. Parzyłem więc ziółka, niepewny, czy Pia bardziej mnie wystraszyła, czy rozgniewała.

Często znajdowała twórczą inspirację o dziwnych porach dnia lub nocy, zdarzały jej się także okresy, gdy pracowała nad jakimś projektem w gorączkowym napięciu. Jednak do tej pory to ją uskrzydlało, a nie dobijało. Niektóre jej dzieła były bardzo piękne, jak wtedy, gdy poszła na kurs robienia tkanin artystycznych i uszyła bajeczny patchwork na całą ścianę. Wydała setki dolarów na skrawki wzorzystych materiałów, potem kolorowe paski wały się całymi dniami

w salonie, aż wreszcie obudziłem się któregoś ranka i znalazłem Pię pracującą nad wykończeniem oszłamniającą pięknej tkaniny. Jaskrawe barwy płynnie przechodziły jedna w drugą, tworząc mozaikę przypominającą malowniczy wschód słońca. Patchwork wisiał na ścianie naszego mieszkania w Nowym Jorku przez dwa lata, zanim przeprowadziliśmy się do Vermontu. Dzieło było symbolem artystycznego talentu i rozmachu mojej żony. Doprawdy nie wiem, czemu do tej pory nie rozpakowaliśmy go i nie znaleźliśmy dla niego miejsca w naszym nowym domu. Pomyślałem o nim, gdy piliśmy herbatę. W jakiś sposób zawsze pozwalał mi pogodzić się ze zmiennością nastrojów Pii i usprawiedliwić jej wysoki.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na wyłączony telewizor.

– Przepraszam – powiedziała wreszcie. – Sama tego w sobie nie lubię. Wiele bym dała, żeby się zmienić.

– Wiem. – Objąłem ją mocno.

– Boję się... i nie wiem, czemu.

Dla niej chciałem być silny, chciałem ją obronić przed wewnętrznymi i zewnętrznymi strachami, które nie dawały jej spokoju. Ale ja także się bałem. Przyszłość, którą zaplanowaliśmy w najdrobniejszych szczegółach, legła w gruzach, od kiedy usłyszeliśmy prognozy pogody. Ja też potrzebowałem otuchy. Sam już nie wiedziałem, gdzie kończy się instynkt samozachowawczy, a zaczyna zwykły egoizm, ani jakie powinny być moje obowiązki wobec żony. Niespodziewanie poczułem, że nie jestem rycerzem bez skazy, za którego chciałem się uważać. Ja też byłem przerażony.

Oboje drżeliśmy z zimna pod jedną kołdrą, ale każde z osobna przeżywało lęki przez nadchodzącą zmianą.

SZEŚĆ

– Spróchniałe legary – oznajmił z pewnością siebie August. – Już to widziałem.

Kłęczeliśmy na podwórku za domem, zaglądając pod schodki prowadzące na ganek; zdawały się wrastać w ziemię. Było to zadanie dla złotej rączki, a w takich sprawach mały August nie miał sobie równych. W trakcie samotnych wędrówek po okolicznych gospodarstwach i domach sąsiadów nzbierał mnóstwo okruchów takiej praktycznej wiedzy i był bardzo użytecznym pomocnikiem majsterkowicza. Dodatkową zaletą było to, że mogłem przez cały czas mieć na niego oko, zgodnie z obietnicą.

Wcisnąłem się głębiej pod schody, usiłując coś dojrzeć w wilgotnej jaskini.

– Myślisz, że należy zbudować nowe, czy wystarczy wymienić kilka bali? – spytałem. Nie umiałbym zrobić ani jednego, ani drugiego.

August poderwał się i jak postać z kreskówki uniósł palec do góry na znak,

że przyszedł mu do głowy genialny pomysł.

– Powinniśmy pójść do Peg! Ma mnóstwo drewna, które jej zostało, gdy wymieniała wrota w stajni. To orzech włoski, piekielnie twardy. Sam zobaczysz, jak boli, gdy uderzyć w niego pięścią.

Nie miałem nic lepszego do roboty, a byłem ciekaw sąsiadki, która mieszkała z drugiej strony, za drzewami. Poszedłem więc za Augustem. Pia zajęta była studiowaniem książki o wyrabianiu świec, sprawiała wrażenie zadowolonej, że nie będziemy jej zawracać głowy, dałem jej więc spokój.

Było późne niedzielne popołudnie, trzeciego listopada; wreszcie przyszły chłodne jesienne dni. Miałem ochotę opatulić Augusta w jedną z naszych zimowych kurtek, ale jeszcze nie byliśmy na tym etapie znajomości. Obaj obserwowaliśmy niebo, wyjątkowo piękne jak na tę porę roku. Zazwyczaj późną jesienią wszystko traciło barwy, szarzało. Łatwo przeoczyć moment przejścia między bogatą paletą jesiennych kolorów i ascetyczną surowością zimy, jeśli nie zwraca się uwagi na przyrodę, ale w tym roku wszyscy bacznie przyglądali się każdej zmianie. Niebo nie było jednolicie stalowe, ale upstrzone różowymi plamkami, jakby gdzieś w chmurach eksplodowały fajerwerki. Miało to zapewne coś wspólnego z dzikimi skokami temperatury i huraganem, który tego dnia zaatakował obie Karoliny. Efekty na niebie były wspaniałe, ale i groźne.

Chociaż Peg mieszkała po sąsiedzku, nie mieliśmy okazji do kontaktów i nic na jej temat nie wiedziałem. Tyle tylko, że sprawiała wrażenie wiecznie zajętej sześćdziesięcioparolatki, mówiła ze śladowym irlandzkim akcentem i nie miała w pobliżu żadnej bliskiej rodziny. Nawet August niewiele potrafił dodać. Niektórzy ludzie przeprowadzali się na odludzie, żeby mieć święty spokój, uznałem Peg za taki przypadek. Byłem zaskoczony, gdy otworzyła nam drzwi z szerokim uśmiechem i zaprosiła do środka.

Jak się okazało, właśnie wekowała przecier jabłkowy. Odeszła od garów, żeby podjąć nas herbatą. W całym domu pachniało jabłkami, ale nie było to mieszkanie dobrodusznej babuni. Wszędzie znajdowały się dzieła sztuki z różnych części globu – afrykańskie maski, chińskie wazy, rosyjskie matrioszki. A jednak to piękne wnętrza nie sprawiało wrażenia urządzonego przez dekoratora. Łatwo się było domyślić, że gospodyni wiodła ciekawe i aktywne życie, a teraz otaczała się pamiątkami.

Obaj z Augustem natychmiast zapomnieliśmy o celu naszej wizyty, zamiast tego rozsiedliśmy się z herbatą w salonie, gdzie każdy mebel miał swoją historię, zaś Peg opowiadała nam anegdoty o okolicznościach, w jakich nabyła niektóre swoje skarby. August też nie był wcześniej u niej w domu, więc zasypywał ją niezliczonymi pytaniami, a ja kontemplowałem w spokoju. Peg żywo gestykulowała, na przemian wskazując różne rzeczy i bezskutecznie utykając za ucho niesforne siwe kosmyki włosów, które wymykały się z luźnego końskiego

ogona. Zauważyłem, że była ubrana tak, jakby się wybierała na safari. Miała białą lnianą koszulę wpuszczoną w spodnie khaki, które sprawiały wrażenie, jakby były z nieprzemakalnego poliestru. Kieszenie różnej wielkości na nogawkach przeznaczone były, jak podejrzewałem, na kompasy i scyzoryki.

Peg była botaniczką i wykładowczynią na Lyndon State College. Opublikowała dwie książki o embriogenezie roślin iglastych, mieszkała w kilku krajach, których nazwy wtrącała do rozmowy od niechcienia („mieszkałam wtedy na Filipinach, mają tam ciekawą kulturę, ale beznadziejną kuchnię...”). Nigdy nie wyszła za mąż, ale zauważyłem oprawione w ramki zdjęcia, na których dużo młodsza Peg znajdowała się w jakichś egzotycznych miejscach w towarzystwie opalonych jak ona mężczyzn. August zwrócił uwagę na stojący w rogu pokoju duży instrument muzyczny i wyciągnął od niej informację, że grywa na wiolonczeli w amatorskim zespole, ale „nie jest w tym dobra”.

Z miejsca się nią zachwyciłem. Była wygadana i trochę szalona, ale inteligentna i wyraźnie spełniona. Zastanawiałem się nad mężczyznami na fotografiach. Peg sprawiała wrażenie osoby, która – gdybym o nich zapytał – zupełnie naturalnie nazwałaby ich kochankami; słowo, które przyprawiało mnie o dreszcze, w jej ustach brzmiałoby całkiem normalnie. Podobało mi się, że startując z rodzinnej Irlandii, objechała cały świat, żeby wreszcie zatrzymać się w Isole – i uważała to miasteczko za raj, podobnie jak ja.

– A ty, Ash? – spytała, podnosząc filiżankę herbaty po dłuższej historii o okresie spędzonym w Senegalu na badaniu rosnących tam krzewów. – Co ciebie tu sprowadza?

Chętnie odpowiedziałbym jej coś mniej konwencjonalnego niż to, że wróciłem do rodzinnego stanu wieść życie na łonie natury ze śliczną żoną, która ostatnio zaczęła się dziwacznie zachowywać. Trochę podkolorowałem swoją wersję prawdy, kładąc nacisk na umiłowanie przyrody i nowe hobby, polegające na wyrobie mebli, żeby nie sprawiać wrażenia potwornego nudziarza.

– Nie lubiłeś Nowego Jorku? – spytała.

– Wręcz przeciwnie. Kocham Nowy Jork – odparłem. – Jego energię, kulturę... Wiem, to brzmi jak stereotyp, ale wszystkie te rzeczy, które opowiadają o Wielkim Jabłku jego mieszkańcy, są naprawdę wspaniałe. Będzie mi ich brakowało.

– Czemu więc wyjechałeś?

– Pia i ja zawsze chcieliśmy zacząć nowe życie, bardziej świadome i proste... jak tutaj.

Kiedy wypowiedziałem to na głos, nasze motywacje wydawały się niemądre; powinienem opracować lepszą wymówkę na przyszłość.

– Dlaczego Vermont? – dociekała Peg. – Mogłeś wybrać każde inne miejsce, a przyjechałeś tu, gdzie spędziłeś dzieciństwo.

– Wydaje mi się – zacząłem z namysłem – że po prostu chciałem wrócić do swojego środowiska naturalnego. – Odczekałem, czy Peg to wystarczy, ale patrzyła wyczekująco, więc wyjaśniałem dalej: – Mam wrażenie, że każdy człowiek rodzi się z konkretnymi predyspozycjami. Wiele różnych miejsc będzie mu się podobało, ale tylko w jednym poczuje się jak w domu, u siebie. Właśnie tak się czuję w lasach Vermontu. Nie wyobrażam sobie starzenia się w żadnym innym otoczeniu, nawet jeśli to brzmi idiotycznie.

Peg uśmiechnęła się lekko. Tym razem trafiłem jej do przekonania.

August zaczął się wiercić i oznajmił, że mu się nudzi.

– O czym chciałbyś pogadać? – spytałem.

– Peg jest uczoną. Chciałbym się dowiedzieć, co sądzi o Wielkiej Burzy.

Słowo „uczona” wymówił ze szczerym podziwem. Obiecałem sobie, że będę w nim podsycał ten szacunek dla nauki.

Peg spoważniała, odstawiła filiżankę i strzepnęła ze spodni niewidzialny pyłek.

– Auguście, zapamiętaj, proszę, że wszystko się dobrze skończy. Masz dom, rodziców, mnie i Asha. Wszyscy razem zatroszczymy się o twoje bezpieczeństwo.

August nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, ale Peg spojrzała na mnie znacząco, oczekując, że będę jej wtórował.

– Ma rację, stary – wtrąciłem. – To tylko pogoda. Potraktujemy Burzę jak wielką przygodę!

Głupio mi było wygłaszać takie banały, ale prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, jak rozmawiać z dziećmi.

– Okej. – August ze znudzoną miną wzruszył ramionami. – Mogę dać koniom marchewkę?

Peg odesłała go do stajni z niewielką reklamówką pełną marchewek i usiadła naprzeciw mnie. Potem przeprowadziliśmy bardzo dorosłą rozmowę o nieporadności rodziców Augusta i o tym, co moglibyśmy zrobić, żeby go chronić przed zagrożeniami przez najbliższe miesiące. I znowu zdałem sobie sprawę, jak niewiele wiem o wychowywaniu dzieci.

– Co sądzisz o Burzy? – zapytałem. – Myślisz, że będzie tak groźna jak w prognozach?

– Będzie dużo gorzej. – Ponuro zajrzała do swojej filiżanki.

– Skąd wiesz? – Wstrząsnęła mną jej pewność siebie.

– Politycy w takich sprawach są bardzo powściągliwi. Mają powód. Każdy raport pogodowy zapowiadający huragany i sztormy może wywołać tąpnięcie na giełdach, uruchomić cały łańcuch wypadków w skali globu. Nie mówię o świadomym oszustwie, broń Boże. Chodzi raczej o przymusowe bagatelizowanie konsekwencji. Gdyby rząd Stanów Zjednoczonych wpadł w panikę, w jego ślady pójda wszystkie inne rządy. A więc tak, jestem przekonana, że Burza będzie dużo

gorsza niż w prognozach.

Wydawało mi się, że Peg chce coś jeszcze dodać; czekałem w milczeniu.

– Zapowiedzi meteorologów traktuję bardzo serio, bo sama przez całe życie badałam naturę. W terenie i w pracowni przy mikroskopie dokumentowałam subtelne zmiany, narastające przez całe dziesięciolecia. W pewnym sensie spodziewałam się Burzy. Nie chodzi o to, że ekstremalne huragany i deszcze przejdą nad nami w ciągu najbliższych miesięcy; to początek dłuższego i bardziej trwałego procesu: coś, co stanie się normą. I na tym polega najgorsze kłamstwo. Władze wmawiają Amerykanom, że mamy do czynienia z anomalią pogodową, jakimś wybrykiem natury, tymczasem za jednym sezonem burzowym przyjdzie kolejny, a potem następny. Tak już będzie.

Milczałem. Chciałem usłyszeć wszystko, co Peg ma do powiedzenia.

– Oczywiście, nie chodzi tylko o Stany Zjednoczone. Tak samo zachowują się rządy w Chinach, Indiach i wszystkich krajach europejskich. Cały świat uprawia grę pozorów. Świetnie wiedzą, że do nich też przyjdą kataklizmy, choć nie wszędzie takie same.

Przypomniał mi się film, który oglądałem z Pią, o trzęsieniu ziemi gdzieś na Pacyfiku, które spowodowało gigantyczne tsunami zalewające Azję, co z kolei wywołało raptowny wzrost cen ropy naftowej prowadzący do wojen na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Zrywaliśmy wtedy boki ze śmiechu, że można było wymyślić coś tak absurdalnego. Miałem chyba bardzo zaniepokojoną minę, bo Peg uniosła dłonie i zaczęła mnie uspokajać.

– Nie jestem klimatologiem, a każdy naukowiec wie, że jest mnóstwo czynników, o których na obecnym etapie nie mamy pojęcia, więc wszystko jeszcze może się zdarzyć, Ash.

Powtórzyła moje imię dwa razy i to skierowało jej myśli na inny tor.

– Wiesz, że „ash tree” znaczy „jesion”? Bardzo ważne drzewo w celtyckiej mitologii.

Uniosłem brwi, próbując nadażyć za niespodziewaną woltą w jej narracji.

– Nie miałem pojęcia. Właściwie nie wiem, czemu mnie tak nazwano.

– Jesion jest uważany za najbardziej potężny pośród drzew – stwierdziła Peg żartobliwie. – W niektórych częściach Europy używano go do wyrobu włóczni i trzonek do toporów. Ma zastosowanie w rzucaniu uroków i leczeniu. Poganie uważali to drzewo za święte! Jest mnóstwo wierzeń związanych z jesionem. Twoi rodzice byli druidami czy hipisami?

– Ha, ha – roześmiałem się. – Nic z tych rzeczy. O ile wiem, dziadek był drwalem. To jedyny związek z drzewami, jaki przychodzi mi do głowy.

– Znał się na drzewach i pewnie cenił jesion. To imię pasuje do ciebie.

Nagle poczułem się skrępowany tematem rozmowy.

– Interesujesz się mitologią?

– Oczywiście! – odpowiedziała. – Nie można badać przyrody i nie mieć pojęcia o mitologii.

– Co masz na myśli?

Peg spoważniała.

– Jesteś inteligentnym człowiekiem, Ash, i nie rozumiesz w kategoriach: czarne albo białe. To widać. Nie daj się uwieść prostym odpowiedziom oferowanym przez naukę. Istnieją inne rodzaje wiedzy, bazujące na instynkcie i emocjach. Życie jest bogatsze, jeśli zostawia się miejsce dla wszelkich sposobów poznawania świata.

Przerwała, wyraźnie z siebie zadowolona; sprawiło jej przyjemność, że zbiła mnie z pantafiku. Dyskusja przybrała niespodziewany obrót, ale Peg jeszcze bardziej mnie zaintrygowała.

W tym momencie wpadł August, wołając od progu, że skończyły się marchewki, a on jest głodny. Podziękowałem Peg za herbatę i pomogłem jej odnieść filiżanki do kuchni. Na pożegnanie wręczyła chłopcu paczkę krakersów, wsadził ją do kieszeni.

– Och, Auguście! – zawołała za nami, gdy już wychodziliśmy. – Spójrz jeszcze na czarci krąg przy stodole. Grzyby długo nie postoją!

– Robi się – odpowiedział poważnie.

Na dworze zapytałem Augusta, co to jest czarci krąg.

Westchnął niecierpliwie i wyjaśnił, że to zaczarowane koło utworzone przez wystające z ziemi kapelusze grzybów i „każdy głupi wie, że ludziom nie wolno wejść do środka”.

Uśmiechnąłem się i poczułem nagły przyływ miłości do małego chłopca i Północno-wschodniego Królestwa Vermontu, w którym nawet naukowcy zostawiają miejsce dla zjawisk metafizycznych.

Obejrzeliśmy krąg uformowany przez grzyby z pełnym szacunkiem, z bezpiecznej odległości.

SIEDEM

Było to w połowie listopada, w środę wieczorem. Leżałem już w łóżku, ale nie mogłem przestać myśleć o tym, co usłyszałem kilka dni wcześniej w kawiarni od jakiegoś starszego mężczyzny: że „czas wyrychtować chałupę”. Nie znałem go i nie do końca rozumiałem, co ma na myśli, jednak jego rada wywołała we mnie popłoch. Kolejne przypomnienie, że powinienem szybko dorosnąć do roli odpowiedzialnego właściciela wiejskiego domu. Czekają nas istne szaleństwo, a mój dom był wielki i nieszczelny. Nie miałem pojęcia, czy gdzieś schowane są okiennice i jak je zainstalować. Powtarzałem sobie słowa staruszka, zazdroszcząc mu pewności siebie. „Czas wyrychtować chałupę, jeszcze zanim nadejdą mrozy. Nie można z tym zwlekać”. Wyobrażałem sobie, jak udzielam tej rady komuś z sąsiadów, tym samym tonem, pewny, że zrobiłem wszystko, co trzeba. Chciałbym być tym człowiekiem, twardo stąpającym po ziemi.

Mimo pogłębiającej się przepaści między nami Pia wyczuła moje zdenerwowanie wywołane przez brak okiennic. Przysunęła się i położyła mi rękę na czole niespodziewanie macierzyńskim gestem. Nie rozmawiałem z nią na temat zabezpieczenia okien i uszczelniania szpar ani innych robót stolarskich. Miała wystarczająco dużo na głowie.

Minęły dwa miesiące od pierwszego spotkania prepersów, na którym była; od tej pory jedynym jej celem stało się wypełnienie nowej misji. Nie zawracała mi głowy swoimi planami, ale mogłem dostrzec, jak coraz bardziej ją absorbują. W całym domu znajdowałem enigmatyczne zapiski, które zostawiała sama dla siebie jako przypomnienie o koniecznych przygotowaniach. Wciąż nie miała pracy ani prawdziwych obowiązków, ale przez cały dzień była niezwykle zajęta, często też siedziała do późna i piła wino, opróżniała butelkę lub więcej. Ale ja także nie wylewałem za kołnierz, więc przymykałem oko na to, że odstawialiśmy coraz więcej szkła do punktu skupu. Miałem problem: jak rozróżnić, czy Pia już popadła w obłęd, czy tylko ma nerwy w strzępach jak inni mieszkańcy miasteczka. Pozornie życie toczyło się jak dawniej, ale każdy potrzebował trzeciego kieliszka, żeby zasnąć.

Burze były z nami przez cały czas, ale trzeba było się wysilić, żeby dostrzec ich cień. Były niczym duchy, które w końcu zaczyna się tolerować, bo nie można się ich pozbyć. Co innego mielibyśmy zrobić? W całym kraju nadal toczyło się normalne życie: rachunki musiały być popłacone, trawniki regularnie koszone, a dzieci nakarmione i utulone do snu.

Burze odciskały swoje piętno na świecie poza naszymi własnymi czterema ścianami. Podziały społeczne – które wcześniej zdawały się zacierać – teraz się zaostrzały. Tylko w tym tygodniu uzbrojona w karabiny grupa wyrostków w New

Jersey obstała miejscowy mecz, wrzeszcząc, że nie życzą sobie obcych we własnym kraju. Parę dni później samozwańcza straż obywatelska w Teksasie zastrzeliła na granicy dwóch nielegalnych meksykańskich imigrantów, zanim jej członków dopadli agenci federalni. Kolorado wprowadziło prawo stanowe, żeby lekcje w szkołach zaczynać od chóralnego „Ojcze nasz”, co miało „odpędzać złego ducha w niepewnych czasach”.

Nie umieliśmy przewidzieć, jak będą wyglądały nadchodzące zagrożenia i w jaki sposób wpłyną na codzienną egzystencję. Zdezorientowani, używaliśmy wyobraźni, która wiele osób doprowadzała do paranoi.

Kongresmeni z Zachodniego Wybrzeża zawierali potajemne sojusze, żeby zablokować ustawy, dzięki którym fundusze federalne miały pójść na koordynację pomocy dla ofiar klęsk żywiołowych, najwyraźniej nie umiając sobie wyobrazić, że katastrofy naturalne mogą się zdarzyć również na zachodzie kraju. Były to pierwsze oznaki aktów większej niesprawiedliwości, które miały się jeszcze zdarzyć. Wtedy nie wiedzieliśmy, że grupa hakerów złamie zabezpieczenia systemu komputerowego Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i poda do wiadomości dane, z których wynikało jasno, że rząd przez cały rok świadomie ignorował zapowiedzi Wielkiej Burzy, zanim zdecydował się na opublikowanie pierwszych ostrzeżeń. Myliłem się, pokładając ufność w instytucjach zaufania publicznego – niewiele im trzeba było, żeby nas porzucić w potrzebie.

Pia i ja słuchaliśmy takich wiadomości, kiwając głowami z politowaniem, że kraj schodzi na psy, ale też coraz bardziej przekonani, że podjęliśmy słuszną decyzję, ukrywając się w tym zakątku Stanów Zjednoczonych, który nie identyfikował się w pełni z resztą kraju.

W odpowiedzi na rosnące napięcie społeczne władze zainicjowały szeroką kampanię reklamową, w której wieloetniczna grupa nieco zapomnianych celebrytów demonstrowała jedność pod hasłem „Razem bezpieczniej”. Tłem do uśmiechów i uścisków była chwytliwa melodia w stylu przebojów U2. August nucił ją czasami, ale bardzo wątpię, czy wywierała pożądany efekt na hejterach i antyrządowych demonstrantach.

Wszystko to przerastało odporność mojego niespokojnego umysłu, zwłaszcza o pierwszej w nocy, zamiast tego rozmyślałem więc o okiennicach zabezpieczających szyby przed ulewą. Pia głowiła się, jak zainstalować skuteczny system filtrów do wody, ja planowałem, które okna należy zabić dechami, oboje piliśmy zbyt dużo wina i dzięki temu dawało się jakoś przetrwać.

Czułem, jak Pia przysuwa się do mnie w łóżku, jej piersi grzały mnie w plecy. Łóżko było bezpieczną oazą, w ciemnościach zapominaliśmy o tym, co nas dzieliło. Nasze ciała się nie zmieniły, łatwo było udawać, że reszta również pozostała taka sama. Wsunęła rękę do moich bokserów i robiła swoje.

Niepotrzebna mi była inna zachęta, rozwiały się niespokojne myśli, zostało

rozpalone ciało. Wciąż była moją Pią, wciąż myśleliśmy o sobie: „my”, a w łóżku nadal czułem gwałtowne pożądanie, jak pierwszej nocy, gdy wzięła mnie do siebie i bezwstydnie rozłożyła przede mną nogi. Całowałem jej kark, ramiona; ciągnąłem za włosy. Ona jęczała i wbijała mi paznokcie w udo. Wdrapałem się na nią i ze wszystkich sił próbowałem wypędzić z jej opętanego ciała niepoznawalne demony. Ale, co zrozumiałe, demony były częścią jej magnetycznego powabu.

Na przemian pieprzyliśmy się i uprawialiśmy miłość, trzymaliśmy się kurczowo w objęciach, po czym karaliśmy za nienazwane przewiny. Zmiany w sposobie uprawiania seksu były subtelne, ale wyraźne: stał się bardziej egoistyczny, każde z nas było nastawione na własne potrzeby. Kiedy Pia doszła, krzyknęła przeciągle i ugryzła mnie w ramię mocno, aż do krwi. Wiedziałem, że to część erotycznej gry, ale byłem wdzięczny, że wkładała w nią całą siebie. Byłem też wdzięczny za ból, krew pulsowała mi w żyłach z przerażającą siłą.

Kiedy już leżeliśmy obok siebie, wykończeni i pełni seksualnej satysfakcji, Pia położyła mi głowę na piersi i szepnęła:

– Naszej rodzinie nic więcej nie trzeba do szczęścia.

Mówiła o Augustcie, tak to odebrałem, ale może też o dzieciach, których już nie spłodzimy. W ciągu tych dwóch miesięcy z wolna i bez wytłumaczenia straciła ochotę do zajścia w ciążę. Czułem, że jej umysł zaprzęta inne sprawy. Jeszcze nie tak dawno przyjąłbym tę zmianę z ulgą, teraz jednak wszystko się zmieniło.

Zawsze wydawało mi się, że los się do nas uśmiechnął, bo jesteśmy parą zakochanych ludzi, którzy mają tylko siebie i nie muszą się troszczyć o żadne dzieci ani nawet zwierzęta. Wszystko w naszym życiu mogło być intencjonalnie, świadomie wybrane przez któreś z nas każdego ranka, bo akurat mieliśmy na to ochotę. Nasze ścieżki biegły równoległe, blisko siebie, a mieliśmy taką łatwość manewrowania własnym życiem, że bez problemu zmienialiśmy kierunek, gdy pragnęliśmy tego oboje. Nasi rówieśnicy obarczeni dziećmi zdawali się przytłoczeni niewidzialnym brzemieniem. Sprawiali wrażenie bezradnych. Jednak ostatnio – jeszcze przed zaginięciem Augusta w lesie – wolność zaczęła mi doskwierać, stała się swoistym brakiem zakorzenienia, jakby byle wiatr mógł nas zdmuchnąć w różne strony, gdzieś w bezkresny kosmos. Potrzebowałem w życiu czegoś namacalnego, ważkiego. Poszukiwałem sensu. Czy to źle, że chciałem usynowić Augusta, żeby się wreszcie zakotwiczyć? Czy istnieje lepszy powód do posiadania dzieci? Czasem wydawało mi się, że tak długo czekaliśmy na rodzicielstwo i analizowaliśmy je teoretycznie, że stłamsiliśmy w sobie wszelkie pierwotne, biologiczne instynkty.

Być może przydałoby się nam domowe zwierzę, myślałem, gdy leżeliśmy obok siebie nago.

Mieliśmy kiedyś kota, Burta. Należał do staruszki mieszkającej po drugiej stronie korytarza, ale po sześciu miesiącach miała go dosyć, nazwała go

„cholernym draniem” i ofiarowała Pii w prezencie. Pia wzięła zwierzaka bez zapytania mnie o zgodę, po prostu zastałem go w mieszkaniu, gdy wróciłem z pracy.

Staralem się robić dobrą minę do złej gry, zważywszy na to, że przed chwilą stracił dom, co nie było łatwe. Kot był znerwicowany, miał zwyczaj wyskubywać sobie futerko, gdy życie stawało się nadmiernie skomplikowane. Trudno było przewidzieć jego humory – przy śniadaniu związał się na moich kolanach i mrucał, wieczorem gryzł mnie zniechęca. Kiedy po raz trzeci podrapał mnie do krwi, straciłem cierpliwość.

– Musisz się go pozbyć – zażądałem. – To wredny gnojek.

– Nie oddam go! – zawołała. – Nie rozumiesz? Ten kot jest mną! Musi z nami zostać.

– Co takiego?

– Jest mną. To niesamowite. Jako mały kociak był pozbawiony pieśczoł, więc teraz miota się między autoagresją a nienawiścią do otoczenia.

– Gruba przesada – zaprotestowałem.

– Czysta prawda. – Założyła ręce na piersi. – Zatrzymam Burta. Potrzebujemy siebie nawzajem.

Kłótnia wydawała się bezcelowa, a niechęć do zwierzaka nie tak istotna, żeby wszczynać o niego wojnę z żoną, więc ustąpiłem. Trudno było zaprzeczyć, że istniało psychiczne podobieństwo – tak barwnie opisane przez Pię. Nigdy się nie dowiem, czy jej rodzice byli wobec niej okrutni, czy tylko emocjonalnie chłodni; nie wiem nawet, czy różnica jest taka istotna dla małego dziecka, ale coś w jej wczesnym dzieciństwie zostawiło emocjonalne blizny. Pod całym powabem i błyskotliwym dowcipem kryły się pokłady gorączkowej energii i pragnienie bycia dostrzeżoną, które mogły się przerodzić w nagły gniew lub ekscytację. Nigdy tego nie rozumiałem, wiedziałem tylko, że źródła owego zachowania kryją się w przeszłości, zanim się poznaliśmy, a wobec tego nie jestem w stanie go kontrolować. Tak więc Burt został.

Może kot jakoś by jej pomógł, ale nie mieliśmy szansy się przekonać. Pewnej nocy podczas przyjęcia wymknął się na dwór i już nigdy nie wrócił.

Pia przytuliła się i pocałowała mnie w ramię, wróciłem do teraźniejszości.

– Uwielbiam to – powiedziałem, mając na myśli seks.

– Mhm, ja też – mruknęła. – Jak dobrze, że to nam zostanie nawet wtedy, gdy wszystko inne przepadnie.

OSIEM

Pod koniec listopada każdy stał się ekspertem w sprawach pogody. Nieznajomi ludzie w kolejce do kasy wymieniali uprzejme uwagi na temat tropikalnych frontów burzowych i wilgotności powietrza. Co tydzień w sobotę rano oglądaliśmy komunikat meteorologiczny z Białego Domu – był to nowy pomysł piarowców, miał skutecznie tłumić panikę i stwarzać pozory, że władza zachowuje pełną kontrolę nad sytuacją – po czym uczyliśmy się nieznanych terminów, które się w nim pojawiały. Sprawdzaliśmy, czy mrozy są skutkiem napływających mas chłodnego powietrza, czy rezultatem frontu zokludowanego. I czy ostatni wiatr był przelotnym zjawiskiem, czy też to huragan, który będzie się utrzymywać przez dłuższy czas, i ile właściwie miał w skali Beauforta? Znajomość języka, którym da się opisać rzeczywistość, sprawiała, że stawała się znośna, pospolita nawet. A chociaż każdy chwilami zmagał się ze strachem, Burze wplotły się w nasze życie.

– Wcześniej opowiadali, że to z powodu El Niño – mówił jakiś chłopiec do młodszego brata na lokalnym targu Winter Farmers' Market. – Teraz twierdzą, że to coś nowego, czego jeszcze nie znają.

Włoczyłem się po hali targowej na końcu miasteczka. W piątki były tu potańcówki, w niedziele kwakrzy spotykali się na nabożeństwach, zaś w soboty farmerzy sprzedawali swoje produkty. Wybrałem już wełnianą czapkę dla Augusta, teraz oglądałem nietypowe towary: kozie mleko, wędzone kielbaski, fioletowe ziemniaki. Kiedy przystanąłem, żeby podsłuchać rozmowę dwóch chłopców, starszy wykladał na ladę ręcznie wyrabiane świece z wosku pszczelego, a młodszy patrzył na niego z nabożnym podziwem.

– Będzie huragan, śnieżycą i może nawet tornado! – wieszczył ten pierwszy.

Brat uniósł brwi na tę przerażającą i niezbyt konkretną wiadomość.

– Wszystko naraz? – spytał.

– Zderzą się ze sobą! – I żeby zobrazować grożącą nam katastrofę, podniósł dwie delikatne złociste świece i zmiądzzył je o siebie, aż jakiś dorosły na nich nakrzyczał.

Nawet ja rozumiałem, że powinniśmy chronić dzieci przed nieustanną gadaniną o końcu świata, ale przerastało to siły rodziców. Nadchodzący kataklizm nie tylko stał się dominującym tematem rozmów dorosłych żyjących na wschód od Missisipi, nie sposób było włączyć radia i telewizora, żeby się nie natknąć na debatę o anomaliach pogodowych. Teorie spiskowe i najbardziej cudaczne scenariusze rozprzestrzeniały się w mediach społecznościowych tak szybko, że żaden rozsądny nauczyciel nie miał czasu wyjaśnić uczniom ich intelektualnej pustki i czasem złowrogich źródeł.

August nie mówił o niczym innym, a ja, za przykładem Peg, korzystałem z każdej okazji – przy kopaniu piłki lub podczas wspólnego majsterkowania – i powtarzałem, że będzie bezpieczny. Nie umiem powiedzieć, czy wierzył w moją udawaną pewność siebie.

Kiedy pracowałem przy biurku, towarzyszył mi monotony strumień informacji pogodowych. Wiedziałem, że mnie rozprasza, zmniejsza moją wydajność, ale zachowywałem się jak nałogowy konsument wiadomości. Oficjalne komunikaty rządowe z tygodnia na tydzień stawały się coraz bardziej konkretne i złowrogie. Ostatnie prognozy zapowiadały całą serię burz i huraganów na przełomie grudnia i stycznia; dopiero po nich miał nastąpić superkataklizm. Nikt nie wiedział, jak będzie wyglądał i jaką naprawdę będzie miał skalę – ta część prognozy nieodmiennie podsyciała nasze lęki. Najgorszy możliwy scenariusz, wcześniej traktowany jako niezbyt prawdopodobny, teraz urósł do niemal pewnego, a wraz z tym w ludziach narastał strach. Media prywatne, biorąc przykład z publicznych, zaczęły mówić o „Wielkiej Burzy”, co brzmiało przerażająco, bo uświadamiało nam, że nie będzie przypominała żadnej burzy, sztormu czy tajfunu, jakich kiedykolwiek doświadczyliśmy. Nazwa niezwykle silnie oddziaływała na wyobraźnię. Trudno było oprzeć się zafascynowaniu, czekaliśmy na „Wielką Burzę” jak na początek filmu katastroficznego w kinie. Nie wiedzieliśmy, jak się zakończy i jakie w ostatecznym rozrachunku będą konsekwencje, ale czuliśmy dreszcz podniecenia na myśl o tym, co się wydarzy. Eksperci wciąż jeszcze się spierali, kiedy nastąpi Burza, każdy gwałtowny spadek temperatury wywoływał kolejną falę spekulacji, podsycił powszechne lęki i niezdrową fascynację.

Nawet ci, którzy byli najmniej podatni na psychozę, zdali sobie wreszcie sprawę, że nie można w nieskończoność odkładać przygotowań. Coś się w końcu wydarzy. W pierwszy piątek grudnia niebo przybrało niesamowity różowoszary kolor, a Isole przebudziło się z uśpienia.

Wszyscy mieszkańcy miasta zaproszeni są na walne zgromadzenie, które odbędzie się w środę o 19.00 w auli Memorial High School. Domowe wypieki mile widziane.

Plakaty z obwieszczeniem rozklejono w całym miasteczku. Zaproszenie powtarzano także po nabożeństwach i przekazywano z ust do ust, aż stało się jasne, że wszyscy mieszkańcy wezmą udział w zebraniu. Było oczywiste, że radni przedstawią plany działania na wypadek klęski żywiołowej i poinformują, na co znajdą się, dość przecież skromne, środki. Pia i ja nie angażowaliśmy się w żadne społeczne przedsięwzięcia, jeśli nie liczyć jej uczestnictwa w spotkaniach prepersów, teraz jednak byłem szczerze zaciekawiony. Chciałem poznać mieszkańców i cieszył mnie pretekst do wyjścia z domu.

Kiedy w środę wieczorem weszliśmy do auli miejscowej szkoły średniej,

oboje z Pią poczuliśmy się trochę jak na planie filmowym – żywcem przeniesieni w czasie. Wśród zgromadzonych jedna trzecia twarzy wydała mi się znajoma, chociaż na palcach jednej ręki mogłem wyliczyć ludzi, których nazwiska znałem. Właściciel księgarni stał przy stole zastawionym ciastami przyniesionymi przez szczodre gospodynie, rozmawiał ze starszym farmerem w gumowcach, którego widywałem czasem na traktorze w pobliżu naszej działki. Kelnerka z kawiarni w czerni i gockim makijażu stała nadąsana z boku, wyraźnie wściekła, że rodzice kazali jej tu przyjść. Ludzie kręcili się, wymieniali uprzejmości. Uderzyło mnie, że byli tu wszyscy – od dzieci po starców stojących nad grobem – rzecz niespotykana w Nowym Jorku. W naszym sąsiedztwie na Brooklynie mieszkali ludzie, z których najmłodszy miał dwadzieścia dwa lata, a najstarsi nie przekroczyli jeszcze czterdziestu pięciu, wszyscy pewni siebie i manifestacyjnie ignorujący otoczenie, jakby byli obrażonymi na świat nastolatkami. To pomieszczenie zawierało zupełnie odmienny ekosystem ludzkości.

Ku memu zadowoleniu dostrzegłem Peg stojącą po drugiej stronie sali i pomachałem do niej z wylewnym entuzjazmem.

– Witajcie, sąsiedzi – powiedziała serdecznie i wyciągnęła rękę, żeby formalnie przedstawić się Pii.

Peg tym razem nie była ubrana jak na safari, ale miała na sobie jakąś powiewną szatę w kolorach ziemi – typowy strój starzejących się lewicujących intelektualistek z Nowej Anglii. Zapewne przyjechała prosto z wykładów w pobliskim college’u. Pia sprawiała wrażenie zaskoczonej, że zostałem powitany tak poufale, a ja poczułem się dumny, że mam znajomą, o której nic nie wiedziała.

– Proszę zająć miejsca – zakomenderowała jakaś kobieta tonem wychowawczyni pierwszoklasistów. Stojący obok dzieciak energicznie zadzwonił dzwonkiem na znak, że przerwa się skończyła.

– Krowi dzwonek – szepnęła mi do ucha Pia. Z pewnością nie omieszka wspomnieć naszym znajomym z Brooklynu o tym czarującym detalu.

Odpowiedziałem uśmiechem. Od tamtej nocy wypełnionej namiętym, gorączkowym seksem byliśmy dla siebie mili, ale nadal zachowywałem czujność. Pia z dnia na dzień stawała się coraz bardziej nieobliczalna. Wszystko podporządkowała obsesji na punkcie pogody i to mnie martwiło. Unikałem jej, całe popołudnia spędzałem z Augustem. Coraz mniej rozmawialiśmy.

– Wszyscy na miejsca, proszę! – krzyknęła ponownie kobieta. – Dziękuję państwu.

Odpowiedział jej zamierający szmer rozmów i szuranie butami, gdy uczestnicy zebrania powoli zajmowali miejsca. Dla starszych i kobiet w ciąży ustawiono pod ścianami krzesła, ale większość zgromadzonych zbiła się w stado na środku sali. Wysportowany mężczyzna w średnim wieku, z okazałą łysiną, przejął mikrofon. Ludzie uśmiechali się do niego. Dwie dziewczynki nadal bawiły się

w berka, przepychając między nogami dorosłych. Mówca odczekał, aż rodzice je uciszyli.

– Dziękuję państwu za tak liczne przybycie. Nazywam się John Salting, ale mówią na mnie Salty, i jestem przewodniczącym rady miejskiej w Isole. Jestem przekonany, że wszyscy oczekiwali walnego zgromadzenia, spodziewam się, że będzie owocne. Odstąpimy dzisiaj od zwyczajowego porządku zebrania, żeby już na wstępie dać obywatelom możliwość wypowiedzenia się w ważnych dla nich sprawach. To swoisty eksperyment, ale stanęły przed nami nowe wyzwania, a to wymaga otwartości na zmiany.

Znałem Salty'ego z reportażu w lokalnej gazecie na temat obywatelskiej inicjatywy odnowienia krytego mostu po zachodniej stronie miasteczka. Był prawnikiem, sędzią, pochodził z rodziny od pokoleń prowadzącej miejscową mleczarnię. Było dla mnie oczywiste, że Salty należał do nieoficjalnej grupy wpływowych polityków lokalnych. Taka „rada starszych” (moje określenie, nie ich) stanowi niezwykle istotny element władzy w każdym małym mieście Nowej Anglii. Są to ludzie zaangażowani w działalność społeczną, dobrze sytuowani finansowo; można ich nazwać ojcami miasta. Organizują zbiórki pieniędzy na cele charytatywne, są członkami różnych zarządów, wspierają lokalne festiwale i festyny. Służą mieszkańcom wiedzą na temat funkcjonowania instytucji publicznych, są moralnymi autorytetami dla społeczności. Członkowie miejscowej rady starszych piastowali niektóre urzędy publiczne w Isole, ale nie na tym polegała ich władza; pochodziła ona z całych dziesięcioleci aktywności politycznej, opartej na rozsądku, uczciwości, lojalności wobec mieszkańców i oddaniu wspólnym sprawom. Kiedy byłem dzieckiem, takim członkiem rady starszych był mój ojciec, choć wtedy nie miałem o tym pojęcia. W każdy wtorek miał zwyczaj jadać śniadanie w pobliskiej restauracji razem z grupą pięciu lokalnych biznesmenów. Panowie dyskutowali o wynikach ligi hokejowej, o planach wysłania dzieci na studia i o tym, jak pobudzić aktywność przedsiębiorców i ożywić podupadający handel na Main Street. Zawsze można było na nich liczyć, gdy trzeba było poświęcić czas czy dofinansować inicjatywę służącą ogólnemu dobru. Wtedy sądziłem, że po prostu wszyscy ojcowie są tacy.

– Musimy dzisiaj podjąć decyzje, które pozwolą jak najlepiej przygotować Isole na gigantyczną burzę – kontynuował Salty, biorąc się pod boki. Nie był szczególnie wysoki, jakieś metr siedemdziesiąt osiem centymetrów, ale miał sposób bycia urodzonego lidera, a jego opalona twarz sprawiała miłe wrażenie. – Mamy długą listę spraw do zrobienia, od razu przystąpimy do ich omawiania. Oddaję teraz głos koleżance z rady, Hannah Altman. Hannah?

Kobieta w średnim wieku weszła na podium i zaczęła wyliczać wyzwania, jakie staną przed ochotniczą strażą pożarną i pogotowiem ratunkowym. Obie służby będą potrzebowały znacznie więcej ludzi na dyżurach, kiedy nadejdzie

kataklizm – nigdy się nie zastanawiałem nad podobnymi sprawami. Dwaj miejscowi lekarze zgłosili, że są gotowi dyżurować, a ktoś inny zadeklarował, że za darmo zrobi przegląd i konieczne naprawy ambulansów. Następnie rozwinęła się dyskusja, czy wóz strażacki rzeczywiście potrzebuje łańcuchów na oponach i jak bardzo niszczą one nawierzchnię dróg. Kilka osób miało na ten temat urobioną opinię.

Przestępowałem z nogi na nogę, nudziłem się jak mops i trochę się tego wstydziłem. Pia przewróciła oczami i podeszła do stołu z ciastami. Przez chwilę zastanawiała się, który z kawałków brownie wybrać, wreszcie zdecydowała się na jeden. Nikt inny by się nie zorientował, ale dla mnie było oczywiste, że straciła zainteresowanie dla tego, co się dzieje w auli. Zirykowało mnie, że nawet nie próbowała uważać.

– A co z odśnieżaniem?! – zawołał ktoś z sali.

– Odśnieżanie będziemy jeszcze omawiać – odpowiedziała kobieta na podium, wskazując na całą grupę członków rady czekających na swoją kolej.

Między nimi dostrzegłem także Peg, robiła notatki. Była wszędzie.

– Nie ma co odkładać – odezwał się ten sam wzburzony głos. Mężczyzna stał kilka kroków przede mną. Ludzie wokół odsunęli się trochę, wtedy dostrzegłem jego półprzytomną twarz. Widywałem podobny wyraz u mego brata, zanim poszedł na odwyk.

Miła kobieta objęła go w pół i usiłowała skierować do wyjścia, ale tylko się otrząsała. Ludzie wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, pewnie zdarzyło się to nie pierwszy raz.

– Chcę wiedzieć, które drogi znajdują się w pierwszej kolejności odśnieżania – upierał się. – Muszę być na początku. Mam ranne dostawy, wszyscy to wiecie!

Prowadząca obrady, widząc, że go nie przekrzyczy, przekazała mikrofon Salty'emu.

– Roger, dobrze wiemy, że musisz wstać rano i dotrzeć do pracy – powiedział łagodnie. – Każdy musi. Spotkaliśmy się, żeby ustalić, jak pogodzić interesy wszystkich. Pomożesz nam w tym?

Rozzłoszczony mężczyzna w milczeniu gapił się na Salty'ego, niepewny, jak ma zareagować. Salty wykorzystał jego wahanie i przeszedł do kolejnego tematu.

– Porozmawiajmy o tym, jak uniknąć powodzi – zaczął. – Jeśli ziemia nie będzie zmarznięta, powinniśmy wykopać rowy melioracyjne dla zabezpieczenia Main Street. Skierujemy wodę awaryjnymi kanałami, chroniąc nasze przedsiębiorstwa przed zalaniem. Jak pewnie pamiętacie, zamówiliśmy w zeszłym roku ekspertyzy, które pokazują, że szlaki z zachodu na wschód...

– Przepraszam, Salty. – Starszy dżentelmen podniósł rękę. – Wolałbym najpierw omówić odśnieżanie. Lada dzień czekają nas duże opady śniegu. Wielu osobom leży to na sercu.

Niektórzy energicznie pokiwali głowami. Dopiero teraz dostrzegłem, że atmosfera jest bardziej napięta, niż mi się wydawało.

– Wiemy, że kolejność odśnieżania to czysta polityka! – wrzasnęła ostrym głosem jakaś kobieta. Powiedziała „polityka” takim tonem, jakby to był dziewiętnasty wiek i obrady Tammany Hall, ale nie roześmiałem się, bo w jej oczach płonął nieskrywany gniew. Ludzie naprawdę się bali.

Nobliwa starsza pani wzięła się pod boki i zaczęła strofować polemistów.

– Proszę o odrobinę kultury. Każdy zdąży się wypowiedzieć. Skoro Salty mówi, że później przyjdzie pora na odśnieżanie, poczekajcie trochę.

Widziałem, jak Pia przewraca oczami na wezwanie do porządku.

Salty próbował wrócić do planu obrad, ale przeszkodziło mu gwałtowne zamieszanie. Jego źródłem był mężczyzna stojący w połowie drogi między mną a podium. Otaczający go ludzie zasłaniali mi widok. Jakiś staruszek przepychał się w kierunku wyjścia, gdy w tej samej chwili ktoś powiedział:

– Nie żołądkuj się tak, Roger.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem, że Wściekły Roger przykucnął i gorączkowo szuka czegoś w plecaku. Wyrzucał z niego różne rzeczy: brudny ręcznik i wygniecione pismo motoryzacyjne wylądowały na podłodze.

Salty przerwał i sprawdzał coś w agendzie zebrania, a członkowie rady miejskiej szeptali między sobą.

Nagle jakaś kobieta pisnęła przeraźliwie, gdy ramię Rogera wystrzeliło w górę, z pistoletem półautomatycznym wycelowanym w sufit. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w jego kierunku, ludzie wstrzymali oddech. Gniewną twarz Rogera wykrzywił idiotyczny uśmiech, uświadomił sobie, jaką ma władzę nad tłumem. Radni miejscy zamarli, jakby najłżejszy ruch z ich strony mógł zdalnie przycisnąć spust.

– Roger, nie... ruszaj... się. – Salty krok za krokiem przysuwał się do mężczyzny.

Tamten machnął ręką, wywołując falę stłumionych okrzyków i pisków. Kilka osób położyło się na podłodze.

– Nie prowokuj mnie, człowieku – powiedział Roger. – Od jakiegoś czasu to powtarzam, ale nikt nie chce słuchać. Muszę się wydostać z domu, żeby zrobić poranne dostawy. Musi być odśnieżone. Nie jesteśmy przygotowani, do cholery.

I znowu jego dziki wzrok przypominał mi mojego brata, gdy był naćpany.

Salty wciąż się zbliżał, uwagę otoczenia pochłaniał Roger. Raptem – bam! bam! Pistolet wypalił dwukrotnie, na głowy stojących najbliżej posypał się tynk. Wszyscy zamarli, zaszokowani i ogłuszeni, potem nagle akcja nabrała tempa jak na przyspieszonym filmie. Salty rzucił się na Rogera, powalając go na brzuch, ale stracił kontrolę, gdy tylko wylądowali na podłodze. Postawny facet mniej więcej w moim wieku zanurkował i usiadł Rogerowi na plecach, aby go unieruchomić.

Właśnie wtedy skoczyłem do przodu, odpychając ludzi stojących mi na drodze, żeby przytrzymać ramiona Rogera, a zwłaszcza rękę, w której wciąż ścisnął pistolet.

Był chudy, ale miał nadludzką moc, jaką dają narkotyki albo szaleństwo. Kiedy już schwyciłem go za rękę, przygniotłem ją kolanami z wystarczającą siłą, żeby jęknął z bólu i wypuścił broń. Wyciągnąłem mu pistolet z palców, choć nie miałem pojęcia, jak postępować z naładowaną bronią.

Wokół nas rozpełtało się istne pandemonium. Kątem oka dostrzegłem młodą kobietę z długimi rudymi włosami, która porwała w ramiona dwójkę małych dzieci i wepchnęła je do schowka na szczotki. Usłyszałem później, że Peg pomogła ciężarnej skryć się w pakamerze woźnego, zanim wyciągnęła telefon i zaczęła wzywać pomoc. Ludzie przepychali się w panicznej ucieczce przez tylne drzwi (wśród nich była Pia), inni po prostu padli na ziemię i zasłonili głowę ramionami.

Wszystko to rozegrało się w ciągu sekund, zanim ktokolwiek miał czas na racjonalne działanie. Byłem zdziwiony własną reakcją, tym bardziej że była odruchowa. Czuję się jak lunatyk, który budzi się ze snu i stwierdza, że zdążył już zrobić kanapkę albo uruchomić samochód. Jednak tym razem nie chodziło o kanapkę, ale wyrwanie szaleńcowi odbezpieczonego pistoletu.

Ktoś odebrał mi broń – chyba Salty – i przekazał ją policjantom. Roger przestał się szamotać. Już wiedział, że stracił swoją nadludzką moc, znowu był żalonym człowieczkiem, ale tym razem poważnie zadarł z prawem. Dwóch policjantów zakuło go w kajdanki i wyprowadziło z auli, gdy ludzie pomału otrzepywali kolana i poprawiali kurtki. Zauważyłem Pię w kącie sali – starannie zwijała w węzeł swoje długie jasne włosy i upinała je w kok. Ulżyło mi, że nic jej się nie stało, ale nie podbiegłem do niej.

Początkowo wydawało się, że obrady będą kontynuowane, jakby nic się nie stało; nie rozstrzygnięto przecież, którędy mają przebiegać kanały odprowadzające wodę, które drzewa trzeba przyciąć, bo zagrażają samochodom na parkingu, ile pieniędzy przeznaczyć na dodatkowe solenie dróg... Ale kiedy Salty stanął na podium i ustawił głośność mikrofonu, stało się jasne, że za wiele się wydarzyło. W całej auli ludzie omawiali szeptem minione wypadki, jakby wciąż nie otrząsnęli się z szoku. Jakiś maluch kurczowo obejmował matkę za szyję, a ta z płaczem dziękowała rudowłosej za szybką reakcję. Inna kobieta z marsową miną strofowała swojego męża, po czym jak burza wypadła przez tylne drzwi. Coś się zmieniło. Już nie byliśmy cywilizowaną grupą obywateli miasta, dyskutujących nad kwestiami ważnymi dla całej społeczności. Zostaliśmy zmuszeni do przelotnego zajrzenia w swoje dusze i nie wszystko nam się spodobało.

Jeden z policjantów zajął się spisywaniem zeznań świadków; mozolnie ustalał, jaką rolę odegrał każdy z uczestników zebrania. Niektórzy sprawiali wrażenie zbitych z tropu, gdy uświadomili sobie, że rzucili się do ucieczki. Inni

przechwalali się, najczęściej kłamliwie, na temat własnej bohaterskiej postawy. Z satysfakcją zrelacjonowałem wydarzenia młodemu, uprzejmemu policjantowi. Odegrałem ważną rolę, bez najmniejszej przesady, w rozbrojeniu napastnika. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś podobnego. Było to dziwne i cudowne uczucie: świadomość, że w obliczu zagrożenia stać mnie na odwagę. Podejrzywałem, że August w jakiś sposób wyzwolił we mnie ten potencjał; to on mnie zmienił.

Kiedy Salty w końcu zaanonsował, że walne zgromadzenie trzeba będzie przełożyć na inny termin, ktoś wrzasnął:

– A później się okaże, że wy z rady w dziesięcioro podjęliście już decyzje za naszymi plecami?!

– Do diabła, i co z tym planem odśnieżania? – spytał ktoś inny. – Przecież nic nie ustaliliśmy.

Salty próbował odpowiedzieć, ale jego głos utonął w ogólnym zgiełku. Jakaś niewiasta głośno prosiła o spokój, robiąc więcej szkody niż pożytku. Nie dało się przywrócić porządku. Większość obecnych przyglądała się w milczeniu lub zapinała kurtki i wychodziła.

– W tych warunkach nie da się pracować konstruktywnie! – krzyknął Salty do mikrofonu. – Nie uda nam się niczego ustalić.

– Tobie i całej radzie pewnie jest na rękę wyskok Rogera! – wrzasnęła duża kobieta w średnim wieku, opatulona w wełniany sweter. – Możecie skończyć z całą demokratyczną szopką. W dupie macie zwykłych mieszkańców, i tak przyjdzie wielka burza.

Jacyś ludzie przytakiwali, ale większość czekała na reakcję Salty'ego.

Pomysł, żeby doszukiwać się spisku w tym, co zaszło na sali, był oburzający. Wierzyć mi się nie chciało, że ludzie, których postrzegałem do tej pory jako zwartą społeczność, są tak dramatycznie podzieleni. W auli szkolnej znaleźli się ci, którzy stanowili prawo, i ci, którzy go przestrzegali, ale też ludzie nieufni i zmarginalizowani. Wściekły Roger zaledwie dwadzieścia minut temu zdołał zedrzeć z obecnych cienką warstewkę dobrego wychowania, która sklejała wszystkich w całość. Poczulem przemożne pragnienie, żeby wystąpić w obronie Salty'ego, człowieka, którego nigdy wcześniej nie spotkałem. W ciągu kilku sekund, kiedy mocowałem się z Rogerem, stałem się częścią Isole. Byłem jednym z nich.

– Salty ma rację – powiedziałem. – To zły moment. – Sam się zdziwiłem, jak donośny był mój głos.

Wszyscy nagle spojrzeli na mnie: niektórzy z aprobatą, inni z ciekawością. Kątem oka zauważyłem Pię cofającą się o dwa kroki, chyba była zakłopotana. Obejrzała się na dużą kobietę w swetrze, wyraźnie niezadowoloną z mego wystąpienia.

– Odezwali się miłośnicy autorytarnej władzy, reszta niech zamilknie – powiedziała sarkastycznie. Spojrzała prosto na mnie i wycelowała palec. – Nie próbuj mnie zastraszyć, wielkoludzie. Nie poddam się bez walki.

Nie miałem zamiaru nikogo zastraszać – prawdę mówiąc, to ta niewiasta była przerażająca – ale było już za późno, żeby się wycofać. I troszkę mi się spodobała rola Groźnego Wielkoluda.

Salty odchrząknął i rzekł bez przekonania:

– Ustalimy nową datę i zawiadomimy wszystkich. Dziękuję za przyjsście na dzisiejsze zgromadzenie.

Członkowie rady zebrali się szybko. Dołączyłem do Pii, która dość wyraźnie była obok, ale nie ze mną. Już wychodziliśmy, gdy ktoś chwycił mnie za ramię. To był Salty.

– Dziękuję za wsparcie – powiedział przyciszonym głosem. – Jestem Salty, a pan?

– Ash – odrzekłem.

– Montujemy coś w rodzaju podkomisji do pracy nad kilkoma kwestiami. Byłoby miło, gdybyś zechciał do nas dołączyć.

– Ale nic w stylu dzisiejszej debaty? – spytałem, choć już wiedziałem, że przyjmę zaproszenie, cokolwiek by to było.

– Mała nieformalna grupa – wyjaśnił, zerkając na Pię, która usiłowała podsłuchiwać, o czym mowa. – Konieczne jest skuteczne działanie. Będzie miała rolę... doradcą... Ułatwi wprowadzenie pewnych rozwiązań. Sam rozumiesz, że czas nie działa na naszą korzyść.

Wziąłem jego numer telefonu i zapowiedziałem, że się skontaktuję.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, okazało się, że Pia jest na mnie wściekła. Nie byłem na to przygotowany. Usłyszała wystarczająco dużo, żeby zorientować się, o co chodzi, i oskarżyła mnie o „podlizywanie się autorytarnej władzy”. Najwyraźniej jej kumple z ruchu prepersów uprzedzali ją, że lokalni politycy mogą szukać naszego poparcia, nie spodziewała się tylko, że tak ochoczo przyjmę propozycję, żeby wskoczyć do „gabinetu cieni”. Właśnie tego określenia użyła: gabinet cieni. Nie powinienem, ale parsknąłem śmiechem. To ją rozzłościło jeszcze bardziej, przez chwilę myślałem, że wyskoczy z jadącego auta.

Pamiętam każdy szczegół, bo czułem się tego wieczoru pełen pozytywnej energii, co dawno mi się nie zdarzyło. Pia się pogniewała, ale ja nie zamierzałem się ukorzyć. Była piękna, to także pamiętam. Policzki miała zaróżowione od zimnego powietrza, niebieska sportowa kurteczka – żartowałem, że wygląda w niej jak miś Paddington – ciasno opinała ciało. W pewnym momencie przestałem słuchać, co mówi, patrzyłem na drogę i zastanawiałem się, czy mnie dzisiaj w nocy do siebie dopuści. Byłem napompowany adrenaliną i miałem ochotę na seks.

Jednak na to nie było szansy. Pia była wściekła, i to nie w ten sposób, żeby

się godzić w łóżku, co zdarzało nam się w przeszłości. Gniew mojej żony był równie paranoiczny, co jej ostatnie obsesje, nie było w nim miejsca dla mnie.

Czułem potrzebę przzerwucenia mostów nad przepaścią, która nas podzieliła. Byłem gotów zbagatelizować ostatnią kłótnię, wkrótce o niej zapomnimy, bardziej martwiłem się tym, że wciąż oddaliśmy się od siebie. Chciałem odzyskać dawną Pię, nie tylko dla mnie, ale dla wymarzonej rodziny, którą mieliśmy stworzyć w trójkę z Augustem. Wielka Burza przeminie, a my zaczniemy nowe życie. Gdybym tylko mógł zatrzymać Pię przy sobie i jakoś poskromić jej lęki.

DZIEWIĘĆ

Śnieg musiał padać przez całą noc, zaczął zaraz po tym, gdy się położyliśmy, bo rano ziemię okrywał trzydziestocentymetrowy biały kożuch. Jednak drogi zostały odsnieżone, a szkoły były czynne. Trzeba czegoś więcej niż ćwierć metra białego puchu, żeby zatrzymać Vermontczyka w domu. Ja oczywiście tkwiłem przy komputerze. Odrobiłem trzygodzinną szycie dla klienta i przeprowadziłem dwie zbędne rozmowy telefoniczne z kolegami, z trudem koncentrując się na pracy.

O jedenastej zszedłem do kuchni i stwierdziłem, że jestem sam. Przy ekspresie do kawy znalazłem karteluszek od Pii. Musiała go zostawić, gdy byłem zajęty na górze. Był to staranny ołówkowy szkic tylnego siedzenia naszego auta widzianego z miejsca obok kierowcy. Wyglądało identycznie jak wczoraj wieczorem: kupka brudnych ubrań z lewej strony, dwie wyczytane książki za zagłówkiem z prawej, pudełko po butach na podłodze. „Przepraszam” napisała małymi literami na grzbiecie jednej z książek. Były to przeprosiny, ale też wyraz tęsknoty za naszym dawnym związkim. Przed laty, gdy jedno z nas miało problemy finansowe czy zawodowe, powtarzaliśmy sobie, że to, co naprawdę ważne, zmieści się na tylnym siedzeniu naszego auta, z nami dwojgiem z przodu. „Tylnie siedzenie” stało się w naszym prywatnym języku hasłem oznaczającym, że razem pokonamy wszystkie trudności i nie potrzeba nam wielu dóbr materialnych. Doceniłem ten gest. Poszliśmy spać pokłóceni, więc był to krok w dobrą stronę, choć oboje wiedzieliśmy, że musimy wreszcie szczerze porozmawiać. Czas płynął szybko, nie da się dłużej odkładać decyzji w sprawie Augusta. Być może rysunek zawierał subtelną aluzję, że nie ma w tej chwili w naszym życiu miejsca na nikogo innego, ale wołałem uznać go za wyciągnięcie ręki do zgody. Włożyłem karteczkę do portfela i nalałem sobie kawy.

Pomyślałem o swoim ojcu, który w takie ranki jak dzisiaj zwykł krzątać się na dworze, i zdecydowałem, że powinienem przede wszystkim odgarnąć śnieg. Dach nad gankiem już teraz uginał się niebezpiecznie, a śnieg nie przestawał padać. Porzuciłem niedopitą kawę, włożyłem ciepłe kalesony i spodnie narciarskie, flanelową koszulę, śniegowce, czapkę i puchową kurtę i byłem gotów do działania.

Ogromną szczotką, pozostawioną przez poprzednich właścicieli, sięgnąłem niezgrabnie, żeby strząsnąć z dachu nawis śnieżny. Spadło kilka dużych grud – jedna wylądowała mi za kołnierzem – ale większość pokrywy nie dała się przesunąć. Podskoczyłem kilkukrotnie, żeby ocenić, z czym mam do czynienia. Widziałem tylko grubą śnieżną powłokę, której ciężar poważnie zagrażał daszkowi nad gankiem. Coś jeszcze leżało na dachu, prawie niewidoczne z miejsca, gdzie stałem, bliżej centralnej części. Wycelowałem miotłę w tym kierunku, zamachnąłem się kilka razy i udało mi się zgarnąć więcej śniegu. Znowu

podskoczyłem – teraz mogłem dostrzec całkiem wyraźnie czarne sylwetki dwóch martwych ptaków, leżących na dachu z rozpostartymi skrzydłami, jakby coś strąciło je w locie. Nie były to tyrany, które widziałem jesienią zabite przez grad. Te ptaki były dużo większe, powiedziałbym, że to myszołowy szerokoskrzydłe, gdyby nie to, że o tej porze roku nigdy się ich nie spotyka w Vermoncie. Z drugiej strony anomalie pogodowe mogły zakłócić migrację jastrzębi. Myszołowy są szczególnie wrażliwe na zmiany pogody, bo potrzebują prądów ciepłego powietrza do przelotów na południe. Wyczytałem kiedyś, że ptaki wznoszą się w górę w kominach termalnych, a potem lotem ślizgowym uciekają przed zimą, wykorzystując ciepłe prądy. Jakże okrutna jest natura, skoro przetrwanie gatunku zależy od czegoś tak niestalego, jak bańki ciepłego powietrza wznoszące się we właściwym miejscu i czasie. Była to zbyt krucha umowa w tym nowym, bezwzględny świecie.

Na chwilę zapomniałem, że nie jest to zwykły pierwszy śnieg, zjawisko, które fascynowało mnie od dzieciństwa. Tym razem śnieżycą zwiastowała zagładę. Nie wiedzieliśmy jeszcze, czy to zapowiedź Wielkiej Burzy, czy całej serii przepowiadanych na tę zimą ekstremalnych opadów i wiatrów, ale nic już na tym świecie nie było niewinne i przewidywalne. Takie rzeczy się skończyły.

W domu rozległ się dzwonek telefonu. Wiedziałem, że to zapewne Bev z opieki społecznej. Odzywała się co kilka dni, żeby się upewnić, czy mam oko na Augusta, i zapytać, czy podjęliśmy decyzję w sprawie stworzenia dla niego rodziny zastępczej. Nie miałem ochoty na tę rozmowę. Potrzebowaliśmy więcej czasu. Nie odebrałem.

Nawet teraz, gdy wisiało nam nad głową nieuchwytnie zagrożenie, piękno Vermontu zapierało mi dech w piersi. Niebo widziane przez wirujący śnieg było srebrzyste, panowała absolutna cisza. Stojąc na podwórku, czułem się tak, jakby cały świat otulała miękka puchowa pierzynka.

Przestałem myśleć o martwych myszołowach i telefonie od Bev, starałem się skoncentrować na śniegu zalegającym na dachu nad gankiem. Stało się oczywiste, że potrzebuję lepszych narzędzi, żeby zapobiec szkodom, więc ruszyłem przez dziewiczo biały las do domu Peg tuż za drzewami. Wiedziałem, że znajdę u niej wszystkie potrzebne narzędzia.

Spacer sprawił mi przyjemność, moje buty zostawiały w puchu wyraźnie odciski i był to jedyny ślad człowieka na łonie natury. Nie przyszło mi do głowy, że Peg mogła pojechać do pracy, w końcu był to zwykły roboczy dzień.

– Ash, świetnie, że jesteś! – powitała mnie w drzwiach, jakby się mnie spodziewała. – Właśnie wpadł Salty i rozmawialiśmy o podkomisji. Potrzebujemy pomocy organizacyjnej. Na szczęście to nie moja rola.

W kuchni zastałem Salty'ego nad parującym kubkiem czarnej kawy. Podniósł głowę znad notatek, żeby się ze mną przywitać.

– Miło cię widzieć, Ash – powiedział. – Niezła kurniawa, co? Kocham pierwszy śnieg. W taki dzień jak ten trudno usiedzieć w czterech ścianach, ale mamy robotę do zrobienia.

– No, niezła kurniawa – przytaknąłem, próbując zapamiętać nowe słowo.

Widać to była ta podkomisja, o której Salty wspominał wczoraj wieczorem. Wyjaśniłem, co mnie sprowadza, i zdjęłem śniegowce. Peg zapewniła, że ma potrzebne narzędzie i mi je pożyczy, po czym usadziła mnie za stołem.

– Tytułem wprowadzenia – powiedział Salty, widząc moje zaskoczenie – nie mamy czasu na wielogodzinne bicie piany, dziesiątki zebrań i głosowań. Nadchodzą zamiecie, burze i huragany. – Machnął ręką w kierunku okna. – To akurat jest niegroźna zadymka, ale musimy się przygotować na naprawdę ciężkie opady. Na naszym terenie i przy tym stanie miejskiej kanalizacji potrzebujemy inteligentnych planów awaryjnych, jeśli chcemy przetrwać.

Miałem nadzieję, że Salty ma rację i to nie jest początek najgorszego.

Peg postawiła przede mną kubek kawy, miałem ochotę ją uściskać. Był to drobny gest życzliwości, ale zdałem sobie sprawę, że od dawna nikt się o mnie w ten sposób nie zatroszczył.

– Nie chcemy omijać normalnych procedur – pospieszyła z wyjaśnieniem Peg. – Problem w tym, że nie stać nas na deliberowanie nad każdym idiotycznym pomysłem czy atakiem hysterii. Rada jest liczna, jej posiedzenia są otwarte dla wszystkich mieszkańców. Tworzymy podkomisję, żeby uporać się z listą najpilniejszych spraw, które trzeba załatwić bez zwłoki. Rozmawialiśmy już z dwoma osobami w miasteczku. Razem z tobą będzie nas pięcioro.

– Czemu ja?

– Potrzebny nam ktoś młody, inteligentny i... bezstronny. – Salty uśmiechnął się. – Nie jesteś tu na tyle długo, żeby przesiąknąć inercją, która spowalnia działanie. Nikogo nie znasz, a w tym wypadku to zaleta. Będziesz jasno widział, jak się rzeczy mają.

– Za prawdę się nie obrażam – zażartowałem.

Nie do końca zrozumieli mój dowcip, widać zardzewiał od nieużywania.

– Naszym priorytetem jest minimalizacja ryzyka powodziowego: projekt, nad którym pracujemy już od pewnego czasu. Za chwilę powiemy o tym więcej, ale z góry uprzedzam, że jest kontrowersyjny, więc potrzebujemy mieć po naszej stronie właściciela jednej z objętych planem posesji. Łatwiej będzie przekonać pozostałych.

Kiwałem głową, choć wciąż niewiele rozumiałem. Prawdę mówiąc, nie dbałem o przyczyny; cieszyłem się, że mogę do czegoś należeć.

– Poza tym lubimy cię! – powiedziała Peg. – Dołączysz do nas?

– Oczywiście, tak. – Pokiwałem głową. – Ale czy mamy prawo powołać podkomisję?

– Pojęcia nie mam. – Peg machnęła ręką. – Pewnie nie, ale w ostatecznym rozrachunku wszyscy będą nam wdzięczni, kiedy przyjdzie powódź i okaże się, że mamy wystarczająco dużo worków z piaskiem, żeby biblioteka nie zamieniła się w basen.

To miało sens. Walne zgromadzenie mieszkańców, na którym byłem, zakończyło się fatalnie. Nie tylko dlatego, że Roger zaczął wymachiwać bronią. Ujawniło się zbyt wiele sprzecznych interesów. W takich warunkach niczego nie da się doprowadzić do szczęśliwego końca. Poza tym ufałem Peg i Salty'emu – bywałem w świecie intelektualistce i budzącemu zaufanie liderowi. Byli porządnymi ludźmi, działali w nietypowych warunkach dla dobra miasta, które kochali.

Przez dwie godziny układaliśmy listę pilnych potrzeb komunalnych, którymi komisja powinna się zająć w ciągu najbliższych tygodni. Trzeba było znaleźć miejsce na centrum kryzysowe, ustalić system łączności i osoby odpowiedzialne za kontakt z biurem gubernatora i Federalną Agencją Zarządzania Kryzysowego, określić kwotę przeznaczoną na naprawy wozu strażackiego i karetka pogotowia, przewidzieć zasięg współpracy z lokalnymi mediami na wypadek problemów z dostawami energii elektrycznej i mnóstwo innych podobnych kwestii. W sprawach praktycznych mój wkład był niewielki, ale doświadczenie biznesowe i praktyka w zarządzaniu projektami okazały się przydatne. W mieście tej wielkości nikt nie miał pojęcia, jak należy reagować na sytuacje kryzysowe tej skali – jak się później okazało, nikt nie był na to przygotowany – ale należało zrobić, co w naszej mocy.

Kiedy wreszcie zbliżyliśmy się do końca listy zadań sporządzonej przez Salty'ego, spojrzałem na Peg i spytałem:

– Powiecie mi wreszcie, o co chodzi w tych planach przeciwpowodziowych?

Peg zrobiła minę świadcząca, że teraz przejdzie do sedna sprawy. To był prawdziwy powód, dla którego byłem im potrzebny w podkomisji.

– Ash, analiza zagrożenia powodziowego dotyczy całego stanu i przedstawia rzeki i strumienie, które podczas gwałtownych burz będą wylewać. W Królestwie mamy tereny regularnie podtapiane w czasie burz i roztopów. Tak czy owak, powinniśmy się na to przygotować, zwłaszcza że grożą nam gwałtowne opady, których skutki trudno przewidzieć. Może już jest za późno...

– Jesteśmy szczególnie zaniepokojeni potokiem Isole Creek – wpadł jej w słowo Salty. – Płynie przez wiele posesji i krzyżuje się z Main Street. Gwałtowna powódź mogłaby pogrążyć całe centrum miasteczka w wodzie. Potrzebny nam jest system kanałów, który odprowadzi wodę z dala od naszych domów i sklepów, trzeba też pogłębić i poszerzyć koryto potoku. To projekt wymagający użycia ciężkiego sprzętu.

– Czy władze stanowe będą go finansować? – spytałem. – To ogromne przedsięwzięcie.

– Tak – zapewniła Peg bez wahania – ale działają opieszale. Biuro gubernatora dało radzie miasta nieoficjalną zgodę, żebyśmy zaczęli wdrażać projekt w życie. Na nasze konto wpłyną fundusze stanowe, ale sami też będziemy się musieli zaangażować. Jednak bezczynność kosztowałaby nas drożej.

– Jaka jest w tym nasza rola? – spytałem, niepewny, czemu dyskutujemy o tym przy stole kuchennym Peg.

– Musimy przekonać właścicieli gruntów, że w ich interesie jest zgoda na wykopki – wyjaśniła. – Weźmy twoją posesję, Ash. Potrzebujemy twojej zgody, żeby poszerzyć fragment strumienia przepływającego przez twoją działkę, bo to oznacza, że obetniemy ci teren o jakieś dwa, trzy metry. Tę samą rozmowę będziemy musieli przeprowadzić z osiemnastoma innymi właścicielami gruntów w Isole.

– A śnieg? – spytałem, patrząc przez okno.

– To jest problem – przyznał Salty – ale ziemia nie jest zmrożona, a jeśli, to tylko z wierzchu. Kiedy przyjdzie kolejna odwilż, będziemy jeszcze mieli czas na roboty ziemne. Ekipy spoza stanu są do naszej dyspozycji, skończą w tydzień. My musimy tylko załatwić zgody właścicieli działek z terenów zalewowych.

– I dlatego trzeba pominąć debatę w radzie miejskiej, a zacząć pukać od drzwi do drzwi? – spytałem.

– Zgadza się.

– Właśnie.

– Pomogę w każdy możliwy sposób – zadeklarowałem z przekonaniem.

Salty i Peg skinęli głowami, zadowoleni z odpowiedzi i wyraźnie na nią licząc, po czym zaczęli omawiać szczegóły planu.

Ustaliliśmy, że podkomisja, jak zamierzaliśmy ją enigmatycznie nazywać, skończyła na dzień dzisiejszy i wznowi działalność od początku przyszłego tygodnia. Salty'ego wzywały obowiązki w biurze i wszyscy mieliśmy podjazdy do odśnieżenia. Na ganku czekało już na mnie urządzenie na długiej rączce, najwyraźniej przeznaczone do odśnieżania dachów. Peg uściśniła nam dłonie i zostawiła nas samych na schodach. Grube płatki śniegu wciąż leciały z góry, połykiwały na tle ciemnego nieba.

– Rozumiesz pewnie, że działalność podkomisji należy w miarę możliwości zachować w tajemnicy – powiedział Salty, przymocowując do butów rakiety śnieżne.

Przytaknąłem.

Skończył zapinać paski i podniósł głowę. Był niższy ode mnie, ale miał dominującą osobowość.

– Ash, kocham moje miasto. Isole jest częścią cywilizowanego świata. Jednak strach wydobywa z ludzi to, co najgorsze. Eroduje więzi. Nie chcemy podważyć tradycji demokracji uczestniczącej, nigdy w życiu. Staramy się chronić

ludzi. Burza nie będzie czekała, aż skończy się demokratyczne postępowanie. Rozumiesz mnie, prawda?

Znowu przytaknąłem.

– W takim razie do wtorku.

Salty posuwał się ostrożnym ślizgowym krokiem, zniknął w sadzie Peg, zostawiając za sobą ślady rakiet na śniegu. Jego rodzinna farma znajdowała się z tej strony miasteczka, choć pieszo był to długi dystans do pokonania.

Przypomniałem sobie, że oboje z Pią mamy rakiety śnieżne, gdzieś schowane, z wakacyjnego wyjazdu do Stowe przed trzema laty. Wynajęliśmy luksusowy pensjonat wraz z dwiema innymi parami. Miał to być wypad na narty, ale pogoda nam nie dopisała – padał deszcz i było ciepło – więc spędziliśmy cały tydzień, popijając drinki, grając w gry planszowe i robiąc zakupy w przesadnie drogich butikach. Był to jeden z naszych najprzyjemniejszych urlopów, chyba właśnie wtedy zdaliśmy sobie sprawę, jak bardzo pragniemy oboje przenieść się do Vermontu. Kupiliśmy rakiety śnieżne, bo używali ich miejscowi, razem z dość kosztownym ekwipunkiem do biwakowania, który miał zamaskować naszą widoczną na pierwszy rzut oka obcość. Chcieliśmy być spaleni przez słońce i osmagani wiatrem jak tubylcy, prawdziwi ludzie gór. Najchętniej wypilibyśmy jakiś cudowny syrop, żeby mieć w sobie takie „coś” jak oni. Salty zdecydowanie to miał.

– Jak to dobrze, że już jesteś! – zawołała na mój widok Pia. Byłem przemoczony i zziębnięty, bo nie tylko torowałem sobie drogę w kopnym śniegu, ale jeszcze wlokłem za sobą pożyczone długie narzędzie.

Pia była w ocieplanych legginsach w kwiatki z garderoby małej dziewczynki, piła czerwone wino ze słoika. Było to zaskakująco serdeczne powitanie, zważywszy na niepewny grunt, na jakim znajdowaliśmy się ostatnio; łatwo zgadłem, że jej głowę zaprzętają zupełnie nowe problemy. Pociągnęła mnie za sobą do salonu.

– Musisz mi pomóc wrzucić do środka zawartość tych kubłów – oznajmiła.

Meble zostały rozsunięte na boki, żeby zrobić miejsce na drewnianą skrzynię, przypominającą rozmiarami trumnę. Obok stały cztery foliowe worki ziemi i dwa kubły z przylepioną etykietą *Eisenia fetida*.

– Co to jest, Pio? – spytałem. – I skąd się tu wzięło?

– Uspokój się – powiedziała, pewna, że wpadnę w zachwyt, gdy tylko usłyszę jej wyjaśnienia. – To kompostowiec różowy, czyli dżdżownica kalifornijska. Musimy zrobić kompost, Ash! Rozmawialiśmy o tym tyle czasu, najwyższa pora przejść do działania. Kto wie, co się stanie po Wielkiej Burzy! I nie myślę o najbliższych miesiącach, ale o przyszłości jako takiej. Trzeba będzie uprawiać własną żywność, potrzebujemy nawozów. Dodatkowa zaleta, że będziemy przetwarzać odpadki, ekorozwój i te rzeczy.

Improwizowała, więc jej argumenty wypadły słabo, ale wiedziałem, że z polemiki nie wyniknie nic dobrego.

– Właśnie teraz? – spytałem. – Na dworze śniegu po kolana. Co zrobimy z dżdżownicami w grudniu? Dlaczego akurat w grudniu zaprowadziłaś nam robale w salonie?

– Na dworze natychmiast umrą. – Spojrzała na mnie z wyrzutem, jakbym był potworem. – Zimą muszą pozostać pod dachem. To im da czas, żeby się rozmnożyć i nabrać siły przed wiosną. Myślałam, że będziesz zachwycony, że jestem taka przewidująca. Zawsze narzekasz na moją impulsywność, tymczasem to jest inwestycja we wspólną przyszłość. Mój Boże, czy już nic cię nie zadowoli?!

Ostatni wykrzyknik był teatralnym frazesem, oboje wiedzieliśmy, że nieprawdziwym. Uznałem to za ostrzeżenie, jak się skończy nasza rozmowa.

Powinienem był postawić na swoim. Powinienem wyrzucić cholerne dżdżownice z naszego salonu, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że hodowla kompostowców będzie mnie kłuła w oczy i stanie się wymownym dowodem, jak daleko rozjechały się nasze priorytety. Nie przyszło mi do głowy, że będę się czuł tak, jakby Pia wezwała na odsiecz watahę wijących się sojuszników. Będę sam przeciwko całej armii w moim własnym domu i zacznę wątpić, które z nas oszalało. Wtedy uznałem, że nie warto się kłócić o takie bzdury, bo chciałem tylko nalać sobie wina do słoika i mieć święty spokój przez resztę wieczoru.

Dżdżownice, jak łatwo przewidzieć, zostały w salonie. Moje ustępstwo było jak plasterk na ropiejącą ranę. Oboje machnęliśmy na to ręką. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy Pia nie ma racji. Chciałem mieć własny kompost. Albo raczej – chciałem stać się człowiekiem, który żyje w zgodzie z naturą. Pogodziłem się z pomysłem hodowania robaków w domu. Uznałem, że przez takie poświęcenie będę bardziej ekologiczny. W sukurs przyszło mi też poczucie humoru. Wyobrażałem sobie żarciki wymieniane w gronie przyjaciół. „Wracamy z zimowej rajzy i co widzimy? Dżdżownice oglądają telewizję i robią sobie w kuchni kanapki. Mamy teraz liczną rodzinę!”

Prawdziwy problem nie polegał jednak na tym, czy należało, czy też nie, kupić pięćset kompostowców. Nasz związek zaczął niebezpiecznie ewoluować. Rosnące zagrożenie ujawniło skrywane lęki i fobie, teraz to one sterowały naszym życiem. Boleśnie obnażyło fakt, że w głębi duszy Pia i ja wcale nie byliśmy do siebie tak podobni, jak mi się wcześniej wydawało. O tym właśnie, dzień w dzień, przypominały mi dżdżownice w salonie.

To prawda, że Pia zawsze była impulsywna. Postrzegałem ją jako pełną entuzjazmu artystkę, wolnego ducha, świadomie przymykałem oko na jej wysoki ocierające się o szaleństwo. Nie chciałem niczego w niej zmieniać, bo jej impulsywność łączyła się z kreatywnością i radosną spontanicznością. Kochałem ją taką, jaka była. Ale wtedy pojawiły się pierwsze niepokojące prognozy, a obsesje

i natręctwa Pii zaczęły rosnać, karmiąc się złymi wieściami jak nasze dżdżownice odpadkami. Wielka Burza odbierała mi żonę. Zamiast zbliżyć się do mnie w poszukiwaniu wsparcia i stabilności, stawała się coraz bardziej nieuchwytna i niezrozumiała. Było to dla mnie również – co stanowiło moją wstydliwą tajemnicę – źródłem narastającej niechęci. Jej ziarna zostały zasiane, gdy spostrzegłem, że Pia ma egoistyczną zdolność, by Wielką Burzę traktować jako czysto indywidualne doświadczenie, z którego zostałem wyłączony. Nie interesowało jej, jak ja sobie z tym radzę. Być może świadczy to o ułomności mojego charakteru, skoro czułem odrazę do osoby kwalifikującej się raczej do leczenia psychiatrycznego, ale właśnie tak zareagowałem na jej niestabilność emocjonalną. Ja również się bałem i byłem samolubny – to jedyne, co mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Czy mogłem się zdobyć na coś więcej?

Gdybyśmy mieli wspólny pozytywny cel, coś, co zmusiłoby nas do altruizmu i odpowiedzialności, może wtedy dałoby się ocalić nasze małżeństwo. Tak wtedy myślałem. Dla mnie tym celem stał się August.

– Przemysłałaś sprawę Augusta? – spytałem.

– Tak. – Odwróciła się do mnie twarzą i westchnęła. – Martwię się, że moglibyśmy zarazić go strachem. Mnóstwo go między nami, już nie dostrzegamy, jaki jest toksyczny.

Mówiła szczerze. Widziałem troskę w jej oczach, tym razem niezmaconą przez próbę osądzania mnie, jak to było przy pierwszej rozmowie na ten temat. Wziąłem ją w ramiona i ukryłem twarz w jej włosach. Przyłgnęła do mnie na chwilę, zanim znów zeszywniała.

Miała rację. Jednak strach był nie tylko między nami; był wszechobecny. Ludzie wydychali go z siebie na innych przy każdym kontakcie, przenosił się jak śmiertelna zaraza. Ludzkie ciała produkowały hormony strachu, strach płynął w naszych żyłach i parował z potem, plamił ubrania i zatruchiwał zbiorniki wody. Strach nadawał smaku potrawom i wibrował w najdrobniejszych nerwach. Nie chciałem zarazić strachem Augusta, ale był na to skazany, w ten czy inny sposób.

Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy zgłosić się do psychoterapeuty albo pójść na terapię małżeńską, żeby specjalista pomógł nam przepracować nasze problemy. Tak by się zachowali rozsądni, dojrzały ludzie. Jednak nie mogłem tego zaproponować, Pia nigdy by się na to nie zgodziła. Strach, o którym mówiła, nie był paranoją albo urojeniami chorej osoby. Do pewnego stopnia była to naturalna i logiczna reakcja na zagrożenie. Wielka Burza miała nadejść i żaden psychiatra nie mógł tego zmienić.

Przed laty Pia chodziła do psychologa. Cierpiała na bezsenność i oboje uznaliśmy, że terapia zmniejszy zaburzenia lękowe, znaleźliśmy więc w sąsiedztwie dobrodusznego specjalistę, który leczył na ubezpieczalnię. Początkowo wydawało się, że terapia jej pomogła. Była wyciszona, bardziej

racjonalna, a to mnie przekonało, że Pia dochodzi do siebie. Dopiero później odkryłem, że to iluzja. Spokój gdzieś się rozwiął i jedyne, co wynosiła z kolejnych sesji, to fachowe terminy, którymi wyjaśniała swoje chwilowe napady manii. Możliwe, że miała złego terapeuta, ale podejrzewałem, że po prostu owinęła go sobie wokół palca, tak jak mnie wcześniej. Pia była zafascynowana ideą introspekcji, ale odporna na korzyści płynące z psychoterapii. Po sześciu miesiącach znudziła się i poszła na lekcje tańca współczesnego, które miały mniej więcej ten sam efekt.

Prawdę powiedziawszy, to ja mógłbym najbardziej skorzystać w Nowym Jorku z sesji u psychologa. Pia świetnie sobie radziła ze swoimi dziwactwami, mnie natomiast brakowało samoświadomości. Zachowywałem się jak człowiek szczęśliwy, co wcale nie oznaczało, że byłem szczęśliwy. Szybko się nudziłem i traciłem zainteresowanie dla kolejnych hobby, a wraz z nimi znikali z horyzontu przyjaciele. Dopiero w Vermoncie wszystko się zmieniło. Od momentu, gdy znalazłem Augusta w lesie, a jeszcze bardziej od chwili, gdy obezwładniłem Wściekłego Rogera na walnym zgromadzeniu, wszystko nagle pojawiło się na właściwym miejscu. W Isole żyłem każdą komórką ciała: angażowałem się w opiekę nad chłopcem z sąsiedztwa, działałem w tajnej komisji i opracowywałem projekt odśnieżania. Byłem tym wszystkim przejęty i zdopingowany. I byłoby świetnie, gdyby nie fakt, że wszystko to pogłębiało przepaść między mną a żoną. Mój świat stawał się większy, bardziej otwarty – jej się kurczył i zamykał.

Trudno przesądzić, na ile zmiany w naszym związku można przypisać wiszącej nad nami groźbie Wielkiej Burzy, myślę jednak, że był to istotny czynnik. Wszyscy wtedy odkryliśmy, kim jesteśmy naprawdę – strach obdarł nas z masek. W miesiącach poprzedzających Burzę to samo działo się między ludźmi w wielu domach, w różnych miastach, w całym kraju, ale wtedy tego nie wiedzieliśmy. Wydawało mi się, że spotyka to tylko nas: Pię i mnie oraz mieszkańców Isole; że tylko my dzielimy się na frakcje, kłócimy i zwracamy przeciw sobie.

DZIESIĘĆ

– Burza zabierze ci dom, majątek, środki do życia i nawet ludzi, których kochasz. Nie wolno nie doceniać potęgi natury, bo to oznaczałoby lekceważenie potęgi Boga. Nadchodzi coś większego niż ludzie. Wielka Burza każe nam stanąć w prawdzie i wyznać swą wiarę. Potop zaleje tysiące kilometrów kwadratowych Ameryki Północnej i na zawsze zmieni oblicze tej ziemi. Chcecie pójść na zatracenie razem z falą? To jest wybór, który staje przed wami. Jeszcze czas, możecie się przygotować.

To był nowy głos wyrażający ludzkie lęki: Rodney Riggins, meteo-ewangelista.

Rodney Riggins – urodzony w Kanadzie ateista, który kilkakrotnie wymyślał sobie nową misję, aż wreszcie spełnił się w roli posłańca Bożego – był oportunistą pierwszej wody. Jego nauczanie, na oko judeochrześcijańskie, było wolne od biblijnych wersetów, za to pełne ludowych mądrości. Uważnie sprawdzał, kim będą jego słuchacze, i dostosowywał do nich swoje kazania, w Nowym Orleanie wygłaszane w kreolskim *patois*, w Baltimore ze staranną wymową przednich samogłosek, a w Vermoncie z fałszywym nowoangielskim akcentem, który pozwoliłby mu udawać swojaka w knajpie w Isole. Riggins miał do przekazania prostą i łatwą do przyswojenia naukę: w obliczu zagłady nie jest ci potrzebny instytucjonalny kościół; trzeba się komunikować bezpośrednio z Bogiem, czuć respekt przed ziemskimi żywiołami i przygotować się na każdą okoliczność („Módl się, nie trać głowy, bądź gotowy!”). Dla mieszkańców Isole jego nauczanie odwołujące się do pragmatyzmu i osobistej uczciwości, z odpowiednią dozą złowieszczych przepowiedni, brzmiało wiarygodnie. Kupili to. Tym, co sprzedawał Rodney, nie był wyłącznie Bóg. Miał udziały w rosnącym przedsiębiorstwie produkującym zestawy surwiwalowe na wypadek katastrofy żywiołowej. Na tę transakcję przychodziła pora później, po pozyskaniu wyznawców.

Vermont był pierwszym przystankiem Rigginsa na jego trasie po Wschodnim Wybrzeżu, więc nikt jeszcze o nim nie słyszał, gdy w pierwszy piątek grudnia przybył przemawiać do kilkuset osób w pobliskim St. Johnsbury. Jego odczyt nazywał się „Meteorologia i duchowość: bądźmy gotowi”, a chociaż bilety sprzedawano po dwanaście dolarów (nawet czternaście w pierwszych rzędach), rozeszły się tak szybko, że zorganizowano dodatkowe występy w sobotę i niedzielę. Gospodarzem wydarzenia był Kongregacyjny Kościół Królestwa Bożego, wielce szanowany filar miejscowej społeczności. W całym regionie znany był ze zbiórek charytatywnych i zaangażowania w działalność publiczną. Większość swoich dochodów przeznaczal na programy pozaszkolne dla dzieci z najuboższych rodzin. Po latach troszczenia się o innych doprowadził do tego, że

budynki kościelne były w tak żalnym stanie, że groziło im zamknięcie przez inspekcję budowlaną. Rodney Riggins w zamian za wynajęcie sali na odczyty wpłacił pokaźną kwotę na remont kościoła. Obie strony na tym zyskiwały.

Myślę, że ludzie szukali informacji na temat przyszłości. Władze federalne wносиły niewiele nowego poza bezużytecznymi cotygodniowymi prognozami meteorologicznymi, a ludzie rozpaczliwie poszukiwali czegoś, co im da poczucie, że odzyskują kontrolę nad własnym losem. Tak było wszędzie, nie tylko w naszym miasteczku, stanie czy nawet regionie. Rodney Riggins pojawił się we właściwym miejscu i czasie.

Nie miał pojęcia o meteorologii ani religii, ale był wystarczająco cwany, żeby w Nowej Anglii nie odgrywać kaznodziei. Jego dwugodzinne kazanie przypominało praktyczne instrukcje, w jaki sposób przetrwać koniec świata. Zaczął od opowieści o zniszczeniach – od złowieszczonego i drobiazgowego opisu horrorów, z którymi będziemy się zmagać podczas Wielkiej Burzy; mówił o zrujnowanych domach, bezładnej ucieczce, panice, śmierci. Było to obrazowe i przerażające. Potem przeszedł do refleksji egzystencjalnej. „Dlaczego to na nas spada i jaki właściwie ma sens?”, pytał, przybierając łagodny wyraz twarzy. „Może nigdy nie zrozumiemy, dlaczego matka natura zsyła na nas kary. Umówmy się, że na to pytanie być może nie poznamy odpowiedzi. Pytanie »dlaczego?« jest jałowe, a my w Nowej Anglii nie lubimy tracić czasu! Musimy skoncentrować całą energię na wyborze właściwej drogi: drogi do bardziej godnego życia. To oznacza docenianie cudownego daru, jakim jest wasza społeczność, i czynienie wszystkiego, co w waszej mocy, aby jedni troszczyli się o drugich. Nadchodzi Burza, dobrzy ludzie. Spotkajmy ją z odwagą, miłością i dobrze przygotowani!”.

Zgromadzeni odpowiedzieli kiwaniem głowy i uprzejmymi oklaskami – co dla Vermontczyków w kongregacyjnym kościele oznaczało wybuch gorącego entuzjazmu. Riggins już ich złowił.

Nie byłem na jego pierwszym wystąpieniu w St. Johnsbury – podobnie jak większość mieszkańców Isole. Jednak pełny tekst kazania został opublikowany jako płatne ogłoszenie w niedzielnym wydaniu gazety i już wkrótce wszyscy mieli wrażenie, że byli świadkami tego wydarzenia. Kiedy Riggins zaczął zostawiać ulotki w całym mieście, oferując darmowe konsultacje, jak należy zabezpieczyć dom, i wyjątkowo okazijną cenę na plecaki ewakuacyjne pierwszej potrzeby, został powitany z otwartymi ramionami.

Kolejne walne posiedzenie mieszkańców zwołano kilka dni po prezentacji Rigginsa. Było to pierwsze zebranie publiczne po historii z pistoletem, a chociaż zazwyczaj frekwencja była mizerna, tym razem aula została zapełniona. Znalazłem się tam w dwojakiej roli: jako mieszkaniec Isole i jako sekretny agent podkomisji. Salty postanowił omówić wszystkie drobiazgi, dać ludziom czas, żeby się wygadali, również w przypadku, gdy dyskusja zejdzie na manowce, wreszcie

zakończyć zebranie o ustalonej godzinie, nawet jeśli nie uda się przegłosować większości wniosków. Najwyraźniej taka jest naturalna tendencja wszystkich publicznych zgromadzeń, więc Salty czuł się usprawiedliwiony, że nie usiłuje wycisnąć więcej z niewydolnego systemu. Podkomisja zajmie się później prawdziwym rozwiązywaniem problemów.

Zaczęło się jak zwykle, w dobrej atmosferze, jednak wkrótce, jak przewidział Salty, nie dało się zapanować nad dyskusją. Miał trochę za bardzo zadowoloną minę, gdy siedział w prezydium i przysłuchiwał się sporom farmerów, czy nie należy ograniczyć dni, w które nawozi się pola obornikiem. Oparłem się plecami o ścianę, August siedział na podłodze u moich stóp i ćwiczył sztuczki karciane. Podobała mi się ochoczość, z jaką przyjmował najdziwniejsze propozycje. Pia poszła na spotkanie prepersów, jej nieobecność była mi na rękę.

Ludzie spierali się, ale z szacunkiem dla przeciwnika, i stanowczo zbyt rozwlekale omawiali jakieś nieistotne kwestie. Błądziłem myślami, aż starszy człowiek w porządnej flanelowej koszuli podniósł rękę.

– Chciałbym zgłosić sprawę, która nie znajduje się w dzisiejszej agendzie – powiedział, gdy wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Trochę to nietypowe jak na nasze miasto, ale uważam, że powinniśmy zaprosić pana Rodneya Rigginsa do Isole na odczyt. To nas nic nie kosztuje, wystarczy zgoda na udostępnienie sali gimnastycznej. Wierzycie w Opatrzność czy nie, myślę, że wszyscy skorzystamy, mogąc go posłuchać.

Po serii weekendowych kazań w St. Johnsbury Riggins zarzucił całą okolicę lśniącymi ulotkami reklamującymi warsztaty „Twarzą w twarz z zagrożeniem”, na których obiecywał przygotować słuchaczy wszelkich wyznań do „największej burzy w ich życiu”. Nie widziałem go nigdy na oczy, ale szczerze znienawidziłem, bo uznałem go za typ domokrażcy, natarczywie wpychającego swój towar.

– Nie ma mowy! – krzyknęła kobieta, która podobnie jak ostatnio miała na sobie gruby, robiony na drutach sweter. Wzięła się pod boki i patrzyła na starszego mężczyznę bez sympatii. – Religia nie ma nic wspólnego z problemami obywateli, Artie. Ty i podobni tobie bigoci możecie się modlić do upojenia, ale nie w budynku użyteczności publicznej.

Kilka osób z ociąganiem pokiwało głowami, wyraźnie nie chcąc sprawić przykrości staruszkowi, ale wierząc w zasadę rozdzielenia kościoła od państwa, na którą się powołała kobieta.

– To nie jest religia – odparł uprzejmie starszy człowiek. – Bardziej filozofia czy światopogląd. Wielu osobom trafi do przekonania. Nie różni się aż tak bardzo od wiary twoich przyjaciół prepersów, że rząd usiłuje was dopaść. Wam też pozwolilibyśmy skorzystać z publicznych pomieszczeń, gdybyście ich potrzebowali.

Parę osób zachichotało, ale reszta milczała.

– To karykaturalne przedstawienie naszej idei – oburzyła się kobieta. – Prepersi są jedyną grupą w tym mieście, która jasno widzi zagrożenia. Myślicie, że te barany was uratują, gdy załamię się cały system? – Wskazała ręką na prezydium.

– Salty, wprowadź tu trochę porządku! – huknął mężczyzna w średnim wieku, z dzieckiem na ręku. – Szkoda czasu na głupoty. Co o tym myślisz?

Wiedziałem, że Salty uważał Rodneya Rigginsa za oszukańczego akwizytora, więc ze zdumieniem usłyszałem, jak mówi:

– Decyzja należy do mieszkańców. Proponuję poddać sprawę pod głosowanie. Jeśli nasi obywatele chcą wykorzystać zasoby publiczne, takie jak szkolna aula, na wydarzenie religijne, mają do tego prawo. Zarządzam głosowanie w przyszłym tygodniu.

– Skandal – prychnęła kobieta w swetrze. Wkładała płaszcz i zbierała swoje rzeczy. – Naprawdę nie wiem, po co jeszcze przychodzę na te głupie nasiadówki. To zwykła szopka. Jeśli w tym pomieszczeniu jest ktoś dorosły, kto chce zmierzyć się z rzeczywistością, niech przyjdzie na zebranie prepersów we wtorek.

Wyszła, trzaskając drzwiami.

Zapanowała cisza, którą przerwał starszy pan, ten sam co poprzednio:

– Dzięki Bogu za małe cuda. – Ludzie roześmiali się, ale jakoś niewesoło.

Isole nie było przyzwyczajone do otwartego sporu, ale nie tylko głośna kłótnia martwiła obecnych. Narastała presja, żeby się opowiedzieć po jednej ze stron w coraz ostrzejszym konflikcie. Isole było do tej pory spokojnym miastem zasiedlonych od pokoleń farmerów, ludzi ciężko pracujących fizycznie. W ostatnim okresie osiedlali się tutaj wielkomięjscy przybysze. Teraz nagle się okazało, że społeczność dzieli się na paranoicznych prepersów, fanatyków religijnych i marionetki w rękach rządu. Wystarczyło się rozejrzeć po twarzach zgromadzonych, aby dostrzec, że niektórzy już podjęli decyzję, czyją stronę wybiorą. Inni wciąż byli oszołomieni, nieświadomi, że nie da się od tego wykręcić.

– Ty oczywiście jesteś jedną z marionetek – powiedziała Pia, gdy wieczorem relacjonowałem jej przebieg zebrania. Uśmiechała się, jakby miał to być żart, ale oboje wiedzieliśmy, że mówi serio. – Dziwię się, że masz jakieś wątpliwości. – Podwinęła nogi pod siebie i uważnie studiowała książkę o wekowaniu żywności. Byłem pewien, że nie zrobi z tej wiedzy żadnego użytku, jednak podobała mi się idea robienia własnych zapasów. – Od czasu kiedy dołączyłeś do tajnej komisji, twój los został przesądzony. Zostałeś agentem rządowym. – Pociągnęła łyk wina ze słoika.

Poszedłem do lodówki po piwo. Nie powinienem dać się sprowokować do kłótni, ale tym razem nie potrafiłem odpuścić.

– W takim razie nie ma też wątpliwości, kim ty jesteś! – zawołałem z kuchni.

– Poczujesz się lepszy, bo nazwałeś mnie wariatką? – spytała, odrzuciwszy książkę. – Wmawiasz sobie, że będziesz ostatnim racjonalnym człowiekiem na

ziemi, gdy wszystko szlag trafi i będziemy mogli liczyć tylko na siebie? Nadal będziesz włączał idiotyczne prognozy pogody z Białego Domu i uczestniczył w cholernych komisjach, kiedy wszystko spłynie z wodą?

Wydudliłem piwo i z rozmachem odstawiłem butelkę.

– Nie mogę sobie pozwolić na takie nierozsądne wysoki jak ty. Ktoś w tym związku musi być odpowiedzialny. Czy sprawia mi szczególną frajdę płacenie rachunków, wynoszenie śmieci, ubezpieczenie domu przed powodzią, kupowanie opon zimowych i cała reszta przyziemnego gówna, którym nie zawracasz sobie głowy? Tak, do pewnego stopnia czuję się lepiej, gdy mam pewność, że nasze życie toczy się jak zwykle. I przepraszam, że zaprzątam twoją śliczną główkę takimi prozaicznymi głupotami.

Twarz Pii wykrzywiła się, a łzy gniewu popłynęły jej po policzkach.

– Co się z nami dzieje? Mam wrażenie, że mnie nienawidzisz.

– Nie wiem. – Potrzaskałem głową, zaskoczony własnym wybuchem. – Jesteś moją żoną, Pio. Ożeniłem się z tobą, chciałem mieć rodzinę i przeżyć z tobą w szczęściu wiele, wiele lat. Kocham cię. – Zamierzałem mówić spokojnie, ale w głosie pojawiły się histeryczne tony. – Nie da się żyć długo i szczęśliwie w podziemnym bunkrze w twojej postapokaliptycznej przyszłości.

Jej oczy znów napełniły się łzami. Nie wiem, co mnie skusiło, ale rozmyślnie dolałem oliwy do ognia.

– Nie chcesz mieć dzieci, bo sama jesteś dzieckiem.

Pia cisnęła książką przez cały pokój, aż odbiła się od ściany i wylądowała na skrzyni z dżdżownicami. Wybiegła do kuchni, skąd doszły mnie odgłosy odkorkowywania kolejnej butelki i cichy płacz, jednak na tyle głośny, żeby wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia. Chciała, żebym pożałował swego okrucieństwa. Jej płacz nie był oznaką słabości, ale odpowiedzią na agresję z mojej strony. Byłem wściekły. Nienawidziłem kłótni, ale tym razem nie zamierzałem się wycofać. Od miesięcy nie rozmawialiśmy o dzieciach, to zaczynało mnie niepokoić. Pia porzuciła myśl o ciąży w momencie, gdy ja zacząłem się z nią oswajać.

Włożyłem ciepłą kurtkę i wyszedłem z butelką zimnego piwa na ganek od frontu, zostawiając Pię w domu, we łzach. Nie zamierzałem dawać jej satysfakcji jako niemy widz.

Za tydzień święta Bożego Narodzenia; ziemię pokrywała gruba śnieżna pierzyna. Nie mieliśmy przybranej świąteczkami choinki, prezentów, niczego, co by wskazywało, że mieszka tu rodzina gotująca się do radosnego świętowania. Po raz pierwszy w życiu nikomu nie zależało. Nawet świriędzy rodzice Augusta owinęli dziką jabłonkę paroma sznurami kolorowych lampek, widziałem, jak migoczą pomiędzy nagimi gałęziami drzew dzielących nasze domy. I nagle wszystko wydało mi się tak rozpaczliwie smutne, że zacząłem płakać.

Huśtawka na galeryjce była lodowato zimna, w mdłym świetle lampy widziałem mój oddech zamieniający się w parę. Naokoło było zbyt ciemno, żeby obserwować cokolwiek poza niebem. Wcześniej, gdy noce były ciepłe, mogłem godzinami siedzieć na tej huśtawce i śledzić śmigające nade mną nietoperze, ale i one odeszły, pogrążone w hibernacji. Na świecie nie było nic, co łagodziłoby moją samotność.

Plakaliśmy teraz oboje, nienawidząc tej sytuacji, ale jeszcze nie siebie nawzajem. Nie skłamałem, kiedy powiedziałem Pii, że ją kocham. Jednak miłość niczego nie zmieniała, bycie razem było trudne i nieprzyjemne. Pia izolowała się ode mnie, a ja bardziej niż kiedykolwiek pragnąłem kontaktu z drugim człowiekiem. Wiele się zmieniło, od kiedy zamieszkałem w Isole: znalazłem nowych przyjaciół i zaopiekowałem się Augustem – a to pozwoliło mi sobie uświadomić, jak bardzo byłem sam. Zrobiło mi się żal siebie – tego Asha, który tak długo tolerował samotność, że nawet jej nie zauważał.

JEDENAŚCIE

Miałem zamiar przymknąć oczy na kilka minut, poczekać, aż piwo rozgrzeje mi głowę, a Pia pójdzie do łóżka. Jednak musiałem spać ponad godzinę, bo krzyż mnie bolał od twardej huśtawki, a nos miałem jak sople lodu. Obudziło mnie skrzypnięcie drzwi gdzieś w oddali. Było przeciągłe, ostrożne, jakby tajemnicza osoba chciała przemknąć się niezauważona. Nikt inny nie zwróciłby uwagi na ten odgłos, jednak ja tyle razy słyszałem skrzypienie tylnych drzwi w domu Augusta, że natychmiast rozpoznałem ten dźwięk. Był środek nocy w grudniu, a August wymykał się do lasu.

Zerwałem się, zdałem sobie sprawę, że jest ciemno jak oko wykol, więc muszę się poruszać powoli, żeby nie upaść. Nie chciałem wołać Augusta. Zamierzałem złapać go bez budzenia żony, rodziców i całej reszty świata.

Zajął mi chwilę znalezienie ścieżki łączącej nasze domy, zacząłem nawet lekko panikować i machałem ramionami w ciemności. Wreszcie wpadłem w wydeptaną koleinę i runąłem przed siebie, wyęzając wzrok. Gdzieś z przodu mignęło mi światelko, pobiegłem szybciej. Kiedy wyłoniłem się spomiędzy drzew, August wyczuł moją obecność i zatrzymał się jak wryty.

– Ash? – wyszeptał wystraszony.

– Tak, to tylko ja, stary. – Wymacałem plecak, przygarnąłem do siebie jego głowę. – Co ty wyprawiasz? To niebezpieczne. Wiesz, że ci nie wolno. Dlaczego wyszedłeś?

– Muszę sprawdzić szalás. Może jakieś zwierzęta będą potrzebowały miejsca na sen zimowy.

August zdawał się mówić o czymś najbardziej oczywistym. Szukałem jego oczu z nadzieją, że wyczytam w nich coś więcej. Jeśli istniała inna odpowiedź, może nawet nie był jej świadom. Zaprowadziłem go do swojego domu, przytrzymując za plecak jedną ręką. Może nie uciekał przed niczym okropnym, jednak dorośli zostawili go samego, pozwolili na to, żeby bujna wyobraźnia wyгнаła go w nocy do lasu – to już było wystarczająco przerażające. Co by się stało, gdybym nie siedział na ganku i go nie usłyszał? Nawet nie chciałem myśleć, jak to się mogło skończyć.

Wprowadziłem Augusta przez frontowe drzwi do salonu, usadowił się wygodnie na kanapie. Opowiadał mi sennie o strukturalnych słabościach szalasu i konstrukcji, którą trzeba koniecznie wzmocnić, gdy w kuchni przygotowywałem dla niego kanapkę z masłem orzechowym. Okazało się, że na dach trzeba będzie dorzucić więcej sosnowych gałęzi, legowisko też nie zostało skończone... Coś jeszcze o sekretnym wejściu...

Kiedy chwilę później wróciłem z kanapką, już spał.

Usiadłem na owalnym dywaniku. Nie było mi wygodnie, ale nie chciałem się stąd ruszać, żeby nie oddalać się ani na krok od małego, skulonego ciała. Siedziałem więc i myślałem, co dalej robić. Jutro dam Augustowi śniadanie i upewnię się, że jego rodzice odwiozą go do szkoły, jednak nie zamierzałem informować o zajściu pracownicy opieki społecznej. Mogłem przewidzieć jej reakcję, a potrzebowałem więcej czasu, żeby namówić Pię do adoptowania chłopca. Będę musiał jej opowiedzieć, jaki byłem przerażony, gdy jego niewielka sylwetka niemal zniknęła mi w ciemnym zimowym lesie. To ją przekona. Dzisiejsze wydarzenie dowiodło niezbitnie, że August nie potrzebował „jakiejś osoby”, która zabierze go z domu od zaniedbujących go rodziców; potrzebował kogoś, kto rozpozna w ciemności odgłos jego kroków, kogoś, kto rozumie, jaki tajemny głos wabi go do lasu i jakie zwierzęta są jego przyjaciółmi. To ja byłem tą osobą – a ja też go potrzebowałem.

Wyciągnąłem się na wełnianym dywaniku, podkładając sobie pod głowę bluzę, którą mały zrzucił kilka minut temu. Zasnąłem, trzymając go jedną ręką za zwisającą z kanapy łydkę.

DWANAŚCIE

Szedłem przez korytarze gmachu sądu w Isole na spotkanie podkomisji w biurze Salty'ego i czułem się jak młody praktykant, który stara się robić dobrą minę mimo narastającej tremy. Brało się to zapewne z poczucia winy, bo stanowczo za mało czasu poświęcałem pracy zarobkowej. Była szósta po południu, pierwsza środa stycznia, sąd sprawiał wrażenie opustoszałego. W dużym, acz skromnie umeblowanym biurze Salty'ego zastałem już Peg, tym razem w nobliwym stroju, uśmiechającą się do mnie życzliwie. Obok siedzieli Bill i Bob, dwaj inni konspiratorzy. Bill był księgowym (i skarbnikiem rady miejskiej); Bob miał sklep ze sprzętem sportowym i turystycznym na Main Street. Widać było, że przyjaźnią się całe życie – razem kończyli szkołę i rozpoczynali pracę zawodową, ich rodziny wspólnie spędzały wakacje. Nie miałem bliskiego przyjaciela od studiów, a to było, jeszcze zanim zacząłem spotykać się z Pią. Trochę mnie śmieszyło, trochę zaś rozczulało, gdy Bill i Bob kończyli za siebie zdania – ale im zazdrościłem. Obaj mieli flanelowe koszule w kratkę, strój, który odkryłem dopiero ostatnio, i wysokie trzewiki, kojarzące mi się z weekendem, nie z dniem roboczym, ale wszystko schludne i odprasowane.

Siedzieliśmy w piątkę wokół okrągłego stołu w ascetycznym gabinecie i piliśmy bezkofeinową kawę nalewaną z termosu. Salty był nieoficjalnym liderem naszego gangu, ale to Peg miała odpowiedzi na wszystkie pytania. Od ośmiu lat mieszkała w Isole i w tym czasie zdążyła poznać wszystkich mieszkańców i rozeznać się w działaniu służb municypalnych.

– Podczas badań terenowych musiałam pozyskiwać sobie tubylców – wyjaśniła z silnym irlandzkim akcentem. Była botaniczką, miała badać rośliny, ale zdaje się, że z równym zapałem obserwowała ludzi.

Bardzo sprawnie omówiliśmy kolejne punkty. Budynek liceum miał być przekształcony w tymczasowe schronisko dla mieszkańców, gmach poczty był rozwiązaniem alternatywnym. W obydwu zostaną zainstalowane agregaty prądotwórcze; w ciągu tygodnia przygotowane będą szalunki do zabezpieczenia okien. Bill jako skarbnik miał prawo akceptować wydatki z miejskiej kasy, a skoro na samym początku założyliśmy, że nie będziemy się z nikim konsultować, decyzje zapadały bardzo szybko. O zgodę (lub przebaczenie) będziemy prosić później. Było to krańcowo niedemokratyczne i wyjątkowo produktywne.

– Następna sprawa – powiedziała Peg – to plan przeciwpowodziowy. Śnieg zaczyna topnieć, a ziemia jest zamrożona tylko powierzchniowo, powinniśmy natychmiast wziąć się do roboty, jeśli mamy zdążyć przed kolejnymi opadami atmosferycznymi. Podzielmy się obowiązkami.

Rozłożyła przed nami wielką mapę, na której zaznaczony był przebieg Isole

Creek i proponowane nowe odpływy, które skierowałyby wodę z dala od centrum miasteczka, na niezagospodarowane bagienne tereny. Przy kanałach narysowane były domki i zapisane nazwiska rodzin, do których należały poszczególne działki – to byli ludzie, których zgodę należało uzyskać.

W milczeniu czytaliśmy nazwiska, większości nie znałem.

– Tu nie będzie problemu. – Salty postawił krzyżyk przy domu najwyraźniej zamieszkanym przez rozsądnych właścicieli. – Zadzwonię do Carla dziś wieczorem, na pewno się zgodzi... i Girardowie... i LeChamp... Kelly także... oni na pewno zrozumieją.

Salty wziął w kółka kilka innych domków.

– Przewiduję, że z tymi ludźmi możemy mieć pewne problemy – stwierdził. – Trzeba będzie pójść i przekonać każdego z osobna, że miasto na nich liczy. Nie jestem pewien, z jakim skutkiem.

– Ash, niektórych już poznałeś – powiedziała Peg.

– Naprawdę?

– Ten tutaj... – Wskazała na dom na skrzyżowaniu strumienia i kanału odpływowego. – Jest jednym z przyjaciół twojej żony, należy do prepersów.

Nie wiedziałem, że Peg orientuje się w zainteresowaniach Pii oraz jej organizacyjnym zaangażowaniu. Zacząłem też rozumieć, że w miasteczku tej wielkości nie da się niczego zachować w sekrecie.

– Mówiąc bardziej precyzyjnie, jest ich lokalnym liderem.

Od razu pojąłem, o kim mówi.

– Crow?

– Zgadza się, Crow. Mamy pecha. Jego działka znajduje się w newralgicznym punkcie, tymczasem przewiduję, że nie będzie chciał pójść nam na rękę.

– Ale bądźmy sprawiedliwi – dodał Salty – bo potrzebujemy przeryć całkiem spory kawał jego podwórza, żeby przekopać odpływ. Nie chodzi o drobiazg. Ma prawo zrobić z tego aferę.

– Bob i ja weźmiemy na siebie ten odcinek – powiedział Bill, wskazując na inną odnogę kanału przeciwpowodziowego. – Wszystkie posesje znajdują się między naszymi domami i każdego tam znamy.

– Świetnie. – Peg zabębniła palcami o mapę. – Pogadajmy z kim się da w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin. W ten sposób będziemy gotowi przed kolejnym ociepleniem. Salty, weźmiesz na siebie chałupy na wschodzie, blisko twojej farmy? Ja pójdę do Crowa i paru innych problematycznych. Ash, idziesz ze mną.

– Teraz?

– Oczywiście – roześmiała się. – Po co to odkładać?

Rozstaliśmy się na parkingu przy gmachu sądu, każdy wsiadł do swojego

auta i rozjechaliśmy się w różne strony. Siedziałem jako pasażer w subaru należącym do Peg i słuchałem jej wyjaśnień na temat legalności przedsięwzięcia.

– Zapewne moglibyśmy przeprowadzić procedurę wywłaszczenia – powiedziała, gdy skręciliśmy na główną drogę. – Miasto albo nawet władze stanowe mają bardzo poważne argumenty, w dodatku taki był ich oryginalny plan. Problem w tym, że byłoby to bardzo kosztowne i trwało latami. Isole nie ma pieniędzy na wypłacenie odszkodowań właścicielom działek. Taka opcja nie wchodzi w grę, nie teraz, gdy zbliża się Wielka Burza. Jeśli mamy wdrożyć w życie projekt przeciwpowodziowy, musimy działać szybko. Gdybyś spytał mnie o to przed sześcioma miesiącami, powiedziałabym: kaszka z mleczkiem. Mieszkańcy Isole twardo chodzą po ziemi. Przynajmniej do tej pory tak uważałam. Teraz sama nie wiem. Nagle patrzą na siebie wilkiem. Wszyscy mamy inne pomysły, jak przygotować się na nadejście kataklizmu... i jaka jest nasza odpowiedzialność wobec środowiska naturalnego.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. A co ty o tym sądzisz?

Peg zjechała z głównej drogi na polną, wyboistą; ciemno tu było jak oko wykol, mimo śniegu przykrywającego ziemię.

– Powinniśmy pamiętać, że jesteśmy na Ziemi tylko przejściowymi lokatorami – powiedziała. – Ziemia nie należy do nas, nie możemy rościć do niej żadnych praw. Powinniśmy pamiętać o przyszłości, bo jakaś nadejdzie, kiedy nas już nie będzie.

Zastanowiłem się nad jej słowami, gdy zagłębiliśmy się w las.

– To tutaj. – Peg wyłączyła silnik.

Zgasły reflektory i zapanowały egipskie ciemności. Nie byłem w stanie rozpoznać, czy jesteśmy jeszcze na drodze, czy już w rowie. Przez chwilę staliśmy, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Za ścianą sosen dostrzegłem wrośnięty w ziemię barak oświetlony przez kilka żarówek zwisających z daszku. Przed nim zaparkowane były dwa auta, które zdawały się rdzewiejącymi wrakami. Ze śniegu wystawała rączka kosiarki do trawników. Wiejska rezydencja Crows nie przypominała mojej: mieszkał w podupadłym domu na uboczu, trudno tu było znaleźć wyznaczniki przynależności do klasy średniej, jak stojaki na narty czy oranżerie. Crow był biedny. Z szopy gdzieś w głębi dobiegło nas szczekanie, poczułem się niepewnie, nie wiedziałem, jaka właściwie ma być moja rola. Może i byłem rodowitym Vermontczykiem, ale tutaj czułem się jak intruz.

– Nie musisz się odzywać, ja zacznę rozmowę – uprzedziła mnie Peg, która wyczuła moje wahanie. – Przekonasz się, że to całkiem miły facet.

Pokonaliśmy zaspę topniejącego śniegu, aż znaleźliśmy się tak blisko, żeby zobaczyć dwa okienka częściowo przysłonięte rękami. W środku paliło się światło, ale poza tym nie było żadnych oznak życia.

– Czego chcecie? – rozległ się męski głos.

Podskoczyłem jak spłoszony cielak.

Mężczyzna, którego widziałem wcześniej za zebraniu prepersów, wyrósł przed nami z wielką szuflą w jednej ręce i latarką czołówką na głowie. Wyglądał tak, jak go zapamiętałem, miał tę samą spłowiałą dżinsową kamizelkę na bluzie z kapturem. Potargane siwiejące włosy otaczały jego szczupłą twarz.

– Cześć, Crow! – zawołała wesoło Peg. – To tylko ja. Miałam nadzieję, że poświęcisz mi kilka minut.

– A to kto? – spytał i wskazał na mnie rdzewiejącą łopatą. Ulżyło mi, że mnie nie zapamiętał z naszego pierwszego przelotnego spotkania.

– Mój przyjaciel, Ash. Pomaga mi w paru sprawach ważnych dla miasta. To przyjacielska wizyta, Crow. Zaprosisz nas do środka?

– Dobrze, w porządku. – Otworzył drzwi i zmierzył nas spojrzeniem, gdy wchodziliśmy do środka. – Zdejmijcie buty!

Ściągnęliśmy śniegowce i położyliśmy kurtki na bujanym fotelu. Wewnątrz było bardzo ciasno, z trudem mieściła się tam bezkształtna kanapa i dwa fotele. Po prawej ręce mieliśmy kuchnię wielkości łazienki, skąd wchodziło się do łazienki wielkości szafy. Wyposażenie było wysłużone, ale czyste: podłogi zamiecione, wszystkie blaty błyszczące. Zauważyłem w kącie pudła starannie opisane flamastrem – książki, narzędzia, przedłużacze. W tym ciasnym pomieszczeniu panował wyjątkowy porządek.

Crow usiadł na jednym z foteli i spojrzał na nas z wyczekiwaniem.

– No to słucham.

Peg nie trzeba było dwa razy powtarzać, szybko rozłożyła mapę na stole i wdała się w wyjaśnienia, jakie zniszczenia mogłaby poczynić powódź. Nie przesadzała, jednak wyraźnie opisywała najgorszy możliwy scenariusz, kładąc szczególny nacisk na destrukcję, jakiej ulegnie posesja Crowa, pobieżnie tylko wspominając o jego sąsiadach i centrum miasteczka. Siedział nieruchomo i słuchał bez przerywania, ale nie zachęcał jej w żaden sposób. Kiedy wreszcie zrobiła przerwę, przyszła kolej na niego.

– Wystarczy, Peg. – Zatrzymał ją gestem. – Mowy nie ma, przynajmniej nie na mojej ziemi. Możesz przeorać działkę Fabera po sąsiedzku, ale ja nie dopuszczę do tego, żeby banda obcych ludzi, siedząca w kieszeni Bóg wie kogo, zrujnowała moją własność. Po moim trupie.

Peg kiwała głową. Była przygotowana na podobną reakcję.

– Dobrze cię rozumiem, Crow, naprawdę. Gdybym jednak mogła...

– Czy prawo własności nic dla was nie znaczy? Dla ciebie i twoich ludzi? – zapytał głośniejszym głosem niż poprzednio.

– Daj spokój, Crow. Nie mam żadnych „swoich ludzi” – powiedziała. – Przedstawiłam ci czyste fakty. To nie jest sprawa polityczna. Twoja chałupa spłynie z Isole Creek, jeśli nic nie zrobisz! Na niewiele ci się wtedy przyda prawo

własności.

Nie widziałem dotąd Peg spierającej się tak gwałtownie, ale zaimponowało mi, że nie bała się Crowa. Ja nie wydusiłem z siebie ani słowa.

– Och, nie jestem do niej tak bardzo przywiązany – odparł z chytrym uśmieszkiem. – Chcecie zobaczyć coś niezwykłego?

Nie chciałem; podejrzewałem, że będą to wypchane zwierzęta, blizny z czasów służby wojskowej lub prywatny magazyn broni.

– Oczywiście – odpowiedziała Peg, która nie zamierzała odpuścić.

– Tędy. – Crow podszedł do drzwi i dał nam znak, że mamy mu towarzyszyć.

Włożyliśmy buty i kurtki i wyszliśmy na dwór. Sylwetka Crowa zniknęłaby w ciemności, gdyby nie czołówka, która oświetlała ścieżkę. Pomyślałem, że gdyby chciał nas ukatrupić, sprawa byłaby prosta. W pobliżu nie było żadnych ludzkich siedlisk, znikąd pomocy, nawet gdybyśmy głośno jej wzywali. Byliśmy zdani na jego łaskę i niełaskę. Co za ironia losu, mogę zginać z rąk najlepszego kumpla mojej żony. Wtedy przynajmniej okaże się, że miałem rację, nazywając go czubkiem.

– Już jesteśmy! – zawołał Crow gdzieś z przodu. Był pod szopą, z której wcześniej dochodziło szczekanie psa.

– O Jezu – szepnąłem Peg na ucho – prowadzi nas do tego kurnika. Mamy iść za nim?

– Wszystko będzie dobrze... – bąknęła bez przekonania.

Zimny wiatr powiał nam prosto w twarz, wtedy zdałem sobie sprawę, że krople potu gromadzą się na moim czole. Słyszałem szelest drzew, ale było tak ciemno, że na tle czarnego nieba niewidoczne były nawet ich sylwetki. Czułem słodkawą, świąteczny zapach jodły balsamicznej i wydało mi się, że dostrzegam na śniegu szyszki białego świerku. W jakiś sposób zdolność do rozeznania się w otoczeniu sprawiła, że ciemność stała się mniej złowieszcza. Crow mieszkał w samym sercu borealnego lasu iglastego, tu panuje nieustanny mrok. Gałęzie wiecznie zielonych świerków i jodeł zasłaniają światło słoneczne. Nic nie rośnie na tej wilgotnej, kwaśnej glebie, wśród rozkładających się igieł, poza wrzosowatymi gruszyczkami i wątlą zimoziółem. Gdybym nie był tak wystraszony, z pewnością doceniłbym piękno przyrody.

Przy drzwiach do szopy Crow walczył z kluczami i ciężką kłódką. Wymieniliśmy z Peg niespokojne spojrzenia. Było już za późno na ucieczkę, bo zamek odskoczył i Crow z łatwością otworzył drewniane wrota. Pies, którego słyszeliśmy wcześniej, wymknął się na wolność i popędził w stronę baraku.

W głębi nie było morderczych narzędzi, których się spodziewaliśmy, ale ściana z litego metalu, która wpasowywała się we wnętrze drewnianego budynku, zostawiając jedynie wąskie przejście wokół. Szopa skrywała schron. Crow

przeciągnął palcami po wyszczerbionym metalowym brzegu, aż znalazł niewidoczny zatrzask z zamkiem szyfrowym. Wstukał cyfry i otworzył przed nami drzwi.

– Oto mój plan awaryjny – oznajmił z dumą.

Błysnęło światło, przez chwilę rozglądaliśmy się oszołomieni. Takiego widoku się nie spodziewaliśmy. Na powierzchni nie większej niż siedem czy osiem metrów kwadratowych znajdowało się pomieszczenie udające salonik – stała tam stara kanapa i plastikowa skrzynka, w jakiej mleczarze wożą mleko, tu pełniąca rolę podręcznego stolika. Duża kuchenka turystyczna stała obok wiadra zawieszzonego na pompie połączonej z systemem filtrów; ten fragment pomieszczenia najwyraźniej pełnił rolę prowizorycznej kuchni. W jej rogu za zasłoną łazienkową dostrzegłem niewielką kempingową toaletę. Nie było okien, ale nad kanapą wisiała oprawiona w ramki akwarela przedstawiająca mężczyznę w canoe. Wszystko razem przypominało domek dla lalek, a mówiąc precyzyjniej – pakamerę nastolatka. Nie mogłem uwierzyć, jak przemyślany był każdy detal.

– Co to? – wychrypiałem.

– Moja kryjówka przed Wielką Burzą – odparł Crow z przechwałką w głowie. – Poczekajcie, to jeszcze nie wszystko.

Wcisnęliśmy się w kąt, gdzie z trudem dało się upchnąć trzy osoby. Crow sięgnął do uchwyty za kanapą i wyciągnął wąskie łóżko schowane w ścianie. Było już na nim prześcieradło i wojskowy koc, lekko pachnące naftaliną. Z uznaniem obejrzałem rozkładane łóżko i jego zawiasy. Co za mistrzowskie wykorzystanie każdego skrawka wolnej przestrzeni!

– To jeszcze nie wszystko – puszył się Crow.

Wyciągnął ze ściany blat. Po kilku szybkich ruchach zamienił go w stolik wpasowany w aneks kuchenny. Spod wiadra pełniącego rolę zlewu wysunął ławeczkę i zrobił tymczasowe miejsce do siedzenia.

– Sam to wszystko zmajstrowałeś? – zaciekałem się. Zapomniałem o strachu i o celu naszej wizyty.

– Większość zaprojektowałem sam, niektóre rzeczy znalazłem w Internecie. To nie fizyka jądrowa, ale wymaga pomysłu. Jestem z siebie cholernie dumny. Schron jest wodoszczelny, powódź go nie ruszy, i w pełni wyposażony. Jeżeli Wielka Burza zacznie się jutro, mam tutaj wszystko, co potrzebne do przeżycia.

Peg milczała od chwili wejścia do bunkra. Chyba czekała na właściwy moment, żeby wrócić do przerwanej rozmowy.

– Crow, to wszystko jest imponujące – zaczęła – i niewątpliwie bardzo mądre. Jesteś przewidujący i dobrze przygotowany. Czemu ci tak przeszkadza, że przekopimy kanał na twojej działce, skoro i tak schowasz się tutaj?

– Mam nadzieję – odrzekł zirytowany Crow – że nie będę musiał tu mieszkać. Schron ma mi służyć na wypadek kataklizmu. Nie budowałem go dla

przyjemności.

Tego ostatniego nie byłem pewny.

– Chodzi o zasady, Peg. Łatwo jest porzucić zasady w sytuacji kryzysowej, ale właśnie wtedy najbardziej ich potrzebujemy. Nie oddam prawa własności władzom stanowym, bo paru osobom się wydaje, że w ten sposób ocalą trochę ziemi.

– Nikt nikomu niczego nie oddaje – odpowiedziała. – Prosimy cię tylko, żebyś rozważył konsekwencje braku ochrony przeciwpowodziowej. Nawet jeśli masz w nosie, co się stanie z resztą miasta, twoja działka też znajdzie się pod wodą. Zrób to dla siebie.

– Podejmę to ryzyko.

– Crow, ależ to samolubne! – Peg była wytrącona z równowagi. – Wiele osób ucierpi z powodu twoich przeklętych zasad. Jeśli nie skierujemy fali powodziowej na bagna, całe centrum Isole może być zdewastowane. Jak będziesz żył sam ze sobą po czymś takim?

– Myślę, że nie będę jedyną osobą w Isole, która odmówi – odpowiedział uparcie.

– Całkiem możliwe, że będziesz!

– Wykluczone. – Potrząsnął głową. – Gdybym ustąpił, działałbym na szkodę obywateli. Musimy walczyć o swoje prawa.

Czułem się niezręcznie, stercząc jak bufor między dwoma zaperzonymi osobami. Wolałbym wrócić do oglądania tajnej kryjówki Crowa, jednak jako wysłannik podkomisji powinienem zabrać głos.

– To ma wpływ także na moją posesję – zauważyłem słabo. – Wszyscy skorzystają na realizacji planu.

– Tutaj ja podejmuję decyzje. – Crow zwrócił się do mnie nieprzyjaźnie. Staliśmy w milczeniu przez minutę, po czym powiedział: – Powinniście już iść.

Wydawał się urażony, że nie doceniliśmy dzieła, którym się pochwalił; spór przysłonił nam wszystko. Ja też tego pożałowałem. Polubiłem Crowa. Był przyjazny i inteligentny, na swój sposób nawet zabawny. Może nie był świrem, za jakiego go brałem.

Peg dała mi znak, więc po raz ostatni powiodłem wzrokiem po schronie, chłonąc różne szczegóły. Z sufitu nad kanapą zwisały plastikowe kontenery. Miały szuflady i spokojnie mogły pomieścić garderobę dla jednej osoby. Genialne rozwiązanie. Byłem też ciekaw łazienki, ale teraz nie mogłem prosić o jej pokazanie. Naprzeciw toalety znajdowała się duża lodówka z własnym agregatem prądu. Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, jak wyglądają zapasy Crowa.

Wracaliśmy z Peg w milczeniu, oświetlając sobie drogę komórkami. Wreszcie dotarliśmy do auta, Peg z głębokim westchnieniem zajęła miejsce za kierownicą.

– Nie będzie lekko – powiedziała. – Lubię Crowa, ale jest cholernym idiotą.

– Też go lubię. Nie spodziewałem się tego, wiesz?

– Co nie zmienia faktu, że jest odludkiem wściekłym na świat. – Peg potrząsnęła głową. – Musimy próbować aż do skutku. Może się zmęczy.

Było mi przykro, że nie potrafię pomóc Peg, uratować Isole, w tym momencie obiecałem sobie, że zrobię co w mojej mocy, żeby przekonać niedowiarków do planu przeciwpowodziowego. Ale jak przekonać kogoś, kto nie dba o miasteczko ani o sąsiadów? Przypomniałem sobie, że Pia nie ma pojęcia o tym, że naszą działkę obejmie system odwadniania. Widok z galerijki na tyłach domu się zmieni. Pewnie pod wpływem propagandy prepersów zaczniesz protestować przeciw gwałceniu naszych praw przez władze, a potem da za wygraną, bo banalne domowe sprawy zupełnie jej nie interesują. Tak czy owak, nie zamierzałem się przyznawać, że byłem u Crowa, a tym bardziej – że facet mi zaimponował. Z jakiegoś powodu wołałem to zachować dla siebie.

Oboje z Peg milczeliśmy w czasie długiej jazdy powrotnej do mojego samochodu. Była dziewiąta wieczorem, na drodze ani żywego ducha. Peg włączyła radio, usłyszeliśmy końcówkę prognozy pogody. Jutro po południu nadejdzie kolejna śnieżycza. Nie słuchałem uważnie. Przyszła mi do głowy niepokojąca myśl, więc zadałem Peg pytanie, gdy wjeżdżaliśmy na parking przy sądzie.

– Myślisz, że wiele osób w Isole ma bunkry, podobnie jak Crow?

– Nie sądzę – odpowiedziała. – Choć to niegłupi pomysł.

– No właśnie... Czy powinniśmy wszyscy budować podobne schrony? – Dostrzegłem nową, racjonalną stronę Crowa i byłem skonfundowany.

Peg zaparkowała i zwróciła się do mnie.

– Nie, Ash. Jak raz zaczniesz, to zawsze będziesz żył w oczekiwaniu na zagładę. Zaczniesz się modlić o Dzień Sądu, żeby nadać sens swoim wysiłkom. Jest wyraźna granica między byciem przygotowanym na najgorsze a podporządkowaniem całego życia swoim lękom. Nie wolno jej przekraczać.

– Nawet jeśli to oznacza, że nie będziesz przygotowany, jeśli zdarzy się coś naprawdę strasznego?

– Tak, zdecydowanie.

Pokiwałem głową i podziękowałem jej za podwiezienie, ostrożnie zatrzasnąłem drzwi. Wizyta u Crowa i obejrzenie jego schronu wstrząsnęło mną i sam już nie wiedziałem, co powinniśmy robić i na czym polega racjonalne działanie. Łatwo było lekceważyć Crowa, gdy postrzegałem go jak miejscowego świra. Jeśli to on ma rację, sprawy się komplikują.

TRZYNAŚCIE

Była druga sobota stycznia. Z powodu dżdżownic w salonie śmierdziało jak w męskiej szatni. Pia regularnie zaglądała do swoich robali, żeby sprawdzić, czy się ochoczo wiją i czy temperatura gleby mieści się we właściwym przedziale. Miała do nich niemal macierzyński stosunek, ale nie wykluczałem, że w końcu się nimi znudzi i przestanie o nie dbać. Czasem, gdy byłem w domu sam, podnosiłem pokrywę i przyglądałem się zafascynowany, jak się wiercą w swoim wilgotnym pudle. Interesowały mnie, ale jednocześnie szczerze ich nienawidziłem. Zdarzyło się, że wyrzuciłem jedną dżdżownicę na śnieg. Przez minutę poruszała się, potem nagle przestała. Zabicie robaka było milczącym, paskudnym aktem buntu, który zachowałem w tajemnicy. Zaskoczyło mnie własne okrucieństwo. Zdażyłem się już przyzwyczaić do obecności dżdżownic, były niczym sublokatorzy – niechciani, ale niebudzący morderczych instynktów.

– Idę na zebranie – oznajmiła Pia z kluczami w ręku. Na dworze zaczął padać śnieg. Spojrzałem na nią znad laptopa ustawionego na stole kuchennym.

– Poczekaj, musimy wreszcie porozmawiać o Auguście.

Westchnęła. Nie miałem okazji opowiedzieć jej o tym, jak August o mało nie przepadł w lesie, ale czas naglił. Lada dzień mogła zadzwonić Bev z informacją, że znalazła dla niego inną rodzinę zastępczą.

– Naprawdę chcę się nim zaopiekować, kochanie. Myślę, że to by dobrze zrobiło naszej rodzinie – prosiłem. – Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Zależy mi na nim.

Miała współczującą i łagodną minę, jednak łatwo było zgadnąć, że nie zmieni zdania.

– Przepraszam, Ash. Kocham cię i bardzo bym chciała, żebyś był szczęśliwy, ale to mnie przerasta. Chodzi o coś ważniejszego niż nasze małżeństwo. O odpowiedzialność za życie innej ludzkiej istoty. Może ty jesteś na to gotowy, ale ja nie.

Narzuciła płaszcz i wyszła z domu.

Patrzyłem przez okno, jak odjeżdża i znika w wirujących płatkach śniegu. Drogi stały się niebezpieczne. Pogoda oscylowała między zamieciami a nagłymi roztopami. Breja z poprzedniej śnieżycy zdążyła już spłynąć, ale temperatura szybko spadała. Na trawniku przed domem leżała cienka warstwa świeżego śniegu, a niebo miało ciemnoszary kolor, chociaż była dopiero druga po południu. Siedziałem przy kuchennym stole, gapiąc się tępo przez zamglone okno. Laptop był otwarty, miałem szczerzy zamiar nadrobić zaległości, ale nic z tego nie wyszło. Obserwowałem śnieg sypiący z nieba. Był to hipnotyzujący widok: miliony białych punktów wirujących na stalowym tle – bardziej przypominający dziwaczne

cyfrowe zapętlenie, które mógłbym zaprogramować na ekranie komputera, niż naturalne zjawisko pogodowe. Dziwny był również dźwięk, a raczej jego absolutny brak. Być może za długo mieszkałem w wielkim mieście i zapomniałem, jak śnieg tłumi wszelkie odgłosy, ale szmer życia, który nieustannie dochodził z dworu, całkowicie zaniknął.

– Terytoria na północnym wschodzie powinny przygotować się na bardzo silne opady śniegu. Dotyczy to obszarów na północ od Nowego Jorku, aż po Maine, także całej Pensylwanii – oznajmił spiker radiowy. – Północna część Nowej Anglii może spodziewać się rekordowych opadów od pół metra do siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Południowo-wschodnie części kraju są narażone na katastrofalne opady deszczu. Największe śnieżyce uderzą za około trzydzieści sześć godzin. Nad Zatoką Meksykańską formuje się cyklon tropikalny, który mniej więcej w tym czasie nasunie się z południa nad ląd. Jeśli osłabnie, zanim znajdzie się nad kontynentem, obecne śnieżyce będą po prostu połączone z silnym północnym wiatrem, ale nie zamienią się w superhuragan, którego tak się obawiamy. Jednak jeśli cyklon tropikalny przyspieszy i zderzy się z północno-wschodnim arktycznym frontem, czeka nas istne szaleństwo.

Wpatrywałem się w komputer, ale myślałem w kółko o ostatniej rozmowie z Pią. Klamka zapadła: August znajdzie się u obcych ludzi. Ja zostanę sam z opętaną strachem żoną i śmiertelnie groźną pogodą.

Na ekranie pojawił się e-mail. List był od Salty'ego.

Nie wiemy, czy to już Wielka Burza, czy może jeszcze nie, tak czy owak działamy zgodnie z planem. Może po śnieżycy przyjdą roztopy i nadal da się zrobić wykopy. Wczoraj udało mi się posunąć sprawę do przodu, mam zgodę wielu właścicieli działek wzdłuż strumienia. Słyszałem, że się odbiliście od ściany, ale nie wolno rezygnować. Musimy popychać sprawę. Powodzenia podczas śnieżycy. Trzymam kciuki. Nie traćmy nadziei.

Czytałem słowa na ekranie, ale myślałem o Augustcie. Kiedy go zabiorą i dokąd?

Wstałem od stołu. Śnieg gromadził się zaskakująco szybko. Powinienem oczyścić podjazd, zanim Pia wróci do domu. Jeśli się nie pospieszę, będzie za ciemno, a wtedy z konieczności zaparkuje auto przy drodze, gdzie trzeba będzie je odkopywać po przejeździe pługu śnieżnego. Byłem zły i nie miałem ochoty usuwać jej przeszkód spod nóg. Przez chwilę igrałem z pomysłem, żeby nie odśnieżać i zostawić dróżkę nieprzejezdną – byłby to gest samolubstwa równy jej egoizmowi. Wreszcie zrobiłem to, co zamierzałem od początku, ubrałem się i wyszedłem na dwór. Praca fizyczna dobrze mi robi, zdecydowałem, może zapomnę o smutku ściskającym mi serce.

Od lat nie używałem odśnieżarki – chyba jeszcze w dzieciństwie, gdy pomagałem ojcu – i przez chwilę zastanawiałem się, jak ją uruchomić. Była to

masywna maszyna, którą popychało się przed sobą, zupełnie jak odśnieżarka taty, tylko w paru miejscach zardzewiała. Poprzedni właściciele domu sprzedali mi ją za dwieście dolarów, nawet nie przyszło mi do głowy sprawdzić, czy działa. Po paru próbach udało mi się ją uruchomić i niezgrabnie wyprowadzić na podjazd. Na szczęście nikt nie widział moich niezdarnych początków, reszta wydawała się prosta. Miałem zamiar dojść aż do drogi, potem wrócić i powtórzyć całą czynność trzy, może cztery razy, aż powstanie wystarczająco szeroki pas, żeby przejechać nim samochodem. Nasz podjazd był długi, więc zadanie nie było łatwe, ale i niezbyt skomplikowane.

Początkowo wszystko szło dobrze. Maszyna spychała na boki kolejne warstwy śniegu, odsłaniając wcześniejsze ubite pokłady. Problem w tym, że było ślisko. Miałem na sobie ciężkie, grube śniegowce, które rozjeżdżały się, gdy pchałem przed sobą ciężki sprzęt. Pożałowałem, że nie kupiłem raków, a przynajmniej nie wykopałem z czeluści szafy starych korków do piłki nożnej. Brak mocnego punktu podparcia kompensowałem, kołysząc maszyną w przód i w tył, gdy wpadła na ukrytą przeszkodę. Szło dobrze do momentu, gdy byłem tuż przy drodze, w miejscu, gdzie uformował się niewielki garb, niemal niezauważalny dla naszego volvo. Ślizgałem się za bardzo, żeby przepchnąć odśnieżarkę przez górkę. Sterczałem tak, ściskając ręczki warczącej maszyny, i zastanawiałem się, co zrobić. Wirujące płatki śniegu tworzyły gęstą kurtynę przed moimi oczami, topniały na rzesach i policzkach. Wreszcie zobaczyłem pień, prawie przykryty śniegiem. Zostawiłem odśnieżarkę, wydobyłem pniak spod śniegu i wcisnąłem go w ziemię pod stopami. Zamierzałem podeprzeć się na nim, gdy będę wpychał maszynę pod górę. Kilka kopniaków i pień utkwiał mocno w podłożu, mogłem uporać się z przeszkodą. Popchnąłem z całych sił, odśnieżarka podskoczyła i wyglądało na to, że przeskoczy przez garb bez przeszkód. Tymczasem nagle opadłem z sił. Mięśnie drżały mi z nadmiernego wysiłku. Maszyna zatrzymała się i zaczęła staczać w tył, w moją stronę. Nie miałem czasu na myślenie. Zrobiłem instynktownie krok wstecz, spodziewając się, że wymacam pień pod butem, ale go tam nie było. Zanim zdążyłem uskoczyć na bok, ręczka odśnieżarki walnęła mnie w żebra, zabrakło mi tchu, a ciężka maszyna przetoczyła się po mojej lewej stopie.

Zwaliłem się na śnieg jak kłoda, najpierw oszołomiony, a potem ogarnięty palącym bólem. Nie byłem w stanie się poruszyć, wykręciłem głowę i dostrzegłem jeszcze, jak odśnieżarka stacza się w tył i wywraca w zaspę. Rozklekotany motor warczał przez chwilę, potem się wyłączył. Nic więcej mi nie groziło, tylko ból był rozdzierający. Jęczałem głośno, aż nagle dotarło do mnie, że nie tylko mam zmiądzoną nogę, ale zostawiłem komórkę w środku i nie mam jak wezwać pomocy. Na tym pustkowiu mógłbym umrzeć na swoim podjeździe, tak blisko ciepłego, rozświetlonego domu. Głowa opadła mi na ziemię, patrzyłem, jak spieszą

ku mnie zimne płatki śniegu.

Przez chwilę perspektywa śmierci wydawała się pożądaną ewentualnością. Potem zacząłem myśleć przytomniej i uświadomiłem sobie, że złamana noga rzadko jest przyczyną zgonu – w każdym razie natychmiastowego – więc potrzebny mi plan działania. Przekręciłem się na brzuch i zacząłem się czołgać w kierunku domu świeżo odsnieżoną ścieżką. Odwalone na bok zaspy tworzyły wawóz i zasłaniały mnie przed światem; byłem jak ranne zwierzę, próbujące ukryć się w swojej norze. W tym tempie mogło mi to zająć co najmniej dziesięć minut. Stopa pulsowała nieprzyjemnie, ale ból pochodził z mokrych, przemarzniętych kolan, niosących cały ciężar.

Nie zdążyłem się oddalić od drogi, gdy dostrzegłem reflektory auta. Instynktownie stanąłem na zdrowej nodze, odwróciłem się i zacząłem wymachiwać rękami jak rozbitek na bezludnej wyspie na widok statku. Czerwony pikap zjechał ze wzgórza i zatrzymał się tuż przy moim podjeździe. Nieogolony młody człowiek siedzący za kierownicą opuścił okno i spojrzał na mnie pytająco.

– Jestem ranny! – wrzasnąłem, co brzmiało żałośnie, ale nie potrafiłem wydusić z siebie nic więcej. – Mógłby mnie pan zawieźć do szpitala?

– Wskakuj pan – powiedział kierowca.

Niezgrabnie pokuśtykałem, krzywiąc się i gramoląc przez pokrywą śnieżną, do której nie zdążyłem się dobrać swoją maszyną. Mężczyzna w pikapie obserwował mnie przez chwilę, wreszcie wyskoczył z auta i pomógł mi niezdarnie. Traktował mnie tak, jakby nic wielkiego się nie stało, więc ze wszystkich sił starałem się nie być mazgajem, ale, o Jezu, jak bolało. Kiedy już ruszyliśmy, nerwowo wyjaśniłem, co się stało, z niejasnym poczuciem, że kiedy już ból przejdzie, będzie mi wstyd, bo okazałem się zwykłym fajtlapą. Ale teraz nie miałem siły na wstyd.

Chłopak, na oko dwudziestokilkulatek, nie był szczególnie zainteresowany moim wypadkiem. Wyjaśnił, że jest w ekipie budowlanej stawiającej domek letniskowy na wzgórzu i kierownik właśnie ich zwolnił na resztę dnia. Zamierzał dojechać do swojej dziewczyny, bo jeśli już ma go zasypać, wolał być z nią niż z rodzicami.

– Śnieg jest za głęboki na taki stary szajs – orzekł. Widać przyjrzał się przewróconej odsnieżarce. – Na długi podjazd musi pan mieć lepszy sprzęt albo zatrudnić sobie kogoś z pługiem śnieżnym. Dziwię się, że jeszcze działa. Od lat nie widziałem podobnego grata.

Od razu przestałem się czuć jak ostatni nedorajda. Zapytałem, jaką odsnieżarkę kupiłby na moim miejscu, i kiwałem głową, gdy zasypał mnie niezwykle szczegółowymi poradami na temat mocy różnych silników, szerokości i bieżnikowania opon. Chciał jakoś zabić czas, spieszyło mu się do dziewczyny i nie mógł się doczekać, kiedy się pozbędzie nieszczęsnego łajzy. Sądząc po jego

niecierpliwości, sprawa z dziewczyną wydawała się świeża. Była z niej zapewne ładna i silna kobieta, jak to góralka. Stopa pulsowała nieznośnie, w ciągu dziesięciominutowej jazdy parę razy miałem wrażenie, że zemdleję z bólu. Chciałem, żeby chłopak gadał, opowiadał o odsnieżarkach i pannach i co tam jeszcze mu ślina na język przyniesie, gdy ja próbowałem go słuchać i zapomnieć o bólu.

Zatrzymał się wreszcie przed lokalnym ambulatorium, w nagłych wypadkach służyło jako szpital dla ludzi, którzy nie byli w stanie dojechać do prawdziwego szpitala, oddalonego o półtorej godziny drogi. Budynek wyglądał jak gigantyczny pustak i tego wieczoru sprawiał wrażenie zamkniętego na cztery spusty.

– Powodzenia, stary – powiedział kierowca.

Przez chwilę siedziałem nieruchomo, niepewny, co mam robić. W szpitaliku nie było śladów życia, a facet zamierzał mnie porzucić pod drzwiami. Było już ciemno, padał jeszcze gęstszy śnieg. Nie miałem pojęcia, czego oczekuję, ale wyobrażałem sobie, że przynajmniej pomoże mi dokuśtykać do środka. Wyglądało na to, że zamiast zamarznąć na ścieżce przed domem, zamienię się w sopel lodu na schodkach prowadzących do szpitala. Może nawet kierowca wiedział, że ambulatorium jest zamknięte, i była to z jego strony okrutna próba pozbycia się kłopotliwego pasażera. Przez chwilę siedziałem bez ruchu.

Wreszcie przez okno wyjrzała kobieta w średnim wieku, ze staromodnym czepkiem pielęgniarki na głowie, i zapaliła światło. Odetchnąłem z ulgą, nagle nie mogłem się doczekać, kiedy wysiądę z auta. Zatrzasnąłem drzwi, wymamrotałem podziękowanie, ale chłopak już odjechał. Drzwi wejściowe otworzyły się i na spotkanie wyszła mi pielęgniarka i jakiś starszy mężczyzna. Mieli na sobie fartuchy chirurgiczne, pod nimi dżinsy i śniegowce. Kiedy pomogli mi wejść do środka i usadowili na wózku inwalidzkim, zalała mnie fala wdzięczności. W oczach miałem mroczki, gdy prowadzili wózek korytarzem do gabinetu zabiegowego, który równie dobrze mógłby służyć jako miejsce pracy weterynarza.

Nie pamiętam, co się działo dalej, do momentu, gdy środki przeciwbólowe wreszcie zaczęły działać i odzyskałem zdolność myślenia. Mężczyzna i kobieta (lekarze? pielęgniarze? tego nie wiedziałem) oglądali moją bosą stopę w ostrym świetle. Coś pomrukiwali i kiwali głowami, aż wreszcie wyprostowali się i spojrzeli na mnie. W tym momencie byłem przekonany, że czeka mnie amputacja.

– Ma pan kilka pęknięć przeciążeniowych kości śródstopia i palców – oznajmił mężczyzna.

– Tylko pęknięć? – spytałem, rozczarowany niezbyt groźną diagnozą. – Żadna nie jest złamana? Piekielnie boli.

– Złamania, pęknięcia, w tym wypadku na jedno wychodzi – odparł. – Złamania śródstopia są naprawdę bolesne, ale niewiele na to możemy poradzić. Będzie pan miał opuchliznę i sińce... i poczuje jeszcze więcej bólu.

– Damy panu specjalny but ortopedyczny z twardą podeszwą. – Kobieta poklepała mnie po ramieniu. – Można go zdejmować i wkładać. Plastry przytrzymają palce razem. Czy mógłby pan zostać w łóżku przez parę tygodni?

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku. Damy panu środki przeciwbólowe, które powinny wystarczyć na dwa dni.

– Później przestanie mnie boleć?

– Niestety, nie. – Doktor pokręcił głową. – Trzeba być cierpliwym. Nasze ciało ma cudowną zdolność do regeneracji, jeśli tylko damy mu czas i nie będziemy go przeciążać.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale odrobina współczucia z powodu cierpienia, jakiego doznałem, byłaby mile widziana. Z dzieciństwa pamiętałem purytańskie podejście do wszelkich otarć i skaleczeń: „weź się w garść”, i wcale mi go nie brakowało.

– Może pan zadzwonić po kogoś z rodziny, żeby pana odebrał? – spytała kobieta, sklejjając moje palce plastrem.

Ogarnęła mnie kolejna fala paniki. Prawdopodobnie uda mi się skontaktować z Pią, ale wcale nie byłem pewny, czy da radę po mnie przyjechać. Na ziemi jest półmetrowa warstwa świeżego śniegu, co stanowi poważną przeszkodę. Porzuciłem odśnieżarkę na podjeździe, wyobraziłem sobie, jak zirytowana Pia parkuje na poboczu i idzie wąską ścieżką do domu. Nie przyszło mi do głowy, że mogła się o mnie martwić.

Lekarka podprowadziła wózek inwalidzki do różowego aparatu telefonicznego, zadzwoniłem do Pii. Po trzech sygnałach włączyła się poczta głosowa. Nie wiem, czemu się nie nagrałem, ale automatyczna sekretarka doprowadziła mnie do szewskiej pasji. Zagryzałem zęby ze złości. Albo była jeszcze na zebraniu prepersów, albo wróciła już do domu, gdzie zastała niepokojące ślady na podjeździe. Tak czy owak, nie przyszło jej do głowy, żeby włączyć swoją cholerną komórkę, i to w środku zamieci. Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na lekarzy. Oni też zapewne gdzieś się spieszyli. Z tego całego bólu i otumanienia w głowie miałem wątpliwość.

– Nie mam do kogo zadzwonić – przyznałem. – Przeprowadziłem się tu stosunkowo niedawno. Moja żona jest nieuchwytna. Nie wiem... Nie wiem, co ludzie robią w podobnej sytuacji... kiedy kogoś potrzebują... a nikogo nie ma.

Zdawałem sobie sprawę, jak żałośnie to brzmi, ale nie miałem ochoty ukrywać przygnębienia. Byłem sam jak palec. Moja żona była zbyt zaabsorbowana swoją nową obsesją, żeby się o mnie martwić, a chociaż miałem w Isole znajomych, brakowało mi bliskich przyjaciół. Nie wiedziałem nic o ich życiu i byłoby mi wstyd dzwonić do nich z prośbą, żeby wychodzili na śnieg i mróz, bo trzeba mnie dotransportować do domu.

Zwiesiłem głowę. Rozprostowałem dłonie na udach, jakbym chciał je unieść w geście poddania się przed tymi poczciwymi medykami, którzy sprawili, że poczułem się najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi.

– Wszyscy musimy ruszać w drogę, żeby dotrzeć do domu – zauważył mężczyzna. – Libby i ja jedziemy szesnastką na zachód, to pana nie urządza, Ash. – Zdziwiło mnie, skąd znał moje imię i adres. – Moja córka mieszka trochę za panem i właśnie wraca z pracy. Poproszę, żeby tu wpadła i podrzuciła pana do domu.

Siedziałem więc na wózku inwalidzkim, gdy coś tam się działo w mojej sprawie i czyjaś córka dostała instrukcję, że ma mnie odebrać. Mężczyzna i kobieta krzatali się nieustannie, chowając do szuflad instrumenty medyczne i gasząc światło. Nazywano to miejsce szpitalem, ale bardziej było to wiejskie pogotowie ratunkowe. Tutejsi lekarze opatrywali na miejscu, co się dało, zaś trudniejsze przypadki odsyłali do Dartmouth lub Burlington. Deszcz czy śnieg, byli na miejscu, a powodzenie całego przedsięwzięcia zależało od ich trafnej diagnozy i solidnych opon. Dla kogoś nieobeznanego z prowincjonalną Ameryką to przykład szokującej prowizorki w służbie zdrowia, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Tymczasem tkwiłem bezradnie na wózku inwalidzkim w jaskrawoniebieskim bucie ortopedycznym.

Zdałem sobie sprawę, że od lat nie byłem w szpitalu ani nawet u lekarza. Czy dorośli, choćby zdrowi, nie powinni się czasem zgłaszać na kontrolę? Brzmi to sensownie, jednak nigdy się o siebie nie zatroszczyłem. Wychowywałem się w rodzinie, w której wierzono w uzdrowicielski wpływ świeżego powietrza i zasadę, że nie należy sobie pobłażać; jeśli dzieciak nie wymiotował albo nie miał wysokiej gorączki, szedł do szkoły. Zabrałem ze sobą w dorosłość wpojona surowość wobec siebie i, jak do tej pory, dobrze na tym wychodziłem. Ale teraz, siedząc samotnie na korytarzu pustego szpitala, myślałem o luksusie, jakim jest świadomość, że w pobliżu są ludzie, którzy się o ciebie zatroszczą, nawet jeśli nigdy nie skorzystasz z ich pomocy.

Wreszcie na drodze pojawiły się światła i w trójkę wyszliśmy na dwór, ja niezgrabnie kuśtykając w moim nibygipsie, z reklamówką pełną tabletek i ulotek informacyjnych. Pomogli mi wsiąść do starego sportowego saaba, pożegnali się i popędzili do swoich samochodów. Czuję się jak niechciany dzieciak przetrzucany od jednego opiekuna do drugiego. Nie miałem wyboru, musiałem zaufać, że bezpiecznie trafię do domu.

– Cześć, jestem Maggie – powitała mnie kobieta za kierownicą.

Wewnętrzne światło paliło się wystarczająco długo, abym stwierdził, że jest bardzo atrakcyjna. Miała długie rude włosy wystające spod kolorowej włóczkowej czapki. Wciąż jeszcze byłem otumaniony, ale wydała mi się znajoma.

– A ja Ash – odpowiedziałem krótko, choć powinienem się zdobyć na jakieś

słowa wdzięczności.

Maggie wyjechała na pustą drogę i skierowała się na koleiny zostawione przez jakiś pojazd. Prawie nic nie było widać, więc musiała zaufać, że nieznajomy kierowca znał na pamięć każdy zakręt tej szosy. Włączyła długie światła, ale szybko z nich zrezygnowała, gdy stało się jasne, że i tak nie przebiją się przez gęstą kurtynę padającego śniegu.

– Pamiętam cię, Ash, z walnego zgromadzenia – powiedziała. – Jesteś nowym członkiem naszej społeczności. Co zrobiłeś tym razem, mocowałeś się z niedźwiedziem?

Flirtuje ze mną? Odruchowo przywołałem cały męski wdzięk.

– Prawie – powiedziałem. – Zaatakowała mnie odśnieżarka. Zagroźła całemu sąsiedztwu i trzeba było zrobić z nią porządek. Muszę przyznać, że walczyła do upadłego. Zostałem ranny w boju, ale to niewielka cena za bezpieczeństwo przyszlých pokoleń.

Uśmiechnęła się i to wystarczyło mi za nagrodę.

Maggie ostrożnie skrzyła w inną, ciemniejszą drogę i ściągnęła czapkę. I wtedy ją sobie przypomniałem. Była dziewczyną, która ukryła w schowku dwójkę maluchów. Nie myślałem o niej od tamtego wieczoru, ale wówczas jej zdolność do szybkiego działania w stresie zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Przypomniałem sobie też, że wydała mi się piękna. Maggie miała zapewne koło trzydziestki, była szczupła i wysportowana w ten naturalny sposób charakterystyczny dla dziewczyn z Nowej Anglii, które spędzają mnóstwo czasu na dworze. Mój typ, miałem do nich słabość. Brakowało im co prawda oszałamiającego seksapilu, który miała Pia, ale były od nich energia i optymizm.

– Gdzie mieszkasz? – spytała Maggie.

Nie mogła oderwać oczu od drogi, więc wykorzystałem okazję, żeby przyjrzeć się jej piegowatej twarzy i szczupłym palcom ściskającym kierownicę. Miała spodnie narciarskie i obszerny kremowy sweter. Mogły to być męskie ciuchy, jej szczupła sylwetka zupełnie się w nich topiła, ale nie przeszkadzała mi nuta tajemnicy.

– Prawie cztery kilometry pod górę – odparłem, żałując, że nasza przejażdżka wkrótce się skończy. – Ja też cię pamiętam z tamtego zebrania.

Maggie uśmiechnęła się lekko.

– Czym się zajmujesz? – zapytałem.

– Uczę matematyki w szkole średniej – powiedziała – i trenuję ekipę narciarzy zjazdowych.

Nie znałem nikogo podobnego. Nasi przyjaciele z Nowego Jorku zajmowali się sztuką, pracowali w mediach albo agencjach reklamowych. W czasie lunchu potrafiliśmy przez bitą godzinę rozmawiać o krojach czcionek. Maggie należała do świata, o którym nie miałem pojęcia.

– To nie jest tak seksowne jak grafika komputerowa, ale bardzo lubię swoją pracę. W dodatku mam czas na pisanie.

Pisze książki!, pomyślałem i nagle w mojej głowie urodziły się setki pytań, ale było mi wstyd okazywać szczeniacki entuzjazm. Zaciekawilo mnie, skąd tyle wie na mój temat.

– Instruktorca narciarstwa zapewne wita śnieg z radością – zauważyłem.

– Te śnieżyce? – westchnęła Maggie. – Ależ skąd! Widoczność jest minimalna, nie nadążamy z przygotowaniem stoku. Może to dziwnie zabrzmie, ale wszystkiego jest za dużo. Przez cały sezon albo jest odwilż, albo śnieg po pas. Dziwne.

– To prawda, jest dziwacznie. – Wyjrzałem przez okno. Była dopiero siódma, a na drodze pustki. Zastanowiłem się, jak Maggie dotrze do domu po odwiezieniu mnie.

– Nie powinniśmy szwendać się po drogach przy takiej pogodzie – powiedziała, wyczuwając moje zaniepokojenie – ale mieszkam zaledwie niecały kilometr za tobą pod górę. I tak bym tędy jechała. – Przeniosła wzrok na moją stopę. – Masz kogoś, kto zajmie się tobą, zanim wydobrzejesz?

– Tak, w domu jest żona – odparłem. – Pia się mną zaopiekuje.

Nie mogłem być tego pewien, ale chciałem mieć nadzieję.

– Świetnie. Nie powinienesz za wiele chodzić. – Na wzmiankę o żonie gdzieś zniknął ton lekkiego flirtu. – Będzie ci się wydawało, że w tej skorupie na nodze da się bezpiecznie przemieszczać, ale to złudzenie, chwilę później wróci nieznośny ból. Lepiej poleżeć.

Powiedziała to jak osoba, która doświadczyła wielu kontuzji, zaimponowała mi. Jeśli o mnie chodzi, złamałem rękę w czwartej klasie, przeskakując z drabinki na drabinkę. Później zdarzały mi się naciągnięcia ścięgien w związku z biegami długodystansowymi, które uprawiałem w szkole średniej. Brakowało tu jednak ryzyka towarzyszącego narciarzom przy wywrotkach.

– Mieszkam tam na górze, mała parcela tuż za zakrętem. Ja i mój pies, Badger. Uwielbia śnieżyce.

Wyglądało na to, że nie przeraża jej perspektywa spędzania czasu z psem jako jedynym towarzyszem. Wyobraziłem sobie, jak oboje leżą przed kominkiem: pies śpi, a ona czyta grubą powieść. Pożałowałem, że nie mogę do nich dołączyć, że muszę wracać do śmierdzącego domostwa, w którym króluje moja nieobliczalna żona i na dobre rozgościły się dżdżownice.

Śnieg walił, może była to przepowiadana Burza, po której oboje z Pią będziemy uwięzieni w domu przez wiele dni. Czy mamy dosyć żywności? Pewnie nie. Żadne z nas nie chciało wziąć zaprowiantowania na siebie, a to znaczy, że będziemy jeść zupy z puszek i wyskrobywać resztki ze spiżarni. Z pewnością mieliśmy zapasy wina. Wiedziałem, że w tej jednej sprawie mogę liczyć na Pię.

Skazani na siebie, zaczniemy się kłócić o Augusta albo będziemy udawać, że temat nie istnieje. Zostaniemy wydani na pastwę panicznych lęków związanych z Wielką Burzą. Maggie jest moim ostatnim kontaktem z cywilizowanym światem, pomyślałem. I być może już nigdy jej nie spotkam.

Stopa zaczęła pulsować, schyliłem się, żeby poluzować zapięcia na goleni. Do diabła, ból był nieznośny. Nagle wszystko mnie przytłoczyło. Gorące łzy zapiekły w oczach. Wyjrzałem przez okno, próbując bezskutecznie położyć tamę fali wszechogarniającego smutku, ale było już za późno. Wyrwał się ze mnie szloch, który usiłowałem zamaskować nagłym atakiem kaszlu – dziwny i nienaturalny odgłos. Czułem, że Maggie na mnie patrzy. Schowałem twarz w dłoniach, potrzebowałem pięciu sekund, żeby się pozbierać i wytrzeć oczy.

– Przepraszam – powiedziałem, nieudolnie udając zaskoczenie wybuchem emocji. – To skutek leków. Mąci mi się w głowie. Nie panuję nad sobą. Bardzo mi wstyd.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni płakałem częściej niż przez pięć lat.

– Nie przejmuj się, Ash. – Maggie nawet nie mrugnęła okiem. – Rozumiem. Czasem wszystko człowieka przerasta.

Zatrzymała auto na poboczu, przed moim nieprzejezdnym podjazdem. Siedzieliśmy w milczeniu.

Nie chciałem wysiadać z samochodu nie tylko dlatego, że polubiłem Maggie, ale z całkiem prozaicznego powodu: jak mam dokuśtykać do domu? Czy dziewczyna pomoże mi przeskoczyć niezdarnie przez zaspę, wyminąć przewróconą odśnieżarkę i dowlec się oczyszczoną ścieżką na ganek, do żony? Ten ostatni etap przerażał mnie najbardziej, coraz trudniej było przewidzieć, w jakim nastroju znajdę Pię.

– To wszystko przez ten śnieg – odezwała się Maggie po chwili. – Prognozy, że rozpęta się absolutne szaleństwo, wszystkich nas wystraszyły, ale śnieg kiedyś stopnieje. Jest najbardziej nietrwałym dziełem natury. To właśnie mówię swoim uczniom. Wszystko przemienie.

Byłem jej wdzięczny za próbę pociechy, ale nie o śnieg mi chodziło. Bałem się samotności... wypadku, po którym nikt nie przyjdzie z pomocą, siedzenia w pojedynkę na opustoszałym szpitalnym korytarzu, uwięzienia w czterech ścianach z osobą, która z dnia na dzień staje się coraz bardziej obca. A ponieważ śnieg był dozorcą naszego więzienia, bałem się śniegu.

Spojrzałem na Maggie i się uśmiechnąłem. Nic więcej nie miałem do zaoferowania. Byłem żonaty, a zadymka się wzmagala, tak że trudno było dostrzec maskę samochodu. Musiałem wreszcie wysiąść.

– Dziękuję – powiedziałem. – Bądź ostrożna. Może się spotkamy, gdy przyjdzie odwilż.

– Mam nadzieję, że tak będzie – odparła.

Ledwo zdążyłem sięgnąć po klamkę, gdy drzwi otworzyły się same. Stała za nimi Pia. Dygotała w swoich legginsach, śniegowcach i polarze z kapturem. Wyraz ulgi na jej twarzy wydał mi się nie do końca szczery.

– Dobrze się czujesz? – pisnęła, gdy nachyliła się i dostrzegła but ortopedyczny.

Byłem zaskoczony i zawstydzony.

– Bardzo dziękuję za dostarczenie go do domu -zwróciła się Pia do Maggie.

Usiłowała wziąć na siebie ciężar mojego dużo większego ciała, wiedziałem, że bezskutecznie. Sytuacja stała się niezręczna i trzeba było ją przeciąć. Złapałem równowagę i zaparłem się w śniegu, uśmiechnąłem się na pożegnanie do Maggie. Pia bez słowa trzasnęła drzwiami, oboje patrzeliśmy w ślad za odjeżdżającym autem.

– Co się do diabła stało? – zapytała Pia. Może miała na myśli wypadek, a może ładną kobietę, która odwiozła mnie do domu.

Ignorując pytanie, zacząłem kuśtykać w kierunku domu. Odśnieżarka jeszcze sterczała z zasy, w której zaryła. Mimo bolącej stopy miałem wrażenie, że cały incydent miał miejsce dawno temu. Od tego czasu liczba moich znajomych w Isole znacznie wzrosła, a pewna urodziwa sąsiadka zawróciła mi w głowie. Mieszka na wzgórzu, myślałem, tak blisko, a jednak nieznośnie daleko.

Blisko pięć minut posuwałem się kulawo krok za krokiem i gdy wreszcie usiadłem w kuchni, nie odczułem przyjemnej ulgi, że dotarłem do domu. Powietrze przesycone było wilgocią i zapachem kompostu, brudne naczynia piętrzyły się w zlewie. Pia od wielu tygodni nie zmywała, ale też przestała gotować, więc były tam głównie talerzyki z okruszkami po tostach, kubki po kawie i wszelkiej wielkości szklane naczynia z osadem po czerwonym winie. Zauważyłem, że wyraźnie zeszczupiała, jej wielkie oczy i pełne usta stały się jeszcze bardziej wyraziste.

Nie rozmawialiśmy po drodze do domu. Nie miałem siły kuśtykać i klócić się jednocześnie, ale jej dziwne powitanie uznałem za początek kolejnej awantury. Kiedy wreszcie dotoczyłem się do kanapy i zająłem pozycję horyzontalną, z piwem w ręku, byłem gotów stawić jej czoła. Poczulem to samo łaskoczące gorąco, które przesładowało mnie coraz częściej; musiałem jakoś rozładować napięcie.

– Powiem ci, „co do diabła” się stało – zacząłem, patrząc prosto na Pię. Stała po drugiej stronie pokoju, opierając rękę na biodrze. – Mam stopę połamaną na milion kawałków, a ciebie przy mnie nie było. Nie zaniepokoiła cię moja nieobecność i przewrócona maszyna w ogrodzie? Czy twoim zdaniem tak wyglądają normalne małżeńskie relacje? – Zacząłem się rozkręcać, gniew gromadził się we mnie od dawna. – Obca osoba musiała mnie odwieźć do domu, wilem się jak piskorz, zmyślając jakieś bzdury, dlaczego nie mogę o to poprosić żony. Powinienem być powiedzieć prawdę: pewnie wraz z innymi paranoicznymi

świrami odprawia hocki-klocki w oczekiwaniu na apokalipsę, a może po prostu hoduje kolejną neurozę, tak czy owak, nie dba o nikogo poza sobą! Tak właśnie powinienem odpowiedzieć!

Pia zaczęła się miotać w tę i z powrotem, nakręcając na palec pasma długich blond włosów.

– Taką chciałbyś mnie widzieć! – krzyknęła. – Lubisz, kiedy mi odbija, bo wtedy jestem od ciebie zależna, a ty chciałbyś mnie trzymać na smyczy.

Jeśli nawet kiedyś było w tym ziarno prawdy, to już nie teraz.

– Wykorzystujesz moje tendencje do kompulsywnych zachowań, żeby usprawiedliwić własną naiwność i rozlazłość! Chowasz głowę w piasek, nie widzisz zagrożenia. Tymczasem nic się nie liczy w obliczu Wielkiej Burzy. Ty i twoi przyjaciele łudzicie się, że da się kontrolować sytuację. Otóż nie! Kiedy przyjdzie Burza, będziemy zdani sami na siebie. Każdy tylko na siebie.

Ten moment powinien otworzyć mi oczy, być czymś w rodzaju terapeutycznego olśnienia, dlaczego tak bardzo doskwiera mi samotność. Sprawa była prosta. Pia działała jak jednostka i myślała o własnym interesie. Bardzo mnie lubiła, ale nie potrzebowała mnie w taki sposób, jakiego oczekiwałem: tak jak ja potrzebowałem jej. Myślę, że nigdy mnie świadomie nie oszukiwała. To ja miałem bielmo na oczach, bo chciałem wierzyć, że w małżeństwie jesteśmy jak dwie połówki jednego jabłka. Fizycznie byliśmy dobrani, pożąдалиśmy się równie mocno, ale zależność emocjonalna to już inna historia. Czy to konieczne do utworzenia dobrego związku? Może nie. Byłem zdruzgotany, ale też całkowicie zbity z tropu.

Usiadłem i pokiwałem głową, co Pia wzięła za przyznanie jej racji, ale w tej chwili już mi na tym nie zależało. Nie miałem siły się kłócić. Ona też uznała, że dowiodła swego, więc zamilkła. Siedzieliśmy w ciszy. Odczułem przejmującą potrzebę, żeby wyjść na dwór i uciec jak najdalej. Od czasu przeprowadzki do Isole nie biegałem. Teraz wyobrażałem sobie, jak pięknie byłoby pokonywać równym tempem całe kilometry zaśnieżonego krajobrazu, mijając ukryte pod białą pierzyną farmy i pola, aż dławiące ściskanie w piersi ustąpi i pojawi się przyjemne zmęczenie. Jednak miałem nogę w bucie ortopedycznym, a śnieg tworzył głębokie zaspę. Nie było wyboru, musiałem zostać tutaj, z Pią, dopóki natura trzymała nas pod kluczem.

CZTERNAŚCIE

Spaliśmy długo, a rano okazało się, że śnieżycy się skończyła, zostawiając kolejne czterdzieści centymetrów świeżego puchu na dworze. Oboje byliśmy zawstydzeni i skłonni do pojednania. Każde z nas wciąż jeszcze skrywało gniew w głębi serca, jednak widzieliśmy również własne nieracjonalne zachowania. Postanowiliśmy nie wracać do wczorajszej kłótni i żyć jak dotąd. Byłem zrozpaczony ze względu na Augusta, ale postanowiłem jej przebaczyć. Nie mogłem zmusić Pii, żeby zapragnęła mieć dziecko. Czekały nas huragany i sztormy – albo Wielka Burza – i nie miało sensu wykopywanie topora wojennego, skoro mieliśmy wspólnego wroga.

Tego ranka porozmawiałem szczerze z Bev i wyjaśniłem, czemu nie weźmiemy Augusta. Była autentycznie rozczarowana, jednak miała już pomysł na inną rodzinę zastępczą, nie tak daleko od nas. Sfinalizowanie sprawy miało jej zająć jeszcze kilka tygodni; ucieszyłem się, że będę mógł spędzić z chłopcem więcej czasu. Nie bardzo rozumiałem, na czym polegają te wszystkie przewlekłe formalności, ale nie potrafiłem zadać Bev właściwych pytań przez telefon.

Kiedy w kuchni patrzyłem, jak Pia rozsmarowuje na toście dżem brzoskwiniowy ze szczyptą kardamonu, zastanawiałem się, czy ktoś zadał sobie trud, żeby wytłumaczyć Augustowi, co go czeka. Byłem przekonany, że nie wie – i nigdy się nie dowie – że miałem szansę wziąć go do siebie. Myśl, że mógłby się jednak dowiedzieć, była jak cios nożem w serce. Bałem się wszelkich rozmów o przyszłości z Augustem, udawania optymizmu w obliczu nadchodzących zmian. Nie miałem go w sobie.

Najbliższe dni wydały mi się nagle pasmem udręk.

– Zróbmy bałwana! – zawołała niespodziewanie Pia.

Spojrzałem na nią i wzruszyłem ramionami.

– Okej.

Poruszanie się sprawiało mi ból, ale dla świętego spokoju byłem gotów kuśtykać po dworze. Właściwie czemu nie? Lepszy taki pomysł niż żaden. Pia miała swój dobry moment, a spontaniczna ucieczka od rzeczywistości okazała się potrzebna także mnie. Skończyliśmy śniadanie, włożyliśmy czapki, rękawiczki i kurtki. Owinąłem lewą nogę w bucie ortopedycznym w torbę na śmieci i wziąłem poranną porcję środka przeciwbólowego. Może to dziecinne, ale bałwan wydał nam się nagle najlepszą receptą na kłopoty.

Kulejąc, wyszedłem na dwór, zimne powietrze wdarło się do płuc, załzawiło mi oczy. Było oczyszczające, nawet lecznicze. Poczulem z zadowoleniem, że po latach spędzonych z dala od górskiego wiatru odzyskuję zahartowanie na mrozy.

– Tutaj. – Pia wskazała płaski kawałek, gdzie miał stanąć bałwan.

Ubiłem twardą śnieżkę w rękach, dodawałem kolejne warstwy śniegu, aż była wystarczająco duża i dała się toczyć. Pia robiła to samo kilka kroków obok. Przykucaliśmy i popychaliśmy rosnące w oczach kule. Nie rozmawialiśmy, ale tym razem cisza między nami była miodem na nasze serca. Oboje chcieliśmy poczuć dawną bliskość. Staraliśmy się i kochałem ją za to.

Kiedy wreszcie moja kula była wystarczająco wielka i ciężka, żeby pełnić rolę tułowia, przyturlałem ją na miejsce wskazane przez Pię. Potem pomogłem jej z drugą kulą. Przerwaliśmy, zanim zrobiła się zbyt ciężka, żeby ją dźwignąć, i ustawiliśmy na pierwszej kuli.

– Popracuję nad głową – powiedziałem – a ty poszukaj oczu dla naszego bałwanika.

Pia rozejrzała się wokół, wreszcie zaczęła wygrzebywać kamyki spod schodów. Ułożyła z nich kupkę i pobiegła do domu, gdy ja dolepiałem bałwanowi głowę.

Kiedy znów otwarły się na oścież drzwi, Pia z uśmiechem zademonstrowała mi swoje znaleziska: stary szalik i beret z koszyka na różne nakrycia głowy i rękawiczki nie do pary.

Powtykałem kamyki w miejsce oczu, nosa i ust, a Pia zawiązała bałwanowi szalik w miejscu, gdzie powinna być szyja. Jeszcze w mieście nosiła go przez cały zimowy sezon, ale od tej pory go nie widziałem. Zastanawiałem się, czy wciąż pachnie lawendowymi perfumami, których wtedy używała. Wreszcie wyjęła spod pachy beret – nieudany prezent bożonarodzeniowy od mojej mamy, sprzed wielu lat – i wcisnęła bałwanowi na głowę, zawadiacko zsuwając go na jedno oko.

Zrobiliśmy krok wstecz, aby lepiej ocenić nasze dzieło. Bałwanek miał metr dwadzieścia, nie więcej, był więc raczej chłopcem niż dorosłym człowiekiem. Oboje przyczyniliśmy się do jego kreacji, a jednak nie był podobny do żadnego z nas. Przez beret przypominał postać z kreskówki.

– Jest Francuzem? – spytałem.

– Kanadyjczykiem z prowincji Quebec – poprawiła mnie Pia.

– Ach, *oui*.

Objąłem Pię za ramiona i przygarnąłem do siebie. Na trzy sekundy oparła mi głowę na piersi, po czym uciekła do domu.

Magia się ulotniła. Naprawdę się staraliśmy, gdy lepiliśmy naszego śnieżnego Francuzika i przekomarzaliśmy się żartobliwie, ale czegoś brakowało. Nawet nasz zabawny twór nie mógł tego naprawić. Pomału powlokłem się w jej ślady, zostawiając bałwana na dworze, tam gdzie jego miejsce. Śnieżynki znowu zaczęły wirować w powietrzu.

PIĘTNAŚCIE

Przez cztery dni sypało z małymi przerwami, a pokrywa śnieżna przyrastała zbyt szybko, żeby mogły sobie z nią poradzić najbardziej wydolne pługi śnieżne w Vermoncie. Od Montrealu po Manhattan życie zamarło, handel prawie nie działał, ludzie nie mieli wyboru – siedzieli w domu, nerwowo słuchając wiadomości telewizyjnych i przeglądając Internet w poszukiwaniu informacji, co właściwie nam grozi. Każdy chciał wiedzieć, czy to już początek Wielkiej Burzy. Tego się baliśmy. Nikt jeszcze nie był na to gotowy; potrzebowaliśmy kolejnej wyprawy do pobliskiego sklepu spożywczego, w którym towar był już mocno przebrany, kilku więcej baterii i jeszcze jednego galonu wody pitnej. Wstydziliśmy się przyznać, nawet przed bliskimi, że nie wyobrażamy sobie egzystencji bez takich rzeczy jak piwo, pornografia czy pigułki. Załamanie pogody przyszło zbyt szybko, żebyśmy wewnątrznie poczuli się na nie gotowi, a przecież wciąż wierzyliśmy, że będziemy potrafili się przygotować na każdą ewentualność.

Kiedy wreszcie spadł ostatni płatek śniegu, ziemię okrywała gruba na ponad dwa metry pokrywa. Meteorolodzy zapewniali, że to jeszcze nie Wielka Burza, ale to już nie miało znaczenia. Gigantyczne opady wywołały tak dużo natychmiastowych i bardzo kosztownych szkód, że nikt nie miał głowy do zastanawiania się nad czymś, co być może zdarzy się w przyszłości. Wydawało się, że uczestniczymy w filmie katastroficznym – wszystko pochłaniał nieskończony, oślepiający obłok, który dusił w zarodku wszelki objaw życia. Barykadował drzwi wejściowe, podpływał do okien na piętrze. Moje wewnętrzne dziecko rozdziawiało usta w trwożnym podziwieniu.

Za poradą Salty'ego kilka razy dziennie kuśtykałem dookoła domu z szuflą na długiej ręczce, odśnieżałem wąską ścieżkę i doprowadzałem do tego, że ciężkie płachty śniegu ześlizgiwały się ze stromego dachu na ziemię. Nie działałem ze szczególną finezją, ale w rezultacie nasz dom pozostał nietknięty, gdy tak wiele innych wymagało większych napraw.

Ludzie na wsi lepiej sobie radzili z burzami śnieżnymi: przewidywali skutki nawisów śnieżnych, modyfikowali narzędzia, niewiele mogło ich zaskoczyć. To prawda, stare stodoły zapadały się pod ciężarem śniegu, wichura przewracała drzewa na samochody, byli też bezradni starcy, których trzeba było przenieść do przytułków, bo ich domy stwarzały zagrożenie dla mieszkańców. Na naszą korzyść działały przestrzeń i stosunkowo niska gęstość zasiedlenia. W Północno-wschodnim Królestwie pogoda mogła szaleć do woli. Inaczej było w Nowym Jorku i Bostonie, gdzie śnieg miażdżył samochody; głupcy, którzy nie uwierzyli prognozom i zbyt późno wyruszyli z pracy do domu, utknęli zasypani na mostach lub w tunelach, niektórzy zamarzli, zanim dotarła do nich pomoc.

Wyłączenia prądu, które dotknęły wszystkie północno-wschodnie stany, zabrały życie kolejnych kilkudziesięciu chorych i starych ludzi, którzy nie przetrwali bez ogrzewania.

Skutki powodzi były dużo groźniejsze. „Woda zawsze robi więcej szkód”, oznajmił Salty tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zaraz po monstualnych zamieciach pojawiło się słońce i nasz nieskazitelnie biały świat rozplynął się w jedną wielką burą kałużę wielkości całego stanu. Kałuża ta przesączała się do naszych piwnic i garaży. Wilgoć powodowała nieustanne spięcia i sprzyjała pojawianiu się grzyba i pleśni. W „Burlington Free Press” – gdy prasa wreszcie zaczęła wychodzić – znalazłem zdjęcia domów wartych miliony dolarów, stojących na brzegu jeziora Champlain, które powódź podmyła i zniosła na głębie. Wszędzie było potwornie brudno. Gnojówka, pestycydy, odpady przemysłowe – to wszystko wlało się do naszych źródeł wody pitnej. Każdy region miał własne problemy: w miejscowościach na wybrzeżu ocean zagarnął całe nadmorskie dzielnice; miejskie getta przez wiele tygodni musiały się obejść bez dostaw świeżej żywności i wywożenia śmieci; wiejska biedota na głuchej prowincji bezskutecznie oczekiwała, aż dotrze do niej pomoc.

W całych Stanach Zjednoczonych pogoda pochłonęła życie siedemdziesięciu sześciu osób, zaś amerykańska gospodarka poniosła straty rzędu trzystu miliardów dolarów. Jednak statystyki straciły swoje uprzednie znaczenie. Przestaliśmy się oglądać na wiadomości telewizyjne, skoro brutalna rzeczywistość zapukała do naszych drzwi. Chociaż smutkiem napelniała mnie wiadomość o siedemdziesięciu sześciu ofiarach, martwiłem się również o własne podwórko: rower Augusta zmiażdżony przez spadające sopele, swoją kulawą nogę, która wcale nie chciała się zrastać. Jakoś nie byłem w stanie przejmować się krachem na giełdzie i produktem krajowym brutto. Te uznawane mierniki postępu wydawały się zupełnie nieużyteczne w bardziej prymitywnych czasach, w jakich przyszło nam żyć. I pomyśleć, że jeszcze niedawno tego właśnie chcieliśmy – prostego życia w Vermoncie!

Podczas śnieżycy, a potem odwilży, która po niej nastąpiła, Pia i ja zachowywaliśmy bezpieczny dystans. Ona miotała się po całym domu, wiecznie czymś zajęta, zawsze z kieliszkiem wina w ręku. Ja stałem się jednym z mebli. Mogłem się poruszać, ale chora stopa była wygodnym pretekstem do tkwienia w letargu. Użalałem się nad sobą. Oglądałem telewizję, dopóki był sygnał, potem słuchałem moich niewidzialnych przyjaciół z radia publicznego stanu Vermont i piłem jedno piwo za drugim. W końcu przestały mi przeszkadzać zapach dżdżownic, wilgoć i warstwa brudu gromadzącego się na podłodze. Było paskudnie, ale na niczym mi już nie zależało.

Kiedy ziemia trochę obeschła i mogliśmy opuścić swoje domy, żeby oszacować straty i rozpocząć konieczne naprawy, wszystkich ogarnęło poczucie

ulgi. Na każdym kroku widzieliśmy ogrom zniszczeń, wprost trudno uwierzyć, że natura mogłaby wystawić nas na jeszcze gorsze, bardziej podstępne niebezpieczeństwa. Bogowie nie mogą być aż tak okrutni. Być może, mówiliśmy sobie, los nas oszczędził i Wielka Burza nie nadejdzie. Straty były ogromne, ale nie apokaliptyczne. Zaczęliśmy żywić nieśmiałą nadzieję.

Wśród członków podkomisji zapanowało umiarkowane ożywienie. Topniejący śnieg oznaczał, że pojawiła się kolejna szansa na zbudowanie kanałów przeciwpowodziowych. Rzeczka Isole Creek wezbrała tak bardzo, że nie trzeba było przekonywać właścicieli gruntów do planu, ustępowały nawet największe uparciuchy. Byliśmy bliscy uzyskania jednogłośnie akceptacji, więc roboty mogłyby się rozpocząć bez zwłoki, gdy tylko ziemia obeschnie. Kłopoty nadal sprawiał Crow, dwóch innych prepersów i niezamieszkała działka zarządzana przez fundusz powierniczy w Connecticut. Salty wziął na siebie zadanie przeprowadzenia nas przez meandry prawnych formalności, gdy ja i Peg zgłosiliśmy się do negocjacji z prepersami.

Kiedy tylko drogi stały się przejezdne, zadzwoniłem do Peg, gotów do składania wizyt domowych.

– Jutro o czwartej. Pasuje ci? – spytała krótko. – Przez cały dzień mam zajęcia ze studentami. Wcześniej nie dam rady.

– Świetnie. Do zobaczenia! – Miałem ochotę wyjść z domu już, zaraz, ale brakowało mi pretekstu. W minionym tygodniu moja wydajność w pracy zawodowej spadła z ledwo akceptowalnej do całkowicie niezadowolającej. Moi współpracownicy w Nowym Jorku przetrwali zamiecie i powódź, wszyscy z łatwością wrócili w dawne koleiny, gdy firma na powrót podjęła działalność. Nie ja. Kiedy rano otworzyłem laptop i spróbowałem stworzyć plan nowej kampanii reklamowej, miałem pustkę w głowie. Praca wydała mi się bezcelowa. Więcej – idiotyczna i całkowicie pozbawiona sensu. Zacząłem nienawidzić siebie, że sporą część życia poświęciłem na robienie nieważnych rzeczy. Wiedziałem, jak destrukcyjne jest podobne myślenie dla naszego przetrwania, próbowałem przywołać się do porządku, ale logika przegrywała w starciu z fatalizmem.

Był ostatni dzień stycznia, gdy wyszedłem na jasne, ciepłe słońce i stwierdziłem, że nasz dom wciąż otacza bajoro głębokie na dziesięć centymetrów. Wyglądało niezachęcająco, ale nie mogłem dłużej usiedzieć w miejscu, więc włożyłem kalosz, a but ortopedyczny owinąłem torbą na śmieci, i tak ubrany poszedłem skrótem do domu Augusta. Nie widzieliśmy się od dwóch dni, chciałem sprawdzić, jak się miewa.

– Cześć, chłopie – powiedziałem, gdy otworzył drzwi w spodenkach gimnastycznych. – Ubierz się, połazimy trochę, sprawdzimy, co się dzieje.

August obejrzał się nerwowo na matkę, która siedziała z książką przy stole w kuchni. Miała na sobie szlafrok i kolorowy turban z jakiejś ludowej tkaniny

udrapowany na głowie.

– Nie mogę – szepnął chłopiec.

Jego matka wstała i podeszła do nas. Liz, tak miała na imię, teraz sobie przypominałem.

– Dzień dobry, Ash – powitała mnie chłodno. – Jak przetrwaliście burzę?

Było to normalne sąsiedzkie pytanie, ale nie wyglądała na zainteresowaną odpowiedzią.

– Słuchaj... – Wyciągnęła rękę, żeby mnie powstrzymać. – Wydaje ci się, że postępujesz dobrze i opiekujesz się Augustem, ale nie potrzebujemy twojej pomocy. I wcale mi się nie podobają autorytarne rządy, które próbujecie tu zaprowadzić.

– Co takiego? – Zupełnie zdębiałem.

– Wydaje ci się, że możesz odebrać dziecko rodzicom i kopać rowy w cudzych ogródkach. Tacy jak ty, John Salting i wam podobni uważają, że najlepiej wiedzą, co jest dobre dla innych. Chyba się nie mylę?

To nie było pytanie. Początkowo nie rozumiałem, dlaczego miesza Augusta do planów przeciwpowodziowych, ale pomału to do mnie dotarło: uznała mnie za wroga. Wielka Burza podzieliła społeczność na zwalczające się ugrupowania i mnie zaliczyła do nieprzyjaciół. Była indywidualistką, ja paternalistą. Nikomu nie można ufać.

Zaczęła mi zamykać drzwi przed nosem, wypychając mnie na zewnątrz. August nie odrywał ode mnie oczu, dopóki mógł, potem klamka zapadła, był zamknięty ze swoimi beznadziejnymi rodzicami. Jednak chłopiec nie wiedział, do jakiego stopnia byli beznadziejni. Dla siedmiolatka jest naturalne, że rodzice definiują jego rzeczywistość. Robiło mi się niedobrze na myśl, że August będzie wierzył w głupstwa, które na mój temat opowiadają.

Speszony i rozeźlony pokużykałem ścieżką do domu, i dalej, wzdłuż podjazdu, do naszego auta. Po konfrontacji z Liz musiałem ruszyć się z miejsca. Nie mogłem o tym porozmawiać z Pią.

Bąłem się, co śnieg i woda zrobiły z naszym volvem. Tamtej nocy, gdy zaczęła się śnieżycy, a ja tkwiłem w szpitalu, Pia zaparkowała na poboczu, bez troski porzuciła samochód na pastwę pługów śnieżnych, spadających gałęzi i Bóg wie czego jeszcze. Był to kolejny powód mojej tłumionej wściekłości, tak jak dżdżownice, ale bardziej bolesny dla kieszeni.

Ku memu zaskoczeniu volvo wyszło z opresji cało. W czasie odwilży zalała je woda, więc w środku utrzymywał się wilgotny zaduch, który zmieni się z czasem w trwały smród, ale teraz miał dla mnie posmak wolności. Przekręciłem kluczyk w stacyjce, zbyt późno pomyślałem, że może porazić mnie prąd. Na szczęście nic takiego się nie stało. Silnik zaskoczył i po paru energicznych wdepnięciach pedału gazu udało mi się wyjechać z dołka na błotnistą, zrujnowaną drogę. Wiedziałem, że

to nie jest dobry pomysł, słyszałem zbyt wiele informacji radiowych na temat samochodów, które utknęły na trasie, jednak nie chciałem tkwić w domu. Byłem nazbyt wzburzony i rozgniewany.

Kiedy wyjechałem na główną drogę, zdałem sobie sprawę z tego, że nie mam pojęcia, dokąd jadę, więc skierowałem się do centrum miasteczka i postanowiłem zrobić zakupy. Na ulicach ruch był niewielki, większość pojazdów była lepiej przystosowana do jazdy w trudnych warunkach niż volvo. Kierowcy pozdrawiali się uniesieniem dłoni i podążali dalej. Mimo wzmożonych wysiłków stanowych służb drogowych, które pełną parą przywracały przejezdność głównych szlaków komunikacyjnych, na asfalcie tu i ówdzie wciąż jeszcze leżały duże gałęzie lub części samochodowe. O mało nie wpadłem na nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę, gdy wymijałem leżący na jezdni oberwany zderzak. Ten ponury tor przeszkód dziwnie kontrastował z błękitnym niebem. Niesamowite wrażenie robiły na mnie martwe zwierzęta: kuna, dwa jelenie – mulaki białoogonowe – i coś małego, co mogło być pełną myszą. Żadne z nich nie wpadło pod samochód; nie było śladów kraksy. Po prostu na asfalcie leżały ich ciała. Unikałem ich martwych oczu. Sprawiały wrażenie przerażonych. Przypominały mi martwe ptaki z naszego dachu. One też miały podobny wyraz oczu. Dzikie stworzenia zdawały się dezorientowane, wystraszone. Uznałem, że wyobraźnia płata mi figle i przypisuję własne emocje bezmyślnym istotom. Ale jakie to miało znaczenie? Przyroda stała się przerażająca, nieważne, czy zwierzęta zdawały sobie z tego sprawę.

Na skrzyżowaniu z mniejszą przecznicą minąłem stary kościół. Nie wiedziałem, do jakiej kongregacji należy, nigdy nie widziałem tu nikogo z wiernych, ale musieli jacyś być, skoro przed kościołem stała tablica ogłoszeniowa – podobna do tych, jakie wystawiają tanie restauracje – z regularnie zmienianym czytaniem dnia. Tym razem rzucił mi się w oczy napis zrobiony majuskułą: PRAWDZIWA BURZA NADCHODZI. JESZCZE NIE ODCZULIŚMY PEŁNI GNIEWU, KTÓRY NA NAS SPADNIE. Mniej więcej to samo, co przepowiadali w radiu meteorolodzy.

Kiedy zajechałem pod supermarket i zobaczyłem zardzewiałe bmw, zawsze parkujące tu razem z innymi samochodami, poczułem z zadowoleniem, że wracam do zwykłej, przewidywalnej codzienności. Nagle odezwał się głód – burczało mi w brzuchu. Może będą mieli cytrynowe babeczki z jagodami, pomyślałem. Przeszanę myśleć o Augustcie i padlinie na drogach, a zacznę się delektować ciastkami.

Zawsze czułem przyływ sentymentalnych uczuć, gdy wchodziłem do zatłoczonej hali z jej mieszanką wyrazistych zapachów i hożymi, niedostępnymi kasjerkami. Właśnie dlatego chciałem tu mieszkać! Szarpnąłem za skrzypiące drzwi i przekonałem się, że tu także podłoga była mokra. Wyglądała niechlujnie,

ale wszystko sprawiało takie wrażenie – cała Ameryka Północna dopiero wysychała po odwilży. Z głośników płynęła muzyka, skrzyżowanie rapu i reggae, klienci kręcili się między półkami. Brakowało wielu towarów, ale było w czym wybierać, zwłaszcza dla osoby bez wygórowanych wymagań. Miałem szczęście, piekarz dojechał rano i na kontuarze znalazłem apetyczną górę pachnących muffinów i bułeczek. Zaopatrzyłem się w świeże ciastka i snułem się dalej, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Dorzuciłem do kosza mleko migdałowe, płatki śniadaniowe, chipsy kukurydziane i salsę. Lepiej brać rzeczy, które się nie psują; nigdy nie wiadomo, co się jeszcze zdarzy.

Przez chwilę stałem przed lodówką, zastanawiając się, na które mrożone burrito się zdecydować, gdy usłyszałem stłumiony szloch. Tuż za mną płakała kobieta. Nie odwróciłem się, widziałem jej odbicie w szklanych drzwiach przed sobą. Miała jakieś pięćdziesiąt lat, była niewysoka i szczupła, w kaloszach do kolan i fioletowym płaszczu przeciwdeszczowym. Ocierała łzy chusteczką przed gablotą z mrożonym groszkiem i brokułami. Jeśli mnie zauważyła, nie dała po sobie poznać.

– Groszek. Zielona fasolka. I kogo to obchodzi? – mówiła do siebie. – Dlaczego wciąż udaję, że to ma jakieś znaczenie?

Nie poruszyłem się.

Teraz już szlochała całkiem głośno, bezwstydnie, czym zwróciła uwagę kogoś jeszcze – dziewczyny, która wyrzała zza rogu kolejnej alejki.

-Jakie to ma znaczenie! – zawołała znowu kobieta; tym razem nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

Otworzyła szklane drzwi i zaczęła wyrzucać torby zamrożonych warzyw. Ładowały jedne na drugich, aż wreszcie jakaś krojona marchewka eksplodowała i to skłoniło dziewczynę do działania. Podbiegła i objęła tę starszą, zaczęła ją uciszać jak małe, zrozpaczone dziecko. Wydało mi się to protekcyjne, ale z jakiegoś powodu poskutkowało. Patrzyłem na nie z taką miną, jaką mają ludzie, którzy chcieliby sprawiać wrażenie pomocnych, a jednocześnie żywią nadzieję, że ktoś inny ich w tym wyręczy.

– Ciiicho, ciii... – powtórzyła młodsza, a starsza kobieta raz jeszcze zachlipała jej w ramię.

Stałem i czekałem, aż skończy się ta scena, nie tylko krępująca, ale i przerażająca. Starsza pani nie była pijana, nie dostała szału. Była zwykłą miłą mieszkanką przedmieścia, czyjąś żoną i matką, która nie mogła już znieść życia w ciągłym strachu, a to z kolei zatrwożyło mnie. Przecież wszystkie matki na świecie powinny być dzielne i optymistyczne. Pomyślałem o swojej mamie – istnym wzorze macierzyńskiej odwagi i optymizmu – i obiecałem sobie, że wkrótce do niej zadzwonię. A może to ona powinna zadzwonić do mnie? Właściwie czemu telefonuje tak rzadko? Bez wątplenia ma urwanie głowy z wnukami, dziećmi mojej

młodszej siostry, i moim wiecznie wymagającym opieki bratem. I nagle poczułem pretensję do Bogu ducha winnych krewnych, jakby ów dystans między nami nie powstał na skutek moich własnych zaniedbań.

Kobieta przestała płakać. Schyliłem się i pomogłem jej pozbierać warzywa. Dołączył do nas mężczyzna, mniej więcej w moim wieku. Kręcone jasne włosy miał ściągnięte gumką w koczek, który zaskakująco dobrze wyglądał na takim męskim facecie. Pozazdrościłem mu swobody, wyraźnie dobrze się czuł we własnej skórze, pomyślałem, że w wolnych chwilach uprawia wspinaczkę. Przelotnie spotkaliśmy się wzrokiem, a wtedy zauważyłem, że on także był poruszony sceną, która się rozegrała przed nami. Miał zaczerwienione, podpuchnięte oczy.

Kiedy zebraliśmy większość marchewek, wstałem i prawie pobiegłem do wyjścia. Nie wyobrażałem sobie, że stanę w kolejce do kasy za płaczącą starszą niewiastą albo mężczyzną z koczkiem. Jakoś mnie to przerosło. Potrzebowałem powietrza. Zostawiłem wypełniony do połowy kosz i uciekłem ze sklepu.

Łapałem powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg i siedziałem w aucie, niepewny, co mam zrobić dalej. Dlaczego mężczyzna w sklepie był taki wystraszony? Wiedziałem. Widok płaczącej kobiety wytrącił go z równowagi, a ona płakała z tego samego powodu, który nam wszystkim spędzał sen z oczu. Nie byliśmy w stanie żyć w permanentnym zawieszeniu i oczekiwaniu na Wielką Burzę. Było to chore, wręcz nie do wytrzymania. Zanim nadejdzie kataklizm, wszyscy będziemy mieć nerwy w strzępach.

„Wdech. Wydech. Wdech. Wydech”.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, powoli ruszyłem, niepewny, dokąd właściwie jadę. Na ulicy panował większy niż wcześniej ruch, zrobiło się cieplej niż dwadzieścia minut temu. „Wszystko w porządku”, powtarzałem sobie. Minąłem stację benzynową, na której panował niezwykły ruch, i remizę. „Wszystko w porządku”.

Kiedy zbliżyłem się do gmachu liceum, okazało się, że przede mną jest korek i wszyscy usiłują skręcić na parking. Nie miałem pojęcia, co ci ludzie tu robią – od ostatniej śnieżycy szkoły pozostały zamknięte – wyciągnąłem szyję, żeby lepiej widzieć. Przed drzwiami frontowymi zebrała się duża grupa ludzi, ale byli za daleko, nadal nie miałem pojęcia, co tam się dzieje. Zjechałem na parking, jak auta przede mną. Masywne sterty topniejącego śniegu, odrzucone na boki przez pług śnieżny, nadal otaczały go ze wszystkich stron, tworząc coś w rodzaju amfiteatru.

Dopiero tutaj zorientowałem się, że kilka osób trzyma zrobione własnoręcznie transparenty i skanduje głośno.

– Nadzieja w Bogu! Nadzieja w Bogu! – wrzeszczeli.

Wygramoliłem się z auta i tak szybko, na ile mi pozwalała chora noga,

dołączyłem do gapiów. Grupa ludzi, starych i młodych, otaczała frontowe drzwi gmachu szkoły. Mieli na sobie dość niechlujne stroje moro i pomarańczowe kamizelki myśliwskie. Domyślałem się, że większość to mieszkańcy małych farm otaczających Isole, kiedyś niezłe prosperujących, dziś podupadłych; kolejnym pokoleniom zostały nader skromne zasoby i niewyczerpane pokłady gniewu. Współczułem tym Vermontczykom z dziada pradziada – nawet trochę im zazdrościłem, że są tak związani z tą ziemią – ale nikogo spośród nich nie znałem. W samym środku stał Roger, wariat Roger, który wyciągnął broń na zgromadzeniu i został wyprowadzony w kajdankach. Dziś znowu był w kajdankach – tym razem sam się przykuł do drzwi wejściowych szkoły. Urządził protest, a reszta przyszła go wspierać. Teraz lepiej widziałem transparenty. Na mniejszych jak mantra powtarzało się hasło: „Nadzieja w Bogu”. Na dużym, trzymanym przez dwie osoby, znajdował się biblijny werset: „Burza przychodzi z południa; zima nadciąga z północy” (Hi 37,9)^[1]. To niesamowite, do jakiego stopnia pasował do aktualnej prognozy pogody.

W pobliżu stał policjant, którego rozpoznałem z posiedzenia rady miejskiej.

– Co tu się dzieje? – zapytałem.

– Rodney Riggins – odpowiedział. – Wie pan, ten kaznodzieja czy kim tam jest. Było głosowanie wśród mieszkańców, czy pozwolić mu na zorganizowanie spotkania w auli szkolnej, i jego zwolennicy przegrali, więc zdecydowali się zrobić z tego sprawę wagi państwowej.

Gromadził się coraz większy tłum; poczta pantoflowa działała. Zauważyłem reportera lokalnej gazety wymachującego mikrofonem; na oko nie dałbym mu więcej niż szesnaście lat.

– Ja tylko pilnuję porządku – powiedział gliniarz. – Na razie nie łamią prawa.

Kiwnąłem głową. Trudno sobie wyobrazić, żeby akty obywatelskiego nieposłuszeństwa w Isole wymagały policyjnej interwencji, ale ostatnio zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

– Muszą nas wysłuchać! – krzyczała jakaś kobieta. – Nie ma tam nikogo, kto by reprezentował zwykłych, bogobojnych obywateli Isole?

– Władza powinna należeć do ludu, działać dla ludu – dołączył do niej jakiś mężczyzna. – Trzeba nam Boga we władzy, bardziej niż poprzednio.

– W jakiej sprawie państwo protestują? – Reporter podstawił mikrofon pod nos mówcy. – Czy chodzi o wynik głosowania w sprawie Rodneya Rigginsa?

– Jasne, że o tu chodzi – odpowiedział indagowany. – Głosowanie zostało sfalszowane! A gdzie prawo do wolności wyznania?

Przyglądałem się wiecowi przez dłuższą chwilę, gdy moją uwagę zwróciła gigantyczna terenowa półciężarówka, która z rykiem wjechała na parking. Koła wysokie na dorosłego chłopca, ubłocona, jakby po drodze pokonała bagno. Przez

otwarte okno na cały regulator rozbrzmiewała jakaś gniewna ballada. Kierowca zahamował z piskiem opon niebezpiecznie blisko zbiegowiska. W nagłej ciszy rozległa się dramatyczna solówka gitary elektrycznej i – tadam! – przy dźwięku perkusji z szoferki wyskoczył na pakę uśmiechnięty facet, a manifestanci na jego widok oszaleli ze szczęścia.

Był to nie kto inny jak Rodney Riggins. Miał na sobie bojówki, obcisły niebieski sweter i buty górskie. Bujne włosy, rozdzielone przedziałkiem po lewej stronie, połyskiwały w słońcu. Odwrócił się i pomachał do zgromadzonych, jakby był gwiazdą rocka przed występem. Chociaż jego terenówka ubłocona była po dach, on sam sprawiał wrażenie świeżego jak letni poranek.

Zastukał w szybę kierowcy, że pora wyłączyć muzykę. Kiedy zapadła cisza, Riggins z fałszywą pokorą odczekał chwilę, aby przyciągnąć uwagę zarówno demonstrantów, jak i gapiów.

– Przepraszam za dramatyczne wejście! – krzyknął. – Oglądałem właśnie zniszczenia spowodowane przez burzę. Widziałem piekło... prawdziwe piekło, a to nic wobec tego, co nas jeszcze czeka.

Zeskoczył na ziemię i ruszył w kierunku zgromadzonych.

– Baliście się? Bo ja tak. Furia matki natury, niepewność jutra... to wszystko budzi trwogę. Ale powiem wam, nic nie jest straszne, jeśli Bóg jest po naszej stronie.

Zatrzymał się parę kroków ode mnie. Miałem wrażenie, że czuję zapach jego wody kolońskiej. Budził we mnie instynktowną odrazę.

– Słyszeliście, że Bóg pomaga tym, co sami sobie pomagają, prawda? I właśnie to chcemy robić w Isole. – Riggins przez chwilę mierzył mnie wzrokiem.

– Przygotowujemy się na najgorsze i pokładamy ufność w Bogu, że nagrodzi nas za przeczność, gdy przyjdzie Dzień Sądu.

– Proszę pana, my tu w Isole żyjemy z Bogiem w zgodzie – przerwał mu policjant. – Teraz chcemy po prostu, żeby ci dobrzy ludzie rozeszli się w spokoju do domów. To pan ich tu ściągnął?

Riggins zignorował jego pytanie.

– Otwórzmy szeroko drzwi szkoły! – zawołał. – Otwórzmy szeroko nasze serca i zaczniemy się szykować na test, któremu podda nas Stwórca. Zdamy go, ocalimy piękne miasto Isole, dopóki pokładamy nadzieję w Bogu!

Demonstranci, których liczba zdążyła się podwoić, zaczęli skandować:

– Nadzieja w Bogu! Nadzieja w Bogu!

Riggins stał, szczerząc zęby w olśniewającym uśmiechu. Gapiów również wyraźnie przybyło. Zobaczyłem w pobliżu Salty'ego i innych radnych miejskich.

– Może najlepiej by było po prostu im pozwolić na tę całą głupotę... – powiedział jeden z rajców półgłosem. – Kuratorium nie będzie miało nic przeciwko temu, jeśli wynajmą salę gimnastyczną na wieczór lub dwa.

– Jestem innego zdania – odpowiedział Salty. – Przegrali głosowanie. To byłoby pogwałcenie demokracji.

Widziałem oczywiście niekonsekwencję Salty’ego w podejściu do demokracji, ale jakoś mi to nie przeszkadzało. Może powinienem być bardziej pryncypialny – wszak działalność podkomisji i sekretne decyzje dotyczące całej społeczności nie miały wiele wspólnego z demokracją – jednak stare reguły gry nie wystarczały na nowe czasy.

Po drugiej stronie placu zgromadziła się grupa bardziej agresywnych obserwatorów i wdała się w ostry spór z demonstrantami. Nie słyszałem, co mówią, jednak rozpoznałem paru uczestników spotkań prepersów, na które chodziła Pia. Wrzeszczeli na siebie, atmosfera stawała się coraz bardziej gorąca.

– Wasz Bóg jest gówno wart! – huknął jeden z prepersów, co sprowokowało do działania krewkiego wiernego. Z całej siły popchnął bluźniercę, aż tamten ciężko wylądował na ziemi.

Rozpętało się istne pandemonium. Wszyscy wrzeszczeli, jedni wzywali policję, innych rozochociła przemoc: miotali obelgi i rwali się do bitki. Samotny funkcjonariusz pilnujący porządku wezwał posiłki i starał się rozdzielić zwaśnione strony. W tym momencie kilkakrotnie mignął flesz. Reporter miał swój gorący temat.

– Nie przestraszysz mnie! – krzyknął prepers pod adresem policjanta. – W piekle twoja odznaka będzie funta kłaków warta! Ciesz się władzą, póki możesz, grubasie!

Była to nie tylko obelga, ale i stwierdzenie faktu; tu tkwiło jej żądło. Gliniarz istotnie był otyły. Rozejrzałem się, czy nie należy przyjść mu w sukurs, ale nie umiałem się połapać, kto jest kim.

– Proszę o spokój – powiedział Riggins, jakby dźwięk jego głosu mógł ostudzić gorące głowy. – Wszyscy tu jesteśmy dobrymi sąsiadami.

Szybko się uczył i bez wątpienia włożył sporo wysiłku, żeby wyglądać i mówić jak miejscowy, zdradzało go jednak lekkie przerysowanie. Wciąż mnie zdumiewało, że ludzie się nabierali na jego występy i nie widzieli tego, co ja – że jest tylko żalonym aktorem. Najpewniej w Isole istniało teraz zapotrzebowanie na podobną personę, bo zyskiwał popleczników.

– Nie jesteś Jezusem! – krzyknął ktoś z tłumu pod jego adresem. Stłumiłem śmiech. Tym razem okrzyk padł z innej strony, jego autorem był ktoś z grupki zwykłych gapiów. – Wracaj, skąd przyszedłeś. Nie potrzebujemy cię tutaj.

Kilka osób poparło mówcę, rozległy się skandowania i oklaski. Policjant wyraźnie widział, że sprawy idą w złym kierunku i jeden funkcjonariusz sobie nie poradzi.

Właśnie wtedy nadjechał radiowóz, wyskoczyło z niego kolejnych trzech gliniarzy, z rozmachem trzaskając drzwiami.

Policjantka podniosła urzędowy nakaz do góry i powiedziała:

– Proszę się rozejść. On złamał zasady zwolnienia warunkowego.

Miała na myśli Szalonego Rogera, który może i był ćpunem, ale w tym momencie nie sprawiał wrażenia, jakby brakowało mu piątej klepki. Był jedną z kilku osób zachowujących spokój w całym tym rozgardiaszu, chociaż jako jedyny dał się przykuć do drzwi.

– Nie, nie, nie, nie, nie! – krzyczał Roger. Zrozumiał wreszcie, że czeka go nieunikniony areszt.

– Cóż robić, Rogg – powiedziała funkcjonariuszka, gdy razem z tęgim kolegą usiłowała go uwolnić z kajdanek za pomocą klucza francuskiego.

Kilku demonstrantów próbowało im przeszkodzić, ale w końcu poddali się bez oporu, wyraźnie nie mieli zwyczaju atakować policjantów na służbie.

Gapie wrócili do swoich aut i rozjechali się, gdy przedstawienie się skończyło. Kątem oka zauważyłem, że Salty ociera pot z czoła – to niezwykle, jak bardzo przeżywał wszystko, co się działo w Isole.

Dwójka policjantów popchnęła Rogera na ziemię, trzeci wołał coś przez radio. Roger kopnął grubasa w brzuch, ten zwinął się z bólu, zostawiając koleżankę samą z nieobliczalnym więźniem. Błyskawicznie pokonałem kilkumetrową odległość.

Roger wierzgał jeszcze, gdy go przytrzymałem i zobaczył moją twarz. Wtedy znieruchomiał.

– Hej, poznaję cię – stwierdził. – Jesteś tu nowy. Superbohater. Czego do cholery tu szukasz?

Nie potrafiłem odpowiedzieć, tak byłem zaskoczony, że mnie rozpoznał.

– Ja? Niczego nie szukam. Mieszkam tu – rzekłem wreszcie.

– Czemu to zrobiłeś, Roger? – spytała funkcjonariuszka współczująco. Było jasne, że jest dobrze znany miejscowym stróżom prawa.

– W coś trzeba wierzyć – odparł Roger. – Nie w siebie. I na pewno nie w rząd. Więc może w Pana Boga.

Odwrócił się do mnie. Siedział teraz na ziemi potulnie. Jego ciuchy śmierdziały uryną i papierosami.

– Nienawidzę tego zadupia – oznajmił. – Nie wiem, dlaczego ludzie chcą się tu osiedlać. Gdybym mógł, gdybym znalazł pracę, natychmiast bym stąd prysnął. Wy, dobrzy obywatele, tacy naprawiacze świata, myślicie, że uda wam się zapanować nad chaosem, który się tu rozpęta podczas Burzy... że to miejsce będzie znowu miłutkie, po tym, jak wszystko pieprznie. Ale ono wcale nie jest miłe. Ma swoje brudne sekrety.

Jeden z funkcjonariuszy otworzył drzwi radiowozu i gestem dał znać, że zaprasza aresztanta do środka. Poczulem ulgę, że nie będę musiał dłużej patrzeć na Rogera, wachać jego śmierdzącego odzienia i dowiadywać się, jak wygląda Isole

z jego perspektywy. Mój idylliczny zakątek był dla niego ślepym zaułkiem. Wsiadł do radiowozu bez protestów, pozdrawiając gromadkę kibicujących mu demonstrantów, gotów ponieść konsekwencje swoich czynów.

Tłum malał w oczach. Dostrzegłem Rigginsa, który zagrzewał do boju grupkę wyznawców, zapewniając, że nie wolno dać za wygraną, a wkrótce pojawią się nowe okazje do zaprezentowania mieszkańcom ich przesłania. Wreszcie najbardziej uparci uczestnicy protestu zaczęli się żegnać i rozchodzić. Stałem tam i gapiłem się, choć już nie było na co, ale nigdzie mi się nie spieszyło. Salty chodził obok, tam i z powrotem, i rozmawiał cicho przez komórkę. Roger miał rację, „naprawiacze świata” próbują opanować chaos; taki właśnie jest Salty. Co jeszcze można zrobić?

Nagle poczułem, że ktoś chwyta mnie za ramię, obróciłem się gwałtownie. Riggins uśmiechał się do mnie, jakbyśmy się znali.

– Hej, przyjacielu – zagadnął. To słowo w jego ustach brzmiało złowrogo. – Jesteś kumplem Salty’ego, prawda? Nie musimy sobie wchodzić w paradę. Wszyscy chcemy dobrze dla miasteczka.

– Nie powinien pan manipulować tymi ludźmi – powiedziałem.

– Jestem tu, bo mnie zaprosili – odparł spokojnie Riggins. – „Ci ludzie” są mądrzejsi, niż się panu wydaje. Nie potrzebują ochrony. Niech sami wybierają.

Miał trochę racji, za co jeszcze bardziej go znienawidziłem.

– Używa pan wymyślonej religii, żeby im coś sprzedać – odparowałem. – Jest pan oportunistą, zwykłym szarlatanem. Nie dba pan o mieszkańców Isole, obaj dobrze o tym wiemy.

Sam się zdziwiłem, ile we mnie jadu.

– Posłuchaj no, Ash... bo tak ci na imię, nie? – Riggins porzucił fałszywy akcent i dla odmiany wydawał się całkiem szczerzy. – Używam filozofii transcendentnej, żeby sprzedać im coś, czego i tak potrzebują. Co w tym złego? To nie altruizm, ale i nie zbrodnia. A co takiego wy macie im do zaoferowania?

Podszedł do nas Salty i wtedy Riggins natychmiast wrócił do maski nawiedzonego kaznodziei. Powiedział „do widzenia”, jakbyśmy odbyli zwykłą przyjacielską pogawędkę, i oddalił się pospiesznie.

– Ostatnia rzecz, której Isole potrzebuje – powiedział Salty. – Nie powinniśmy się dzielić w czasie, gdy niezbędna jest solidarność. Nie rozumiem, co się dzieje. Zupełnie się tego nie spodziewałem.

Potrząsał głową z zafrasowaniem. Właściwie mówił do siebie, nie czekał na odpowiedź. Obiecałem sobie w duchu, że pomogę Salty’emu w każdy możliwy sposób. Nigdy z niczym nie identyfikowałem się tak mocno, jak on ze swoją społecznością; zacząłem doceniać podobną postawę. Salty żył pełnym życiem. Przypominał mego ojca: jego życie także wypełniały sprawy, które brałem za prowincjonalne głupoty, tymczasem stanowiły istotę prawdziwej egzystencji.

Rodzina, sąsiedzi, o których się troszczył, jego własny kawałek miejsca na ziemi. Kochał to wszystko, w zamian był obdarzany miłością przez otoczenie, a przecież wiadomo, że nie ma miłości bez odrobiny cierpienia.

– Muszę wracać do roboty – westchnął Salty. – Na szczęście chwilowo mamy spokój.

Patrzył na budynek szkoły, teraz cichy. Dzisiejsza awantura dobiegła kresu, ale obaj wiedzieliśmy, że nic – zupełnie nic – nie jest jeszcze przesądzone.

SZESNAŚCIE

– A wtedy facet wyskakuje na pakę jak diabełek z pudełka! – Zanosząc się od śmiechu, pociągnąłem kolejny łyk szkockiej whisky i z hukiem odstawiłem szklanę.

Siedziałem w kuchni Peg, była piąta po południu, dzień po incydencie w szkole. Byłem już trochę wstawiony, nie pamiętam, żebym się tak szczerze śmiał w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Złożyliśmy wcześniej wizytę jednemu z ostatnich oponentów planu przeciwpowodziowego, co okazało się całkowitą stratą czasu. Żona nie wpuściła nas do domu, a mąż zagroził nam bronią, więc zabraliśmy się stamtąd jak niepyszni. Wróciliśmy do Peg na suszone mięso jelenia i drinki, co bardzo mi się spodobało. Wciąż nie miałem pojęcia, jak mógłbym się przydać w negocjacjach, bałem się konfrontacji z właścicielami gruntu. Peg również była bliska dania za wygraną. Nie znałem jej dobrze, ale wydawała mi się smutniejsza i bardziej nieobecna niż Peg, którą poznałem kilka miesięcy temu. Nie umiałem tego nazwać, ale wyczuwałem zmianę.

Kiedy tylko rozsiadłem się za stołem kuchennym, zacząłem z detalami opisywać scenę, która z udziałem Rodneya Rigginsa rozegrała się pod liceum. Peg słuchała uważnie, śmiała się i potakiwała we właściwych momentach.

– To zupełnie nietypowa sytuacja jak na Isole – skomentowała na końcu. – Ludzie tu nie reagują histerycznie. Myślę, że wszyscy są na skraju wytrzymałości nerwowej.

Spojrzała przy tym przez okno na nagie gałęzie dębów. Był pierwszy dzień lutego, ale nigdy w życiu nie widziałem o tej porze podobnej pogody. Śnieg stopniał, roztopy w zasadzie już wyschły. W przyrodzie wciąż trwała zimowa cisza, ale temperatura sięgnęła dziś jedenastu stopni Celsjusza. Straciliśmy najbardziej czytelne wyznaczniki pór roku. Teraz po prostu panowała cisza przed kolejną burzą.

– Riggins to podejrzana figura – stwierdziłem.

– Zniknie stąd, zanim jeszcze skończy się Wielka Burza. – Peg machnęła lekceważąco ręką. – Z pewnością zaczniesz zbijać kokosy gdzie indziej i na czym innym.

Miałem nadzieję, że tak się stanie.

– A co z tobą, Ash? Masz jakieś opiekuńcze bóstwo na Dzień Sądu?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Wydawało mi się, że nie. Jako dziecko chodziłem do kościoła w Boże Narodzenie i czasem na Wielkanoc, ale to wszystko. Nigdy nie byłem religijny, więc nigdy mi tego nie brakowało. Jednak nie jestem ateistą; wierzę w Boga, cokolwiek to znaczy. A ty?

– Formalnie biorąc, jestem katoliczką – powiedziała Peg z przesadnym irlandzkim akcentem.

– Formalnie?

– Cóż, moja duchowość jest dużo bardziej skomplikowana niż takie etykietki; wiąże się z zamierzchlą historią mojego kraju.

Znowu wyjrzała przez okno i zamilkła. Ona też trochę się wstawiła.

– Ziemia, drzewa, święte gaje, wróżki...

Nie byłem pewien, czy mówi serio.

– Wszyscy Irlandczycy w nie wierzą? – zażartowałem.

– Tak, przynajmniej do pewnego stopnia. – Nie była urażona moim prześmiewczym tonem. – Zanim Kościół nawrócił Irlandię, mieszkańcy wyspy żyli w bliskim kontakcie z ziemią i jej duchami. Później tylko udawaliśmy, że nie jesteśmy w głębi serca pogańskimi szamanami i potomkami wróżek.

– Naukowiec, który wierzy we wróżki? – Uniosłem brwi.

– Nie przykładaj takiej wagi do słów. Mam na myśli wiarę w wewnętrzne moce ziemi. Zawsze wydawały mi się realne. – Peg wzruszyła ramionami. – To nie jest teoria przeciwstawna nauce. Zostałam naukowcem ze względu na wróżki. Dorastałam na wsi, jako dziecko i młoda dziewczyna spędzałam mnóstwo czasu sama w lasach i na brzegu morza. Natura była moją bliską przyjaciółką – a ponieważ mieszkaliśmy na odludziu, nie miałam ich wiele. Ash, zostałam biologiem, bo zawsze czułam specjalną, nadprzyrodzoną więź z ziemią. Chciałam ją lepiej poznać i zrozumieć. Zawsze pamiętałam, że są takie rzeczy na niebie i ziemi, o których się nie śniło naszym filozofom. To jest ten boski pierwiastek natury. Szkiełkiem i okiem da się ją zbadać tylko do pewnego stopnia. To właśnie kocham.

Peg westchnęła ciężko i uniosła szklanekę z whisky do ust.

– Właśnie dlatego tu mieszkam – ciągnęła smutno. – Przeprowadziłam się do Isole, bo tutaj czułam, jak natura wokół mnie wibruje, tak samo jak za moich młodych lat. Ale wszystko się kończy.

– Dlaczego? – zapytałem. – Przez Wielką Burzę?

– Tak, przez tę burzę i wszystkie następne, które przyjdą po niej. Nadeszła zmiana, Ash. – Łza spłynęła po policzku Peg, utopiła ją w alkoholu i spróbowała się uśmiechnąć. – Nie martw się o mnie – powiedziała. – Nic mi nie jest. Czasem ogarnia mnie melancholia, gdy o tym wszystkim myślę. Czuję się... samotna.

Otarła oczy, doląła nam szkockiej i podniosła szklanekę.

– Za wróżki! – zaproponowała.

– Za wróżki.

Po ostatnim toaście wróciłem do domu, ale nie mogłem przestać myśleć o rozmowie z Peg. Wibracje natury były przedziwną koncepcją, która przemawiała do mojej wyobraźni. Przypomniałem sobie własne szczenięce lata, dzieciństwo

spędzone na zabawach w lesie za domem, badania przyrodnicze, które prowadziłem – tamten chłopak świetnie by ją rozumiał. Dorosły „ja” miał pewien problem z uznaniem słów Peg za prawdę.

Zastanawiałem się także, czy dlatego Peg nie wyszła za mąż i nie miała dzieci: bo jej prawdziwą miłością była ziemia? Czy może to być adekwatny substytut związków z ludźmi? Miałem wystarczająco dużo samokrytycyzmu, żeby wiedzieć, że nie mam prawa jej osądzać. Peg zrobiła na mnie wrażenie jednej z najbardziej spełnionych i wewnętrznie bogatych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem. Uświadomiłem sobie także, że ani razu nie spytała o moje małżeństwo. Chyba podejrzewała, że między mną a Pią nie działa się najlepiej, i zauważyła, jak bardzo potrzeba mi przyjaciela. Któregoś dnia będziemy mogli porozmawiać o tych wszystkich sprawach.

Byłem szczerze wdzięczny Peg, bo wracałem do domu, czując miłe ciepło na sercu, zupełnie jakbyśmy mieli teraz wspólny sekret. Był to smutny sekret, ale Peg odsłoniła się przede mną i stworzyło to między nami nową bliskość.

W domu czekało mnie zaskoczenie, bo Pia ugotowała obiad. Od drzwi powitały mnie rozkoszne zapachy; w piecyku czekała zapiekanka z makaronu i sera z kroplą oliwy truflowej. Było to popisowe danie Pii z okresu, gdy wydawała przyjęcia dla naszych przyjaciół na Brooklynie – jednocześnie wyrefinowane i proste. Podawała je w dużych, parujących foremkach, przybrane garścią rukoli. W takie wieczory byliśmy w sobie nieprzytomnie zakochani: Pia świeciła jak gwiazda na domowym firmamencie, wokół gromadzili się nasi przyjaciele, a my mieliśmy mnóstwo marzeń i planów.

– Zadzwoń pani z opieki społecznej – powiedziała Pia, wyjmując piwo z lodówki. Zdawało się, że nie myśli teraz o niczym innym poza precyzyjnym ułożeniem platerów na stole. – Rodzina zastępcza czeka już na Augusta. Formalności załatwione. Przeprowadzka nastąpi w środę.

To dlatego zrobiła mi obiad. Straciłem apetyt, ale nadal było mi miło, że się dla mnie postarała.

Jedliśmy cicho i kulturalnie, słychać było tylko brzęknięcia sztućców o talerze i przetykanie kęsów. Miałem wrażenie, że każdy dźwięk odbija się głośnym echem. Ser leżał mi kamieniem na żołądku, ale zjadłem prawie całą swoją porcję. Kiedy kolacja dobiegła końca, Pia zaproponowała, żebyśmy dzisiaj nie sprząтали i poszli się zrelaksować do salonu. Szybko przywykliśmy do luksusu posiadania nadmiaru miejsca – mogliśmy zostawić bałagan i przenieść się do innego, czystego pokoju; rzecz w poprzednim mieszkaniu nie do wyobrażenia. Mogliśmy wstać, zostawiając na stole brudne naczynia, w salonie nie będzie ich widać ani czuć ich zapachu, jakby wcale nie istniały. Ciekawe, jak mało czasu nam było trzeba, żeby uznać to za całkiem naturalne.

Pia wyciągnęła się na kanapie, zamknęła oczy, tak ją zastałem. Była piękna,

gdy tak leżała w domowym stroju, z rozrzuconymi włosami. Miała zarumienioną twarz od częstego przebywania na dworze, rzęsy leżały na policzku jak skrzydło motyla. Sam się dziwiłem, że nadal mnie niesamowicie podnieca, choć wywoływała tyle ambiwalentnych uczuć. Miałem ochotę zerwać z niej legginsy, żeby się przekonać, czy potrafimy jeszcze być ze sobą w taki sposób jak kiedyś. Nie uprawialiśmy seksu od miesiąca, zbyt długo byłem pozostawiony samemu sobie. Nie miałem ochoty z nią rozmawiać; potrzebowałem tylko jej ciała. Dzisiejszej nocy potrzebowałem fizycznej bliskości drugiego człowieka.

Pia otworzyła oczy i przez chwilę miałem wrażenie, że czyta mi w myślach. Uśmiechnęła się do mnie, ja do niej. Tak, wreszcie znów będzie dobrze, pomyślałem. Zaryzykowałem i nachyliłem się nad nią. Przyjęła mój pocałunek, więc bardzo ostrożnie osunąłem się na nią, jakby mogła zapłonąć pod najlżejszym naciskiem, jakbym musiał być gotowy do błyskawicznej ucieczki. Nie całowaliśmy się długo – to dobre dla ludzi, którzy lubią swoje towarzystwo. Zamiast tego nasze wargi ruszyły na niecierpliwe poszukiwania. Całe moje ciało ożyło, a wtedy poczułem na podbrzuszu jej rękę, jakby chciała zmierzyć moje pożądanie.

Zaczęliśmy zrywać z siebie ubranie, bez silenia się na uwodzicielskie pozy i gesty, po prostu pozbywaliśmy się kolejnych warstw, żeby wylądować wreszcie nago na kanapie. Lubilem taki seks. Ostry i namiętny. Oboje byliśmy w tym dobrzy. Może nie oddaliliśmy się od siebie tak daleko, jak mi się wydawało. Może wciąż mamy szansę, trzeba tylko ciężiej pracować nad naszym małżeństwem. Wciąż byłem trochę pijany od whisky, ale alkohol nie grał tu roli. Potrzebna mi była wiara, że kiedy przyjdzie najgorsze, nie będę w tym sam; powitam Wielką Burzę razem z moją żoną. Przejdziemy przez wszystkie próby ramię przy ramieniu i wyjdziemy z nich wzmocnieni. Moje przetrwanie zależało od tej wiary.

Pia ujeżdżała mnie w szaleńczym zapamiętaniu, jej piękne piersi falowały rytmicznie przy każdym podskoku, gdy pod wpływem nagłego impulsu przyciągnąłem do siebie jej głowę i wyszeptałem:

– Kocham cię. Zróbmy sobie dziecko.

To był as w rękawie, na którego wciąż liczyłem: dzieci nas połączą, nasze własne, niewinne i nieskomplikowane. Moglibyśmy wrócić do kliniki leczenia niepłodności, założyć rodzinę, zrealizować dawne plany.

Odkoczyła jak oparzona, na jej twarzy pojawił się wyraz krańcowego przerażenia.

– Porąbało cię? – syknęła, zwijając się w kłębek w rogu kanapy. – Nie możemy mieć dzieci! Jak moglibyśmy sprowadzać na ten świat dzieci? Wszystko jest zatrute. Powietrze, woda, ziemia, pieprzona pogoda. Nie widzisz tego?

Miałem ochotę sięgnąć po spodnie, ale nie umiałem przyznać, że moment bliskości skończył się nieodwołalnie.

– Myślałem, że tego właśnie chcesz – powiedziałem z wymuszonym

spokojem.

– Tak, chciałam tego, ale pół roku temu. – Potrząsnęła głową niecierpliwie. – Równie dobrze mogłoby to być przed milionem lat, wtedy jeszcze nikt z nas nie wiedział, do jakiego stopnia wszystko jest pochrzanione. Teraz musimy się przygotować do przetrwania, zająć się swoim fizycznym bezpieczeństwem. Myślałam, że to rozumiesz!

Była wściekła.

– Jak widać, niczego nie rozumiem! – wrzasnąłem i poderwałem się, żeby włożyć bokserki. – Zupełnie ci odbiło z tym cholernym końcem świata! Na miłość boską, hodujesz glisty w naszym domu!

– Nie zaczynaj. – Przewróciła oczami. – Myślałam, że zdążyłeś je polubić.

– Lubię je trochę bardziej niż twoich nowych kumpli, bandę paranoicznych świrów z zebrań prepersów. Więc tak, można powiedzieć, że wśród twoich znajomych dżdżownice podobają mi się najbardziej!

Pia zeskoczyła z kanapy, całkiem naga, i podeszła do kompostownika w rogu salonu. Stał się jednym z mebli, gromadziły się na nim książki, katalogi, puste szklanki. Przedramieniem zgarnęła cały ten bałagan na ziemię, szklanka rozbiła się z trzaskiem. Podniosła pokrywę, w całym pokoju rozszedł się zapach wilgotnej ziemi. Pia sięgnęła ręką i wyciągnęła całą garść czarnej, wijącej się masy. Dżdżownice owijały się wokół jej palców, spadały na podłogę i wiły się u jej stóp, ale jakby tego nie zauważała. Minęła mnie i podeszła do okna, otworzyła je wolną ręką. Bez chwili wahania wyrzuciła całą garść ziemi i robaków przez okno, po czym wróciła do skrzyni po kolejną porcję i zrobiła z nią to samo.

Patrzyłem, jak wędruje między kompostownikiem a oknem, zostawiając za sobą ścieżkę wilgotnej ziemi, i jak kolejne garście dżdżownic lądują na podwórku. Było to przedstawienie odegrane dla jednego widza – miało mi udowodnić, że jestem bezdusznym okrutnikiem, bo nienawidzę jej robaków – albo raczej demonstracja, jak bardzo jest niezrozumiana; a może po prostu postradała rozum. Chciałem, żeby przestała, ale w tym momencie nie mogłem się poddać. Żał mi było nieszczęsnych dżdżownic skazanych na zagładę. Nikt ich nie pytał, czy chcą się znaleźć w środku wojny domowej. Trudno, ja też się zaparłem.

Przedefilowała tak kilkukrotnie do okna i z powrotem, wreszcie spokojnie odsunąłem ją od kompostownika i zamknąłem wieko. Miałem nadzieję, że rozplynie się we łzach i na tym skończy się cała scena, ale stanęła przede mną i tylko patrzyła w milczeniu wielkimi oczyma. Mierzyliśmy się wzrokiem przez dłuższą chwilę: ona zupełnie naga, ja górujący nad nią o głowę. W końcu wyciągnęła dłonie – powalane ciepłą, nasyconą biohumusem ziemią – i powoli przejechała nimi po mojej klatce piersiowej, zostawiając na skórze czarne smugi.

Oboje zastanawialiśmy się nad kolejnym posunięciem, ale wtedy Pia po prostu wyszła z pokoju. Słyszałem plaskanie jej bosych stóp na schodach

i trzaśnięcie drzwiami. Zabrzmiało jak kropka na końcu zdania, postawiona przez kogoś, kto kreatywnie i asertywnie dowiódł swoich racji. Chociaż byłem roztrzęsiony i brudny, nie zamierzałem robić sceny, która tylko dałaby Pii satysfakcję. Poszedłem do kuchni i brudną ścierką do naczyń wytarłem gołą pierś. Potem wziąłem sobie piwo z lodówki. Usiadłem przy stole i wychyliłem je duszkiem. Dzisiaj już zdążyłem być wstawiony i wytrzeźwieć, więc piwo nie sprawiło mi szczególnej przyjemności, ale nie spodziewałem się po dzisiejszej nocy niczego przyjemnego.

Kiedy butelka była pusta, oparłem stopę na blacie, żeby się jej przyjrzeć. W zasadzie już mnie nie bolała, ale jej stan nadal mnie niepokoił. Skóra poniżej kostki zmieniła kolor z fioletowego na sinożółty, palce nie wykazywały poprzedniej nadwrażliwości na ucisk, jednak przy chodzeniu czułem się niepewnie. Miałem wrażenie, że tracę czucie w stopie, jest drewniana. Być może najlepiej byłoby usunąć zmartwiałe fragmenty kończyny i zastąpić je protezą, pomyślałem. Nie da się chodzić na martwej stopie. A jeśli proces obumierania podejdzie wyżej i obejmie całą nogę? Nagle wydało mi się to bardzo prawdopodobne, nie warto ryzykować życia w obronie jednej stopy. Postanowiłem w najbliższym czasie odwiedzić szpital i porozmawiać o tym z lekarzami.

Odczekałem dwadzieścia minut, zanim wziąłem prysznic i wślizgnąłem się do łóżka obok śpiącej żony. Teraz wydaje mi się dziwne, że po wypełnionych kłótniami dniami nadal spaliśmy w jednym łóżku, ale na tym etapie rozdział od łoża oznaczałby formalne przyznanie, że w naszym małżeństwie zaszły nieodwracalne zmiany, a na to nie byłem gotowy. Cekał nas niewyobrażalny przełom, toteż za wszelką cenę czepiałem się resztek normalności, gdziekolwiek było to możliwe. Wtedy nie miałem pojęcia, jakie to się okaże niemądre.

SIEDEMNAŚCIE

– Dzień dobry. Jest dziewiąty lutego i to nasza cotygodniowa prognoza meteorologiczna z Białego Domu. Zaczynamy od obiecujących wiadomości ze Wschodniego Wybrzeża...

Był sobotni ranek, siedziałem przy stole w kuchni, pijąc kawę i słuchając wiadomości. Pia robiła to samo w salonie. Minął tydzień od naszej ostatniej kłótni, wtedy też ostatni raz się dotykaliśmy, woń naszej dyskusji o dżdżownicach nadal dało się wyczuć w powietrzu. Niebo nad Isole było ciemne i mżyste, cała okolica ugięła się pod ciężarem wilgotnej beznadziei.

Z wielkim wysiłkiem pokonywałem marazm, w który mnie wtrącała pogoda i sprawy między nami. Kiedy nie tkwiłem przy komputerze, spacerowałem, próbując wzmocnić nogę – zdrowiała, choć bardzo wolno. But ortopedyczny poszedł w odstawkę, zastąpił go bandaż elastyczny. Na opatrunek wchodziły tylko śniegowce, trochę za ciepłe jak na tę pogodę. Całymi godzinami wałęsałem się po lasach i sąsiedzkich polach, wzdłuż dróg zostawionych przez drwali, wiodących donikąd. Wracałem o zmroku, prowadzony przez ostatnie poświaty na zachmurzonym niebie. Te spacerowały na mnie jak katharsis, ale czasem budziły strach. Bałem się, że kontuzja wróci, a wtedy będę skazany na powolną śmierć gdzieś w leśnej głuszy.

Jeszcze bardziej przerażał mnie brak oznak życia. Nie spotykałem ptaków ani małych ssaków, tylko owady. Chociaż był dopiero luty, temperatura oscylowała koło szesnastu stopni. Komary mnożyły się jak oszalałe i rosły w oczach. Podobne wieści dochodziły z innych stron świata. W Bangladeszu wybuchła epidemia dengi, jej wirus roznoszony był przez komary. Przyjrzałem się uważnie opublikowanej w piśmie naukowym fotografii osobnika tamtejszej odmiany *Aedes aegypti*, zapamiętałem białe pierścienie na odnóżach i charakterystyczny znak na tułowiu, na wypadek gdybym spotkał ten gatunek w północnym Vermoncie. To nie była księżycowa teoria – dziwniejsze rzeczy zaczęły się zdarzać na świecie w ostatnim czasie.

Na Florydzie malaria zabiła kilka osób, podczas gdy na północy kraju do lekarzy zgłaszało się coraz więcej osób z objawami boreliozy, co było nietypowe dla tej pory roku. Owady czuły się jak ryba w wodzie w nowym klimacie; były to jedyne stworzenia, które wygrały na ostatnich zmianach, w przeciwieństwie do reszty świata zwierzęcego. Wkładałem moskitierę na głowę i włączyłem się po bagnistych terenach, starając się nie zastanawiać, czemu jest tak grząsko w lutym w Vermoncie.

Augustowi spodobałyby się te spacerowały, ale już go nie było. Bev z opieki społecznej wywiozła go około sześciu kilometrów dalej, do domu McGregorów,

gdzie miał zostać na bliżej nieokreślony czas. August płakał i wyrwał się, ile miał sił, gdy w zeszłym tygodniu zabierała go od rodziców. To była najgorsza scena, w jakiej uczestniczyłem, chyba gorsza od rojeń, że leży martwy w lesie. Kopał i przeklinał, żeby zostać ze swoimi koszmarnymi rodzicami – którzy byli naćpani i nie bardzo kojarzyli, co się dzieje, gdy go całowali na pożegnanie. Miałem uczucie, że na moich oczach to niezwykle, marzycielskie dziecko, które zdążyłem pokochać całym sercem, przemielone przez tryby systemu, przeistaczało się w zawziętego, pełnego gniewu chłopaka. To także był pewien rodzaj śmierci, ale tym razem to my mu ją zadaliśmy, my wszyscy.

Podgłośniłem radio, żeby zagłuszyć własne myśli. Pia nadal piła kawę w salonie.

– Otrzymaliśmy nowe, nader ważne informacje, które wpływają na zmianę prognoz dotyczących burzy – oznajmił główny meteorolog kraju. Jego głos stał się przez te miesiące dobrze znany, reprezentował najwyższą władzę – złorzeczyliśmy mu, ale byliśmy zdani na jego łaskę i niełaskę. – Wygląda na to, że rzeczy nie mają się tak beznadziejnie, jak początkowo zakładano w długoterminowej prognozie. Obecne ocieplenie klimatu, czy to naturalne, czy spowodowane przez działalność człowieka, może się obrócić na naszą korzyść. Sztorm tropikalny, który zbiera się powoli nad Zatoką Meksykańską, wciąż jest na dobrej drodze, żeby zamienić się w huragan, gdy dotrze nad ląd. Jednak front arktycznego powietrza, który w tym samym czasie napłynie z Kanady i Środkowego Zachodu, jak się obecnie szacuje, nie będzie aż tak zimny. Masy powietrza powinny się ogrzać i rozproszyć do czasu, kiedy dotrą nad Nową Anglię, a tym samym zniknie niebezpieczeństwo katastrofalnej w skutkach kolizji dwóch sztormów, czego się początkowo obawialiśmy. Nadal można się spodziewać potężnego huraganu, który poczyni poważne zniszczenia od Karoliny Południowej i Północnej po New Jersey. Jednak w porównaniu do pierwotnych katastroficznych przewidywań to ogromna poprawa. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych sześciu dni. Sytuacja zmienia się dynamicznie, toteż zachęcamy wszystkich Amerykanów, aby zachowali najwyższe środki ostrożności. Niemniej miło mi było przekazać państwu dobre wieści.

– Nie będzie Wielkiej Burzy! – powiedziałem głośno. – Zostaliśmy ulaskawieni. Słońce znów wstanie i osuszy ziemię po potopie. Wszystko wróci do normy. – A to znaczy, myślałem, że wreszcie wyrwę żonę ze szponów sztormu i zaczniemy odbudowywać nasz związek. Serce mi waliło. Może kawa była za mocna albo nie wywietrzało mi z głowy wczorajsze piwo, ale nagle poczułem się nieważki.

– Stek bzdur – prychnęła pogardliwie Pia, która weszła do kuchni odstawić brudny kubek do zlewu. – Martwią się o spadki na giełdzie i panikę wśród ludzi. Chwytają się wszystkich środków, żeby zachować kontrolę. To zwykła mowa-trawa, a ich strach świadczy o tym, że Wielka Burza będzie jeszcze gorsza,

niż mówili.

Odezwała się do mnie po raz pierwszy od kilku dni, ale prawie jej nie słyszałem. W tej chwili zbyt wiele było we mnie nadziei, żeby się klócić. Nic dziwnego, że Pia nie uwierzyła w najnowsze wiadomości. Ona potrzebowała Wielkiej Burzy. Całe jej życie koncentrowało się obecnie wokół przygotowań do kataklizmu. Zrzuciła starą skórę, żeby się do tego dostosować. Wielka Burza nadawała głęboki sens wszystkim jej kompulsywnym zachowaniom. Bez Wielkiej Burzy jej obsesje stałyby się syndromami prosto z podręczników psychiatrii, kojarzonymi z konkretnymi lekami psychotropowymi. Bardziej troskliwy mąż, czyli Ash sprzed kilku miesięcy, ogromnie by się niepokoił podobnym zachowaniem żony. Ale ja już nie byłem tamtym mężem. Pia powinna się leczyć, ale była też wredna, a ja miałem dosyć usprawiedliwiania jej wyskoków problemami psychicznymi. Przyszła mi do głowy elektryzująca myśl, chyba po raz pierwszy, że najwyższy czas się rozwieść. „Moglibyśmy oboje zacząć od nowa”. Była to przelotna myśl i nie pochyliłem się nad nią uważniej, ale błysnęła mi w głowie, zostawiając obłoczek nadziei, zanim zniknęła całkowicie. Nigdy byśmy się na to nie zdecydowali.

Zignorowałem zaczepkę Pii i poszedłem na górę, żeby się przebrać w spodenki gimnastyczne i T-shirt. Umówiłem się, że odbiorę rano Augusta i pogram z nim w kosza na sali gimnastycznej liceum, nie chciałem się spóźnić. Czułem się dziwnie, bo musiałem prosić o zgodę na spotkanie z chłopcem, ale dostosowałem się do nowych warunków; wciąż żywiłem w sercu nadzieję, że kiedyś będę mógł odgrywać ważniejszą rolę w jego życiu, choć teraz wydawało się to mało prawdopodobne. Bardzo się martwiłem, że któregoś dnia August znów zniknie. Jego rodzina zastępcza nie zorientuje się w porę. Nie rozpoznają wyrazu jego oczu, gdy ogarnie go tęsknota za lasem. A on nie znał lasów otaczających ich dom, jak znał swoje własne; tam był wystawiony na niebezpieczeństwo. Wiele razy wyobrażałem go sobie, jak z niebieskim plecaczkiem znika w ciemności.

Dziesięć minut później pukałem do drzwi McGregorów. August otworzył natychmiast, jakby czekał pod nimi całe rano.

– Słyszałeś? – zapytał. – Nie będzie Wielkiej Burzy. Świat wraca do normy!

Nie do końca wiedziałem, co ma na myśli, ale był szczęśliwy, więc i mnie się to udzieliło.

– Chyba masz rację, koleżko – powiedziałem. – Cześć, stęskniłem się za tobą.

– Ja też.

Już zamykał drzwi za nami, więc tylko krzyknąłem w głąb domu: „Dziękuję!”, zadowolony, że nie muszę się spotykać z jego nowymi niby-rodzicami.

– Twoje auto brzydko pachnie – zauważył August, gdy wjechałem na

główną drogę.

Miał rację. Od wielkiej odwilży cuchnęło glonami i starymi tenisówkami. Poza tym wszystko wydawało się zdumiewająco normalne.

– Jak ci jest w nowym domu? – zapytałem.

– Może być. – Wzruszył ramionami. – Mają dużo jedzenia. I trampolinę. Starsza siostra jest jakaś dziwna. Ale poza tym okej.

Nie chciał o tym rozmawiać, więc nie naciskałem.

– Słyszałeś? – zaczął. – Znowu robią Festiwal Isole! Będzie super. Musisz przyjść.

Czytałem o kontrowersjach związanych z miejskim festynem w „Isole Gazette”. Była to impreza organizowana dorocznie w trzecią sobotę lutego, termin przypadał za tydzień, ale w tym roku została odwołana po zażartej debacie publicznej. Ignorowałem nagłówki na pierwszych stronach gazety i gadaninę, czy to dobra, czy zła decyzja. Bez wątpienia dla miejscowych święto Isole było jednym z najważniejszych dni w roku, ale dla mnie nie miało specjalnego znaczenia. Kolejna niefortunna wiadomość wśród wielu innych. Spłynęło to po mnie jak woda po gęsi.

A jednak okazało się, że Festiwal się odbędzie. I wtedy spomiędzy chmur wyjrzało słońce, rzucając czerwonawą poświatę – niepokojącą, ale piękną. Postanowiłem potraktować to jako dobry omen. Wyszło słońce, odbędą się odkładane harce i zabawy, a ja podskakiwałem na wybojach z Augustem w samochodzie!

– Opowiedz mi, na co najbardziej czekasz. Czemu uważasz, że Festiwal jest super?

– Przede wszystkim będzie parada – odpowiedział, trochę zniecierpliwiony moją ignorancją. – Z muzyką i platformami. Jest też wyścig narciarski na biegówkach i wielki jarmark. Można zjeść watę cukrową i wypić gorącą czekoladę, takie rzeczy. To najważniejszy dzień w całym roku!

Rozśmieszył mnie sarkazm w jego głosie.

– Masz rację. Brzmi świetnie. Może wybierzemy się razem?

– Przepraszam, ale jestem już umówiony. Noah mnie zabierze – powiedział. Powinienem się domyślić, że ma już plany na wielki dzień.

Przed wejściem na salę gimnastyczną parkowało kilka samochodów, ale nikogo nie było na dworze. Kiedy wyciągałem z bagażnika torbę z adidasami, piłką do kosza i wodą, usłyszałem kroki za plecami.

– Cześć!

Odwróciłem się i zobaczyłem Maggie – swoją urodziwą sąsiadkę. Mimo że na dworze nie było więcej niż dziesięć stopni, miała na sobie szorty do biegania i T-shirt z zawodów, które odbyły się w dwa tysiące ósmym roku. Rude włosy związała w luźny koński ogon, z którego powysuwały się spocone kosmyki.

– Hej! A ty co tu robisz? – Zabrzmiało to nieuprzejmie, chociaż jej widok bardzo mnie ucieszył.

– Czułam, że muszę wyjść z domu. Bieżnia na boisku jest jednym z nielicznych suchych miejsc w mieście. Próbuje spalić trochę kalorii. A co u ciebie? Jak noga?

Twarz Maggie – a właściwie cała jej postać – promieniowała energią, chciało się w niej skąpać. Nie chodziło tylko o tężyznę fizyczną, choć w tym momencie jej tego zazdrościłem, ale coś bardziej fundamentalnego. Było to nieskomplikowane i czyste.

– Goi się – powiedziałem. Wstyd mi było przyznać się do rojeń o amputacji.
– Na tyle dobrze, że utrzyma mnie przez kilka rundek z piłką.

– Świetna zabawa! – Maggie patrzyła teraz na Augusta, który niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. – Jak się miewasz, Auguście?

Chłopiec wymamrotał coś na powitanie. Nie wiedziałem, skąd się znają, ale nauczyciele w małych miastach mają szczególną zdolność zapamiętywania wszystkich dzieciaków, niezależnie od tego, w jakim są wieku i do której klasy chodzą.

– Dołączysz do nas? – zapytałem i od razu się spieszyłem. Nie wiedziałem, czy zaproszenie jest na miejscu, czy nie naruszam jakichś norm.

– Jasne, czemu nie – odpowiedziała całkiem naturalnie.

– Chodźmy już – poprosił August.

„Idzie z nami, idzie z nami, idzie z nami”. Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć. Byłem zadowolony, że chłopiec zapędził nas do środka i z dużą pewnością siebie zaczął wyjaśniać reguły gry.

Zachwyciło mnie, że Maggie jest pogodna i na luzie, a jednocześnie jest myślącym, wrażliwym człowiekiem. Była inteligentna i interesująca, choć nie przejawiała wewnętrznego rozdygotania, które do tej pory uważałem za nieodłączną cechę inteligentnych i interesujących ludzi. Egzystencjalny niepokój na tym etapie stracił dla mnie swój powab. Byłem też zaintrygowany, jak udaje jej się zachować dobry nastrój w tak ponurym okresie, co sprawiało wrażenie cichego buntu przeciw nastrojom katastroficznym.

Graliśmy w koszykówkę dość długo, przynajmniej tak mi się zdawało. Jestem dobrym zawodnikiem, ale nie świetnym – tylko trochę przewyższającym Maggie – jednak nie miałem się czego wstydzić. Ona była urodzoną sportsmenką, choć pozbawioną instynktu rywalizacji. Tak dobrze się przy tym bawiła, że udzieliło się to i mnie. W pewnym momencie wpadliśmy na siebie i poczułem niewyraźny zapach jej potu, zakorkowałem go w swoim mózgu do późniejszego użytku.

Pod koniec gry łamałem sobie głowę, jak przedłużyć spędzany razem czas, ale August oznajmił, że jest głodny, a to dla niego była cała eskapada.

Skierowaliśmy się na parking. Przy aucie Maggie zatrzymałem się i zacząłem bawić się piłką, niepewny, jak się pożegnać. Uścisk dłoni wydawał się zbyt oficjalny, obejmowanie się – zbyt poufałe.

– Dziękuję, że z nami zagrałaś. – Zdecydowałem się trzymać ręce na piłce. – Musimy to powtórzyć.

– Mnie też było miło. – Uśmiechnęła się. – Może następnym razem poszusujemy.

„Poszusujemy”. W moich ustach to słowo zabrzmiałoby jak przechwałka, ale Maggie wypowiedziała je zupełnie naturalnie.

– Koniecznie! – Czy nie okazałem nadmiernego entuzjazmu? Nie potrafiłem ocenić.

– No, chodźmy już. – August zaczął marudzić, co skróciło niezręczny moment.

Pomachałem ręką i uśmiechnąłem się ostatni raz, po czym puściłem się koślawym biegiem za Augustem.

Już na głównej drodze zaskoczył mnie pytaniem.

– Jesteś żonaty?

– Przecież wiesz, że tak.

– A panna Chase jest zamężna?

– Nie sądzę – odparłem i poczułem się nieswojo.

– Wolno ci z nią rozmawiać?

– Nie jestem pewien, o co pytasz, ale mam prawo rozmawiać, z kim mi się żywnie podoba. – Nie umiałem ukryć irytacji. – Rozmowa jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Przecież to rozumiesz, Auguście.

– Okej, nie ma sprawy. – Zaczął wyglądać przez okno. Dla niego temat przestał istnieć. Mały urwis.

W milczeniu skręciliśmy na ubitą drogę i obaj zapomnieliśmy o bożym świecie na widok, który nas tam czekał.

– Patrz! – zawołał August, a ja wdepnąłem hamulec tak mocno, że zarzuciło nami na błotnistym podłożu.

Był to młody niedźwiadek wielkości dużego owczarka, przechodzący bez pośpiechu przez drogę. Zdawał się nie zauważyć naszej obecności. Zatrzymał się, rozejrzał, sprawiał wrażenie, że czegoś szuka. A wtedy i my ją dostrzegliśmy: dorosła samica baribala dogoniła go w paru susach. Pacnęła małego w głowę, a on fiknął koziołka, jakby zapraszał matkę do zabawy. Wszystko to działo się kilka kroków od nas! Siedzieliśmy nieruchomo, jak zahipnotyzowani. W dzieciństwie parę razy widziałem czarne niedźwiedzie, ale zawsze przez chwilę i z dużej odległości. Były niesamowite – niebezpieczne drapieżniki, które wyglądały jak ogromne pluszowe zabawki.

Po chwili zacząłem się niepokoić. Zwierzęta powinny zejść z drogi, zanim

pojawi się jakiś nadjeżdżający z przeciwnej strony samochód, który nie zdąży w porę wyhamować. Wyjaśniłem Augustowi, na czym polega niebezpieczeństwo, ze zrozumieniem pokiwał głową, przejęty powagą sytuacji. Nacisnąłem klakson, zatrąbił długo i głośno. Niedźwiedzica z małym zrozumiała ostrzeżenie, oba baribale obejrzały się na nas, po czym zniknęły w lesie.

– Super! – zawołał August. – Nigdy nie widziałem ich z bliska!

– Niesamowite, naprawdę. Mieliśmy szczęście.

– Ash, czy one nie powinny teraz hibernować w swoich norach?

– Mówiąc dokładnie, nie jest to hibernacja, lecz sen zimowy – wyjaśniłem – ale masz rację, o tej porze roku zwykle są pogrążone w letargu. – Nie chciałem powiedzieć mu całej prawdy. Zmiany klimatyczne poszły tak daleko, że zaczęły się odbijać na zachowaniu zwierząt: niedźwiedzie budzą się, bo jest za ciepło, w ich jaskiniach stoi woda, a środowisko naturalne zmienia się nieodwracalnie. To samo dzieje się z wszystkimi niedźwiedziami na całej kuli ziemskiej.

– Obudziły się na kilka dni, ale wrócą do swojej nory i znowu zasną – skłamałem.

– Och, rzeczywiście – uspokoił się August.

Północno-wschodnie Królestwo było krainą czarnych niedźwiedzi. Tutejsze przepastne dziewicze ostępy stanowiły idealne miejsce dla samic do odchowania młodych. Nie powinny włączyć się o tej porze, tak blisko siedzib ludzkich, myślałem. Natura zakłóciła działanie instynktu. Baribale reagowały na ocieplenie jak zawsze – jak je do tego zaprogramowała ewolucja przez tysiące lat – tymczasem w klimacie zachodziły raptowne zmiany, do których nie miały szansy się przystosować. Nie wiadomo jeszcze, jakie gatunki zwierząt przetrwają. Nie chciałem się zastanawiać nad bajeczką, którą poczęstowałem Augusta, i prawdziwymi przyczynami, dla których sen zimowy został skrócony. Chciałem podtrzymać dobry nastrój. Wielka Burza została odwołana, a na niebo wróciło słońce.

Czas wyznaczony na spotkanie z Augustem dobiegał końca, skierowałem się więc do domu jego przybranej rodziny. Jak niedźwiedzie, stał się koczownikiem. Obiecałem mu, że wrócę za tydzień, i przypomniałem, że zawsze może do mnie dzwonić. Zawahał się przez chwilę, gdy zaparkowałem auto na pełnym kałuż podjeździe, po czym wyskoczył i zatrzasnął drzwi. Szedł do domu przygarbiony, powłócząc nogami – jakby ulotniła się wcześniejsza radość.

– Wszystko w porządku? – powitała mnie Pia, kiedy wszedłem do domu. Nie interesowała jej odpowiedź. Znudził ją ciągnący się tygodniami dramat Augusta.

– Dziękuję, dobrze. A ty dokąd się wybierasz?

Przy drzwiach stała szara sfatygowana torba podróżna.

– Jadę do Connecticut. W weekend mam sprawę w Bridgeport.

Zauważyłem złożoną ulotkę wystającą z kieszeni jej płaszcza. Małe logo

w rogu było mi znane: zaciśnięta pięść.

– Ta sprawa ma coś wspólnego z prepersami?

– Ojej, no dobrze, jadę na konwencję. Ludzie chcą się wymienić pomysłami. Mogę nocować u rodziców, więc nic nas to nie kosztuje.

Oszczędność kosztów była dziwnym argumentem. Na tym etapie naszej relacji każde słowo i gest wiązały się z jakimiś kosztami – na ogół powiększając deficyt, nigdy go nie zmniejszając.

– Przecież nie będzie burzy. Na długo wyjeżdżasz?

Westchnęła i dała sobie spokój z unikami.

– Konwencja trwa trzy dni, ale zostanę przez cały tydzień. Rodzice i tak jeszcze nie wrócili z Włoch.

Jak to się stało, że zamieniliśmy się w parę obojętnych ludzi, którzy mogą się obejść bez siebie przez kilka dni, i to bez uprzedzenia? Miałem wrażenie, że to istotna zmiana i nie ja ją spowodowałem.

– Nie jedź, Pio. – Gdy tylko padły te słowa, wiedziałem, że przegrałem. Wyraz mojej twarzy się nie zmienił, ton był pozbawiony emocji. Może wcale nie chciałem jej zatrzymać.

Pia przekrzywiła głowę, dała mi więcej czasu, ale go nie wykorzystałem. Przyszło mi do głowy, że przyda nam się odpoczynek. Mając pusty dom, bez wiszącej nad głową groźby Burzy, mogłem robić, co mi się podoba! Nie to, że miałem jakiś niezwykły plan. Wprost przeciwnie, chciałem robić zwykłe, codzienne rzeczy bez wiecznej hysterii mojej żony.

Postanowiłem dostosować się do sytuacji. Pia nie podała innych szczegółów, ja nie zadałem żadnych pytań. Nie zamienię się w kłębek nerwów, dręczony wątpliwością, czy jej wyjazd na spotkanie szaleńców wciąż szykujących się na koniec świata oznacza, że zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością, czy zwiastuje koniec czegoś innego. (Czy Pia jedzie tam, gdzie mówi? Naprawdę jest jakaś konwencja?). Na dwie sekundy zamknąłem oczy i zobaczyłem przed sobą listę pytań, wypisanych na ścianie fluorescencyjnym atramentem. Przesuwały się i mnożyły. Ale kiedy otworzyłem oczy, zniknęły w cudowny sposób. Postanowiłem je zignorować, poprzestać na tym, co już wiedziałem. Będę się cieszył świętym spokojem, nawet za cenę ignorancji.

Pia pocałowała mnie niedbale, trafiając w powietrze, i wyszła do samochodu. Niefrasobliwość może mieć cenę, którą przyjdzie mi jeszcze zapłacić, jednak powstrzymanie się od pytań sprawiło mi nieopisaną frajdę. Dało mi poczucie siły. Może wreszcie odkryłem metodę, jak żyć ze swoją żoną: trzeba ignorować nasuwające się pytania. Postanowiłem, że pomyślę o tym później. Teraz wrzuciłem do szklanki kostki lodu i zalałem je burbonem, po czym wyszedłem na galerijkę podziwiać widok za domem.

Słońce szybko osuszało ziemię nasiąkniętą wodą jak gąbka, między

kałużami pojawiały się coraz większe suche splechki. Kalendarzowo nadal była zima, klony, które zwykle ocieniały nasz trawnik, były zupełnie bezlistne. Jednak dostrzegłem oznaki życia. Białe płatki *Diapensia lapponica*, roślinki z rodziny zimnicowatych, pojawiły się w szczelinie głazu w odległym rogu naszej posesji. Kochałem ten kwiatusek. Diapensia i jej alpejscy krewni jak borówka czarna i bagno zwyczajne są najbardziej odpornymi przedstawicielami świata flory w Vermoncie, zdolnymi do przetrwania miesięcy arktycznej temperatury i silnych wiatrów, wystarcza im odrobina deszczu. Te gatunki były tutaj przez tysiące lat, podczas gdy bardziej delikatne odmiany z niższą odpornością na klimat zanikały przy pierwszych mrozach. Ta odporność jest świadectwem uporu natury i jej siły, pozwalającej przewyciężyć wszelkie przeszkody. Widywałem diapensję na szczycie Camel's Hump w Górach Zielonych i wzdłuż sękatych skalnych klifów Mount Mansfield. Nie wiedziałem, że może rosnąć tak nisko. Jej widok w moim zimowym ogrodzie był miłym zaskoczeniem, podobnie jak baribale figlujące na drodze. Jednak ile jeszcze podobnych dewiacji powinno się zdarzyć, zanim uznamy, że norma już nie istnieje? To pytanie kładło się cieniem na każdym ciepłym zimowym dniu i kwitnących poza sezonem roślinkach. Nie powinniśmy się cieszyć z podobnych niespodzianek.

Powtarzałem sobie, że Wielka Burza (prawdopodobnie) już nam nie zagraża i mogę wreszcie pozbyć się strachu, który zakorzenił się w mojej duszy przed kilkoma miesiącami. To nie koniec, lecz powrót do normalności. Asteroida lecąca w stronę Ziemi zmieniła kurs, wody potopu opadły, a ja dzisiaj grałem w kosza z piękną kobietą.

„Ach, Maggie”. Wróciłem do niej myślami. Czy naruszam w ten sposób małżeńską przysięgę? Nie, nie, nie, powtarzałem sobie. Miałem w Isole niewielu przyjaciół, zresztą nic między nami nie zaszło. Towarzyszyła nam nawet przyzwoitka: siedmioletni chłopiec! Trudno sobie wyobrazić bardziej niewinne spotkanie z młodą kobietą, która nie jest moją żoną. A jednak balansowałem na krawędzi. Nie zamierzałem opowiedzieć Pii o dzisiejszym popołudniu, za żadne skarby. Pamiętałem jej spojrzenie, gdy Maggie odwiozła mnie ze szpitala – zazdrosna samica gotowa pogonić rywalkę. Nie mogłem jej powiedzieć o grze w koszykówkę – choć sam nie wiem, co w tym mogło być złego.

Zastanawiałem się, co teraz robi Maggie. Czy zawsze zajmowała się takimi konstruktywnymi działaniami jak nauczanie, treningi i pisanie powieści? Pewnie tak, ale nie dlatego, żeby zapomniała, jak się bawić. Sprawiała wrażenie człowieka czynu. Pod tym względem przypominała Pię, chociaż z innych powodów. Pią kierowały natręctwa. Tymczasem Maggie prezentowała ten typ pierwszych osadników, którzy niezachwianie wierzyli w to, że ciężka i owocna praca jest wartością samą w sobie. Może to także swoista mania, ale w Nowej Anglii jest wysoko ceniona. Tutaj nawet w zabawie człowiek wysoko podnosił sobie

poprzeczkę. Po przeprowadzce do Nowego Jorku straciłem trochę tej wpajanej od dziecka żarliwości, ale potrafiłem ją rozpoznać w ziomkach i zawsze ją podziwiałem. Powtarzałem sobie, że przecież nic nie wiem o Maggie, patrzę na nią przez pryzmat swoich romantycznych uczuć do stanu Vermont.

Wyciągnąłem się na huśtawce, przymknąłem oczy i próbowałem zapomnieć o Maggie. Wsłuchiwałem się w odgłosy otoczenia, ale dochodziło do mnie tylko nieustające bzykanie komarów, najbardziej irytujący dźwięk na świecie.

I nagle poczułem potrzebę pozytywnego działania. Miałem zbyt wiele energii, by marnować ją, siedząc na ganku. Uznałem, że najwyższa pora wrócić do planów przeciwpowodziowych. Poprzednio uderzyliśmy głową w mur; jedynym sposobem na przekonanie prepersów było przeciągnięcie na naszą stronę Crowa. Postanowiłem się wybrać raz jeszcze do starego gbur.

Zadzwoiłem do Peg i poprosiłem o pożyczenie samochodu, bo Pia wzięła nasze volvo. Ulżyło jej, że nie oczekuję, by mi towarzyszyła, i zgodziła się ochoczo.

Dwadzieścia minut później podskakiwałem w jej subaru po zniszczonych drogach, rozglądając się przez przednią szybę w poszukiwaniu ukrytego wjazdu na posesję Crowa. Mieszkał niecałe osiem kilometrów ode mnie, ale w tej okolicy byłem tylko raz, podczas ostatniej wizyty w jego chałupie. Wtedy było tak ciemno, że teraz nic nie wydawało się znajome. Miąłem kilka poobijanych skrzynek na listy i połamaną metalową ramę do łóżka porzuconą w przydrożnym rowie. Dwie półciężarówki minęły mnie bez przyjacielskiego pozdrowienia, do którego już przywykłem na lokalnych drogach. Po obu stronach przestronne, zamożne farmy sąsiadowały z rozpadającymi się wozami kempingowymi, jak w większości Północno-zachodniego Królestwa. Nie było to miejsce sprzyjające segregacji klasowej. Kiedy wreszcie trafiłem na wjazd na działkę Crowa, ślady bezrobocia i wiejskiej biedy zdecydowanie wzięły górę nad oznakami zamożności. Zaciekawilo mnie, jak to się stało, że Crow tu wylądował i od kiedy mieszka w Isole.

Rozpoznałem jego podjazd po braku skrzynki na listy i powoli skręciłem na leśną drogę, niepewny, jak daleko wjechać, żeby auto Peg nie zaryło w błocie. Po paru metrach zauważyłem podejrzaną kałużę niewiadomej głębokości, więc wyłączyłem silnik i dalej ruszyłem pieszo. Byłem wdzięczny za resztki słonecznego światła, ale i tak ostrożnie stawiałem kroki.

Dom Crowa krył się w leśnej enklawie, która równie dobrze mogła być częścią lasu pierwotnego. Północno-wschodnie Królestwo porastała kiedyś prastara puszcza i wciąż można było znaleźć jej pozostałości, jednak za mało widziałem, żeby orzec, czy tak jest w tym przypadku. Cechy charakterystyczne się zgadzały: pod baldachimem szeroko rozgałęzionych koron starych drzew, cechujących się szczególnie twardym drewnem, są kolejne piętra drzew na różnym etapie rozwoju

– niektóre jeszcze wystrzelą w niebo i dołączą do najwyższych w lesie, inne osiągnęły już swój szczyt i zaczynają naturalnie obumierać, wracają do ziemi. Mimo braku liści przez warstwy gałęzi trudno było dostrzec niebo. Ziemia pod moimi nogami była czarna i żyzna, w cieplejszych miesiącach stanowiła doskonałe podłoże do bujnego rozrostu wszelkiego rodzaju górskich roślin. Pomyślałem, że powinienem tu wrócić latem, sprawdzić, jak to wygląda. To ziemia, której nie możemy stracić; trzeba ją ocalić przez zabudowę i skażeniem, ale też przed skutkami zmiany klimatu. W takich miejscach żyje pamięć pierwotnego Vermontu.

– Crow, jesteś tam? Tu Ash.

Przyłożyłem na chwilę ucho do drzwi, zanim zastukałem znowu, puk, puk, puk, z pewnością siebie, ale grzecznie.

Po trzydziestu sekundach w najbliższym oknie pojawiła się twarz Crowsa, a potem drzwi się uchylły.

– To ty? Czego znowu? Nie zmienię zdania – oświadczył.

– W porządku. Chcę tylko pogadać, wszystko mi jedno, o czym. Powiedziałem Peg, że do ciebie wpadnę.

I znów znalazłem się na jego progu bez żadnego planu.

Ku memu zaskoczeniu szczęknął łańcuch i gospodarz wyszedł na zewnątrz. Możliwe, że spragniony był towarzystwa, chociaż jego twarz niewiele wyrażała.

– Mógłbym jeszcze raz zobaczyć twój bunkier? – zapytałem, licząc na to, że pochlebstwo okaże się właściwym podejściem.

Wyraźnie złagodniał.

– W porządku, chodźmy. – Crow ruszył w kierunku szopy.

Musiałem mocno wyciągać nogi, żeby nadążyć za jego długimi krokami. Poczułem znajome ukłucie lęku, gdy dotarliśmy do tajnego schronu.

W środku zająłem miejsce na kanapie i rozejrzałem się świeżym okiem. Zauważyłem, że jeden ze stołków był w gruncie rzeczy wiekową baryłką, sprzętem, który Pia mogłaby kupić za pokaźną kwotę w sklepie z antykami.

– Żytia whiskey – wyjaśnił Crow, widząc moje zainteresowanie. – Mam kumpla na południu, ma małą destylarnię. W zeszłym roku zabawiliśmy się w pędzenie własnego bimbru. Nie jest to najlepszy alkohol, jaki w życiu piłem, ale im dłużej leży, tym lepiej smakuje.

– Nieźle. – Pożałowałem, że nie mogę spróbować.

Siedzieliśmy w milczeniu, każdy zastanawiał się nad intencjami tego drugiego. Nie przyniosłem ze sobą planów przeciwpowodziowych, więc Crow wyraźnie się odprężył.

– Zajarasz? – spytał w końcu.

Wyjął z szuflady blaszane pudełko i zaczął robić skręta.

– Jasne.

Od przyjazdu do Vermontu nie paliłem ani razu. Nie wiedziałem, od kogo

można kupić marychę, a straciłem szósty zmysł, jaki mają młodzi, który pozwala wywęszyć dilerów zioła już z dala. W większości stanów marihuana została zalegalizowana, więc nie byłoby szczególnie trudne lub ryzykowne rozejście się za dostawcą, najwyraźniej zabrakło mi motywacji.

Crow podał mi cienkiego jointa, zaciągnąłem się.

– Dziękuję – powiedziałem.

Kiwnął głową. W schronie zapanowała pełna namaszczenia, szczególna atmosfera, jakbyśmy odprawiali rytuał religijny. Czekałem, aż Crow odezwie się pierwszy, z szacunku dla tego, co się między nami działo.

– Nikt już nie rozumie zioła – stwierdził wreszcie.

– No – przytaknąłem. – Ale co masz na myśli?

Odchylił się w fotelu wygodnie, wpatrywał w dym snujący się nad jego głową.

– Chciałem powiedzieć, że już nikt nie pali trawy z właściwych powodów. Widzę te dzieciaki łązące po mieście, zjarane, aż się z nich kurzy, ale tylko grają w gry wideo albo gadają przez komórki. Nie tak się celebrowała trawka. To dar od matki natury, człowieka. Zioło trzeba jarać tutaj, w lesie. Tutaj odbierasz wibracje otoczenia. I o to właśnie chodzi.

Pomyślałem o wibracjach, o których mówiła Peg. Jakie to dziwne, że Crow przeprowadził podobny wywód, choć sprawiał wrażenie cynicznego, pragmatycznego człowieka.

– Natura to jedyny prawdziwy porządek – kontynuował. – Cała reszta jest funta kłaków warta. Tymczasem ludzie próbują zgwałcić i zamordować naturę na każdy możliwy sposób, dopóki istnieją na ziemi. To nie ulega wątpliwości.

Pokiwałem głową. Mocno powiedziane, ale trudno się z nim nie zgodzić. Przekazywaliśmy sobie skręta i paliliśmy w milczeniu.

– Wiesz, po co mi te giwery? – Crow wskazał na trzy strzelby myśliwskie z długimi lufami, przymocowane do sufitu nad prowizorycznym zlewem. Wcześniej ich nie zauważyłem.

– Nie na polowanie – ciągnął. – Zabijanie zwierząt mnie brzydzi. Mogę się żywić ryżem i fasolą, gdyby było trzeba. Mam broń, bo nie ufam ludziom. Naturę rozumiem, ufam jej. Ludziom nie.

Nie byłem pewien, czy ten zwrot w konwersacji powinien mnie zaniepokoić, ale na wszelki wypadek postanowiłem uciec od tematu broni.

– Wszystko to, bo nikomu nie ufasz? – Zatoczyłem ręką krąg.

– Nie, człowieku – zaprotestował. – Fajnie jest mieć kontrolę nad tym, co się dzieje. Wszystko się pochrzańło, można polegać tylko na sobie. Człowiek powinien być samodzielny, liczy się to, co potrafi zrobić własnymi rękami, dzięki własnemu pomysłunkowi. Co innego można robić – biernie czekać na koniec? Mowy nie ma; trzeba coś robić, żeby nie zwariować.

Było to całkiem logiczne uzasadnienie dla budowania schronu na wypadek końca świata, więc z zapałem przytakiwałem każdemu słowu Crowa.

– W dodatku jest niesamowity! – dodałem, czując się nagle strasznie ujarany.

– Pierwsza klasa, prawda?

Wizyta przyjęła niezwykle przyjemny obrót, mój mózg w narkotykowym uniesieniu obiecywał, że nigdy stąd nie wyjdzie. Mógłbym tak zapuścić korzenie na kanapie w bunkrze Crowa i całymi godzinami dyskutować o sensie istnienia. Już nie chciałem przywoływać tematu kopania kanałów przez jego parcelę ani tragicznej w skutkach powodzi, która obciąży jego sumienie, jeśli nie wyrazi na to zgody. A jednak resztką trzeźwego umysłu wiedziałem, że nie mogę ot tak, pominąć tego milczeniem.

– Plany przeciwpowodziowe wynikają z tej samej logiki – powiedziałem. – Nie da się kontrolować tego, co się zdarzy, ale warto skoncentrować się na działaniu, które ograniczy straty. Czy nie jest to poleganie na sobie? Przecież trzeba coś robić.

Crow zastanowił się nad moim argumentem i sztachnął się ostatni raz. Wreszcie poważnie kiwnął głową.

– Pomyślę o tym.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Jeszcze nie wiem – zastrzegł się – ale pomyślę o tym – powtórzył.

To mi wystarczyło, i tak przerastało moje oczekiwania. Uśmiechnąłem się i skończyliśmy temat. W obecnym stanie zmienionej świadomości nie stać mnie było na nic więcej.

Crow w świątecznym nastroju sięgnął raz jeszcze do blaszanego pudełka i skręcił kolejnego jointa, ale wypalił go sam, bo ja i tak byłem na granicy swoich możliwości. Piliśmy wodę z plastikowych kubków, a Crow opowiedział mi o górskim źródle, z którego ją czerpie („człowiek nie zdążył jej skazić”). Smakowała jak nektar bogów.

Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej na temat bunkra, więc zasypałem Crowa pytaniami dotyczącymi szczegółów konstrukcyjnych. Opowiedział mi o wyzwaniach, jakie stają przed każdym, kto chce coś zbudować na swojej działce; przerywałem mu regularnie, dopytując o detale, a on chętnie odpowiadał. Mówiliśmy o wentylacji bunkra, o izolacji i usuwaniu śmieci. Potem dyskutowaliśmy na temat bezpieczeństwa i przechowywania zapasów. Crow rozumował podobnie jak ja; sięgał do opracowań naukowych, zbierał znane mu fakty i obudowywał je nowymi informacjami. Rozumieliśmy się w pół słowa, jak para szczęśliwych, zaćpanych mózgowców.

Nie wiem, jak długo siedziałem u Crowa, ale po powrocie do domu padłem na łóżko i zasnąłem. Byłem zmęczony, ale zachwycony przeciągnięciem go na naszą stronę. Czułem się też oszołomiony faktem, że oto zawarłem nową przyjaźń.

Nigdy nie wątpiłem, że otwartość Crowa na plany przeciwpowodziowe była szczerą.

OSIEMNAŚCIE

– Myślę, że w końcu uda się go przekonać – zapewniałem Peg, Salty’ego, Billa i Boba, gdy w następny poniedziałek zebraliśmy się w biurze Salty’ego.

Podkomisja spotykała się teraz niemal codziennie, żeby jak najlepiej wykorzystać ocieplenie i sfinalizować przekopanie odpływów przeciwpowodziowych, zanim ktokolwiek zmieni zdanie. (Wtedy jeszcze wierzyliśmy, że Wielka Burza nie nadejdzie). Pozostali członkowie komisji również nie próżnowali, posuwali się nawet do przekupstwa, podsuwając opornym szarlotki pieczone przez żonę Boba i sęgi porąbanego drewna. W ten sposób zebraliśmy prawie wszystkie podpisy; brakowało Crowa i jednego z prepersów w jego sąsiedztwie. Crow wciąż nie wyraził zgody i unikał moich telefonów. Kiedy wreszcie odebrał, powiedział mi, że potrzebuje więcej czasu.

– Możesz go odwiedzić dzisiaj wieczorem? – zasugerowała Peg.

– Nie chcę na niego naciskać. – Zacisnąłem usta. – To by odniosło przeciwny efekt. Crow próbuje udowodnić, że to jego własna decyzja. Nie można mu wykręcać ręki. Musi sam dojść do tego wniosku.

– Nie mamy na to czasu – powiedział Salty.

Wszyscy obecni spojrzeli na mnie wyczekująco. Bez kompletu podpisów nic nie mogliśmy zdziałać.

– Zadzwońię do niego jutro – ustąpiłem – Wyczuję, skąd wieje wiatr, a jeśli uda się go trochę popchnąć, zrobię to.

Nie rozumiałem przyczyny wahania się Crowa. Gdy u niego byłem, sprawiał wrażenie przekonanego. Wstyd mi było przed kolegami z podkomisji, że nie doprowadziłem sprawy do końca; czułem się dotknięty wykrętami Crowa. Przecież nasza rozmowa była przyjacielska i szczerą, nadawaliśmy na tych samych falach.

Reszta zadowolili się moją obietnicą i zaczęliśmy omawiać inne sprawy.

– Salty, potrzebujesz pomocy przy Festiwalu? – zapytał Bill.

– Właśnie, doroczne święto. – Salty przejrzał notatki. – Jak wszyscy wiecie, uroczystości odbędą się w najbliższą sobotę, myślę, że mieszkańcy tego właśnie potrzebują. Jestem przewodniczącym komitetu organizacyjnego, mamy całą listę wystawców, imprez i innych atrakcji. Z uwagi na pogodę musieliśmy wprowadzić szereg zmian w programie. Zamiast narciarskiego biegu przełajowego dla młodzieży będą wyścigi w workach, chociaż błoto trochę przeszkadza. Zamiast kuligu będą przejażdżki powozami konnymi. Będę potrzebował kilku ochotników z samochodami do zwożenia krzeseł, pachołków i tym podobnych rzeczy. Bill, Bob, jeśli znajdziecie czas, będziemy bardzo wdzięczni. Peg, wiem, że tego dnia masz wykłady. Będzie nam ciebie brakowało, ale siła wyższa. Ash, byłoby miło, gdybyś zajął się oprawą plastyczną. Mógłbyś zaprojektować logo dla imprezy.

Potrzebujemy transparentów wzdłuż Main Street i na platformach, oznakowania dla konkursu rzeźb lodowych i plakatów do rozwieszenia w całym mieście. Drukiem zajmę się sam, chodzi nam o pomoc fachowego grafika. Włączysz się?

– Oczywiście. – Od dwóch dni, odkąd Pia wyjechała do Connecticut, wróciłem do poprzedniej rutyny. Szybko nadrabiałem pracę i byłem gotów na nowe wyzwania.

– Świetnie, dziękuję. Isole tego potrzebuje. To będzie ważne dla morale mieszkańców, już nie mówiąc o zastrzyku energii dla lokalnego biznesu. Mam nadzieję, że wszystko wreszcie wróci do normy.

Poczułem się tak, jakby decyzja o organizacji Festiwalu unieważniła kataklizm pogodowy. Isole tryskało optymizmem: czekał nas festyn, a Wielka Burza została odwołana. Jednak nie wszyscy byli dobrej myśli. Oficjalne komunikaty meteorologiczne agencji rządowej National Weather Service określały prawdopodobieństwo uniknięcia najgorszego scenariusza na siedemdziesiąt procent. To dużo, ale jeszcze nie pewność. Byli też mieszkańcy Isole, którzy, tak jak Pia, z założenia nie wierzyli żadnej władzy. Poprzedniego dnia w kolejce do kasy w sklepie spożywczym młody człowiek stojący przede mną objaśniał głośno, że to wszystko manipulacje prawicowych polityków, żeby „ludzie się bali”, a kiedy tylko nastroje się uspokoją, władze wyciągną z kapelusza nowe zagrożenie. A jednak znacząca większość odetchnęła z ulgą i wróciła do normalnego życia. Byłem tego najlepszym przykładem.

Kiedy pojawiły się pomyślne prognozy, zdałem sobie sprawę, że myliłem się, sądząc, iż dzieli nas podejście do samych przygotowań czynionych przed katastrofą. Wcale nie to nas różniło. Chodziło raczej o stosunek do samego kataklizmu. Niektórzy, jak Pia, kurczowo uczepili się tej zapowiedzi. Chcieli Wielkiej Burzy. Zorganizowali wokół niej życie. Kiedyś słyszałem wywiad z hollywoodzkim producentem, który wyjaśniał, dlaczego tak nas fascynują przepowiednie dotyczące końca świata – apokalipsa, koniec kalendarza Majów, epidemia zombie i tym podobne. Jak twierdził, to nas zachęca do radowania się życiem, skoro wkrótce ma się skończyć. Folgujemy sobie: mniej pracujemy, mocniej kochamy, sprawiamy sobie drobne przyjemności, bez wyrzutów sumienia objadamy się słodyczami. Mylił się fundamentalnie. Nie tak zachowują się ludzie w obliczu prawdziwego zagrożenia. Na plan pierwszy wysuwają się wartości, którymi kierowali się przez całe życie. Ci, co nieustannie zamartwiają się o wszystko, popadają w prawdziwą obsesję, pracoholicy pracują jak szaleni, żeby nie mieć czasu na myślenie, rasiści oskarżają o całe zło świata ludzi innego koloru skóry czy wyznania, przedstawiciele elit społecznych nie chcą mieć nic wspólnego z masami. Nikt nie staje się lepszy, nie osiąga wyższego stanu świadomości. Jako homo sapiens nie jesteśmy zdolni do tego rodzaju przyspieszonej metamorfozy. Nigdy nie zrozumieć ekscytowania się apokalipsą. Poczucie zagrożenia nikogo

jeszcze nie uszlachetniło; wszyscy stali się gorszą wersją samych siebie.

„Nie nabieraj się na fałszywe zapewnienia, że jesteś już bezpieczny”.

Taką ulotkę znalazłem na swoim progu. Była to gazetka Stowarzyszenia Surwiwalowców i Prepersów Północno-wschodniego Królestwa, dostarczana osobiście, nie zaś wysyłana pocztą ani e-mailem – przywoziła ją pod wskazany adres miła kobiecina w rozklekotanym minivanie, z parką maluchów w dziecięcych fotelikach na tylnym siedzeniu. Pia jeszcze nie wróciła, więc gazetka leżała na wycieracze, przygnieciona kamieniem. To mi uświadomiło, że od jej wyjazdu ani razu nie rozmawialiśmy przez telefon, co do tej pory się nie zdarzyło. A jednak nie miałem ochoty zadzwonić.

Wziąłem ulotkę, złożoną trzykrotnie, i usiadłem pod czystym niebem i słabym światłem na ganku. Druk był profesjonalny, porządnie przygotowany tekst, błyszczący papier, zdjęcia dobrej jakości. Sądząc po adresie na odwrocie w rogu, ulotki zostały wyprodukowane w Michigan, w centrali stowarzyszenia. Znalazłem tam krótki artykuł o militaryzacji stanowych służb porządkowych. Obok był tekst o sposobach przetwarzania i wekowania tuńczyków. Miałem wrażenie, że przypomina ulotki reklamowe promujące lokalne atrakcje turystyczne czy kursy w szkole wyższej, jakie można znaleźć w każdej kawiarni. W środku wetknięty był tani druk podpisany przez lokalny oddział w Północno-wschodnim Królestwie. Na dzisiejszy wieczór wyznaczono spotkanie w suterenie Elks Club.

Odgoniłem komara, gotowego pożywić się na mojej łydce, i spojrzałem na narysowaną odręcznie mapkę. Zebranie zaczynało się za kwadrans. Potrzebowałem dwudziestu minut, jeśli Peg pożyczycy mi auto i dodam gazu. Narada prepersów była stratą czasu, ale miałem okazję dopaść Crowa i wycisnąć z niego ostateczną decyzję w sprawie planu przeciwpowodziowego. Będzie na swoim terenie, może odbierze moją obecność jako przejaw kompromisu. Poza tym nie będzie Pii, a wkraczałem na jej poletko.

Nie miałem nic do stracenia. Chwyciłem sweter i dwa batoniki z płatkami śniadaniowymi, po czym potruchtałem do Peg. Zgodziła się, wyraźnie ujęta moją gotowością do działania.

– Może czegoś się nauczysz – zażartowała, a ja już zbiegałem po schodach.

Jechałem prędko, spóźniłem się tylko dziesięć minut. Kiedy popchnąłem ciężkie drzwi, ludzie już siedzieli w kręgu. Kilka osób odwróciło się i zmierzyło mnie wzrokiem, a ja kiwnąłem głową, jakby moja obecność tutaj była czymś najbardziej normalnym na świecie. W pomieszczeniu zebrało się trzy razy więcej ludzi niż poprzednio, więcej też było zwykłych mieszkańców niż dziwaków, jakich pamiętałem z pierwszego spotkania. Była tu para młodych ludzi, których widywałem w Niebieskiej Żabie, kobieta w ciąży mieszkająca nieopodal, rodzice Augusta i wielu nieznanym, którzy niczym się nie różnili od znanych mi tubylców. Po prostu Isole, co wydało mi się istotne.

Crow znowu stał w kręgu. Mówił z dużym przekonaniem o metodach naturalnej izolacji. Krzesło szurnęło po podłodze, wtedy spojrzał w moim kierunku. Spotkaliśmy się wzrokiem, ale udał, że mnie nie zna, i kontynuował wykład o trzcinie uszczelnianej gliną. Unikał mnie już wcześniej, ale to był zimny prysznic. Trudno, jest zajęty, tłumaczyłem sobie jego zachowanie. Może to nic nie znaczy.

Kiedy skończył, wprowadził na środek mężczyznę, przedstawił go jako „profesora historii i naszego zwolennika”.

Był to sześćdziesięciolatek, który z miłym uśmiechem pozdrowił zebranych. Miał na sobie drogą kamizelkę z dzianiny zasłaniającą wyraźny brzusek, obcisłe spodnie khaki i brązowe skórzane trzewiki. Jego dobrze utrzymana broda przypominała mi, że od paru tygodni się nie goliłem. Wszyscy czekali w milczeniu, a on podwinął rękawy koszuli i podziękował gospodarzowi.

– Cieszę się, że mnie zaprosiłeś, Crow – powiedział. – Nazywam się Gabe Brownstein, jestem profesorem historii na University of Vermont. Specjalizuję się w okresie wielkiego kryzysu lat trzydziestych. Chciałbym wam opowiedzieć o lekcji, którą wyciągnęliśmy – albo powinniśmy wyciągnąć – z tamtej zapaści gospodarczej. Niektóre podobieństwa do obecnej sytuacji mogą okazać się istotne. W czasach niestabilnej gospodarki i poważnych zagrożeń klimatycznych warto sięgnąć do skarbnicy doświadczeń minionych pokoleń.

Kilka osób pokiwało w skupieniu głową. Ludzie się zaciekawili, ja też. Nachyliłem się, podpierając łokcie na kolanach, i nastawiłem uszu, żeby nie uronić żadnego słowa, gdyż profesor zwracał się raz w jedną, raz w drugą stronę pokoju.

– Nie będzie przesadą stwierdzenie, że nasza gospodarka jest dzisiaj równie niestabilna, jak była pod koniec lat dwudziestych dwudziestego wieku – zaczął profesor. – Z pewnością czasy są absolutnie nieprzewidywalne, a globalna i bardziej zbiurokratyzowana ekonomia wywiera przemożny wpływ na życie jednostek. Można by się nawet pokusić o stwierdzenie, że gospodarka jest bardziej niestabilna niż wtedy. Nie chcę przez to powiedzieć, że jutro nastąpi katastrofa i należy już teraz wyplącić oszczędności i schować je pod materacem. Są jednak sposoby, żeby jednostki i społeczności lokalne zachowały odporność finansową na wypadek kryzysu.

Ludzie słuchali go jak zaczarowani. Ku memu zaskoczeniu to zebranie prepersów mogło się okazać użyteczne.

Profesor Brownstein podniósł palec dla podkreślenia wagi kolejnych słów.

– Zasada numer jeden: należy pozbyć się zadłużeń. Kredyt jest wrogiem stabilności finansowej. To najpewniejsza droga, żeby znaleźć się na łasce i niełasce innych ludzi i instytucji. Kto stale żyje na kredyt, powinien zacisnąć pasa. Spłaćcie zadłużenia, inaczej staną się kamieniem u szyi. To najtrudniejsza, ale i najważniejsza lekcja, którą należy zapamiętać. W okresie wielkiego kryzysu

większości obywateli nie było stać na zaciąganie kredytu, więc całe społeczeństwo musiało się nauczyć, jak żyć bez łatwego dostępu do pieniędzy, opierając się na tym, co się posiada. Dla współczesnych ludzi to dziwny koncept, powinniśmy go na nowo przyswoić... Jakies pytania?

Starszy pan z pierwszego rzędu podniósł rękę.

– Słucham pana?

– Jaki to ma związek z surwiwalizmem?

– Świetne pytanie. – Profesor uśmiechnął się pobłaźliwie. – Związek jest zasadniczy. Chce pan polegać na sobie? Musi pan być niezależny finansowo. Chce się pan uniezależnić od infrastruktury? Trzeba się pozbyć obligacji finansowych.

– Myślałem, że dzisiaj pogadamy o przechowywaniu amunicji. – Starszy pan zwrócił się teraz do Crowa.

Jacyś ludzie zaczęli protestować niecierpliwie.

– Chcę posłuchać, co ma do powiedzenia pan profesor – przerwała młoda kobieta, którą znałem z widzenia. – Nie jesteśmy grupą paramilitarną. Myślałam, że już to sobie wyjaśniliśmy.

Kilka osób przytaknęło, a profesor spoglądał po słuchaczach, jakby czekając na zachętę.

– Wobec tego kim jesteśmy? – upierał się starszy człowiek.

– Spotykamy się, żeby wymieniać się doświadczeniami – powiedział Crow.

– Chcemy pomagać sobie wzajemnie, żeby się dobrze przygotować.

Rozejrzał się. Za pierwszym razem wydał mi się aspołecznym dziwakiem, ale teraz zrozumiałem, że miał niesamowitą zdolność przybierania różnych osobowości. Był urodzonym przywódcą.

– Chcemy czegoś więcej – odezwał się mąż młodej kobiety. – Jesteśmy organizacją polityczną. – Zebrani zaczęli szemrać. – Nie partią, jak republikanie czy demokraci. Przyświecają nam wspólne wartości, które należy chronić: prawo do prywatności i ochrona jednostki przed władzą państwową, która usiłuje nam narzucić, jak mamy żyć.

– To brzmi jak libertarianizm – powiedział jakiś człowiek.

– Ja nie jestem libertarianinem! – zaprotestował ktoś inny.

– Nazywaj to, jak chcesz. Powinniśmy się skupić wokół większej sprawy. Trzeba się zastanowić, jak ochronić nasze rodziny, choć rząd zachowuje skandaliczną bierność, ale też jak ustrzec je przed nadmiernymi ingerencjami władzy... Powinniśmy się zorganizować i dać odpór radzie miejskiej, która zamierza poprowadzić rowy przez nasze działki. Nie wystarczy gadanie o filtrowaniu wody i magazynowaniu żywności. Potrzebny nam wyższy cel.

Rozpoczęła się ożywiona dyskusja na temat samookreślenia grupy, ale już jej nie słuchałem. Musieli omawiać plany przeciwpowodziowe, pomyślałem. O tym mówił mężczyzna. Skrzykną się, żeby nam przeszkodzić. To nie ma sensu. Kiedy

palilem z Crowem skręta w jego bunkrze, czuliśmy obopólny szacunek. Byłem pewny, że osiągnęliśmy porozumienie. Wyprowadził mnie w pole. Nigdy nie miał zamiaru zgodzić się na zrycie swojej działki. Mówił to, co chciałem usłyszeć, żeby nie psuć miłego wieczoru. A jak się przekonałem, potrafił manipulować ludźmi.

Poczułem zażenowanie na samą myśl o wyjaśnieniu naszej komisji, że straciliśmy głos Crowa. Będą zrozpaczeni. Co się stanie z miastem, gdy przyjdą poważniejsze nawałnice? Przez dziesięć minut biłem się z tymi myślami, a reszta zgromadzonych spierała się na temat wspólnej idei albo jej braku. Wreszcie Crow ogłosił przerwę i ludzie zaczęli się przepychać do bufetu, żeby nalać sobie kawy i poczęstować się kupionymi w sklepie pączkami.

Podszedłem prosto do Crowa, który stał w kręgu pustych krzeseł i rozmawiał z profesorem Brownsteinem.

– Co do diabła, stary? Przecież miałeś się zastanowić – powiedziałem głośniejszym głosem, niż zamierzałem.

Profesor przeprosił i poszedł po kawę.

Crow odchrząknął, ale nic nie powiedział. Miał głupią minę.

– Narażasz miasto na straszne ryzyko – upierałem się. – Tu nie chodzi tylko o ciebie.

– Nie mogę. – Crow pokręcił głową. – W tym konkretnym przypadku ustępstwo miałoby sens, ale otwierałoby drogę do kolejnych kompromisów. Mam obowiązki wobec swojej grupy. Muszę dawać dobry przykład. – Rozejrzał się po sali wypełnionej ludźmi rozmawiającymi z ożywieniem.

Crow uważa się za zbawcę tych czubków, pomyślałem. Co za dziwna sytuacja, gdy grupa ludzi, których jedynym wspólnym mianownikiem jest pragnienie odizolowania się od społeczeństwa, jednoczy się w jakiejś sprawie, w dodatku pod wodzą dziwnie charyzmatycznego osobnika. Przecież twierdzą, że są indywidualistami.

– Bardzo się zawiodłem – powiedziałem. Zabrakło mi argumentów.

– Przykro mi. – Sprawiał wrażenie autentycznie zasmuconego. Podniósł dłonie w geście poddania się, ale oczywiście to on wygrał.

Pokręciłem głową i spojrzałem na niego srogo, aby wyrazić głębię mego rozczarowania – jak sądzę, niewiele go to obeszło. Nic tu po mnie, pomyślałem, więc precisnąłem się przez tłum i wyszedłem. Zauważyłem rodziców Augusta, ale starannie minęliśmy się wzrokiem.

Jadąc do domu autem Peg, wściekałem się coraz bardziej, myśląc o bezprzykładnym egoizmie Crowa i jego bandy. Wierzyć mi się nie chciało, że na pozór inteligentni ludzie mogą świadomie narazić całą społeczność na niebezpieczeństwo. To stało w sprzeczności ze wszystkimi moimi wyobrażeniami na temat Isole. Wiedziałem, że to wina Wielkiej Burzy – wystraszeni ludzie zębami i pazurami bronią swojej własności – jednak nic nie usprawiedliwia podobnego

zachowania. Poza tym matka natura odwołała Wielką Burzę, więc skąd w ludziach ten strach?

Najbardziej mnie zdziwiło spostrzeżenie, że prepersi wcale nie są oderwani od racjonalnego myślenia. Kiedy słuchałem ich dyskusji, argumenty oscylowały między bardzo rozsądnymi a całkowicie paranoicznymi. Zgadzałem się z nimi częściej, niżbym chciał. Niewiele brakowało, a uznałbym ich za najmądrzejszych ludzi w Isole.

Peg otworzyła drzwi z uśmiechem pełnym nadziei.

– No i?

– Nic z tego – powiedziałem, oddając jej kluczyki.

Mina jej zrzędała, ale pokiwała głową, jakby się tego spodziewała.

– Nie ustąpi – przyznałem. – Próbowałem, Peg. Przykro mi. Nie wiem, co tym ludziom się roi pod czaszką.

– Wiem, czujesz się sfrustrowany, ale przynajmniej próbowałeś. Wejdiesz na herbatę?

– Dziękuję, nie byłbym dziś dobrym kompanem.

Zbiegłem po schodkach w ciemność.

– Ash – zawołała za mną – to nie twoja wina! Ludzie czasem muszą zobaczyć, żeby uwierzyć.

Po przebieżce przez las, długim prysznicu i porcji burbona bez lodu zwinąłem się na łóżku z ostatnim numerem „National Geographic”. Starąłem się czytać artykuł o niedźwiedziach błakających się poza swoim naturalnym siedliskiem, ale myślami nieustannie wracałem do wykładu na zebraniu prepersów. Profesor zachęcał, żebyśmy wyciągali wnioski z przeszłości. Amerykanie mieli w swojej historii trudne momenty, a kolejne generacje uczyły się na doświadczeniach przodków. Życie toczy się dalej, rodzą się dzieci, które są trochę mądrzejsze od rodziców. Voilà: tak ewoluuje ludzki gatunek. Pia powiedziała to kiedyś, gdy przed laty siedzieliśmy na podłodze w naszym saloniku, obiecując sobie, że będziemy wieść życie jeśli nie po prostu dobre, to przynajmniej nie-złe. Wiara w postęp jest najbardziej optymistyczną ideą, jaką człowiek wymyślił. Jednak ostatnio Pia porzuciła optymizm. Zaczęła wierzyć, że z błędów, które człowiek popełnił na Ziemi – i wobec Ziemi – już nikt nas nie rozgrzeszy. Przyszłe pokolenia ich nie naprawią, nie należy ich na to skazywać.

W tej chwili sam już nie wiedziałem, w co wierzyć. Byłem zniechęcony, ale wciąż chciałem wierzyć w ludzkość. Przyszło mi do głowy, że powinienem zadzwonić do Pii, ale w tej chwili zasnąłem.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Tego dnia, gdy odbywał się Festiwal Isole, jak na zamówienie panowała piękna, wiosenna pogoda. Termometry wskazywały dwanaście stopni, ale było bezwietrznie – wystarczająco ciepło na koszulę z krótkimi rękawami, rzucanie frisbee i dziewczyny w kwiecistych sukienkach odsłaniających nogi i pozostawiających niewiele do domysłu w sprawie piersi. (Paręnaście stopni ciepła pod koniec zimy zawsze wydaje się inne niż lodowate paręnaście stopni późną jesienią). Chociaż impreza co roku celebrowała górską zimę, nikt nie narzekał na tę nietypową pogodę. Groźba Wielkiej Burzy przestała nad nami wisieć i radość zaszumiała ludziom w głowach.

Następnego dnia zapowiadane były rześiste deszcze, ale na tym powinno się skończyć. W prognozach wciąż jeszcze rozważano możliwość sztormu gigantycznych rozmiarów, ale ja należałem do tych słuchaczy, którzy postanowili ignorować krakania pesymistów. Słuchałem tylko głosu nadziei.

Samotność mi służyła – przez cały tydzień pomagałem w przygotowaniach do festynu, odzyskiwałem dla siebie dom i porządkowałem te fragmenty życia, nad którymi straciłem kontrolę. Pracowałem ciężko, po pierwsze dla klientów, których ostatnio zaniedbywałem, po drugie nad logiem dla Festiwalu Isole. Świetnie się wywiązałem z jednego i drugiego, więc czułem się znakomicie. Zabrałem się do sprzątania: układałem, zamiatałem, odkurzałem i szorowałem. Wyprałem pościel i pozmywałem naczynia. Wietrzyłem zawzięcie i udało mi się na razie pozbyć zapachu dżdżownic. Wyładowywałem gniew na Crows, który nie posłuchał głosu rozsądku, i na Pię, która zamieniła nasz dom w chlew.

Kiedy wreszcie skończyłem, byłem zbyt zadowolony z siebie, żeby gniewać się na kogokolwiek. Dom znowu wyglądał jak wyjątkowe miejsce na ziemi – tak samo jak wtedy, gdy zobaczyliśmy go po raz pierwszy i postanowiliśmy osiąść tu na zawsze. Światło słoneczne wlewało się przez staroświeckie okna podzielone na małe szybki, rozjaśniało podłogi z szerokich desek. Szczególnie lubiłem kuchnię z jej archaicznym wyposażeniem, błyszczącą bielą i stalą; zachowała charakter retro, bo zabrakło nam pieniędzy na wymianę armatury i kuchenki. Całe otoczenie na nowo nabrało życia. Nawet klon rosnący tuż za oknem kuchni wypuścił zielone pączki. (Było jeszcze sporo czasu do okresu wegetacyjnego, ale załączki liści cieszyły oko). Wcześniej wszystko zszarzało i zbrzydło przez pochmurne, wilgotne miesiące i narastające konflikty małżeńskie. Teraz, kiedy przywróciłem domowi jego pierwotne piękno, zrodziła się we mnie irracjonalna nadzieja, że między mną a Pią ożyje dawne uczucie, że wszystko jeszcze się ułoży. Zawsze jest druga szansa. Podczas jej nieobecności rozmawialiśmy tylko raz: krótko, ale wystarczająco miło, żeby otworzyć się na taką ewentualność.

W sobotę rano Peg podwiozła mnie do centrum miasteczka. Byłem szczęśliwy. Wioska festiwalowa rozłożyła się na błoniach u stóp Main Street. Tutaj miała zakończyć się parada i tu zgromadzą się rozbawione tłumy. Byłem dumny z moich projektów graficznych, zaproponowałem, że pokieruję ekipą wolontariuszy i zajmiemy się rozwieszeniem tablic i transparentów. Logo Festiwalu Isole nie przypominało moich wcześniejszych projektów – było nieskomplikowane i radosne jak nasze nastroje. Było to słońce wschodzące nad charakterystycznym pasmem górskim zamykającym miasto od wchodu. Jaskrawe promienie strzelały w niebo i na czubku każdego z nich migotała litera – razem tworzyły napis: Isole, układający się w idealny łuk nad miasteczkiem. Zarys gór zrobiony był białą linią, chciałem uzyskać wrażenie przejścia od zimy do wiosny, ale równie dobrze mógł przypominać o permanentnym stanie pomieszania pór roku, z jakim mieliśmy ostatnio do czynienia. Moje dzieło było wizją artysty, ale niewydumaną. Rysunek mógł wyjść spod ręki dziecka.

– Nie podejrzewałam cię o taki pazur – pochwaliła mnie Peg przez telefon, gdy podesłałem jej swój projekt e-mailem. Roześmiała się i dodała, że jej się podoba. – Naprawdę kochasz to miasto, Ash – podsumowała.

Byłem niesamowicie dumny, widząc swoje dzieło rozplakatowane po całym mieście. Logo znalazło się na afiszach, apaszkach, torbach – wszędzie, gdzie dało się je nadrukować w ostatniej chwili. Do dzisiaj miejscowi noszą T-shirty z tego festiwalu albo piją kawę z kubków ze słoneczkiem. Po festiwalu wrosłem w miasteczko, stałem się jego obywatelem.

– Podnieś trochę z lewej strony. Dobrze, tak trzymaj. Jest idealnie! – krzyknąłem do młodej wolontariuszki z różowymi włosami, stojącej na czubku drabiny. Przywiązywaliśmy ostatni element dekoracji – długi transparent, który wisiał nad wejściem na teren wioski festiwalowej. Na razie byli tu kupcy rozstawiający kramy i organizatorzy, ale wkrótce zaroi się od świętujących mieszkańców.

Wałęsałem się między stoiskami, czując się jak jeden z twórców całego przedsięwzięcia. Zagroda, gdzie dzieci będą mogły głaskać cielątka, konie i młode lamy z okolicznych farm, znalazła się tuż obok stołów, na których lokalni rzemieślnicy wystawiali wyroby z wełny i filcu. Trochę dalej na długiej ladzie leżały vermonckie sery, których można było próbować na miejscu. Pod drugiej stronie, obok namiotu z piwem, rozpakowywała sprzęt kapela folkowa. Trudno mi wyjaśnić, co dokładnie budziło mój zachwyt, ale podzieliliby go zapewne każdy intelektualista z Nowej Anglii: było to doświadczenie prawdziwej wiejskiej atmosfery, sielskiej, ale nie prowincjonalnej. Można tu także było podpisać petycję w sprawie bioenergii i zaopatrzyć się w żywność makrobiotyczną. Na pobliskiej stacji benzynowej sprzedawano „New York Timesa” i „Wall Street Journal”. „Wiejskość” Isole była całkiem strawna dla przybysza z metropolii.

Brakowało mi Pii, ale lepiej się czułem na festiwalu w pojedynkę. Na pewno zachwyciłaby się wieloma szczegółami, opowiadałaby potem o nich naszym nowojorskim przyjaciołom, ale miałem wrażenie, że straciła zdolność spontanicznego radowania się czymkolwiek. Bez niej byłem wolny jak ptak i mogłem robić, na co miałem ochotę. W dzieciństwie wiele razy uczestniczyłem w podobnych imprezach i teraz z przyjemnością odnajdowałem w sobie zapomniane emocje.

Usłyszałem krowie dzwoneczki – to popisywali się pierwszoklasiści, którzy szli na czele parady zbliżającej się do błoni. Chciałem się przekonać, jak pochód prezentuje się na Main Street, więc popędziłem w górę ulicy i znalazłem sobie miejsce na chodniku za rodzinami z dziećmi w spacerówkach. Z obu stron głównej ulicy cisnęli się gapię. Za młodszymi kroczyła orkiestra szkolna z miejscowego liceum. Potem grupa dorosłych przebranych za elfy płaśała do dźwięku fletów. Wóz straży pożarnej toczył się powoli, za kierownicą siedział Salty i pozdrawiał ludzi, machając ręką jak rasowy polityk. Towarzyszyli mu hokeiści w sportowych kostiumach. Na kolejnej platformie małe kandydatki na baleriny, uczennice z miejscowej szkoły tańca, rzucały w tłum cukierki. Obok nich stali politycy z miejscowego oddziału Partii Demokratycznej i trochę gorzej się prezentujący pracownicy biura Progresywnej Partii Vermontu.

Uczestnicy parady nie stanowią próby statystycznej żadnej społeczności lokalnej, a już na pewno nie w Isole. Nie pojawili się przedstawiciele kliniki odwykowej dla narkomanów, usytuowanej na granicy miasteczka, ani biura do spraw weteranów, całkowicie zapomnianego przez władze federalne. Schronisko dla bezdomnych psów wystawiło platformę, ale z przytułku dla maltretowanych kobiet nie pojawił się nikt, choć znajdowały się obok siebie, przy autostradzie. Nie wiem, czemu takie myśli błąkały mi się po głowie, gdy przede mną defilował barwny korowód tancerzy – może zapadły mi w podświadomość słowa Szalonego Rogera, że to miasto wcale nie jest takie miłe, jak się zdaje.

Wśród gapiów były rodziny farmerów z całej okolicy, ale i sporo turystów z Connecticut, Nowego Jorku i Montrealu. Kobieta pstrykająca zdjęcia miała w sobie niecierpliwość i przebojowość typową dla mieszkańców Manhattanu. Jej mąż regularnie sprawdzał notowania giełdowe na smartfonie. Pomyślałem, że pewnie mają drugi dom w Manchesterze lub Stowe. Festiwal Isole jest celem ich dorocznych wycieczek. Ona kupi lokalne sery i deskę do krojenia w kształcie krowy, a potem zadowoleni, ale i z ulgą wrócą do swojego luksusowego życia w metropolii.

Odwróciłem się, bo nagle zagrzmiął wzmocniony przez megafon głos.

– Jeszcze jest czas, Isole! Spotkajmy się w duchu nadziei i wiary, póki jeszcze czas!

To był Rodney Riggins. Stał na skrzyni tej samej monstrialnej

półciężarówki, którą poprzednio zajechał na parking przy szkole. Tym razem samochód był wypucowany do połysku, a Riggins miał kolejną flanelową koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami.

– Modlitwy zapewniły nam więcej czasu. Użyjmy go mądrze, Isole!

Była to inteligentna modyfikacja przekazu. Wyznawcy Rigginsa modlili się tak skutecznie, że odsunęli groźbę gigantycznego kataklizmu, ale bardziej niż kiedykolwiek potrzebują duchowego przewodnictwa swego guru. Sprytne.

Większość widzów uśmiechała się uprzejmie, nie wiedząc, kim jest Riggins, były też małe grupki, które pozdrowiały go entuzjastycznie. Nie słyszałem buczenia, ale dostrzegłem także wielu przeciwników kaznodziei. Kiedy terenówka przetoczyła się obok, Riggins, bacznie rozglądający się po tłumie, zauważył mnie, i jak mi się wydało, uśmiechnął się wyzywająco.

Przez cały tydzień Riggins aktywnie działał w Isole, organizując sesje modlitewne w parkach i rozdając na ulicach ulotki. Nie dostał zgody na użycie auli szkolnej do zorganizowania swoich wieców, ale to jeszcze wzmogło zapał jego wyznawców, żeby głosić wszystkim słowo boże (czytaj: słowo Rigginsa). Była to mała, lecz dość hałaśliwa grupa, dziwnie nieprzystająca do kultury, która z nieufnością traktowała wszelkie przejawy religijnego fanatyzmu. Niepisana strategia niedowiarków takich jak ja polegała na przeczekaniu. Riggins pojawił się tutaj, żeby zarobić na strachu przed Wielką Burzą, więc powinien zniknąć wraz z nią. Jak dotąd większość miejscowych po prostu omijała go szerokim łukiem i odwracała wzrok, gdy wielbiciel Rigginsa urządzali publiczne awantury.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział ktoś za mną.

Odwróciłem się i zobaczyłem uśmiechniętą Maggie. Trzymała na smyczy wielkiego kudłatego psa, domyśliłem się, że to Badger. Była ubrana jak zwykle sportowo: fioletowa bluza i obcisłe dzinsy podkreślające niewiarygodnie zgrabne nogi. Długie rude włosy potargały się przy bezskutecznych próbach poskromienia psiska.

– Cześć! – zawołałem ucieszony. – Pomóc ci?

– No, może – poprosiła, bo Badger usiłował wyrwać się i pogonić za alpaką prowadzoną w paradzie. – Głupio zrobiłam, że go wzięłam. Wciąż zapominam, jaki z niego łobuz.

Chwyciłem psa za obrozę i przytrzymałem, żeby dać Maggie chwilę wytchnienia.

– E tam, po prostu nadmiar energii.

Maggie roześmiała się i zebrała włosy w nieporządny koński ogon z jednej strony.

– Jesteś zajęty? Umieram z głodu. Weźmy jakieś falafele, zanim na błoniach zrobi się tłok.

Pomysł zjedzenia czegoś razem był znakomity, musiałem się pohamować,

żeby nie okazywać nadmiernego entuzjazmu.

– Jestem już wolny – zapewniłem.

– Robiłeś coś na festiwalu? – zacięła się.

– Jestem autorem logo i dekoracji. – Machnąłem niedbale ręką w kierunku balonów ze słoneczkiem.

– Ojej, świetne! Muszę sobie kupić koszulkę.

Jej spontaniczny zachwyty mnie oszołomił. Chciałem jej towarzyszyć i chciałem być taki jak ona.

Szliśmy Main Street, wymijając dzieciaki i hałaśliwe grupki turystów, sterując nadmiernie ochoczym Badgerem, powtarzając „dziękuję” i „przepraszam”. Słońce było wysoko, zrobiło się naprawdę ciepło. Maggie oddała mi smycz i ściągnęła bluzę, odsłaniając wysportowane ciało w szarym podkoszulku. Starłem się zapamiętać tyle, ile się dało zamknąć w jednym spojrzeniu. Każdy jej ruch był sprężysty. Wyobraziłem sobie, że jej mięśnie są z jakiegoś cudownego materiału, że cała jest inna niż reszta śmiertelników.

Większość gapiów także ruszyła w stronę błoni, tłum narastał. Szedłem z Badgerem za Maggie w kierunku stoiska z egzotycznymi potrawami, ale już na miejscu okazało się, że kucharz dopiero zaczął podgrzewać gary i zacnie serwować dania za godzinę. Ruszyliśmy więc na spacer, żeby trochę zmęczyć Badgera.

Zaczęliśmy od namiotu cyrkowego, gdzie dzieci nie starsze od Augusta z zaskakującą zręcznością skakały na batucie, przyczepione szelkami gdzieś wysoko. Patrzyłem jak zahipnotyzowany, ale Badger zaraz nas odciągnął, goniąc za wiewiórką. Pozwoliliśmy mu obwąchiwać konie i małe dzieci, zjeść pączka, który spadł komuś na ziemię, i zlizać resztki rozpuszczonego lodu. Byłem najszczęśliwszy na świecie. Wokół nas wszyscy się uśmiechali, świetnie się bawili na cudownym festiwalu w naszym cudownym miasteczku. A ja byłem z absolutnie cudowną Maggie.

– Nie chce mi się wierzyć, że wszystko to zaprojektowałeś – powiedziała, patrząc na transparent rozciągnięty nad naszymi głowami. – Masz talent, Ash.

– To błahostka w porównaniu z kształtowaniem młodych umysłów – odparłem. Starłem się tego nie okazywać, ale komplement sprawił mi przyjemność.

Maggie spojrzała na psa, który z upodobaniem gryzł patyczek od lodu.

– I co my z nim zrobimy?

„My”. To mi się podobało. Problem z Badgerem stał się naszą wspólną sprawą.

– Już wiem! – wykrzyknęła, zanim zdążyłem wyjść z jakąś propozycją. – Chodź za mną.

Przepychaliśmy się przez rozbawiony tłum aż na drugą stronę wioski

festiwalowej, pod namiot z piwem. Goście siedzieli tu nad kuflami, rozmawiali, śmiali się i słuchali gitarzysty grającego smętne bluesy. Maggie przywiązała smycz do grubego metalowego pala podtrzymującego namiot i wskazała na składane krzesła.

– Napijemy się! – zaproponowała i chyba było to najlepsze rozwiązanie, zważywszy na niesforny charakter jej psa.

Kupiłem dwie porcje Long Trail Ale i butelkę wody dla Badgera, po czym zajęliśmy miejsca przy chwiejnym plastikowym stoliku. Pies został spacyfikowany, mogłem się zrelaksować i z przyjemnością przyglądać powszechnej zabawie. Byłem w swojej najlepszej formie, więc sypałem jak z rękawa żarcikami na temat przechodzących nieznanym. Jeszcze nic nie zjedliśmy i z każdym łykiem piwa czułem, jak ogarnia mnie przyjemne zadowolenie. Maggie sprawiała wrażenie równie zrelaksowanej, może nawet bardziej. Często się śmiała, odrzucając głowę do tyłu i przyglądając dłonią zwichrzone włosy. Wszystko w niej wydawało mi się czarujące, chyba najbardziej jej szczerość, a jednocześnie niechęć do mówienia tylko o sobie. Rozmowa z nią nie była labiryntem pełnym pułapek, toczyła się zupełnie bez wysiłku.

Przy drugim piwie dowiedziałem się, że Maggie urodziła się w Waitsfield, niedaleko góry Camel's Hump. Była najstarsza z rodzeństwa, miała dwóch braci. Obaj przeprowadzili się po studiach do Nowego Jorku, pracują jako finansiści i nie mogli uwierzyć, że ich siostra wraca do Vermontu po ukończeniu prestiżowego Berkeley.

– Zawsze wiedziałam, czego chcę, więc nie miałam problemu z decyzją, gdzie zamieszkam – powiedziała.

Zaskoczyło mnie, że w tak młodym wieku można było mieć jasną wizję, co się chce zrobić z resztą życia, ale łatwo uwierzyłem, że tak jest w jej wypadku. Miałem wrażenie, że po prostu przeskoczyła konieczny okres wahania się i niepewności i od razu osiągnęła samoświadomość. Ja dopiero teraz do tego dojrzałem.

– Upór jest moją najgorszą wadą – ciągnęła. – Skoro raz sobie coś postanowiłam, nawet nie brałam pod uwagę innych opcji.

Stwierdziła to po prostu, bez żadnego krygowania się, a ja pojąłem z ulgą, że Maggie ma swoje przywary. U kogo innego uznałbym to za irytujący przejaw fałszywej skromności, ale jej byłem w stanie wszystko wybaczyć. Stała się bardziej prawdziwa, wielowymiarowa.

– Teraz ty. – Maggie spojrzała na mnie badawczo. – Jesteś chłopakiem z prowincji, który zamienił się w wielkomiejskiego hipstera, dobrze zgadłam? Pewnie na Brooklynie hodowałeś pomidory na tarasie i założyłeś z przyjaciółmi zespół grający muzykę bluegrass.

– Zawsze chciałem się nauczyć grać na banjo!

– Jakżeby inaczej – zachichotała.

– Było inaczej – powiedziałem. – Jestem chłopakiem z prowincji, który bez wielkiego przekonania udawał wielkomiejskiego hipstera. Na szczęście nie było to wielkie wyzwanie, hipster i prowincjusz nie różnią się wiele.

– Jakże wygodnie. – Maggie znów się roześmiała.

Powiał wiatr i rozejrzeliśmy się leniwie wokół, chwile ciszy nam nie przeszkadzały. Wciąż było ciepło i słonecznie, ale wiatr się nasilał i łopotał plandeką namiotu. Czyżby z zachodu nadchodził zimny front? Teraz już wszyscy nauczyliśmy się myśleć tymi kategoriami – każda kropla deszczu i powiew wiatru były ważnym symptomem pogodowym, każde zjawisko meteorologiczne mogło zapowiadać nowe zagrożenie. W tej chwili byłem jednak zbyt szczęśliwy i zrelaksowany, żeby pogoda mogła popsuć nam popołudnie.

– Tak myślałem, że was tu znajdzie! – usłyszeliśmy za plecami.

Salty biegł do nas truchtem. Wyglądał tak, jakby od rana nie przysiadł nawet na chwilę, ale uśmiechał się szeroko.

– Hej! – Wyprostowałem się. Czy to w porządku, że piję z Maggie piwo? Może powinienem być gdzie indziej? – Badger potrzebował chwili odpoczynku.

– Dołączysz do nas? – zaproponowała Maggie.

Szkoda, że sam na to nie wpadłem.

– Szukam kilku dorosłych osób do pomocy przy wyścigu w workach. Zainteresowani?

Spojrzelśmy na siebie i wzruszyliśmy ramionami.

– Świetnie – ucieszył się Salty. – Możecie zostawić Badgera. Al będzie miał na niego oko.

Salty pogadał chwilę z brodaczem serwującym piwo, który zgodził się popilnować psa, po czym przenieśliśmy się do części wydzielonej dla dzieci.

Kończyła się właśnie gra w dwa ognie. August podbiegł do nas.

– Siema, koleżko – powitałem go.

Zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem jak wcześniej, gdy w pobliżu była Maggie, ale był zbyt przejęty atrakcjami, żeby poświęcić temu więcej uwagi.

– Ash, wygrałem dwa razy!

Poczochrąłem jego czuprynę ojcowskim gestem. Miałem nadzieję, że Maggie to doceni. Moje przywiązanie do Augusta było szczere, ale z jakiegoś powodu chciałem jej udowodnić, że jestem porządnym facetem.

Salty wziął nas na bok, wyjaśnił naszą rolę. Mieliśmy stać po przeciwnych stronach bieżni, pomagać dzieciakom, które się wywróciły, i zapobiegać kolizjom. (Jak się okazało, wyścigi w workach w przeszłości kończyły się poważnymi kontuzjami uczestników). Salty i kilkoro dorosłych obdarzonych tubalnymi głosami dyrygowało biegaczami i ustawiało ich na linii startu. Rozległ się gwizdek i nagle ruszyła masa podrygujących ciał, niektórzy biegacze śmiali się głośno, inni

byli śmiertelnie poważni. Maggie i ja wrzeszczeliśmy na całe gardło. Podnosiliśmy zawodników, którzy się przewrócili, a w pewnym momencie musiałem zanieść płaczącą dziewczynkę do namiotu medycznego. Dobrze się bawiłem, może dlatego, że wymienialiśmy z Maggie ukradkowe uśmiechy.

Byłem szczególnie dumny z tego, jak sobie radził August. Nie był zbyt umięśniony, ale miał w sobie zawziętość, której wcześniej nie zauważyłem. Pierwszy raz widziałem, jak się zachowuje w otoczeniu rówieśników; ulżyło mi, że wcale od nich nie odstaje. Był trochę dziwny i biednie ubrany, ale nikt nie miał mu tego za złe. Pomyślałem o swoich szkolnych latach, które w większości były bardzo przyjemne. Pia kiedyś mi wyjaśniła, że „w naszej kulturze chłopcy znacznie dłużej mogą bezkarnie być głupkowatymi lebiegami niż dziewczynki”, tym tłumaczyłem sobie swoje dobre doświadczenia. Miałem nadzieję, że Augusta również nie spotka nic złego.

Oboje z Maggie wywiązywaliśmy się z naszych obowiązków jeszcze przez dwa wyścigi i uroczystość dekoracji zwycięzców medalami. W końcu poczułem, że umieram z głodu.

– Zmykamy. – Maggie pociągnęła mnie za rękaw, zanim nas zwerbowano do kolejnych zadań.

Przeszliśmy trochę dalej, gdzie ciemny las podchodził do miasteczka. Po lewej stronie mieliśmy kolorowy, rozbawiony tłum, po prawej – gęsty zagajnik, którego wcześniej nie zauważyłem. Popołudniowe światło przeciekało przez gałęzie iglaków, padało na ziemię usianą sosnowymi igłami.

Ogarnęła mnie przemożna potrzeba zrobienia czegoś – czegokolwiek – żeby przedłużyć tę rozkoszną chwilę. Zapomniałem o wcześniejszym postanowieniu, że będę unikał Maggie, i myślałem tylko o tym, jak bardzo jej pożądam. Była dwa kroki przede mną, chwyciłem ją za rękę, zaskakując nieco. Obejrzała się, a wtedy przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Była wciąż zarumieniona z wysiłku, czułem jej delikatny zapach, gdy dotykałem jej warg. Początkowo tylko przyjęła pocałunek, potem go oddała. Miał gorzkawy posmak piwa, które wcześniej piliśmy. Uderzył mi do głowy.

Nagle pociągnęła mnie głębiej w las, z dala od światła i ludzi. Byłem krańcowo nieostrożny, że zapomniałem o przypadkowych gapiach, ale w tej chwili nic nie miało znaczenia. Zależało mi tylko na tym, żeby pozwoliła się pocałować jeszcze raz, w półmroku, pośród drzew. I pozwoliła. Naprawdę! Przywarliśmy do siebie na kilka sekund, po czym mnie odepchnęła i spojrzała w dół. Piegi na jej nosie tuż przy mojej twarzy tworzyły rozmazaną konstelację.

– Nie możemy. – Pierwszy otrząsnąłem się z oczarowania i przypomniałem sobie, że to ja łamię przysięgę. To ja byłem żonaty.

Maggie kiwnęła głową i cofnęła się o krok.

Wbiliśmy wzrok w ziemię, po czym położyłem dłoń na jej ramieniu.

Podobało mi się, że tak idealnie się pod nią wpasowuje.

Wyszliśmy z lasu, zachowując przyzwoitą odległość między nami. Nagle przypomniałem sobie, że ktoś może patrzeć i skomentować. Nie byłem kobieciarzem. Nigdy nie zdradziłem Pii – nawet nie odczuwałem dotąd takiej pokusy, w każdym razie nie taką, żeby się liczyła. Oczywiście, bywały chwile, gdy się wstawiłem i fantazjowałem na temat znajomych kobiet albo zerkałem trochę za często na atrakcyjne przyjaciółki mojej żony, ale zawsze wiedziałem, gdzie jest granica między rzeczywistością a fikcją. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że to Pia mnie kiedyś zdradzi. Jej kompas moralny uważałem za słabszy. A jednak się myliłem, bo dzisiaj to ja zachowałem się nielojalnie.

Szedłem za Maggie do namiotu z piwem, spodziewając się, że idziemy sprawdzić, jak się miewa Badger, ale nie zdążyliśmy tam dotrzeć.

– Ash! Słyszałeś?! – wołał August, biegnąc w naszym kierunku. – Wielka Burza idzie do nas! Ash!

Rozejrzałem się, niepewny, jak to potraktować. Jednak jakiś starszy mężczyzna minął nas w pośpiechu i kiwnął głową na znak, że to prawda.

– Gdzie to usłyszałeś, Augustie? – spytała Maggie. Nagle odezwała się w niej nauczycielka.

– Jacyś ludzie rozmawiali.

Machnął ręką w kierunku starej ciężarówki, wynajętej do przywiezienia z pobliskiej stacji narciarskiej topniejącego śniegu do robienia tradycyjnych toffi z syropu klonowego – cukier na śniegu. Obok niej stała kuchnia polowa, na której grzał się w garze bursztynowy syrop. W kabinie ciężarówki jacyś miejscowi rozmawiali z ożywieniem. Coś się rzeczywiście działo.

– Augustie, mam dla ciebie ważne zadanie – powiedziałem.

Otworzył szeroko oczy.

– Popilnuj przez chwilę Badgera, a ja zasięgnę języka.

August poważnie pokiwał głową i podszedł do śpiącego psa. Chciałem zgromadzić jak najwięcej wiadomości, żeby później przekazać Augustowi ich ocenzurowaną wersję. Nie wiedziałem, co powiedzieć Maggie. Stała obok mnie, czułem się winny, ale nie chciałem jej tracić z oczu. Na szczęście nie czekała na zaproszenie i wraz ze mną podeszła do ciężarówki, wokół której unosiła się woń syropu klonowego.

– Jakie nowiny? – spytałem, udając ich ziomka najlepiej, jak potrafiłem.

– Pierońska burza idzie – odparł jeden z górali. Mówił w dialekcie, zjadał literę er i przeciągał samogłoski.

Był to zwięzły raport, więcej mówiło zafrasowanie na ich zwykłe nieruchomych twarzach. Salty biegł w naszą stronę.

– Mówcie szeptem – ostrzegł, zanim zdołaliśmy otworzyć usta. – Chcę uniknąć paniki. Nic się na razie nie dzieje, więc nie ma co straszyć ludzi.

– A co właściwie się dzieje? – zapytała Maggie spokojnie.

– Zdaje się... – Salty rozejrzał się ostrożnie, jakby był jedynym wtajemniczonym mieszkańcem Isole – zdaje się, że sztorm, który dotarł nad Północną Karolinę, zamiast słabnąć, wciąż rośnie i nabiera prędkości. Zanim dotrze do Jersey, będzie już huraganem piątej kategorii. Jego destrukcyjna siła przerasta najgorsze obawy. Już teraz przewiduje się, że ustanowi historyczne rekordy. – Salty mówił zdławionym, wyraźnie zmienionym głosem. – Sam huragan byłby gigantyczną katastrofą, ale jest jeszcze jeden, gorszy problem. Front chłodny idący z zachodu, który miał się rozwiać nad kontynentem, również przybiera na sile. Rezultat będzie taki, że zderzy się z huraganem nad Nową Anglią. Inny front chłodny, niezależny od poprzedniego, napływa z północy, z Kanady. Zimne powietrze będzie napierało na ciepłe i wilgotne z południa, ciśnienie gwałtownie spadnie... i będzie wielka burza. Meteorolodzy się pomylili. Będzie burza, jakiej jeszcze nie widzieliśmy.

Głębokie zmarszczki pokryły miłą, pogodną zazwyczaj twarz Salty'ego. Udzieliło mi się jego zdenerwowanie. Tak bardzo pragnęliśmy, żeby to wytchnienie od zagrożenia, jakim był idealny dzień Festiwalu Isole, stanowiło powrót do normalności, ale okazało się mirażem. W prezencie od losu dostaliśmy ostatni jasny dzień, żeby mieć co wspominać, gdy wszystko się nieodwracalnie zmieni.

– Kiedy to się stanie? – spytałem przyciszonym głosem.

– Za dwadzieścia cztery, może trzydzieści sześć godzin – odpowiedział Salty. – Ludzie już wiedzą, zbierają się, żeby wrócić do domów. Powinniście zrobić to samo.

– A sprzątanie po festiwalu?

– Kupcy potrzebują niewiele czasu na zebranie kramów, a o resztę się nie martwimy. Teraz priorytetem jest bezpieczeństwo. Ash, czyś ty odebrał te płyty ze sklejki, które dla ciebie trzymam?

Salty kilka tygodni wcześniej zamówił wielkie ilości płyt do zabezpieczenia okien w swoim domu, a ponieważ zorientował się, że jestem nowicjuszem w takich sprawach, namówił również mnie. Już dawno powinienem odebrać od niego sklejkę, zwlekałem do tej pory, a teraz czułem się jak ostatni idiota. Bez Pii nie miałem nawet samochodu, więc nie mogłem też zabić okien, żeby ochronić dom przed huraganem. Czy Pia wróci, słysząc ostatnie prognozy? Nie miałem pojęcia.

– Podjedziemy do mnie, załaduję półciężarówkę płytami i cię podwoję – zdecydował Salty na widok przerażenia na mojej twarzy. – Spotkamy się tu za dziesięć minut.

Pobiegł do namiotu, żeby wywiązać się ze stu innych obowiązków, które wziął na siebie jako organizator festiwalu. Maggie i ja zostaliśmy sami.

– Powinnam odebrać psa – powiedziała cicho.

– Tak.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa. Atmosfera zmieniła się diametralnie. Ludzie dzwonili, sprawdzali wiadomości, zaganiali dzieci. Nawet idealnie błękitne niebo pociemniało, pojawiły się chmury i zaczął wiać wiatr. Festiwal się skończył. Gdyby ktoś miał wątpliwości, wystarczył widok wielkiego transparentu, który odwiązał się z jednej strony i teraz łopotał nad głowami. Serce zaczęło mi bić niespokojnie, gdy uświadomiłem sobie, że być może już się nie zobaczymy. Ten dzień był idealny. Nawet pocałunek. Zwłaszcza pocałunek. Czułem się winny i trochę zły na siebie, ale nie byłem w stanie rozstać się z Maggie. Miałem wrażenie, że ona odczuwa to samo. Bo niby dlaczego wciąż jeszcze tu była?

– Ostatni pocałunek przed końcem świata – powiedziała.

Kiwnąłem głową. Gdy tak postawiła sprawę, pocałunek przestawał być występkiem i naprawdę chciałem go powtórzyć. Byłem nienasycony. Chwyciłem ją za ręce i ścisnąłem mocniej, niż powinienem, ale odpowiedziała tym samym. Gdyby ktoś się nam przyglądał, musiałby zauważyć, że jest między nami coś więcej niż platoniczna przyjaźń, ale to był najbardziej niewinny gest, który przyszedł mi do głowy, gdyż pragnąłem jej całym ciałem.

Ta chwila nie trwała długo.

Kiedy trzymałem Maggie za ręce i patrzyłem jej w oczy, zobaczyłem w oddali za jej ramieniem jakiś zamazany obiekt idący w naszym kierunku. To była Pia.

CZEŚĆ DRUGA

*Cały dzień sypał śnieg – długi dzień
Nie pamiętam gorszej zamieci,
Kiedy spłynął na wzgórze nocy cień
Dwie, trzy stopy leżały na świetle;
Próg nam urósł jak szczyt białych gór
W śniegu skrył się płot i kamienny mur
Okienne pod śniegiem, zasypane wierzeje
Nie ma sterty drewna, tylko zaspą widnieje
Tuż za drzwiami na nią wpadniecie.
Noc zapada nad śnieżną krainą,
Oddech krzepnie jak lód, a w oddali,
Pomruk groźny i trzask, drzewa giną
Pod ciosami zimowych wandal.
To Północny Wiatr, patrz, na przełęczy,
Stare drzewa tarmosi i dręczy.
Pohukuje w dolinę ho-ho! hu-hu!
I wyrzuca z nozdrzy kłęby śniegu
Wyje wściekle jak wilki na hali.
Fragment wiersza *Burza śnieżna; zima w Vermoncie**

Charlesa G. Eastmana z Montpelier w Vermoncie, opublikowanego w 1848 roku.

DWADZIEŚCIA

Zszedłem z chwiejnej drabiny opartej o ścianę domu i trzęsącą się ręką otarłem pot z czoła. Przybijałem grube płyty ze sklejk do framugi okien i byłem dopiero w połowie roboty, a już mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa. Minęła doba od momentu, gdy na Festiwalu Isole dowiedzieliśmy się, że Wielka Burza nadchodzi; w tym czasie wszystko się zmieniło. Niebo przybrało głęboki granatowy odcień, chociaż był jeszcze dzień, a wiatr już teraz łamał gałęzie i wył upiornie, jakby przepowiadając zagładę. Trudno było zapomnieć nawet na chwilę, że Wielka Burza jest w drodze.

Wszyscy zajmowali się tym samym: robili zakupy żywnościowe, zabezpieczali okna, ładowali akumulatory, uzupełniali zapasy drewna na opał, a co jakiś czas rzucali wszystko, żeby posłuchać najświeższych wiadomości. Huragan, który powstał gdzieś nad Zatoką Meksykańską, przesunął się na północ i dotarł już do Nowego Jorku. Moje łącza internetowe jeszcze działały, więc ustawiłem dwa komputery na kuchennym stole i na obu monitorach można było zobaczyć reporterów telewizyjnych, którzy gdzieś w ulewnym deszczu ochrypłym głosem składali meldunki z terenu. Miliony ludzi na Wschodnim Wybrzeżu nie miały prądu, Biały Dom co chwila ogłaszał stan wyjątkowy w kolejnym stanie. Pojawiły się plotki, że woda wdarła się do budynku Kongresu w Waszyngtonie DC, a w środku wciąż uwięzieni są ludzie. Trudno było zliczyć wszystkie przerażające historie, które działy się w szpitalach, domach starców, przytułkach dla bezdomnych. W Internecie pojawiły się oficjalne listy osób zaginionych i nieustannie rosły. Początkowo strach wydawał się znajomy. Przeżyliśmy już wcześniej coś podobnego. Huragany Katrina, Sandy i Irene w minionych latach siały grozę na całym Wschodnim Wybrzeżu, to doświadczenie mocno wryło się w naszą zbiorową pamięć, więc wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Jednak poczucie poruszania się po znajomym gruncie szybko wyparowało, gdy padały kolejne rekordy meteorologiczne i stało się jasne, że skala destrukcji będzie nieporównanie większa niż cokolwiek, z czym mieliśmy wcześniej do czynienia. Nasze lęki nie rodziły się już z pamięci, ale z wyobraźni, która nie zna granic.

Wszedłem do domu, żeby wziąć szklankę wody i odebrać telefon. Był to telefon stacjonarny, w pierwszej chwili nie rozpoznałem jego dzwonka. Telefony komórkowe przestały działać, bo sieć była przeciążona. Schowałem więc smartfon do szuflady i dałem znać bliskim, że mogą nas łapać pod numerem domowym. Domyślałem się, że to moi rodzice, a była to może ostatnia szansa, żeby porozmawiać przed nadejściem sztormu.

- Cześć, mamó. – Staralem się, by mój głos brzmiał pogodnie.
- Ash? Dzień dobry, kochanie. Co u ciebie?

Znajomy zatroskany głos mamy podziałał jak balsam na moją duszę; miałem ochotę rozplakać się jak dzieciak, żeby ją sprowokować do macierzyńskich czułości, ale się powstrzymałem. Jak każdy rodzic kilkorga dzieci sprawiedliwie dzieliła swoje uczucie między naszą czwórkę, choć proporcje się zachwiały od czasu, gdy brat poddał się terapii antynarkotykowej. Wiedziałem bez pytania, że brat spędzi okres Burzy w domu rodziców, i bardzo mu tego zazdrościłem. Może powinienem adresować swoje pretensje do mamy, ale mieszkaliśmy za daleko i zbyt rzadko się widywaliśmy, żeby marnować czas na próżne kłótnie. Potrzebowałem więcej, niż mogła mi z siebie dać, jednak odległość pomagała ograniczać oczekiwania. Zresztą czy dorosły mężczyzna powinien chować się pod maminy fartuchem? A jeśli sytuacja jest wyjątkowa?

– Wszystko dobrze, mam, dziękuję. Przygotowuję się na najgorsze. Co u was?

– Tata się krząta, cały czas coś przybija, coś zabezpiecza. Pojęcia nie mam, co robi, ale będziemy dobrze przygotowani. – Miałem wrażenie, że myśli o czym innym. – Dostyc o nas, Ash. Poradzicie sobie z Pią? Kiedy się zacznie, będziecie zdani na własne siły. Nie chciałbyś przyjechać do nas?

To nie było możliwe, ale miło, że zaproponowała.

– Dziękuję, mam, poradzimy sobie. W tej chwili i tak nigdzie nie jest bezpiecznie. Szkoda, że całą rodziną nie wyjechaliśmy na jakiś czas do Europy. Wrócilibyśmy po wszystkim.

– Nie mogłabym – odparła poważnie. – Tu jest nasz dom, Ash. Źle bym się czuła, gdybym stąd uciekła. Zaraz powiesz, że zachowuję się jak ci nierozsądni staruszkowie, którzy nie pozwalają się ewakuować ze swoich domów na plaży przed nadejściem huraganu, ale może wcale nie są tacy głupi, jak nam się wydaje.

– Wszyscy teraz trochę świrują – powiedziałem.

– Więc jesteśmy tacy jak wszyscy, to dobrze.

Rozmowa nie przebiegała tak, jak się spodziewałem. Myślałem, że matka będzie głosem rozsądku, da mi jakieś dobre rady i po macierzyńsku zapewni, że wszystko będzie dobrze, ale była dziwnie nieobecna. W jej głosie wyczułem lekki fałsz, zupełnie obcy – to mi się nie spodobało.

– Mam, pewnie telefony przestaną działać i trudno będzie się skontaktować. Obiecuj, że nie będziesz się denerwowała. Zadzwonię najprędzej jak się da, a wcześniej musicie wierzyć, że nic złego się nie stało.

– Okej – powiedziała cicho. – To dobry pomysł.

Zapadło milczenie.

– Kochanie, wszystko się dobrze skończy – przerwała je mama. – Oni zawsze przesadzają, gdy chodzi o pogodę. Jestem pewna, że ten huragan przekotłuje się nad nami jak poprzednie.

Nie byłem pewien, czy sama w to wierzy, ale wyraźnie zależało jej, żeby to

do mnie dotarło. Mama tak właśnie myślała: „oni” to były jakieś bliżej nieokreślone władze, które histeryzowały przy byle okazji, gdy zwykli ludzie po prostu czekali, aż niebezpieczeństwo „się przekołuje”. Moi rodzice mieli stoicki stosunek do rzeczywistości – cecha niezastąpiona, żeby dzieci czuły się bezpieczne, ale zupełnie nieprzydatna w dzisiejszych czasach. Ich niewzruszona wiara w cudowną siłę życia, które odradza się w każdych warunkach – życia takiego, jakie znaliśmy do tej pory – bardzo mnie niepokoiła. Wszystko się zmieniło, stare prawdy nie miały tu zastosowania. Miałem nadzieję, że mama to rozumie.

– To będzie niewyobrażalny kataklizm. Powinniście bardzo poważnie potraktować zapowiedzi meteorologów. Macie wszystko, co potrzebne?

– Och, znasz nas. – Prawie widziałem, jak macha ręką. – Niewiele nam potrzeba.

To była prawda. Jednak wszystkie jej zapewnienia w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa były zwykłym zaklinaniem rzeczywistości. Miałem ochotę potrząsnąć nią na odległość, nakazać, żeby się obudziła. Szkoda tylko, że nie mogłem zrobić ani powiedzieć niczego, co by ją ochroniło lub przygotowało do tego, co nadejdzie. Dzielili nas wiele kilometrów, byłem równie bezradny jak ona.

– Aha, okej. Kocham ciebie i tatę. Trzymajcie się.

– Też cię kocham, synku.

I tyle. Kiedy uda nam się skontaktować następnym razem, będzie po Wielkiej Burzy. Wiedziałem, że powinienem zadzwonić do rodzeństwa, ale rozmowa z mamą mnie wyczerpała, więc odłożyłem to na później. Ciekawe, co dzieje się w innych rodzinach, myślałem. Czy zjeżdżają się wszyscy w jedno miejsce, żeby wspólnie walczyć o przeżycie? Nie, mało prawdopodobne. Może w innych częściach świata, ale nie w Ameryce. My staramy się polegać na własnych siłach.

– Wychodzę po masło orzechowe. Potrzebujemy go jak najwięcej – oznajmiła Pia, mijając mnie bez jednego spojżenia.

Od chwili gdy przyłapała mnie na Festiwalu Isole ściskającego ręce Maggie, była lodowata. Nie rozmawialiśmy też o jej wrażeniach z konwencji prepersów; ona nie chciała mówić, ja – słuchać. Nasze relacje ograniczały się do wymiany niezbędnych informacji. Nawet mi ulżyło, gdy wręczyła mi listę przygotowań, którymi powinienem się zająć. Wydawała polecenia i egzekwowała ich wykonanie. Było to dla Pii zupełnie nietypowe zachowanie, wymagało większego panowania nad sobą niż to, do którego była zdolna. Trochę mnie przerażała. Co nas czeka w najbliższej przyszłości? Wybuchnie wreszcie? Zacznie się mścić? Miałem mętlik w głowie, więc wyszukiwałem sobie co rusz nowe zajęcia, żeby się nie zastanawiać, na czym właściwie stoimy. Przyznanie się przed sobą, że nasze małżeństwo znalazło się na zakręcie, otwarłoby drzwi emocjom, na które nie byłem

gotowy: smutkowi, wściekłości, a co gorsza uldze. Nie chciałem nic wiedzieć. Potrzebowałem świętego spokoju, mobilizowałem się do walki o przetrwanie.

– Okej! – zawołałem za nią. – Może jeszcze kup czarną fasolę.

Patrzyłem, jak biegnie do samochodu. Zdałem sobie sprawę, że zaczęło padać. O kurczę, okna. Musiałem je zabić do końca. Wyszedłem i postawiłem drabinę pod następnym oknem sypialni. Z największym wysiłkiem wciągnąłem kolejną płytę po drabinie na górę, z gwoździarką i magazynkiem na gwoździe przytroczonymi do pasa. Od miesięcy nie pracowałem tak ciężko, mięśnie zaczęły to boleśnie odczuwać. Jednak strach i pośpiech działały na mnie stymulująco. Praca fizyczna miała konkretny cel i pomogła chwilowo zapomnieć o dręczących mnie sprzecznych emocjach. Postanowiłem, że kiedy niebezpieczeństwo wreszcie będzie za nami, zacznę krok po kroku remontować dom – chociaż już wtedy wiedziałem, że to obietnica rzucona na wiatr, bo trudno się spodziewać, by po Wielkiej Burzy wszystko wróciło do normy.

Deszcz zacinął coraz mocniej, gdy kończyłem okno sypialni i przesunąłem drabinę pod następne. Przystawiłem do framugi kolejną sklejkę i przytrzymując ją kolanem i lewą ręką, prawą wstrzeliwałem gwoździe, żeby przymocować płytę do belki. Trzymała się mocno, nie żałowałem gwoździ, problem w tym, że miała idealnie kwadratowy kształt, więc z góry i z dołu zostawała pięciocentymetrowa szpara odsłoniętej szyby. Nie wiedziałem, czy to przysporzy mi problemów, ale deszcz się wzmagał i nie było już czasu. Musiało nam wystarczyć to, co zrobiłem.

Ostatnie okno zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem, bo Pia zdążyła wrócić do domu w tym samym momencie, gdy odstawiłem drabinę i wpadłem pędem do środka. Miała w rękach wypchane torby z wszystkim, co dało się jeszcze znaleźć na sklepowych półkach. Stałem w drzwiach i ściągałem z siebie kolejne warstwy mokrego odzienia. Trząsałem się z zimna. Zostałem w samych bokserkach, choć też były mokre.

– Rozpalić w kominku? – zapytała Pia.

– Poczekajmy jeszcze. Powinniśmy oszczędzać porąbane drewno na gorsze czasy. Teraz wezmę gorący prysznic.

Zacząła rozkładać produkty spożywcze – po jej reakcji poznałem, że na taką odpowiedź liczyła. Nie było czasu na luksusy, takie jak trzaskający ogień w kominku. Nie było też czasu na rozmowę. Zresztą deszcz niemilosiernie walił w ściany i musielibyśmy podnieść głos, żeby się usłyszeć.

Wiatr wściekle pogwizdywał na dworze. Zacinął raz z jednej, raz z drugiej strony. Jeśli w jego atakach był jakiś porządek, nie potrafiłem go dostrzec, miałem nieprzyjemne wrażenie, że otacza nas trąba powietrzna. Za chwilę porwie nas do góry, zupełnie jak dom Dorotki w *Czarnoksiężniku z krainy Oz*, przemiele w straszliwej wirówce i porzuci w zupełnie innym miejscu. Wrażenie to potęgował fakt, że przez zasłonięte sklejką okna nic nie było widać, prócz przymglonego

światła wpadającego szparami na górze i dole.

Pobiegłem do łazienki wyziębionej jak reszta domu i puściłem prysznic, aż woda zaczęła mnie parzyć. Gdzieś na dworze rozległ się grzmot. Czy to prawda, że podczas burzy nie powinno się kąpać? A może to głupie zabobony? Nie wiedziałem, postanowiłem skorzystać z ostatniej szansy na porządną kąpiel, zanim na zewnątrz rozszaleje się piekło. A więc stało się: nadeszła Wielka Burza, pomyślałem. Mieliśmy wiele fałszywych alarmów, ale tym razem trudno było się pomylić. Niebo wyglądało groźniej niż poprzednio, a deszcz miał niespotykaną siłę. Komunikaty pogodowe też nie pozostawiały wątpliwości – kataklizm jest znacznie gorszy, niż zapowiadano, poinformowały agencje rządowe.

Lałem sobie gorącą wodę na głowę, aż zniknął chłód i ogarnęło mnie miłe ciepło. W następnych dniach wiele razy wracałem do tego wspomnienia, gdy smród i zimno nazbyt mi doskwierały. Jakaż to niedoceniana przyjemność – móc się wykapać, gdy człowiek ma na to ochotę. Rozpieszczeni dostatkiem, braliśmy takie luksusy za oczywistość. Kiedy wyszedłem z łazienki w spodniach dresowych i za dużej koszuli flanelowej, wiedziałem już, że nic nie jest dane raz na zawsze.

Na dole Pia zdążyła nalać nam caberneta do słoiczków i podsmażała warzywa na kuchence. Przekonałem się już, że nie powinienem traktować tego jako ręki wyciągniętej do zgody – powód był prozaiczny, należało zjeść jarzyny zajmujące miejsce w lodówce, zanim się zepsują. Tak czy owak, był to miły widok. Wziąłem swój słoik i przenieśliśmy się do salonu, gdzie utrzymujący się mimo niedawnego intensywnego wietrzenia zapach dżdżownic stał się tak znajomy, że przestałem go zauważać. (Po latach zapach mokrej ziemi będzie przywoływał z pamięci te obrazy). Włączyłem radio i obraz w telewizorze, jakbym się spodziewał, że w ten sposób przekaz z nich płynący będzie bardziej prawdziwy. Zamiast znajomych ponurych głosów bezimiennych ekspertów usłyszałem muzykę Johna Coltrane'a z albumu *A Love Supreme*. Kochałem te jazzowe melodie, których łagodna precyzja za każdym razem sprawiała na mnie wrażenie świeżej i zaskakującej improwizacji. Trzeba było dobrze się wsłuchać, żeby docenić każdy szczegół. Płynąca z głośników muzyka pieściła uszy; wyraźnie nie było już nic do dodania w sprawie huraganu, pozostało tylko czekać.

Podkręciłem dźwięk i podszedłem do okna. Przyklękawszy, mogłem wyrzeć na podwórze za domem. Bezlistne konary trzech drzew uderzały w siebie, szarpane wiatrem, pozostawiając na ziemi połamane gałązki i kawałki kory. Za kępą choinek widziałem pnie potężnych klonów. W samym rogu w oddali mogłem dostrzec dom Peg – sprawiał wrażenie małego i przytulnego. Z komina leciał dym. Dziwnie kojąca była świadomość, że moja przyjaciółka tam jest, może sprawdza prace studentów, może czyta powieść o jakichś odległych miejscach. Prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia, co robi, pozostała dla mnie enigmą. Nie wiedziałem nawet, jak się przygotowała na nadejście Wielkiej Burzy, teraz to sobie

gorzko wyrzucałem. Kilka miesięcy temu zaprzyjaźniliśmy się błyskawicznie, ale w miarę narastania zagrożenia coś się w niej zmieniało. Teraz pożałowałem, że nie zadałem jej tych wszystkich pytań o życie osobiste, które często miałem na końcu języka.

Kolejny podmuch wiatru z taką siłą cisnął deszczem w szybę, że przez chwilę nic nie widziałem. Potem przez ściekające krople dojrzałem, jak wokół pnia wielkiego klonu zbiera się szybko rosnąca kałuża. Przypomniała mi się niedźwiedzica i jej małe, które widziałem przed niespełna dwoma tygodniami. Czy udało im się ukryć w bezpiecznym miejscu? Zwierzęta nie miały szans – ani niedźwiedzie, ani inne przedwcześnie wybudzone ze snu zimowego stworzenia, które oczekiwały wiosny.

Myślałem o gwałtownej śmierci, która zagraża pospół ludziom i zwierzętom, kiedy zarejestrowałem jakiś ruch. Coś się poruszało w pobliżu domu Peg, między drzewami, na granicy naszych parceli. Niewiele widziałem, jednak trudno było nie rozpoznać jaskrawych kolorów zimowego ubrania. Postać zmieniła pozycję i znowu znieruchomiała, powtórzyła tę czynność parę razy.

– Pia! Ktoś tam jest! – krzyknąłem w głąb domu.

– Co? Niemożliwe. Nikt nie wyszedłby na taką pogodę – powiedziała, jednak przyklękła razem ze mną przy punkcie obserwacyjnym.

– To Peg – stwierdziła po chwili.

– Skąd wiesz?

– Ma niebiesko-czerwoną kurtkę. Jestem pewna, że to ona.

Pia wróciła do kuchni, gdzie zajęła się dorzucaniem kawałków podeschniętej papryki do sosu.

– I ty uważasz, że to moi znajomi nadają się do psychiatryka, Ash?! – zawołała. – Jej chyba zupełnie odbiło.

Im dłużej się przyglądałem, tym bardziej byłem pewien. To rzeczywiście Peg. Szła w naszą stronę? Nie. Wydawało mi się, że chodzi od drzewa do drzewa, chociaż znajdowała się za daleko, żebym był pewien. Musiała być kompletnie przemoczona i przemarznięta. Żaden normalny człowiek nie ma ubrania, które nadaje się na spacer w strugach deszczu. Tymczasem ona snuła się po dworze, narażając się na hipotermię, żeby przytulić się do drzew.

Powinienem z nią porozmawiać.

– Niektórzy pod wpływem stresu tracą poczucie rzeczywistości – zawyrokowała Pia z kuchni.

– Dziękuję za diagnozę, pani doktor – wymamrotałem.

Wpatrywałem się w odległą sylwetkę przez następnych pięć minut, prosząc przyjaciółkę w głębi duszy, żeby wróciła do domu i się rozgrzała. Peg była starsza od mojej mamy, ale bardziej żywotna niż August, a o potędze natury wiedziała więcej niż którekolwiek z nas. Właśnie dlatego jej zachowanie było niezrozumiałe

i ryzykanckie, zupełnie jakby chciała, żeby ją porwała Wielka Burza. Nie spuściłem jej z oka, choć stała nieruchomo. Wreszcie zniknęła w bezpiecznym wnętrzu swego domostwa. Miałem ochotę zadzwonić, zapytać, co robiła, i usłyszeć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Powiedziałyby może, że zbierała gałęzie na opał albo robiła coś równie banalnego, i oboje moglibyśmy się pośmiać z mojego przerażenia.

– Jedzenie na stole! – zawołała Pia.

Słyszałem, jak dolewa sobie wina, potem szczęknęła widelca o talerz. Oparłem się mocno na zdrowej nodze i wstałem. Cóż innego mógłbym zrobić?

DWADZIEŚCIA JEDEN

Siedzieliśmy z Pią przy kuchennym stole i piliśmy herbatę po obiedzie, rozglądając się po zabitych oknach, które miały nas ochronić przez burzą. Było ciemno jak w środku nocy, choć dochodziła siódma. Rzadko nam się zdarzało zasiąść wspólnie do stołu niczym zgodne stadło, które nie ma nic ważniejszego do zrobienia. Był to jeden z tych na pozór nieistotnych rytuałów, których mi coraz bardziej brakowało w naszym małżeństwie, choć na początku wydawało mi się, że nie jestem do nich przywiązany. Pia z założenia odrzucała wszelkie konwencje; byłem tego świadomy od początku. Nawet mi się podobało, że sama ustanawia zasady, jakimi rządzi się nasze życie domowe. A jednak czasem tęskniłem za obyczajami, które kultywowali moi rodzice.

Kiedy byłem dzieckiem, życie rodzinne koncentrowało się wokół stołu kuchennego. Tutaj jedliśmy wszystkie posiłki, ale też wycinaliśmy oczy dyniom na Halloween i malowaliśmy pisanki na Wielkanoc. Stół był ten sam od lat, nikt go nie przesunął ani nie wymienił na nowszy, z czasem zyskiwał kolejne skazy, które tylko dodawały mu swojskości. Czasem miałem wrażenie, że nie był to mebel przed laty przywieziony ze sklepu, ale integralna część domu, zakorzeniona w jego fundamentach. Tak mocno wrósł w nasze życie.

Kiedy tak siedzieliśmy z Pią przy stole kuchennym tamtej nocy, brakowało nam tego poczucia stabilności. Pia była rozedrgana i podekscytowana.

– Jesteś szczęśliwa, że żyjemy tu razem? – zapytałem. Nie szukałem zaczepki, potrzebowałem jakiegoś potwierdzenia bliskości, którego mógłbym się ucześcić, gdy Wielka Burza spadnie na nas z impetem.

– Trudno być szczęśliwym, zważywszy na to, co się dzieje – prychnęła niecierpliwie, ale jej oczy błyszczały. Energia z niej aż biła, jakby ją stymulowało oczekiwanie na potencjalną katastrofę. Z trudem kryła entuzjazm.

– „Szczęśliwa” to może złe słowo – poprawiłem się. – Czy jesteś zadowolona, że mamy siebie nawzajem? Że to ze mną będziesz, gdy przyjdzie najgorsza próba?

– Oczywiście. Tak.

– Jak myślisz, co robią w tej chwili inni ludzie w swoich domach? – Było to niemądre pytanie, ale w jakiś sposób chciałem do niej dotrzeć, przebić się przez dzielącą nas ścianę. Miałem wrażenie, że Pia jest w zupełnie innym miejscu.

– O Jezusie, Ash! Nie wiem! Jakie to ma znaczenie?

Rozejrzała się niecierpliwie. Już wiedziałem, że czas się skończył. Przelotną ciszę przerwał ostry trzask na dworze. To złamało się jakieś małe drzewo. Pia aż podskoczyła.

– Tylko się zastanawiałem. – Byłem żaloszny, gdy nawracałem do

poprzedniego wątku, podczas gdy Pia patrzyła na mnie w milczeniu. Desperacko próbowałem skupić na sobie jej uwagę, nawet jeśli gdzieś w głębi wiedziałem, że myśli o czym innym. Patrzyła na mnie pustym wzrokiem, czekając tylko, kiedy się skończy drętwą rozmowa. Pogoda sprawiła, że bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałem odrobiny czułości, ale na niej wywarła wręcz przeciwny efekt. Błąkała się myślami po sferach dla mnie niedostępnych.

Wiatr zaryczał przerażająco. Strugi deszczu zamieniły się w grad. Kiedy spojrzałem na wąski pas szyby, zobaczyłem, jak pokrywa się lodem. Czy to możliwe, żeby udusić się pod powłoką lodu, którą okrył się dom? Temperatura spadła dramatycznie w ciągu niecałej godziny. Może wszyscy zamarzniemy opakowani elegancko w pudła czterech ścian, w stanie nietkniętym przetrwamy kolejną epokę lodową i znajda nas kiedyś, jak mamuty zamrożone pod koniec plejstocenu. Serce zaczęło mi łomotać, a chociaż w kuchni było zimno, zacząłem się gwałtownie pocić. Ciało nadażyło wreszcie za umysłem i zdało sobie sprawę, że jesteśmy tu uwięzieni we dwójkę.

W czasach współczesnych zjawiska pogodowe stanowią prawdziwe wyzwanie dla naszej wiary we wszechmoc cywilizacji. To prawda, że w ostatnich latach zdarzały się powodzie, trzęsienia ziemi i pożary lasów przerażające ze względu na swoją skalę i częstotliwość, ale do tej pory zachodnia technologia w ostatecznym rozrachunku jakoś z nimi wygrywała. Do Wielkiej Burzy święcie wierzyliśmy, że zerwane linie elektryczne da się naprawić i znów będziemy mieli światło w naszych domach, a opóźnione loty w końcu wystartują. Podczas najgorszych katastrof naturalnych, które wydarzały się wcześniej, pod wieloma aspektami nasze życie toczyło się bez zmian. Pensje automatycznie wpływały na konta bankowe, płaciliśmy rachunki za media i wymienialiśmy e-maile służbowe i prywatne. Wierzyliśmy wtedy, że naturę da się ujarzmić. Pamiętając o tym zasadniczym błędzie w rozumowaniu, łatwiej zrozumieć, dlaczego zachowałem się krańcowo nierozważnie.

– Muszę wyjść – oznajmiłem i głośno odsunąłem krzesło. Działaniem odruchowo, to było silniejsze ode mnie.

– Zwariowałeś? Nie ma mowy. Nikt teraz nie wyjdzie – odparła Pia stanowczo.

Ale ja już zacząłem się ubierać: spodnie narciarskie, kolejny sweter, kalosze, peleryna. Uważałem, że właściwy strój ochroni mnie przed tym, co się dzieje.

– Muszę wyjść – powiedziałem znowu.

Pia podjęła słabą próbę, żeby mnie zatrzymać; byłem jej za to wdzięczny, ale nie ustąpiłem. Nie udawałem: musiałem się wydostać, do cholery. Z każdą minutą burza stawała się silniejsza. Wkrótce – i nie wiedzieliśmy jak szybko – zmusi nas do zwinięcia się w kłębek w naszych norach i skaże na czekanie. Potrzebowałem ostatniego haustu świeżego powietrza i kontaktu z drugim człowiekiem, zanim do

tęgo dojdzie. Bałem się, że jeśli będę czekał, zabraknie mi odwagi. Miałem zamiar dotrzeć do domu Peg.

Naciągnąłem uszankę i kiwnąłem Pii głową. Stała z rękami na biodrach i niezrozumieniem wymalowanym na twarzy, ale już nie protestowała. Drzwi trzasnęły, popchnięte przez gwałtowny napór wiatru. Zignorowałem przelotne uczucie paniki. Czuję na twarzy szczypiące uderzenia deszczu zmieszanego ze śniegiem. Widzialność była zerowa, miałem wrażenie, że zderzam się z czarną, wirującą masą, ale powtarzałem sobie, że dom Peg znajduje się w odległości kilku minut marszu (w normalnych warunkach, oczywiście) na przełaj między drzewami. Trzeba było iść prosto jak strzeł, patrząc pod nogi i kierując się na słabe światło na ganku. Znalazłem się na dworze i nie zamierzałem wracać.

Niemal natychmiast potknąłem się o złamaną gałąź i upadłem na kolana. Ręce w rękawiczkach zanurzyły się w lodowatej wodzie, wilgoć wpełzła na przedramiona. Woda była głębsza, niż się spodziewałem, przykrywała płataninę połamanych gałęzi, patyków i rozkładających się liści. Już teraz byłem przemoczony i zziębnięty.

Wstałem i zacząłem robić wolne, ostrożne kroki, wyciągałem do przodu ramiona, żeby się nie nadziać na gałęzie. Trzykrotnie noga zapadła mi się w grząski grunt, musiałem pociągnąć rękami za kalosz, żeby wydostać się z pułapki i nie upaść. Policzki mnie piekły, byłem spocony z wysiłku, gdy z trudem torowałem sobie drogę przez las. Padało coraz mocniej, pomyślałem, że w drodze powrotnej czeka mnie brodzenie w wodzie głębszej o kilka centymetrów. Nie będzie to przyjemne, ale da się przeżyć, jeśli wcześniej wysuszę się i ogrzeję u Peg. Największym wyzwaniem było unikanie upadku. Powinienem był wziąć czołówkę. Miałem wrażenie, że wszystko w lesie – każdy liść, kamyk i patyk – wirowało teraz w trąbie powietrznej wokół mojej głowy. Jeśli istniał poprawny termin na nazwanie tego, co działo się na dworze, ja go nie znałem.

Wreszcie zbliżyłem się do światła na ganku Peg na tyle blisko, żeby dostrzec jej cień poruszający się w domu. Nie mogła być nigdzie indziej, ale i tak z ulgą upewniłem się, że jest bezpieczna.

– Ash! Na miłość boską! Co tu robisz? – wykrzyknęła Peg na mój widok i wciągnęła mnie do środka.

Zacząłem ściągać z siebie wierzchnie odzienie.

– Musiałem wyjść – wydyszałem. Sam się przestraszyłem własnego głosu. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Po prostu musiałem wyjść z domu.

– Ale skąd. Wchodź, wchodź – zapraszała. Położyła moje mokre rękawiczki i czapkę na rozgrzanym kominku w salonie.

Nie było teraz czasu na krygowanie się i fałszywą skromność, więc zdjąłem dzinsy, zostając w długich granatowych kalesonach. Wygoda przede wszystkim.

– Przepraszam – powiedziałem z uśmiechem.

Peg parsknęła gardłowym, serdecznym śmiechem i machnęła ręką, jakby nie zauważyła, że jestem w samej bieliźnie. Była po domowemu – w męskich dresach z emblematem szkoły na lewej nogawce i w czerwonej flanelowej koszuli. Wyglądała na starszą i łagodniejszą niż kiedykolwiek.

- Coś gorącego? – zaproponowała.
- Proszę o kawę. I tak nie będę dziś spał.

Zauważyłem, że dom Peg był nieskazitelnie czysty. Błaty kuchenne lśniły, na dywanie w salonie widać było pasy zostawione przez odkurzacza. Dziwna pora na sprzątanie. Jedynym akcentem zakłócającym idealny obraz był duży kosz wypełniony warzywami świeżo wyrwanymi z gruntu, stojący na środku kuchni. Była to imponująca martwa natura składająca się z plam pomarańczowych, czerwonych, brązowych i beżowych, upstrzona czernią wysychającej ziemi. Peg zauważyła, na co patrzę.

- Resztki moich jesiennych zbiorów – powiedziała. – Postanowiłam wszystko zebrać i upiec, zanim wyłączą prąd.
- Mogłabyś tym wyżywić pułk wojska!
- Jestem tylko ja. No, a teraz ty. Na nic mi się zdadzą, gdy zgniją w piwnicy. Możesz mi pomóc.

Peg napełniła zlew ciepłą wodą i stanęliśmy obok siebie, zajęci czyszczeniem bulw i korzeni i odkładaniem ich na suszarkę. Miło było mieć zajęte ręce. Nie rozmawialiśmy, ale to mi nie przeszkadzało. Jednym uchem słuchałem monotonnego strumienia informacji pogodowych płynących z lokalnego radia. Była to relacja wygłaszana przez spikera bez emocji, na jednym oddechu: „zimowe warunki... opady na poziomie stu dwudziestu centymetrów w ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin... niespotykana siła wiatrów, które powodują zniszczenia w terenach zamieszkałych i na drogach... ostrzeżenie dla podróżujących, uwaga na złamane drzewa na drogach... National Weather Service w Vermoncie wydała ostrzeżenie przed groźbą powodzi na terenie całego stanu... National Weather Service ostrzega przed śnieżycami... w hrabstwach Windham, Bennington, Rutland i Windsor rozpoczęto ewakuację ludzi z zagrożonych terenów... kilka ofiar śmiertelnych na południu stanu... wyjątkowe... poziom opadów bije wszelkie rekordy...”.

Popatrzyłem przez okno i zorientowałem się, że Peg nie zabiła ich deskami. Teraz było już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić. Czułem, że Wielka Burza zbliża się z piekielną szybkością, i zastanowiłem się, ile jeszcze mam czasu na powrót do domu. Moja wizyta nie miała planu ani celu, jednak nie chciało mi się wracać do Pii, chociaż nie widziałem już swojego domu przez kurtynę deszczu ze śniegiem.

Peg oczyściła ostatnie bataty i oznajmiła, że teraz usiądziemy przy stole i zabierzemy się do krojenia. Podała mi deskę i ostry nóż, pokazała, jak duże

powinny być kawałki. Pochłonęło mnie nowe zadanie, a ona postawiła przede mną kubek parującej kawy i lekko ścisnęła mnie za ramię. Oboje udawaliśmy, że wykonujemy normalne czynności, jakby wokół nie działo się nic wyjątkowego. Wiedziałem, że sprawa Pii wypłynie dopiero wtedy, gdy sam ją poruszę; właściwie nigdy nie rozmawiałem z Peg o mojej żonie.

– Cały czas myślę o Auguście – przyznałem.

– Wiem – odparła, ale nawet nie próbowała mnie zapewniać, że jest bezpieczny. – Zaopiekuj się tym chłopcem, Ash.

Powoli kroilem marchewkę i odsuwałem talarki nożem na bok.

– Jest jeszcze Crow. O nim też ostatnio często myślę – dodałem.

– Poszłam go odwiedzić – odpowiedziała Peg, jakby tylko czekała, aż poruszę ten temat. – Ja też wiele o nim myślałam. Uznałam, że powinnam się z nim spotkać ostatni raz przed Wielką Burzą.

– Naprawdę? Kiedy? Chciałaś jeszcze raz porozmawiać o planie przeciwpowodziowym?

– Pominęłam ten temat. – Peg pociągnęła łyk kawy. – Nadal jestem na niego wściekła, że wszystko zrujnował, ale i tak było już za późno. Pojechałam do niego wczoraj wieczorem, bo chciałam się upewnić, czy miał rację w tym wszystkim, co głosił... Bardzo długo uważałam, że się fundamentalnie myli, ale zbliżanie się kataklizmu skłoniło mnie do przemyśleń... Musiałam się przekonać, które z nas było w błędzie.

– No i?

– Sama nie wiem. – Peg zmarszczyła brwi. – Powiedział, że jego była żona z córką potrzebowały bezpiecznego miejsca. Zapytały, czy mogą się schronić u niego. Mieszkają bardziej na południe, w Putney. Był rozdarty, nie przestawał powtarzać, że zapasy w jego bunkrze obliczone są na jedną osobę, nie na trójkę. Nie taki miał plan. A jednak wciąż mu na nich zależy. Kiedy wychodziłam, nadal nie wiedział, co zrobić. Nie wiem, na czym w końcu stanęło.

– Schron zdecydowanie był jednoosobowy – zauważyłem. Podniosłem kawę do ust. – Nie wiedziałem, że miał żonę i córkę.

– To nie jest jego biologiczne dziecko – wyjaśniła Peg. – Wychowywał córeczkę swojej żony od niemowlęcia i traktował ją jak własną. Był dobrym tatą, jak sędzę. Rozwiedli się siedem lat temu.

Trudno mi było wyobrazić sobie Crowa jako ojca rodziny, choć właściwie nie powinienem się dziwić. Każde z nas miało za sobą długą i krętą drogę, zanim Wielka Burza kazała nam zakwestionować wszystko, co było wcześniej. Żadne z nas nie chciało być zdefiniowane tylko przez odpowiedź na ostatnie wyzwanie. Pomyślałem o Pii, która zapewne krząta się w domu, realizując własny plan przetrwania w obliczu ostatecznej katastrofy. To nie było w porządku, że zostawiłem ją samą; ani to, że ona tak łatwo pozwoliła mi odejść. Najwyraźniej

staliśmy się współlokatorami dzielącymi tę samą przestrzeń, ale nie życie.

– Nie chce mi się wracać do domu – wyznałem. – Do Pii.

– Wiem – westchnęła cicho. – A gdzie chciałbyś teraz być?

Odpowiedź nasunęła się sama, choć nigdy wcześniej nie ubrałem jej w słowa.

– Z Maggie Chase. Nie mam pojęcia, czy podziela moje uczucia, ale nie jestem w stanie przestać o niej myśleć... Mam mętlik w głowie.

Zapomniałem o ziemniaku i trzymanym w ręku nożu. Peg milczała, więc myślałem na głos.

– Może to wpływ Burzy na nasze życie. Pia jest przerażona, a ja czuję się samotny. Nadal ją kocham. Kiedy to wszystko wreszcie się przewali i świat wróci do normy, może zaczniemy jeszcze raz. W tej chwili sam nie wiem, czego chcę. Lepiej zapomnij, co powiedziałem o Maggie. To tylko fantasmagoria.

Wiatr zawył, a ja przypomniałem sobie, że z każdą minutą spędzoną przy stole kuchennym u Peg mój powrót staje się bardziej niebezpieczny.

– Nie zrzucaj wszystkiego na Wielką Burzę, Ash – powiedziała. – Jest tylko katalizatorem złych zjawisk, ale nie przyczyną. Jeśli masz problemy w małżeństwie, nie odfruną wraz z wiatrem. Przepracuj je z Pią, napraw wasz związek albo się rozejdźcie, ale nie zwalaj waszych kłopotów na pogodę. Przecież nie jesteście aż takim tchórzem.

Było mi przykro, gdy chłodno podsumowała stan moich relacji z żoną; zawstydzilem się, że są aż tak oczywiste dla postronnego obserwatora. Musiałem jej przyznać rację, ale w obecnym stanie nie byłem zdolny do autoanalizy. Na naszych oczach świat ulegał destrukcji; nie wiedziałem, czy przeżyjemy Wielką Burzę, a co dopiero – w jakim stanie znajdziemy się na drugim brzegu. Wtedy jeszcze nie chciałem słuchać rady Peg.

– Teraz myślę tylko o przetrwaniu – powiedziałem z nutą gniewu w głosie. Peg powinna to rozumieć. – Później będzie pora na prywatne problemy, jeśli w ogóle będzie jakieś później.

– Oczywiście – przytaknęła szybko, zorientowawszy się, że mnie uraziła.

Rozmowa się urwała. Poczulem się głupio, że siedzę w samych kalesonach nad stosikiem pokrojonych warzyw. Podniosłem się. Peg westchnęła, a wtedy przypomniałem sobie, jaki był powód mojej wizyty. Usiadłem znów i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Dlaczego wcześniej chodziłaś po dworze przy takiej pogodzie?

– W gruncie rzeczy bez powodu. Chciałam się pożegnać, zapamiętać lepiej.

– Z kim pożegnać?

– Z lasem, który nas otacza – odrzekła. – Czeka nas niewyobrażalne zniszczenie, Ash. Nic nie będzie takie jak wcześniej. Na twoje pokolenie spadnie główny ciężar tych zmian. Jeszcze się przekonasz.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem. Smutek, jaki w ostatnich tygodniach dostrzegałem w oczach Peg, teraz przygniatał ją do ziemi.

– Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

– Martwisz się, że jestem sama? – Uśmiechnęła się lekko. – Tak, poradzę sobie. Dziękuję za troskę. Nie tak wyobrażałam sobie rozwój wypadków, ale dam radę.

– Czemu jesteś sama? – wyrwało mi się.

Głęboko westchnęła i milczała przez chwilę.

– Może to dziwnie zabrzmie, ale nigdy nie czułam się samotna, nawet ostatnio. Dwa razy byłam zakochana i związana z cudownymi mężczyznami, którzy dali mi wiele szczęścia. W końcu zaczynało im zależeć na rzeczach, których ja nie potrzebowałam – na małżeństwie i dzieciach, mówiąc prosto – w obu wypadkach się rozstaliśmy, ale zachowałam wspaniałe wspomnienia. Miałam bardzo bogate życie dzięki podróżom, badaniom naukowym i wszystkim przyjacielom, których spotkałam w różnych częściach świata. A co najważniejsze, wszędzie, gdzie się znalazłam, czułam się kochana i ochraniana przez świat przyrody. Brzmi to dziwacznie i może trochę aspołecznie, ale taka jest prawda. Lasy były zawsze moją największą miłością.

Wyznanie tego rodzaju można wyczytać w książce i skwitować śmiechem jego romantyczną naiwność, ale Peg powiedziała to z takim przekonaniem, że jej uwierzyłem. Czerpała z natury coś, czego większość z nas nie chce lub nie potrafi przyjąć. Gdyby istniała kosmiczna sprawiedliwość, urodziłaby się jako zwierzę, zupełnie wolne, żyjące w lesie. Była mądrzejsza od większości z nas, ale nie do końca pasowała do sztywnych ram nakładanych na człowieka przez cywilizowany świat. Być może, pomyślałem, Peg była zwierzęciem w przeszłym życiu albo stanie się nim w kolejnym wcieleniu. I nagle moja samotność wydała mi się nieznaczna w porównaniu z tą, która była jej udziałem.

– A lasy się zmieniają – dodałem. Rozumiałem, co chce mi powiedzieć: główny wątek jej życia właśnie zanikał.

– Zgadza się – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Nieodwracalnie i nieustannie.

Chciałem ją objąć i pocieszyć, że to tylko jeden sztorm, na nim się skończy, ale wiedziałem, że to nieprawda. Wielka Burza zmieni nasz świat na zawsze, a co ważniejsze, ten sam efekt będą miały wszystkie kolejne wydarzenia pogodowe – te dramatyczne i te drobne. Transformacja, która niepostrzeżenie rozpoczęła się wiele lat temu, była potężniejsza od mojego optymizmu czy miłości Peg. Nie było nic do dodania.

W milczeniu wysłuchaliśmy trzeszczącego komunikatu z sąsiedniego pokoju: „Większość stanu Vermont straciła już zasilanie elektryczne, rejony położone na północy pogrążą się w ciemności za kilka godzin. Służby porządkowe

ostrzegają przed wychodzeniem z domu. Proszę w najbliższym czasie nie wybierać się w podróż. Osoby, których zdrowie lub życie jest zagrożone, proszone są o dzwonienie na numer 911, czynny przez całą dobę, jednak pojazdy ratunkowe są w stałym ruchu, a tymczasowe schroniska szybko się zapełniają ludźmi. Pierwszeństwo mają mieszkańcy budynków zniszczonych przez powalone drzewa lub znajdujących się na terenach bezpośrednio zagrożonych powodzią, osoby przebywające w pobliżu zerwanych przewodów trakcyjnych oraz ofiary hipotermii. Wszyscy pozostali proszeni są o schronienie się pod dachem i oszczędzanie ciepła. To dopiero początek bardzo długiego i destrukcyjnego załamania pogody...”.

– Powinieneś już iść – powiedziała Peg.

Wyszedłem na korytarz i zacząłem się ubierać. Peg przyniosła moje rękawiczki, czapkę, szalik i spodnie. Były gorące od kominka, ale wciąż wilgotne. Z niechęcią myślałem o przenikliwym zimnie i zawiei, które muszę pokonać, żeby dotrzeć do Pii i jej dżdżownic. Wolałbym zostać z Peg i przez następne dni jeść zapiekankę warzywną.

Kiedy wciągałem rękawiczki, zadzwonił telefon. Peg poszła odebrać.

– Jezus! – wykrzyknęła. Powtórzyła to znowu, potem coś niezrozumiałego, wreszcie się rozłączyła.

– August zginął – powiedziała, stając w drzwiach. – Wymknął się od rodziców zastępczych i nie mogą go znaleźć. Szuka go cała ekipa. Dzwoniła pracownica opieki społecznej. Próbowwała cię złapać w domu.

– O mój Boże, muszę iść – wykrztusiłem.

– Najpierw sprawdź u siebie. Nie rób nic głupiego.

Szarpnąłem drzwi, żeby złamać warstewkę lodu, która zebrała się w szparach, i wpuściłem do środka zimny, mokry powiew. Przez moment nie byłem w stanie jasno myśleć, zapomniałem, dokąd i po co idę. Peg podała mi uszankę. „Muszę dotrzeć do domu, znaleźć Augusta. A może od razu zacząć go szukać?”. Nie miałem pojęcia, co robić.

– Dziękuję, Peg. Powodzenia.

– Ty też się trzymaj, Ash. – Ścisnęła mnie za ramię i zamknęła drzwi.

Widoczność była dużo gorsza, a grad spadający z nieba stał się większy. Miałem wrażenie, że wściekły na ludzi bóg obrał sobie mnie na cel swojego gniewu i ciska bryłkami dokładnie w odkryte fragmenty mojej twarzy.

Zeskoczyłem z ganku Peg wprost w głęboką po kostki śnieżną breję: mieszaninę deszczu i lodu, znacznie gorszą do pokonania niż zwykły śnieg czy kałuże. Staralem się nie myśleć o przenikającej do szpiku kości lodowatej wilgoci, które pełzła w górę po łydkach, ani o bólu wciąż nie do końca sprawnej stopy. Gdybym zaczął się zastanawiać nad tym, co może pójść źle, strach by mnie sparaliżował. Dźwigałem jedną nogę, potem drugą, rytmicznie wymachując ramionami, żeby nadać sobie rozpędu, i tak parłem do przodu. Co chwila

przymykałem oczy wystawione na ukłucia śnieżnej sieczki. Nawet kiedy je otwierałem, niewiele było widać. Nie zatrzymuj się, idź, idź, powtarzałem sobie w duchu. Uda mnie bolały, bo każdy krok wymagał wysiłku; dyszałem ciężko, ale wycie wiatru zagłuszało wszelkie dźwięki.

Jak długo August wytrzyma w takiej zamieci? Marne szanse. Nawet teraz, w środku piekielnego chaosu, starałem się wyprzeć z wyobraźni koszmarnie wizje chłopca samego w lesie. Trzeba dotrzeć do domu i skontaktować się z policją, dowiedzieć się, co ustalili.

Nie miałem żadnego punktu odniesienia prócz niewyraźnego światła na ganku naszego domu, rozmywało się w tańczące plamy i gubiłem je z pola widzenia, kiedy przestawałem się koncentrować. W połowie drogi nadziałem się na pień potężnego drzewa tarasujący ścieżkę. Był pokryty śliską warstwą lodu. Zdałem sobie sprawę, że cały świat jest uwięziony pod lodową skorupą.

Przerzuciłem przez pień bolącą nogę, zasiadłem na nim jak w siodle, po czym opuściłem się niezgrabnie po drugiej stronie. W tym momencie drętwiejąca stopa pośliznęła się na lodzie ukrytym pod breją, kolano się pode mną ugięło i upadłem na bok ciężko jak kloc. Wyciągnąłem przed siebie ramiona, żeby nie zanurkować nosem w wodzie, ale tym samym przestałem osłaniać twarz i złamana gałąź dziabnęła mnie boleśnie w prawy policzek, tuż pod okiem. Ból był dotkliwy, jednak panika, która wybuchła w sercu i popłynęła żyłami, była dużo gorsza. Najpierw się przeraziłem, że zostałem oślepiony. Zacisnąłem powieki, porażony perspektywą powrotu po omacku, na czworaka przez marznącą śnieżną kaszę. Otworzyłem je wreszcie i wtedy się przekonałem, że jednak widzę, nie grozi mi ślepotą, ale twarz była zbyt odrętwiała, żeby ocenić, czy i jak szybko tracę krew.

Podniosłem się i ruszyłem dalej, każdy kolejny ruch był bardziej nerwowy i mniej precyzyjny niż poprzedni. W głowie dudniła mi jedna myśl: muszę dotrzeć do domu, zanim umrę z powodu wyziębienia, wykrwawienia lub ataku serca. W moim spanikowanym mózgu każda ewentualność wydawała się równie prawdopodobna. Czułem, że czyhają na mnie liczne gałęzie i kamienie, złowrogie macki lasu, które rozedrą mnie na strzępy, bo śmiałem wątpić w potęgę sił natury.

Mokra czapka nie trzymała się głowy; zimny wiatr wył mi do ucha, ale bałem się ją poprawić, bo ręce były mi potrzebne do utrzymania równowagi i torowania sobie drogi. Podnieś nogę, długi krok, opuść nogę, dyrygowałem sobą w śnieżycy. Walczyłem ze zmęczeniem, z zimnem i straszliwym odrętwieniem, które podpełzło od stóp aż do ud. Nie rozumiałem, dlaczego nie wszystko zamarzło, było przecież potwornie zimno, widocznie szybkość, z jaką wiatr miotał śnieżycą we wszystkie strony, utrzymywała ją w stanie półpłynnym.

Wreszcie lewą nogą uderzyłem w coś twardego i zanim zdążyłem spanikować, uświadomiłem sobie, że to pierwszy stopień schodów na frontowy ganek. W mętym świetle zauważyłem klamkę drzwi wejściowych. Wdrapałem się

po schodach na czworaka i mogłem poddać się bólowi. Załomotałem kilka razy, zanim Pia uchyliła drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Och, wielkie nieba!

Wciągnęła mnie do środka i zaczęła ściągać ze mnie mokre szmaty. Moje członki z drętwoty przeszły w stan zlodowacenia, by wrócić do pięknego bezwładu, który wydawał się permanentny i przerażający. W końcu leżałem nago na podłodze w przedpokoju. Pia okryła mnie kocem i oboje rozcieraliśmy wilgotne, zaróżowione ciało, żeby przywrócić w nim krążenie. Kiedy wreszcie poczułem się znowu jak istota ludzka, Pia pobiegła po apteczkę, żeby opatrzyć płytką ranę i posmarować czymś bolesne zadrapania na twarzy.

– Znaleźli Augusta? – zapytałem.

– Jest u rodziców – zapewniła Pia. – Zadzwoił policjant. August przeszedł prawie sześć kilometrów przed kilkoma godzinami, jeszcze zanim zaczęło padać. Teraz muszą go tam zostawić. Na razie to najlepsze rozwiązanie. Co za szaleństwo.

– O Jezuu! – Potrząsnąłem głową, czując niesamowitą ulgę, że chłopiec żyje. Fatalnie, że najgorszy okres spędzi pod opieką swoich szalonych rodziców, ale znalazł się i to było dobre.

Pia nie spytała, jak sobie radzi Peg, co tak długo robiłem w jej domu ani czemu uparłem się, żeby ją odwiedzić. W naszej rodzinie to ona była inicjatorką irracjonalnych i spontanicznych zachowań, trudno oczekiwać, żeby podobne pytania przyszły jej do głowy. Może zresztą przestało ją to obchodzić. Wróciłem, mogła odgrywać rolę troskliwej pielęgniarki do czasu, gdy górę wezmą jej obsesje i znowu nas rozdziela.

Wreszcie ubrany i okryty kocami zająłem miejsce po jednej stronie kanapy, Pia usiadła w drugim rogu i w milczeniu piliśmy herbatę. Byłem wdzięczny za jej troskę. Nie musiałem opowiadać, jak bardzo się wystraszyłem, miałem to wypisane na poobijanej twarzy. A ona miała swój emocjonujący dreszczyk.

Głęboko odetchnąłem i oparłem głowę na poduszce.

– Teraz wreszcie mi wszystko opowiedz – zachęciła.

DWADZIEŚCIA DWA

Następnego ranka wyrwał nas ze snu łomot z pokoju gościnnego, przypominający wybuch bomby. Wskoczyłem z łóżka na lodowatą podłogę. Elektryczność wyłączono wiele godzin temu i nawet w czapkach, przykryci czterema kocami, dygotaliśmy z zimna. Popędziłem do sąsiedniego pokoju i stwierdziłem, że odłamał się gruby konar wielkiego drzewa i uderzył prosto w zabite płytą okno, przebijając się do pokoju i pokrywając podłogę odłamkami szkła. Deszcz ze śniegiem w alarmującym tempie wdzierał się do środka, a w pokoju było wystarczająco ciepło, żeby wszystko topiło się w wielkie kałuże.

– Szlag by to! Włóż buty, musimy to naprawić, natychmiast! – wrzasnąłem w kierunku sypialni, ale Pia była tuż za mną.

– Przyniosę płachtę brezentową – powiedziała. Zakryjemy okno.

Jak na kogoś, kto nie żałował sobie dolewek caberneta, była zdumiewająco przytomna. W takich chwilach spisywała się fantastycznie.

Wciągnąłem kalosze na wełniane skarpety i zbiegłem na dół, żeby znaleźć taśmę klejącą. Miałem do wyboru kilka rolek różnej szerokości, jako że taśma była jednym z oczywistych elementów zestawu narzędzi pierwszej potrzeby każdego prepersa. Spotkaliśmy się na górze przy wybitym oknie, mokry śnieg zacinał prosto w twarz. Z dużym wysiłkiem zakryliśmy otwór brezentem i przymocowaliśmy płachtę taśmą do ściany. Potem przykleiliśmy ją na całym obwodzie i na krzyż przez całe okno. Wreszcie przesunąłem pustą komodę pod okno, żeby zabezpieczyć prowizorkę. Mebel sięgał tylko do połowy framugi, ale przynajmniej brezent nie łopotał dziko.

– Może trochę posprzątać? Zebrać wodę, wytrzeć? – spytałem, patrząc na odłamki szkła pokrywające łóżko i podłogę.

– Bez sensu – prychnęła Pia i tak zakończyła chwilową zgodną współpracę.

Zamknęliśmy więc drzwi do pokoju gościnnego i zatkaliśmy szparę nad podłogą ręcznikami, żeby zimno nie napływało do reszty domu. Wszystko to trwało jakieś pięć minut, ale oboje byliśmy skrajnie wyczerpani. Zdaliśmy sobie sprawę, że przed nami długie godziny oczekiwania w zimnie i mroku.

– Zrobię kawę – zaproponowałem, zbiegając po schodach na parter.

Żelazny kominek był już zimny w dotyku; wrzuciłem kilka polan i roznieciłem ogień. Dzięki Bogu za piec, pomyślałem. Bez niego nie byłoby źródła ciepła, przy którym można się skulić; żadne miejsce w domu nie dawało takiego komfortu. Kiedy przychodziły upiornie zimne poranki, jedyna różnica między światem zewnętrznym a naszym schronieniem pod dachem polegała na tym, że w salonie nie zalegały śnieżne zasy. Otaczało nas mroźne powietrze, w obłokach białej pary naszych oddechów przypominaliśmy duchy. Kiedy wreszcie kominek

się rozgrzał, przytuliliśmy się do niego najbliżej, jak się dało, na ile pozwalał trzaskający ogień. Pia naląła wody do czajnika i postawiła na kominku. Był to równie skuteczny sposób na zaparzenie kawy jak nasz nowoczesny ekspres. (Kiedy już przetoczyła się nad nami Wielka Burza i opadły wody powodzi, ten przedpotopowy, niezniszczalny czajnik okazał się jedną z nielicznych rzeczy, które ocalały z naszego wcześniejszego życia).

Pia rozgrzała się i wstąpiła w nią nowa energia. Wróciła do kuchni i zaczęła segregować zapasy, które wysypywały się ze wszystkich szafek. Były tam puszki fasoli i warzyw, makaron, ryż, komosa ryżowa, ziarna pszenicy, masło orzechowe, masło migdałowe, pasta z orzechów nerkowca, mąka pszenna razowa, mąka z ciecierzycy, mączka ryżowa, sos sojowy, oliwa, olej truflowy... Wszystko przestawiała i porządkowała, żeby je w przyszłości racjonować zgodnie ze znanym sobie systemem. Stało się to jej nową obsesją przez cały okres, który spędziliśmy razem w naszym ciemnym i zimnym domu. Wielka Burza zdawała się nie mieć końca, a nasze zapasy były jednak ograniczone, więc Pia planowała jadłospis, który pozwoliłby wykorzystać w pierwszej kolejności produkty mogące się zepsuć, nie zapominając przy tym o prawidłowym bilansie energetycznym i – mam nadzieję – smaku potraw.

– Zostaw na wierzchu masło orzechowe! – zawołałem.

– Masło orzechowe jest na później – odparła zdecydowanie. – Zjedz serek śmietankowy z lodówki. Do jutra się zepsuje.

Nie chciałem się kłócić. Wyjąłem serek z niedziałającej lodówki i zająłem się przygotowaniem niezbyt apetycznego śniadania. Podgrzałem dwie kromki chleba na płycie kominka, tam gdzie zwykle suszyłem rękawiczki, i starałem się wymyślić jakieś kulinarne innowacje do wykorzystania w przyszłości. Nie byłem szczególnie głodny, ale to akurat była czynność niewymagająca wysiłku.

Wróciłem na swój posterunek przy widocznej części okna, żeby obserwować pogodę, przeżuwając kanapkę. Wiatr był równie silny jak wczoraj, ale teraz nie zaciął zlodowaciałym deszczem, lecz wielkimi, ciężkimi płatkami śniegu. Wciąż nowe warstwy gromadziły się na ziemi, ale ziemia była nasiąknięta wodą jak gąbka, wszędzie płynęły strumienie, i płatki topniały w oczach, powiększając niewyobrażalne masy śnieżnej brei. Było to niepokojące. Jeśli poziom wody będzie się podnosił w tym tempie, wkrótce podejdzie pod nasz próg, a potem nawet do okien.

Podniosłem się i włączyłem radio, miałem nadzieję, że kolejne prognozy mnie uspokoją, przekonają, że podobne obawy są przesadzone.

– Stan na dzień dzisiejszy jest następujący – oznajmił znajomy głos spikera stacji NPR. – Wszystkich pięć okręgów Nowego Jorku znalazło się pod wodą, w tym Manhattan, którego ludność została ewakuowana dwa dni temu. Niestety, nie wszyscy posłuchali wezwania do ewakuacji, są dziesiątki ofiar śmiertelnych.

Liczba ta prawdopodobnie wzrośnie, gdyż temperatura spada i maleją szanse na ratunek. Następnym etapem burzy będzie śnieżycyca. Należy się spodziewać dodatkowych utrudnień.

Jego głos był zachrypnięty i urywany. Słyszałem odgłos przekładanych kartek i pomruki rozmów w studiu.

– Mamy nowe informacje z Bostonu – zaczął znowu spiker. – Będę je państwu przekazywał w miarę napływania, proszę nam darować lekkie zamieszanie. Pracujemy ciężko, żeby nasi sprawozdawcy wszędzie docierali i nadsyłali wiadomości z pierwszej ręki. Za chwilę usłyszycie państwo naszych kolegów z przylądka Cape Cod. Nadają dzięki łączu satelitarnemu stacji telewizyjnej WGBH z Bostonu. Mają najnowsze wieści o Wielkiej Burzy. Oddaję głos Rogerowi Stearnsowi w Barnstable. Roger, jesteś tam?

W ciszy coś dwukrotnie kliknęło i dobiegł inny głos, zagłuszany przez ulewny deszcz.

– Tu Roger. Stoję jakieś sto metrów od linii brzegu. Bliżej się nie da podejść, można zostać strąconym do wody przez wiatr.

Ledwo słyszalny głos Rogera z trudem przebijał się przez ryk wichury na przylądka w Barnstable, ale jego przerażenie było oczywiste.

– Roger, co u was?

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Niebo jest ciemne, niemal czarne, i to o dziesiątej rano. Chmury wiszą nisko nad ziemią, deszcz ze śniegiem zamienia się w śnieg. Wokół nie ma żywej duszy, my też musimy się zwijać. Większość ludzi posłuchała wezwania gubernatora do ewakuacji. Wczoraj wyraźnie było widać, jak huragan zbliża się do nas od południowego zachodu, dzisiaj ciemne chmury nasuwają się z północy. Kiedy spotkają się dwa fronty, już wkrótce, plaża zamieni się w śmiertelną pułapkę. Niewielkie kutry rybackie zerwały się z cum i fale miotają nimi jak dziecięcymi zabawkami w wannie. Widziałem powybijane szyby i zapadnięte tarasy we wszystkich domach na wybrzeżu. Niecały kilometr dalej natknęliśmy się na dwa samochody unoszone przez falę powodziową. To nie jest miejsce dla ludzi. Coś zdaje się...

Przerwał i z głośnika rozległ się straszliwy hałas.

– Roger, co się tam dzieje?

– Nic nie słyszę... Rozłączam się! – krzyknął Roger. – Deszcz zamienił się w grad! Kule lodu wielkie jak piłki baseballowe! Wracam do wozu transmisyjnego...

Przeraźliwy odgłos, jakby mikrofon uderzył w ciężką przeszkodę, i po chwili znów rozległ się spokojny głos spikera siedzącego w suchym studiu.

– Dziękuję, Roger. Trzymaj się – powiedział.

Obejrzałem się. Pia stała tuż za mną, słuchając radia z szeroko otwartymi oczami.

– O matko – jęknąłem.

– Nie, nie, nie, nie. – Pia energicznie potrząsnęła głową. – Potrzebuję więcej czasu na odfiltrowanie wody. Jeśli burza jest już w Bostonie, do końca dnia dotrze do nas! Nie jesteśmy na to przygotowani.

Poszła do kuchni, ale zamiast rzucić się do filtrowania wody na zapas, naląła sobie wina do kubka pochodzącego ze zjazdu jej rocznika na dziesięciolecie ukończenia szkoły średniej, o czym świadczył napis wykonany pełną zawijasów kursywą.

– Musimy wykorzystać światło słoneczne – powiedziała energicznie, jak pierwsza osadniczka.

– Co mam robić? – spytałem. Naprawdę chciałem dostać jakieś konkretne zadanie do wykonania.

– Potrzebujemy więcej drewna, Ash! Dobrze o tym wiesz, ale odwlekasz, bo to ciężka praca. Zabierz się do znoszenia pieńków, bo wkrótce droga do drewni będzie zalana.

Trudno było polemizować z truizmami, więc ubrałem się w kilka warstw zimowych ciuchów, skoro chciałem pokazać Pii, że niestraszne mi pogodowe szaleństwa.

Gdy tylko znalazłem się na dworze, zimna wilgoć natychmiast utorowała sobie drogę pod kaptur i podniesiony kołnierz, do kaloszy i rękawiczek. Równie dobrze mógłbym paradować nago. Minęło dwanaście godzin od nieszczęsnej wycieczki do domu Peg, ale przejmujący mokry chłód był mi dobrze znany. Nosilem jedno naręcze porąbanego drewna za drugim, każde wydawało się cięższe i bardziej mokre. Najpierw układałem je równo pod ścianami, potem zacząłem rzucać na sterty pośrodku salonu. Mieliśmy teraz wystarczająco dużo opału, żeby przez najbliższy tydzień w domu było ciepło i sucho. Namacalny dowód, że moja wola przetrwania była równie silna jak zawziętość Pii.

Po odwaleniu swojej części tytanicznej pracy marzyłem o gorącej kąpieli, ale Pia przypomniała mi, że powinniśmy oszczędzać ciepłą wodę. Nie zostało mi nic innego, jak ściągnąć mokre ubrania i przebrać się w suche. Na razie to wystarczyło, ale co będzie, gdy zabraknie rzeczy na zmianę? Jak suszyć przemoczoną odzież w tym zimnie? Zdecydowałem, że rozsądnie będzie nosić tę samą bieliznę po kilka dni. Niestety, parcie w brzuchu, które starałem się ignorować przez ostatnie dwie godziny, przypomniało mi, że czekały nas gorsze problemy. (Ciśnienie wody pozwoli nam korzystać z toalety jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu zbiornik zasilany z naszego własnego źródła się opróżni).

– Jak myślisz, gdzie podziali się ci wszyscy ludzie? – spytałem Pię, gdy wróciłem do salonu.

– Kogo masz na myśli? – Jej ton świadczył, że zawracam jej głowę, a przecież tyle jest ważnych rzeczy do zrobienia.

Jednak zbyt wiele problemów mnie dręczyło, żeby się powstrzymać od mówienia.

– Ewakuacja objęła całe miasta: Nowy Jork, Boston. Dokąd właściwie pójdą ci wszyscy ludzie? Burza przejdzie nad całym Wschodnim Wybrzeżem. Nie da się z dnia na dzień przemieścić milionów do Ohio.

Pia znieruchomiała i zastanowiła się przez chwilę.

Zanim odpowiedziała, usłyszeliśmy ostry, głośny trzask. Oboje rzuciliśmy się do kuchni.

– Tam! – krzyknęła, wskazując prześwit w oknie nad zlewozmywakiem.

Ogromny klon, stojący parę kroków od domu -gałęzie drzewa były na wyciągnięcie ręki, gdy latem zmywaliśmy naczynia – pękł jakieś dwa metry nad ziemią i jego potężny pień leżał teraz w płataninie połamanych gałęzi. Niewiele więcej dało się spoza nich zobaczyć. Środek pnia był pusty, drzewo musiało być martwe od dłuższego czasu. Powinienem być to wiedzieć jako właściciel domu, ale wciąż jeszcze uczyłem się życia na wsi. Wielka Burza nie dała mi czasu. Gałęzie zwalonego drzewa zatopiły się w wodzie razem z płatami kory i gnijącymi liśćmi. Północna strona naszego domu już nigdy nie będzie wyglądała tak samo, ściana nie ukryje się w cieniu olbrzyma. Ale po Burzy już nic nie będzie takie samo.

– Nikt ich nigdzie nie przewozi – powiedziała Pia i wróciła do przyklejania etykietek na produktach żywnościowych.

– Słucham?

– Tych ludzi ewakuowanych z miast – wyjaśniła. – Władze mówią im po prostu, że muszą uciekać z miasta, a później niech sobie radzą sami. Wsiadasz do auta i jedziesz na zachód tak prędko, jak się da, zanim cię złapie Burza... Jeśli masz auto.

Jej teoria sprawiała wrażenie nazbyt ponurej, ale w zasadzie okazała się prawdziwa. Ci, którzy mieli możliwości i byli wystarczająco przezorni, opuścili miasta wcześniej, zanim drogi stały się nieprzejezdne ze względu na lód i śnieg. Wyjeżdżali do letnich domów, do rodzin albo okupowali kanapy u przyjaciół i dalekich krewnych. Jednak większość nieszczęsnych mieszcuchów tkwiła całymi godzinami w korkach, zanim udało im się wyrwać na zachód, po czym jechali najdalej, jak się dało, zanim dopadło ich zmęczenie. Słyszeliśmy dramatyczne historie o ludziach, którzy utknęli na zalanych wodą lub zasypanych śniegiem autostradach i mogli się tylko modlić, żeby wreszcie przestało padać. Na drodze 76 w Pensylwanii pod Harrisburgiem znaleziono w aucie starsze małżeństwo, oboje umarli z wyziębienia, gdy skończyło im się paliwo, a temperatura gwałtownie spadała. Dwaj studenci porzucili niesprawny samochód na międzystanowej autostradzie 80 i próbowali pieszo dostać się do Cleveland, ale zmiażdżył ich autobus niesiony przez falę powodziową. Wtedy jeszcze żyliśmy w błogiej nieświadomości nieszczęść, jakie dzieją się innym ludziom; siedzieliśmy

i kłóciliśmy się w naszym zimnym domu.

– Zapewne istnieje plan ewakuacji – upierałem się bez przekonania.

Resztę dnia spędziliśmy, pijąc na przemian kawę i wino. (Alkohol stanowił wyjątek w żelaznym planie żywieniowym Pii). Regularnie podkładałem do ognia, przenieśliśmy też stół kuchenny do salonu, który stał się jedynym pomieszczeniem nadającym się do życia. Pia nabrała zwyczaju głośnego myślenia. Omawiała sama ze sobą jadłospisy, sposoby zachowania ciepła nocą i konieczność przygotowania rezerwowej ubikacji, gdyby zawiodła domowa toaleta – pomysł polegał na wycięciu dziury w podłodze ganku na tyłach domu i zasłonięciu wydzielonej przestrzeni płachtą brezentową. Odzywałem się tylko wtedy, kiedy chciałem zaprotestować.

– Musimy zabić płytami i uszczelnić wejście na piętro, żeby ciepło nam nie uciekało – stwierdziła.

– Parter w pewnym momencie zostanie zalany – wtrąciłem. – Czy nie powinniśmy się przenieść na górę?

– Jasne. I umrzeć z zimna, jeszcze zanim dom zostanie podtopiony – zakpiła.

Wszystko wyprowadzało nas z równowagi: lodowate zimno, zaduch naszych nieumytych ciał pod warstwami brudnych ubrań, świadomość, że jesteśmy zdani tylko na siebie. Jednak to nuda doprowadzała nas do szału. Spędzaliśmy długie godziny na kłótniach i gapieniu się na świat przez prześwit pod sklejką. Piliśmy, żeby się rozgrzać i zabić czas, ale nastrój stawał się coraz bardziej pośepny.

Gradobicie, przed którym uciekał reporter na Cape Cod, dotarło do nas wieczorem. Kule lodu waliły w dach jak rozjuszony szaleniec, domagający się, żeby go wpuścić. Byłem tak pijany, że tylko patrzyłem oszołomiony na ich niszczycielskie działanie. Nie wiedziałem, że natura może stworzyć podobny oręż. Miałem ochotę podnieść jedną gradową kulę, zważyć ją w dłoni, schować do zamrażarki i latem pokazać Augustowi. Tkwiłem przy oknie, snując podobne absurdalne pomysły i wracając do przytomności, nagle świadomy, jak straszliwe szkody zostawia burza gradowa w domach i gospodarstwach oraz infrastrukturze, niszczy samochody, zabija zwierzęta domowe... i ludzi. Jak będzie wyglądał świat, gdy to wszystko przeminie? I czy wyjdziemy z tego żywi?

Koło ósmej poszliśmy do łóżka, a chociaż byliśmy pełni niechęci i wzajemnych pretensji, przytulaliśmy się w poszukiwaniu ciepła. Włożyliśmy zimowe czapki, wełniane skarpety i naciągnęliśmy na siebie wszystkie koce – każdy sposób rozgrzania się był dobry.

Śniło mi się, że wpadłem do głębokiego, lodowatego potoku. Tkwiłem w wodzie do pasa i nie mogłem się ruszyć, bo stopy mi ugrzęzły. Wokół mnie było mnóstwo zwierząt – ptaki, ryby, wiewiórki, lis – część otrzepywała się na brzegu, część wciąż walczyła z porywistym prądem. Lis zdążył wdrapać się na ląd, był przerażony. Chciałem go poprosić o pomoc, zapytać, co się tu dzieje, ale głos wiązał

mi w gardle. Jakaś ryba zaczęła podgryzać moje ramię. I nagle się przebudziłem. Pia mnie szczypała.

– Grad ustał – powiedziała przyciszonym głosem, żeby nie kusić licha.

Powoli wracałem do świadomości. Czapka mi się zsunęła, uszy mnie piekły, ale stopy w ciepłych skarpetach były rozgrzane. Na dworze panowała zupełna cisza; przestało lać.

– Muszę się wysikać – oznajmiła takim tonem, jakby nadal obwiniała mnie o całe zło tego świata, ale nic nie mogło mi popsuć humoru.

Przykucnąłem przy oknie i wyjrzałem przez odkrytą szybę. Padał śnieg. Śnieżyło chyba przez całą noc, bo nasze auto było całkiem przysypane, a kontury domu Augusta były ledwo widoczne za drzewami. Przez dziewięć godzin świat zmienił się nie do poznania: na ziemi śniegu było po pas, a temperatura spadła i mróz ściał mokrą breję pod spodem. Zawsze lubiłem śnieg. Tłumił dźwięki, otulał krajobraz puchową pierzyną i wydawał się bardziej przyjazny niż chlapa. Vermontczycy wiedzą, jak się po nim poruszać, myślałem, więc nie umrzemy samotnie, w naszym zimnym domu na pustkowiu.

Rozpaliłem w kominku i postawiłem czajnik z wodą na rozgrzanej blasze.

– Dobry początek – powiedziałem. Zamierzałem myśleć pozytywnie.

– A koniec żaloszny – dopowiedziała Pia.

Krażyła po salonie w koszuli nocnej do kostek, jak postać żywcem wzięta z *Domku na prerii* Laury Ingalls Wilder.

– Myślisz, że teraz wszyscy wyjdziemy na dwór rzucać śnieżkami? Pojęcia nie masz, co nas jeszcze czeka. Myślę, że to cisza przed burzą. Będzie tylko gorzej.

– I lepiej się powiesić! – wrzasnąłem, nie panując nad sobą.

– Niech ci się nie wydaje, że tego nie rozważałam.

Mówiła serio. Pomyślałem wtedy – i nadal tak uważam – że Pia miała również dziesięć pomysłów na skuteczne samobójstwo zanotowanych w swoim notesiku wśród innych planów na koniec świata. Nie chciałem nawet podejmować tego tematu. Brakowało mi przesłanek do twierdzenia, że najgorsze za nami, a tego sporu nie chciałem przegrać. Obserwowałem płomienie przez ozdobną kratę na drzwiczkach paleniska i milczałem.

Kiedy w pokoju zrobiło się na tyle ciepło, że nie musieliśmy się kulić przy kominku, wróciłem do punktu obserwacyjnego przy oknie. Co jakiś czas śnieg sypał, potem tylko prószył i w powietrzu wirowały nieliczne płatki. Wyciągałem szyję, miałem nadzieję, że zobaczę dym z komina Peg, ale jej dom sprawiał wrażenie opuszczonego. To jeszcze nic nie znaczyło, mogła oszczędzać drewno. Czulem chłód ciągnący od starych okien, ale i tak przylepiałem do nich nos. Nie chciałem przegapić żadnych oznak życia. Głowa mi pękała, miałem kaca po wypitym wczoraj winie, więc świeże powietrze dobrze robiło moim płucom.

Pia włączyła radio, zasiedliśmy po dwóch stronach kanapy, okryci każde

swoim kocem, piliśmy kawę i nastawialiśmy uszu, żeby nie uronić żadnego ze słów oficjalnego komunikatu.

W Stanach Środkowoatlantyckich i Nowej Anglii ogłoszono stan klęski żywiołowej. Kongres po raz pierwszy w historii rozważał wprowadzenie zdalnego głosowania nad ustawą o natychmiastowym relokowaniu funduszy na środki pomocowe; powołano armię rezerwistów z całego kraju i podporządkowano ich Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego FEMA. Dobrze było usłyszeć, że nie jesteśmy opuszczeni, poważne instytucje troszczą się o nasz los, ale nie spodziewaliśmy się po nich zbyt wiele. Kongres, fundusze pomocowe... to wszystko nijak miało się do naszych doświadczeń. My już nie czuliśmy się mieszkańcami Ameryki Północnej, nawet nie Vermontu. Byliśmy jedynymi ludźmi na Chimney Hill numer sześć. Nasze ocalenie zależało tylko od siły naszego charakteru. Rząd Stanów Zjednoczonych nas nie uratuje; jeśli chcemy żyć, musimy wziąć sprawę we własne ręce.

Chyba się zdrzemnąłem przy niekończącej się litanii strat i zniszczeń, bo aż podskoczyłem, gdy usłyszałem walenie w drzwi. Bum, bum, bum. Zerwałem się na równe nogi i odruchowo chwyciłem Pię, próbując ją osłonić własnym ciałem. Strząsnęła moje ramiona i podeszliśmy do drzwi.

– Ash! Ash! Ash! Wpuść mnie! – To był August, przerażony i bez tchu. – Ash! Mój tata!

Otworzyłem drzwi szarpnięciem, krusząc warstewkę lodu, który zdążył zamarznąć we wszystkich szparach, i pozwalając śnieżnej zaspie osypać się do środka.

– Augustcie, co się stało?

– Drzewo spadło na tatę! Krwawi. – Chłopiec z trudem wydobywał z siebie słowa. Miał czerwoną twarz, patrzył na mnie błagalnie.

– Och, Boże. Idę.

Już wciągałem śniegowce i rozglądałem się za kurtką. Pia tuż obok robiła to samo.

Pół minuty później biegliśmy za Augustem, torując sobie drogę w kopnym śniegu, który przykrył ścieżkę łączącą nasze domy. Widziałem ślady zostawione przez chude nogi chłopca chwilę wcześniej i miejsca, gdzie się potknął i upadł. Zaspy były takie, że natychmiast nasypało nam się do śniegowców, a malec miał spodnie przemoknięte do pasa, ale byliśmy zbyt zdenerwowani, żeby zwracać uwagę na takie drobiazgi.

Kiedy wynurzyliśmy się spomiędzy drzew, usłyszałem stłumiony głos matki Augusta po drugiej stronie ich niewielkiego domu. Znaleźliśmy ją klęczącą w śniegu przy mężu, który leżał skulony na boku. Śnieg wokół jego głowy był szkarłatny, chociaż nie widziałem, skąd wzięła się krew. Tuż przy jego głowie pod białą krył się pień niewielkiego drzewa.

– Wyszedł po opał i drzewo na niego spadło! – krzyknęła. – Telefon nie działa. Macie komórki?

Płakała i wrzeszczała jednocześnie. Musiała siedzieć przy mężu od dłuższego czasu, bo flanelowe spodnie od piżamy nasiąkły wilgocią, a jej usta zsiniały z zimna. Po bełkotliwej mowie poznałem, że wcześniej wzięła jakieś prochy, z trudem ukryłem irytację.

– Mam sygnał! – zawołała Pia, wyciągając z kieszeni komórkę i wybierając 911.

– Dziękuję.

– Włącza się nagranie, że wszystkie sieci są przeciążone – powiedziała Pia po chwili. – Będę próbowała do skutku.

– August może to robić. – Zauważyłem przerażenie na jego twarzy i chciałem go czymś zająć. – Masz zadanie, Auguście. Poradzisz sobie?

Pokiwał głową, więc Pia przekazała mu telefon i pobiegła do domu w poszukiwaniu rzeczy, które mogą się przydać.

Przyklęknałem przy Johnie i zbliżyłem twarz do jego głowy. Oddychał, żył, ale jak długo? Pia wybiegła z domu z kocem, który narzuciła Liz na ramiona. Matka Augusta trzęsła się teraz z zimna i wyraźnie pobałdła. Śnieg ciągle padał.

– Nie możemy go tu zostawić – stwierdziła Liz. – Umrze z wychłodzenia.

W domu też może umrzeć, pomyślałem ponuro. Na naszych rękach... przy Auguście.

Obiecałem sobie, że do tego nie dopuszczę. Coś ścisnęło mnie za gardło, wmówiłem sobie, że to odwaga, nie torsijs.

– Racja. Trzeba go wnieść do domu – oznajmiłem.

– Nie powinno się ruszać rannych w tym stanie – zauważyła łagodnie Pia. W jej głosie nie było wrogości. W tej chwili byliśmy zespołem, który działa zgodnie, żeby uratować ludzkie życie.

– Masz rację, ale nie mamy wyboru. Jeśli go przeniesiemy, jego stan może się pogorszyć. Ale jeśli go tu zostawimy, z pewnością nie będzie lepiej.

Oboje mieliśmy na końcu języka słowo „umrze”. Nie użyliśmy go ze względu na Augusta.

Podnieśliśmy Johna wspólnie. Wziąłem go pod ramiona i przytrzymałem tors, a kobiety niosły go za nogi. Był mężczyzną w średnim wieku, niezbyt pokaźnej postury, a jednak wydawał się bardzo ciężki. August otworzył i przytrzymał zewnętrzne i wewnętrzne drzwi. Wtarabaliśmy się do środka i ułożyliśmy bezwładne ciało na zimnej podłodze, tuż obok pieca.

Pia ściągnęła z łóżek koce, okryła nimi ojca Augusta i kazała Liz położyć się obok męża i przemawiać do niego, żeby miał świadomość jej bliskości. Zaskoczyła mnie jej zdolność do czułości; nigdy nie zapomnę, jak świetnie się spisała w tamtej przerażającej chwili.

Teraz widziałem miejsce, gdzie krew ciekła ze skroni, plamiąc koc. Porwałem prześcieradło i prowizorycznym opatrunkiem zabezpieczyłem ranę. Natychmiast nasiąknął krwią, ale nie zatamował jej upływu. Nerwowo szukałem w pamięci użytecznych informacji o pierwszej pomocy.

– Unieśmy go – zaproponowałem, gdy przypomniałem sobie rozcięty jeszcze w szkole łuk brwiowy.

Pia rozejrzała się i wskazała na poduszki z kanapy, które spróbowaliśmy podłożyć rannemu pod głowę i plecy.

Liz przemawiała do męża, a właściwie pojękiwała cicho. Przypominała mu moment, gdy urodził się August, jakieś wakacje z przeszłości, nieważne wydarzenia, które miały szczególne znaczenie dla ich małej rodziny.

– Dzwoni! – krzyknął nagle August i podniósł komórkę, żeby ją przejął ktoś dorosły.

– Dzięki Bogu – powiedziałem, gdy usłyszałem kobiecy głos. – Dzwonię z Chimney Hill numer osiem w Isole. Drzewo spadło na mężczyznę. Traci dużo krwi.

– Proszę zachować spokój i odpowiedzieć na pytania – odrzekła dyspozytorka.

– Dacie radę przysłać tu pogotowie? Jest potrzebna fachowa pomoc! – krzychałem, bojąc się, że jest równie bezradna jak ja.

– Wszystkie karetki są w terenie. Może uda im się dojechać, ale zajmie to trzy kwadranse do godziny.

– Pomoc potrzebna jest jak najszybciej! – Ulżyło mi, że pogotowie działa, jednak bałem się, że zbagatelizują nasze zgłoszenie. – Jest nieprzytomny. Rana na głowie nie przestaje obficie krwawić.

Spojrzałem na Augusta, który z trudem powstrzymywał łzy.

– Trzeba zatamować krwotok, a przynajmniej spróbować. Proszę okryć rannego kocem i nie przesuwaj go, chyba że to absolutnie niezbędne – radził cieniutki głos. – Przyślę kogoś najszybciej, jak się da. Jak się pan nazywa?

Kobiecy głosik przeprowadził mnie przez całą serię pytań z kwestionariusza, zdaje się, że miały odwrócić uwagę dzwoniącego do czasu przyjazdu karetki. Wreszcie wróciłem do kobiet, prosząc dyspozytorkę, żeby się nie rozłączała. Chciałem utrzymać połączenie, dopóki komórka Pii nie padnie.

Ojciec Augusta poruszył się, wszyscy wydaliśmy okrzyk radości. I zaraz straciliśmy go znowu. Balansował na granicy między świadomością a nieświadomością.

– Auguście, powiedz tacie, jak bardzo go kochasz – poprosiła chłopca matka. Pia i ja spojrzeliśmy na małego. Zaczął płakać.

– Wyjdzie z tego, Auguście – zapewniłem. Prośba matki trochę go przerosła. – Pomoc jest w drodze, ale może miło będzie tacie usłyszeć twój głos.

August otarł brudną buzię jeszcze brudniejszymi rękami.

– Kocham cię, tatusiu. Zawsze żartujesz i kiedyś zabrałeś mnie na ryby.

Roześmialiśmy się, zamrugałem powiekami, żeby się nie rozczulić. „Nie umieraj, nie umieraj, nie umieraj”. John był beznadziejnym ojcem, ale jego śmierć byłaby ostatecznym aktem porzucenia. August na to nie zasłużył. Chciałem, żeby przeżył, bo dzieciak go kochał, a zresztą walczył o przeżycie jak my wszyscy. Burza była naszym wspólnym wrogiem, nikt nie był pewny dnia ani godziny. Poczucie solidarności rodziło się samo.

Siedzieliśmy w milczeniu, tylko Liz szeptała nieprzytomnemu mężowi do ucha jakieś czułe słowa. Gorąco buchające od pieca i adrenalina miały dziwnie otumaniający efekt. Z trudem zachowywałem czujność.

Wreszcie dostrzeżliśmy zbliżające się światła. Od dwóch dni żaden pojazd tędy nie przejechał, nawet pług śnieżny, więc widok reflektorów między pniami bezlistnych drzew poderwał nas na równe nogi. August i ja rzuciliśmy się do okna. Pojazd na drodze nie przypominał wysłużonego ambulansu, który przez okrągły rok parkował przed ochotniczą strażą pożarną w Isole. Był to nowoczesny SUV z wysokim zawieszeniem i gigantycznymi kołami w łańcuchach. Wszelkie wątpliwości zniknęły, gdy z auta wyskoczyło trzech mężczyzn i załomotało do drzwi.

– Ratownicy!

Nie tracili czasu na powitania, wyminęli mnie i delikatnie odsunęli z drogi obie kobiety. Od razu zaczęli sprawdzać stan rannego. August patrzył na nich z wyraźnym podziwem dla ich nadludzkich możliwości. Nie znałem tych ludzi z twarzy, zapewne pochodzili z któregoś z okolicznych miasteczek. Najmłodszy był prawdziwym osiłkiem, miał nie więcej niż dwadzieścia sześć lat. Wykonywał polecenia najstarszego, najwyraźniej byli blisko spokrewnieni, bo wyglądał jak jego starsza, bardziej sfatygowana wersja. Trzeci ratownik był ciemnoskóry, poruszał się z wprawą i szybko przygotowywał rannego do przeniesienia na nosze.

– Bardzo panom dziękujemy. – Pia miała ten sam wzrok co August, pełen uwielbienia. – Dokąd panowie go zabiorą?

– Saint J – odparł najstarszy z mężczyzn. – Drogi do Burlington są ledwo przejezdne, a jazdy do Hanoveru mógłby nie przetrzymać. W St. Johnsbury mamy wszystko, co będzie potrzebne.

– Wyzdrowieje? – zapytałem.

Ratownicy podnieśli nosze i zatrzymali się na chwilę, żeby odpowiedzieć.

– Trudno coś przesądzić, ale bardzo możliwe. Zatrzymali państwo krwotok, na szczęście. Nie ma oznak uszkodzenia rdzenia kręgowego. Długo był nieprzytomny, jeszcze nie wiadomo, jakie będą konsekwencje. Ale przeżyje.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Dopiero później dotarło do nas, że odpowiedź była dwuznaczna. Na razie ważne było, że nie umrze. W tej chwili

niespodziewanie ojciec Augusta otworzył oczy i powiódł nimi po zebranych, po czym zamknął je znowu. W myślach podziękowałem jakiemuś bogu, jeśli nas obserwował.

– Możemy zabrać jeszcze jedną osobę – zaproponował najstarszy ratownik.

Liz spojrzała na mnie.

– Jedź – powiedziałem. – Zajmiemy się Augustem. Znajdziemy was, gdy skończy się Burza, zgoda?

Przytuliła Augusta, który znowu się rozplakał.

– Będzie dobrze – zapewniłem.

Liz pobiegła za ekipą ratowników. Wsunęli nosze z tyłu auta i odjechali.

– Jestem głodny. – August otarł oczy.

– Mamy mnóstwo jedzenia.

Pia obeszła dom, sprawdzając, czy okna są domknięte i czy płomień w piecu dogasł, i gromadząc ciepłe ubrania dla chłopca. Nie wydawała się zainteresowana Augustem, ale opiekę nad dzieckiem chętnie wziął na siebie; byłem jej wdzięczny, że tak sprawnie zajęła się całą logistyką.

Droga powrotna do domu sprawiła nam więcej kłopotów, bo ścieżkę zasypał świeży śnieg. Bolały mnie wszystkie mięśnie. Było wczesne popołudnie, a jednak nieustanna szarówka wywoływała uczucie senności. Weszliśmy do domu rzędem i przekonaliśmy się, że ogień na kominku wygasł i w środku jest równie zimno jak na dworze.

Razem z Augustem ułożyliśmy drewno na palenisku, spierając się, które porąbane kawałki są najlepsze i jak silny powinien być płomień. Moja strategia była prosta – zająć chłopca, żeby nie miał czasu się martwić, udawać optymizm. Wziąłem świece z zapasu zrobionego przez Pię i zapaliłem je w kilku miejscach w salonie, żeby pomieszczenie stało się cieplejsze i przytulniejsze niż dotąd. Pia spojrzała na mnie karcąco – nie powinniśmy palić świeczek w ciągu dnia, to marnotrawstwo – ale udałem, że nie rozumiem. Zapaliłbym wszystkie świece, gdyby to uszczęśliwiło Augusta. Chciałem, żeby poczuł się bezpieczny. Poza tym Pia przygotowała duże zapasy świeczek, nie było szansy na to, aby ich zabrakło.

Zrobiłem kanapki z masłem orzechowym i dżemem i zagotowałem na kominku wodę na gorącą czekoladę. Pia nie skomentowała wyraźnego odstępstwa od planowanego jadłospisu, scedowała na mnie odpowiedzialność za Augusta; byłem jej za to wdzięczny. Wyglądała na wyraźnie skrepowaną jego towarzysztwem, może nie przepadała za dziećmi. Zawsze czy dopiero ostatnio?

Wszyscy wyglądaliśmy inaczej w mdłym świetle Wielkiej Burzy: August sprawiał wrażenie małego dziecka, jeszcze bardziej wrażliwego niż wcześniej, Pia była brzydsza, wymizerowana. Jednak nadal byliśmy małżeństwem i mimo podskórnej irytacji staraliśmy się okazywać sobie troskę. Doląła mi whisky do gorącej czekolady; słodki ogień, który spłynął mi do gardła, był cennym darem.

Chętnie wypiłbym jeszcze trzy kubki tego nektaru i pogрузzył się we śnie, aż ziemia wróci na swoje dawne tory.

Zamiast spania wybraliśmy Scrabble. Nie jest to najlepsza gra planszowa dla siedmiolatka, który próbował się mierzyć z dorosłymi, ale niewiele było innych opcji, więc eksperymentowaliśmy, naginając zasady. Przy trzeciej rundzie August postanowił, że będzie decydował, które słowa znajdują się w słowniku, co z góry eliminowało wszystkie nieznanne mu trudniejsze terminy. W końcu zgodziliśmy się, że ograniczamy się do słów trzyliterowych, co zmniejszyło poziom trudności, a nawet parę razy zapewniło mu zwycięstwo.

Kiedy gra zamieniła się w układanie płytek jak kostki domina, Pia się znudziła i położyła się na kanapie. Nalałem wszystkim gorącej czekolady i przyniosłem dwie paczki krakersów. August wpychał je do buzi jeden po drugim i dmuchał na mnie krakersowym pyłem, gdy wyjaśniał, dlaczego najlepsza na świecie jest gra „Węże i drabiny”. Potem przerwał i rozejrzał się, jakby sobie przypomniał, dlaczego jest z nami.

– Myślisz, że tatuś umrze?

– Nie, chłopie, na pewno nie – zapewniłem. – Wyzdrowieje. Sam słyszałeś, co powiedzieli ratownicy.

– To dobrze. – Poważnie pokiwał głową. – Naprawdę lubię swojego tatę. Nie podoba mi się jego kucyk, ale poza tym tatuś jest naprawdę fajny.

Obaj zajęliśmy się krakersami.

– Będziecie mieć dziecko? – zapytał August.

Pia na kanapie spała albo tylko udawała, że drzemie.

– Nie mam pojęcia, stary. Jeszcze zobaczymy.

– Okej. – August wzruszył ramionami. Temat zdążył go znudzić.

Zjedliśmy jeszcze trochę krakersów i graliśmy w karty do obiadu (organiczny makaron z serem zalany wrzątkiem z czajnika). Światło dzienne szybko zniknęło, a chociaż była dopiero siódma wieczorem, po zjedzeniu makaronu byliśmy gotowi do łóżka. Opuściliśmy ciepły salon dla lodowatej sypialni. Nikt nawet nie myślał o myciu zębów czy twarzy albo o przebieraniu się w piżamę. Takie wynalazki cywilizacji w naszych warunkach wydawały się bezsensowną stratą energii. Poszliśmy prosto do łóżka, naciągając na siebie kolejne warstwy kołder i koców, modląc się o sen, który uwolni nas od myśli o wszystkim, co działo się za oknem.

Nie zastanowiłem się wcześniej, jak przygotować spanie dla Augusta. Nie miałem pojęcia o obyczajach siedmiolatków, ale August poradził sobie bez mojej pomocy. Wskoczył na łóżko i ułożył się między Pią a mną. Może wszystkie dzieci tak się zachowują albo było to normalne w jego hipisowskim domu, ale trudno wykluczyć, że próbował się ukryć przed okropnościami, których był świadkiem. Tak czy owak, cieszyłem się, że mam go przy sobie. Czulem zapach

jego włosów, kiedy wiercił się, żeby się wygodnie ułożyć, cierpliwie znośłem przypadkowe kopniaki małych stóp w ciepłych skarpetach. Kiedy oddech chłopca wreszcie zwolnił i uspokoił się, poczułem, jak mała, lepka ręka sięga po moją. Zacisnął palce i trzymał mocno, dopóki nie odpłynął w sen.

DWADZIEŚCIA TRZY

Śnieg padał przez kolejne dwa dni. Nie było żadnych przerw, opady nie słabły, żeby dać nam nadzieję. Z nieba nieprzerwanie sypał się gęsty biały puch, aż ziemię pokrył kozuch gruby na dwa metry i zabarykadował nas w domu.

Początkowo staraliśmy się bawić nową sytuacją. Wyszedłem z Augustem na dwór, żeby zbudować igloo. Wykopaliśmy tunel długi na kilka metrów, aż nam się znudziło i porzuciliśmy kopanie ślepej uliczki. Kiedy nie dało się wyjść, przejmujące zimno skłoniło nas do spędzania czasu przy kominku. Po ostatnich doświadczeniach z tunelem poddaliśmy się, wokół domu rosły dławiące śnieżne mury, a my zakleiliśmy drzwi taśmą klejącą, żeby uszczelnić szpary i zachować resztki ciepła.

Bez elektryczności i telefonów jedyny kontakt ze światem zewnętrznym zachowywaliśmy dzięki trzeszczącemu radiu, w którym dało się usłyszeć wiadomości. Kryzys zdawał się nie mieć granic. Wzdłuż całego wschodniego wybrzeża ludzie umierali w swoich domach z wyziębienia, odwodnienia i tysiąca innych powodów, gdy zabrakło im lekarstw. Od czasu do czasu słyszeliśmy początek informacji zwiastujący zgony tak straszliwe, że rzucałem się i wyłączałem radio, żeby August nie poznał szczegółów; słyszeliśmy wystarczająco dużo, żeby się domyślić, w jak straszliwych i beznadziejnych sytuacjach znaleźli się niektórzy ludzie i jak rozpaczliwych środków się chwytają, by przeżyć. Ekipy ratowników pracowały bez przerwy, z całego świata płynęła pomoc, jednak wszystkie te wysiłki były niczym wobec niszczycielskiej potęgi Wielkiej Burzy.

Starłem się wyłączać radio, ale było to źródłem ustawicznego napięcia między mną a Pią. Ona chciała wiedzieć wszystko, oszałamiało ją życie w chaosie i żywiła się jego energią. Siedziała w kącie na drewnianym stołku, opatulona wełnianym kocem, i z uchem przy radiu całymi godzinami słuchała informacji. Czasem wyciągała zza pazuchy swój notesik i coś w nim zawzięcie pisała, żeby utrwalić nieznane mi myśli, ale w zasadzie po prostu siedziała. Kiedy upierałem się, aby wyłączyć radio, wypadła do kuchni po więcej wina i rozkładała się na kanapie z czasopiśmie w garści. Wtedy już prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Dla Augusta najgorsza była nuda. Nieustannie przeglądał książki na półkach, otwierał i zamykał drzwiczki kuchennych szafek, jakby się spodziewał, że wreszcie wypadnie z nich coś ciekawego, ale nic takiego się nie stało. Za moją namową zbudowaliśmy sobie szałas z koców i poduszek – początkowo dobrze się bawiliśmy, znosiliśmy do środka pisma przyrodnicze i chipsy – ale nie dało się w nim wysiedzieć dłużej niż kilka minut, więc w końcu pozwoliliśmy mu się zawalić. Od czasu do czasu widziałem po minie Augusta, że przypominał sobie o nieobecnych rodzicach i niepewnym losie ojca. Starłem się go zabawiać

i dodawać mu otuchy, jednak miałem wrażenie, że wciąż robię za mało. Pia nawet nie podejmowała takich prób.

Wielka Burza nadal była w fazie zamieci, wreszcie trzeciego dnia nieustannej śnieżycy nerwy nam puściły. Pia znalazła w kieszeni starego płaszcza pół paczki papierosów i wypaliliśmy je wszystkie przy wybitym oknie w pokoju gościnnym. August wynalazł gdzieś wielką księgę poezji, o której zdążyliśmy zapomnieć; zabawiał się wrywaniem kartek, robieniem kulek z papieru i celowaniem nimi do kosza. Nie skarciłem go. Bezmyślnie gapiłem się na kulki fruujące mi nad głową i lądujące gdzieś w okolicach celu. Kiedy udawało mu się trafić, wykonywał tryumfalny taniec z wykopami w stylu karate. Chyba próbował mnie sprowokować do reakcji, żeby coś się wreszcie zaczęło dziać w kolejny ponury i szary dzień, ale stać mnie było co najwyżej na przybicie piątki. Wreszcie zrobiło się ciemno, odgrzaliśmy sobie fasolę w sosie pomidorowym na kolację, a na deser wzięliśmy po garści gwiazdeczek czekoladowych. Po tym nie pozostało nic innego, jak wrócić do łóżka. Było to jedyne miejsce wystarczająco ciepłe, żeby spędzić w nim noc.

Sen już nie przynosił wytchnienia. Łapały nas kurcze mięśni, nerwy nieustannie były napięte. Nie mieliśmy pojęcia, ile jeszcze przed nami takich nocy – a już czuliśmy się jak więźniowie skazani na dożywocie.

Następnego ranka tuż po przebudzeniu miałem przez chwilę wrażenie, że to wszystko było złym snem, a my zejdziemy na dół, zrobimy sobie naleśniki z jagodami i syropem klonowym, po czym wyjdziemy na dwór bawić się w śniegu. Jednak już wkrótce przypomniałem sobie, co tu właściwie robimy. August i Pia spali przytuleni, bliżej niż byliby z wyboru. Lubiałem mieć obok ich oboje – w ciepłe, bezpiecznych, ukrytych przez złowrogimi siłami natury. Nie stali się sobie bliscy, na co miałem nadzieję, ale przynajmniej byliśmy wszyscy razem, a to już dużo.

Dochodziła chyba szósta rano, trudno się połapać w półmroku, przy zabitych oknach. Wyczołgałem się z łóżka i przykucnąłem przy dolnym prześwicie okna. Nocą temperatura się podniosła i śnieg zamienił się w deszcz. Przez sen zgubiłem gdzieś skarpety, a jednak palce u nóg wciąż były ciepłe. Czy to możliwe, że przyszedł kres Wielkiej Burzy?

Tak właśnie prognozowali radiowi eksperci. Pia i August przebudzili się krótko po mnie, obsiedliśmy rozpalony kominek, każde ze swoim kubkiem ciepłego płynu, i słuchaliśmy wiadomości.

– Huragan, który stanowił jeden z czynników obecnej sytuacji pogodowej, przesunął się nad Atlantyk i osłabł do poziomu sztormu tropikalnego – oznajmił meteorolog niskim głosem. – Wiatr północno-wschodni również zaniknął, Wschodnie Wybrzeże ma wreszcie czas na naprawianie szkód, które po sobie pozostawiły żywioły.

– I co dalej, John? – dopytywał spiker. – Czy najgorsze już za nami?

– Z pewnością nie. Nie należy tracić czujności tylko dlatego, że się ociepliło. Na północy dramat dopiero nastąpi. Niektóre regiony przywaliła dwuipółmetrowa warstwa śniegu. Przy tej pogodzie będzie raptownie topniał. Woda nie ma gdzie spłynąć, bo ziemia jest już nasiąknięta, a rzeki dawno wystąpiły z brzegów. Czeka nas najgorsza powódź w dziejach Ameryki Północnej. Drogi, domy, samochody, szkoły – woda zaleje wszystko. Ludzie powinni się gromadzić w bezpiecznych miejscach, jak najwyżej nad poziomem morza. W wielu wypadkach oznacza to konieczność zabrania z domu najcenniejszych rzeczy i ewakuacji. FEMA wraz z władzami poszczególnych stanów opracowała kolejną turę akcji ratunkowych dla zagrożonych regionów. Proszę słuchać radia, żeby zapoznać się z instrukcjami ewakuacyjnymi i wskazówkami, gdzie w okolicy są bezpieczne punkty i jak do nich dotrzeć. W wielu miejscowościach trzeba będzie miesiecy, żeby ponownie uruchomić infrastrukturę. Nasza gospodarka poniesie niewyobrażalne straty liczone w setkach miliardów dolarów. Niektóre zniszczenia będą nieodwracalne.

August miał oczy wielkie jak spodki. Zrozumiałem, że powinienem zminimalizować ilość złych wieści, na które jest wystawiony. Wyłączyłem radio, rzucając Pii znaczące spojrzenie: „bez dyskusji”.

Bez radiowego brzęczenia do naszych uszu dotarł nowy odgłos: narastający szum płynącej wody. Mżył deszcz, kapąła woda z dachu i coś ciekło w naszym zabarykadowanym pokoju gościnnym. Był też coraz głośniejszy szum strumienia, jakby opływał dom ze wszystkich stron. Śnieg topniał w oczach, a woda szukała sobie ujścia.

August ściągnął polar i oznajmił, że jest mu gorąco, po czym usadowił się przy oknie i wyglądał na zewnątrz.

– Możemy się wysikać z ganku, Ash?

– Jeśli nam się uda wyjść na dwór – powiedziałem. – Włóż buty.

Na dworze poczuliśmy ciepły powiew na tych częściach naszego ciała, które dawno nie miały kontaktu ze świeżym powietrzem. August uśmiechał się łobuzersko, gdy dodał swój strumyk do potoczków spływających spod śniegu. Nie pytał o rodziców, ale wiedziałem, że muszę mieć gotową odpowiedź. I tu problem, bo nie wiedziałem, gdzie teraz są i kiedy uda nam się wybrać na poszukiwania. Telefony stacjonarne nie będą działały jeszcze przez wiele tygodni, a nawet gdybyśmy mogli się gdzieś dodzwonić, nie mieliśmy jak – komórka Pii już się rozładowała. Zastanawiałem się, co robią inni mieszkańcy Isole. Postanowiłem zacząć od wizyty u Peg, kiedy teren trochę obeschnie.

Jednak nic nie schło. Wręcz przeciwnie, w miarę upływu godzin odgłosy wody się zwielokrotniły i dochodziły zewsząd.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin temperatura wzrosła do tego stopnia, że rozebraliśmy się do ciepłej bielizny i wygasiliśmy ogień na kominku,

żeby nie siedzieć w saunie. Lód, który zgromadził się w pokoju gościnnym, zdążył się stopić i z sufitu kapało nam na głowę, tak że trzeba było podstawić garnek na stole w kuchni. Wrócił też charakterystyczny zapach dżdżownic po wielu dniach zlodowacenia. (Nie miałem odwagi sprawdzać: przeżyły czy zdechły). Najgorsze było to, co działo się na zewnątrz. Topniejący śnieg tworzył kałuże, które łączyły się w jeziora i strumienie, zsuwał się z dachu i od razu rozpuszczał. Cały świat przyjął płynną postać. Znajdowaliśmy się w połowie wzgórza, między domem Augusta a Peg, ale ziemi nie było widać. Woda spływała w dół, meandrując i tworząc wiry. Strumień, który otaczał posesję z tyłu, najpierw wylał, a potem zamienił się w wielkie, nieskończone jezioro. Miałem wrażenie, że płyniemy na barce.

Nie wiedziałem, czy plan zmeliorowania okolicy, który miał zapobiec powodzi, sprawdziłby się przy takim potopie i ocaliłby centrum Isole, ale szlag mnie trafiał na myśl o Crowie i jemu podobnych, gdy patrzyłem na wzbierającą wodę. Bo może... może udałoby się coś ocalić. Jednak nie pozwoliłem sobie na rozpamiętywanie; zbyt wiele mieliśmy problemów. Szansa na uniknięcie jednego z nich już przepadła.

Krażyliśmy po parterze wszyscy troje, znudzeni i zdenerwowani, ale z nadzieją, że zmiana pogody zwiastuje koniec koszmaru. Graliśmy w karty. We dwóch z Augustem stopiliśmy gwiazdeczki czekoladowe w garnuszku na kominku i nazwaliśmy to fondue. Na chwilę humor nam się poprawił. Mieliśmy nadzieję – złudną, jak pokazała przyszłość.

Wczesnym popołudniem podszedłem do drzwi frontowych, żeby sprawdzić, co się dzieje z powodzią. Stałem na przednim ganku w kaloszach i z przerażeniem stwierdziłem, że woda zakryła już schody i podeszła do podłogi. Pół metra dzieliło ją od drzwi, a nic nie zapowiadało, że nie będzie przybierać. Jezu Chryste, tylko tego brakowało, pomyślałem.

Było kwestią czasu, kiedy woda dotrze do progu i wypełni parter. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Teraz już nie chodziło o nudę zabijaną grammi karcianymi i sikanie na ganku. Nie byłem gotów na całkiem realne zagrożenie własnego życia, a już z pewnością nie wiedziałem, jak mam uratować dziecko. Weź się w garść, skarciłem samego siebie. Nie chciałem wystraszyć Augusta.

– O cholera! – zawołała zza moich pleców Pia.

August również wyskoczył na ganek.

– Wszyscy do środka – zakomenderowałem. – Przenosimy nasze obozowisko na górę.

Nikogo nie oszukałem wymuszoną nonszalancją. Pia zakręciła się na pięcie i zaczęła wrzucać do wielkiego gara całą żywność, która nie wymagała przygotowania: krakersy, skondensowane mleko, puszki tuńczyka i fasoli. Poprosiłem Augusta, żeby pozbierał swoje ciepłe ubrania, sam zgromadziłem

pudełka świeczek, tabletki do oczyszczania wody, baterie i zapalki. Dzięki Bogu za zestawy survivalowe – niezbędnik każdego prepersa. Dorzuciłem jeszcze radio, ostatni środek łączności ze światem.

– Utopimy się, Ash? – August trzymał w ramionach naręcze brudnych dziecięcych ciuchów.

– Nie, mój mały. Nikt nie utonie. Musimy się przenieść na górę, bo trochę nas zaleje, ale jakoś przekoczujemy. Wzięłeś karty?

– Oczywiście – odparł z dumą.

Nie pozwól, żeby rodzice Augusta zginęli, powtarzałem w głowie modlitwę adresowaną w pustkę. „Nie umieraj”. Był to wymarzony moment, żeby powierzyć się Opatrzności, ale nie miałem w tym żadnej praktyki. Nie byłem pewien, do kogo właściwie się modłę, jednak wydało mi się nierozważne zlekceważenie tej deski ratunku.

– Dość gadania. Wszyscy na górę! – rozkazała Pia. Spieszyła się i była zbyt skupiona na sobie, żeby zawracać sobie głowę emocjami wystraszonego siedmiolatka. Miała rację, nie wolno zwlekać.

Popędziłem Augusta, żeby szedł przodem, sam wniosłem po schodach dwa ciężkie pudła, jedno na drugim. Pia deptała mi po piętach, pobrzękując puszkami w metalowym garnku. Odstawiliśmy nasz ładunek na piętrze i zrobiliśmy jeszcze dwa kursy po kanistry z wodą. Potem u stóp schodów zbudowaliśmy zaporę z dwóch foteli, dobrze wiedząc, że nie na wiele się zda. Kiedy ostatni raz byłem na dole, zobaczyłem wodę. Wtargnęła przez szpary w drzwiach i rozlała się szeroką kałużą na podłodze. Szybkość, z jaką przybierała, wydawała się niemożliwa, nie z tego świata nawet, ale trudno o coś bardziej realnego. Do wieczora dotrze na piętro. I co wtedy?

Dołączyłem do pozostałej dwójki w sypialni. zaproponowałem Augustowi, żeby zbudował szałas z koców, ale mnie nie posłuchał. Kręcił się przy Pii, która usiłowała złapać stację radiową. Wlazłem więc na łóżko i słuchałem głośnych, urywanych szumów, gdy Pia ustawiała antenę i szukała miejsca, z którego będzie najlepszy odbiór. August w końcu się znudził i dołączył do mnie, przeglądaliśmy razem stare numery „Scientific American”. Próbowałem czytać, ale strach był silniejszy, litery skakały mi przed oczami. Nie miało sensu udawać, że się nie boję. Czekaliśmy na potop.

Pia urządziła tymczasowy kącik kuchenny w rogu sypialni. Zrobiła dla wszystkich kanapki z tuńczyka na krakersach, ale nikt nie był w stanie ich przełknąć. Otworzyłem okna i po dłuższym siłowaniu się z oporną materią zerwałem sklejkę oddzielającą nas od świata za oknem. Dobrze było zobaczyć wreszcie dzieńne światło, ale to oznaczało śledzenie, jak nieubłagane podnosi się poziom wody. August tkwił przy oknie jak zaczarowany, a ja nie miałem pomysłu, czym go zająć.

Wreszcie się załamał. Widziałem jego szczupłe plecy wstrząsane spazmatycznym szlochem, aż przestał kryć łzy i wrócił do łóżka, zwinął się w kłębek przy moim boku i zaczął płakać całkiem otwarcie. Poszukałem wzrokiem Pii, ale była nieobecna i nieporuszona. To już nie była jej sprawa. Głaskałem Augusta po plecach, po jakimś nieskończone długim czasie zaczął się uspokajać. Sen spadł na niego nagle, owinał się nim jak bezpiecznym kokonem. Zazdrościłem mu chwilowej ucieczki od strachu; sam leżałem obok i bezskutecznie usiłowałem pójść w ślady chłopca.

Kolejna godzina minęła mi jak w letargu: byłem przytomny, ale niezdolny do zrobienia ruchu, i z trudem rejestrowałem, co się dzieje wokół mnie. Słyszałem, że Pia się kręci po sypialni, ale nie wiedziałem, co właściwie robi. Nie byłem w stanie się podnieść, żeby sprawdzić poziom wody na parterze, chociaż nieustanne i narastające odgłosy płynącej wody świadczyły, że się do nas zbliża. Miałem wrażenie, że umieram powolną śmiercią. Nie byłby to najgorszy sposób na pożegnanie się z tym padołem, zważywszy na inne możliwe opcje. Właśnie w takim stanie był mój umysł, rozdarty między paroksyzmami nadziei i najczarniejszą desperacją, na przemian fantazjujący o ucieczce albo stoicko akceptujący perspektywę nieuchronnej zagłady.

Było chyba późne popołudnie, gdy zobaczyłem światła za oknami. Widok ten zelektryzował mnie, poderwałem się i podbiegłem do okna. Przytuliłem twarz do chłodnej szyby. Na drodze przed domem zatrzymał się wielki opancerzony pojazd. Czołg? Czy to możliwe? Pia, która siedziała na podłodze i skrobała coś w swoim notatniku, również wstała i patrzyła przez okno. Podeszła do radia i starała się złapać stację, gdy ja wkładałem kalosze.

– Idziemy! – zakomenderowałem półgłosem. Nie chciałem wystraszyć Augusta, który zaczął się budzić. – To może być nasza ostatnia szansa, żeby chłopiec przeżył. Musimy iść. TERAZ.

– Nie wiesz nawet, kto tam jest, Ash – zaprotestowała. – I tak się do nich nie przedostaniesz!

Prawda, nie wiedziałem, kto przyjechał i po co, ale czy mieliśmy inne wyjście? Nawet jeśli to był jakiś ryzykant, który próbuje ucieczki, a nawet zwykły szabrownik, wszystko było lepsze niż pozostanie w domu, żeby się utopić lub umrzeć z głodu czy zimna. August powinien mieć szansę i byłem gotów na wszystko, żeby go uratować.

– Wyciągnę z szopy canoe. Podpłynę tam, gdyby było trzeba. Szybko, dajmy im znaki latarką. Muszą wiedzieć, że są tu ludzie.

Pia się nie poruszyła.

– Ubierz go, ja zdobędę łódź! – wrzasnąłem, otwierając drzwi sypialni.

Woda podeszła do połowy schodów, zawahałem się tylko na chwilę, zanim zacząłem się w niej pogrążyć. Na oko było mniej niż metr osiemdziesiąt

głębokości. Najpierw miałem wodę w kaloszach, potem zdałem sobie sprawę, że nasiąknięte wodą ubranie bardziej przeszkadza, niż pomaga. Było zimno i odrażająco ciemno, ale nie miałem czasu na wahanie. Płynąłem rozpaczliwym pieskiem, co pozwalało mi utrzymać głowę nad wodą, wciąż było jakieś sześćdziesiąt centymetrów do sufitu. Skierowałem się do otwartych drzwi wejściowych. Co i rusz obijałem się o znane mi przedmioty użytku domowego podskakujące na powierzchni wody i trafiałem kończynami na podwodne przeszkody.

Klaustrofobiczny basen wewnątrz mego domu wypłuł mnie wreszcie na dwór, gdzie poziom wody był nieco niższy, ale dodatkowe utrudnienie stanowił deszcz. Nic nie wyglądało tak jak wcześniej. Krajobraz przypominał koszmar senny, ciemny i surrealistyczny, ze znajomymi punktami odniesienia pozbawionymi zwykłego kontekstu. Wciąż unosiłem się na wodzie, ale od czasu do czasu wyczuwałem pod stopami podłogę ganku. Dom Augusta znajdował się tam, gdzie zawsze, jednak drzewa dzielące nasze działki padły pokotem, odsłaniając niewidoczny przedtem horyzont. Nasze auto zachowało kolor i kształt, ale woda zniosła je między pnie i sterczało pod dziwnym kątem. Zarejestrowałem to mimochodem, bo każda minuta była bezcenna i miałem tego świadomość.

Zaczerpnąłem powietrza i wrzasnąłem z całych sił, żeby usłyszano mnie w wehikule stojącym na drodze.

– Czekaście! Idziemy!

Ktoś dał mi znak reflektorami. Poczulem się raźniej, bo człowiek za kierownicą – nieważne, dobry czy zły – mnie zauważył. Odpychając się od ściany, dotarłem do rogu domu, a stąd przepłynąłem te kilka metrów dzielących mnie od szopy. W środku pływały narzędzia i zabawki. Większość rzeczy pozostawili poprzedni właściciele, nawet nie pamiętałem, co tu jest. Na szczęście canoe unosiło się na wodzie na wyciągnięcie ręki od wejścia. Dwa wiosła leżały na dnie. Przyciągnąłem je do siebie i pół idąc, pół płynąc, przedostałem się do domu. Tu zauważyłem drabinę, której używałem do zabezpieczenia okien. Uznałem, że się przyda.

Ustawiłem łódź na ganku od frontu, pozwoliłem jej kołysać się między ścianą a wspornikami podtrzymującymi dach. Postawiłem drabinę pod oknem sypialni. Nie była zbyt stabilna, ale udało mi się wdrapać na czwarty szczebel i znalazłem się nad wodą.

Spojrzałem znów na stojący na drodze pojazd i wrzasnąłem raz jeszcze:

– Czekaście! Zaraz będziemy!

Tym razem nie było odpowiedzi. Zrozumiałem, że mamy niewiele czasu.

Podmuch wiatru zachwiał mną, łapałem równowagę i próbowałem zapomnieć o dojmującym zimnie, które paraliżowało moje ciało. Osłabłem, pewnie wkrótce zauważę kolejne objawy hipotermii. Wspiąłem się na drabinę

i załomotałem w okno, żeby Pia otworzyła.

August już czekał, ubrany we wszystko, co miał pod ręką, podobnie jak ja, zanim woda obdarła mnie z kaloszy i kurtki.

– Pospiesz się! – zawołałem. – Auguście, musisz zejść po drabinie. Trzymaj się mocno. Dasz radę?

Chłopiec przytaknął, udając odwagę. Cofnąłem się i zrobiłem dla niego miejsce.

Asekurując ramionami jego drobne ciało, wrzasnąłem do Pii:

– Twoja kolej, kochanie! Nie ma czasu. Zostaw wszystko i chodź!

– Nie idę z wami! – odkrzyknęła z wnętrza sypialni. W jej głosie brzmiała skrucha, ale i zawzięty upór.

– Co? Pio, nie możesz zostać! – jęknąłem. – Wskocz przez okno. Złapię cię.

– Ash, nie ruszę się stąd. Chcę to przeżyć do samego końca.

– O czym ty mówisz? Złaż w tej chwili! Możesz umrzeć!

– Bardzo możliwe – powiedziała z dziwną ekscytacją w głosie. – Jestem gotowa i na to. Nie chcę opuścić domu. Zamierzam zostać i doświadczyć wszystkiego.

Zrozumiałem, że jej nie przekonam. Potrzebowała chaosu, nakręcał ją. W ciągu tych ostatnich dni, gdy pod dom podeszła woda, Pia rozkwitła, było w niej więcej życia niż przez wszystkie spędzone tu razem miesiące. Wcale nie czekała na koniec Wielkiej Burzy. Postanowiła tu tkwić, nawet gdyby ją to miało zabić.

Rozległ się głośny klakson. Nie było czasu do stracenia.

– Musimy już iść, Pio! August i ja idziemy. Muszę znaleźć jego rodziców... Kocham cię, przecież wiesz.

– Wiem.

Nie miałem już nic do powiedzenia.

Pomogłem Augustowi zejść po drabinie i wrzasnąłem, najgłośniejszym jak umiałem, do nieznanego kierowcy:

– Czekaj na nas!

Kiedy wsiedliśmy do łodzi, myślałem tylko o tym, jak bezpiecznie dowieźć Augusta do drogi. Chyba nigdy nie czułem takiej miłości, jak do tego dzieciaka w tamtej chwili. Oddałbym za niego życie. To był mój jedyny cel. Dręcząca melancholia i wyrzuty sumienia, że porzuciłem żonę samą w zalanym domu, przyszły później. W tym momencie myślałem tylko, jak ocalić chłopca.

CZEŚĆ TRZECIA

*I kwiaty zakwitną, choć nas już nie będzie,
Pachnąc świeżo i słodko, a pod ich pięknością
Ziemia skryje czarną i żalobną glinę,
Co za całun posłuży próchniejącym kościom.
I drzewa znów zaszumią, te wyniosłe drzewa
Jodły, dęby i klony, modrzewie i tuje.
A wiatr, co wśród gałęzi to gwizdże, to śpiewa.
Nie dla nas, ach, nie dla nas requiem intonuje.
A te dostojne wzgórza, soczyście zielone
Jak wtedy, gdyśmy po nich za młodu hasali,
Będą trwały odwieczne, przez czas niezmienione,
Gdy w proch będziemy w ziemi się zmieniali.*

Gdy nas już nie będzie – wiersz autorstwa pani A.D. Hemenway z Ludlow w Vermoncie, opublikowany w 1860 roku.

DWADZIEŚCIA CZTERY

W tej samej chwili, gdy szcękając zębami, poczuliśmy pod sobą twardy metal pojazdu opancerzonego, zamieniliśmy dotychczasową izolację na rzecz nowej, komunalnej egzystencji. Byliśmy uratowani. Po interwencji gubernatora szkoła wojskowa Vermont's Army Mountain Warfare School wykorzystwała cały swój sprzęt i personel, żeby pomóc ludziom uwięzionym w górskich enklawach, szczególnie na terenach objętych powodzią. Właśnie dlatego na naszej nieprzejezdnej drodze pojawiła się wojskowa amfibia. Pojazd obsługiwali dwaj żołnierze i trzech cywilni ochotnicy. Przez cały dzień jeździli po najbardziej zdewastowanych zakątkach Królestwa, zbierając tych, co nie mieli szczęścia.

Pamiętam ten dzień jak przez mgłę, tylko tyle, że zostaliśmy wciągnięci na górę i okryci kocami. Siedzieliśmy na ławeczce z małżeństwem w średnim wieku, mieszkającym cztery kilometry od nas. Potem dołączyła jakaś staruszka. Prawie nie rozmawialiśmy, dowiedzieliśmy się tylko, że odwiozą nas do najbliższego tymczasowego schroniska dla powodzian. Z rozmów, jakie żołnierze prowadzili z dowództwem przez trzeszczące radio, można było wyciągnąć wnioski, jak się przedstawia krajobraz po burzy: zniszczone drogi i domy, przerażeni mieszkańcy wzywający pomocy, bo sytuacja ich przerosła, ofiary śmiertelne. W drodze do schroniska robiłem jedyną rzecz, na jaką jeszcze mnie było stać: mocno przytulałem Augusta i zapewniałem go, że wszystko się dobrze skończy.

I rzeczywiście. Kiedy transporter się zatrzymał, znaleźliśmy się w budynku liceum, zaledwie kilka kilometrów od domu. Jeszcze niedawno grałem tu z Maggie w koszykówkę. Teraz pod dachem szkolnym gnieździło się dwustu powodzian, a okolica zmieniła się nie do poznania. Parking był pokryty wodą, odłamki połamanej nawierzchni wystawały jak góry lodowe. Niebieski ford focus przewrócony do góry kołami sterczał oparty o budynek. Jedyne oznaki życia można było dostrzec na dachu. Wolontariusze w gumowych spodniach i maskach piłami łańcuchowymi dzielili na części słup telefoniczny, który przewrócił się na budynek, po czym zrzucali na ziemię niewielkie walce.

Kiedy uświadomiłem sobie, co to za miejsce, poczułem zawrót głowy, jakby ziemia nagle zaczęła wirować szybciej. Nic nie wyglądało jak poprzednio. Gdzie kiedyś stały domy, teraz piętrzyły się sterty desek. Drogi, a raczej to, co po nich zostało, świeciły pustkami; od czasu do czasu przejeżdżały opancerzone pojazdy wojskowe. Tu i ówdzie leżało coś przyniesionego przez wodę: pogięta huśtawka z placu zabaw, zdechła krowa. Najbardziej niepokojący był krajobraz – zupełnie obcy, nie do rozpoznania. Odwieczne lasy, które po obu stronach doliny osłaniały naszą miejscinę, zostały zgolone do samej ziemi. Widziałem Isole na przestrzał, aż po szczyty łysych gór. Większość drzew przewrócił huragan, inne wyrwała

z korzeniami woda, nie pomogła im wielkość ani wiek. Padały pokotem, jeden rząd koronami na wschód, sąsiedni na południe. Widok ten był świadectwem chaotycznego działania bezlitosnego żywiołu, po jego przejściu nie ostał się żaden las, żadne drzewo. August także to dostrzegł, czułem, jak cały dygocze. Mocno ścisnąłem jego rękę, gdy wprowadzano nas do szkoły przerobionej na tymczasowy przytułek dla ofiar Burzy. Chciałem dać mu znać, że jestem i będę przy nim, jako że stałem się jedynym trwałym punktem w jego młodym życiu.

W środku ludzie stali grupkami, niektórzy płakali, inni obejmowali się w milczeniu. Młoda miła kobieta wskazała nam dwie wolne prycze w najdalszej części pomieszczenia i podała mi torbę z używaną odzieżą, pachnącą czymś strychem. Wyjaśniła, że udało się ocalić budynek szkoły dzięki barykadom z pustaków i worków z piaskiem, potem pobiegła przyjmować kolejnych uciekinierów. Przebraliśmy się w suche rzeczy i otuliliśmy kocami, żeby się rozgrzać. Lekarze i ratownicy kręcili się między poszkodowanymi, jednak ogólne wychłodzenie nie upoważniało nas do zwracania im głowy – inni mieli poważne obrażenia ciała. Nam wystarczało do szczęścia, że leżymy w ciepłe i jesteśmy bezpieczni.

Po drugiej stronie sali gimnastycznej uformowała się kolejka, dołączyliśmy do niej. W gronie podobnych, wystraszonych ludzi czekaliśmy cierpliwie na zupę serwowaną w plastikowych miskach. Chciało mi się płakać z wdzięczności za ratunek, schronienie i ciepły posiłek. Byliśmy nadal w szoku; prawie nie mogłem mówić. Jedyne, co pamiętam z tego dnia, to podziw dla zupełnie obcych ludzi, którzy ocalili nam życie – a przecież wielu wolontariuszy doznało bolesnych strat, podobnie jak my. Nawet dzisiaj, gdy miga mi czasem na ulicy znajoma twarz, widziana tego dnia w schronisku, albo czuję zapach zupy ze stołówki, przez chwilę zatyka mi dech w piersi. Jeśli jest możliwe, żeby wdzięczność ogarnęła całe ciało jak gorączka, tak właśnie się czułem, stojąc w kolejce po krupnik z soczewicą.

– Stracił pan dom? – zapytał mnie starszy człowiek stojący za nami.

Odwrociłem się. Miał lśniącą łysinę i zmarszczki wokół oczu.

– Tak sędzę – wyjąkałem. – Sam nie wiem. Nie mogłem tam zostać.

– Wiem, jak jest. – Pokiwał głową. – Będzie pan tu bezpieczny, pański syn też. Mają wszystko, co nam teraz potrzebne.

Ścisnął Augusta za ramię, wyczuł jego kruchość. Nie prostowałem, że nie jesteśmy spokrewnieni, nie było powodu. August mocniej ścisnął mnie za rękę, a ja pomyślałem o jego rodzicach – jak to jest stracić z oczu jedyne dziecko. Nie zasługiwali na takiego syna, ale modliłem się, żeby żyli. Musiałem znaleźć sposób i przekonać się, jakie były ich losy. Powiniennem też sprowadzić Pię.

Z pełnymi miskami i plastikowymi łyżkami w garści rozsiedliśmy się na podłodze i zaczęliśmy się zaprzyjaźniać z towarzyszami niedoli.

W następnych dniach powodzianie stworzyli rodzaj społeczności koczującej

w budynku szkoły; drobne życzliwe gesty, uprzejmość i uszanowanie cudzej prywatności pozwoliły nam zachować poczucie, że żyjemy w całkiem znośnych warunkach, choć kiedyś napełniłyby nas grozą. Mieliśmy dach nad głową i suchą odzież, generator prądu i ciepłą strawę – z pewnością więcej niż inni nieszczęśnicy, których oglądaliśmy w telewizji i o których szeptem rozmawiali ratownicy. Nie widzieliśmy śmierci, ale była wszechobecna – panoszyła się za murami – więc wystraszeni zbijaliśmy się w stadko.

Wielka Burza pociągnęła za sobą wiele ofiar – ludzie zginęli przywaleni przez drzewa czy gruzy budynków, utopili się, gdy nagle przyszła wielka woda, umarli na skutek hipotermii. Jednak potem nadeszła kolejna fala śmierci, jeszcze bardziej przerażająca. Tym razem powodem była woda skażona przez ścieki. W Pensylwanii ferma trzody chlewnej stała się źródłem poważnej choroby gastrycznej, która błyskawicznie rozniosła się po kraju, zabijając w ciągu dwóch dni setki osób. Mówiło się o tym, że na północy stanu Nowy Jork do rzek przedostały się wyjątkowo toksyczne substancje pochodzenia organicznego, ludzka skóra rozpuszczała się w zetknięciu z nimi. Nasze ciała nie miały naturalnej ochrony przed truciznami i odpadami, które wydostały się z hermetycznego do tej pory systemu zabezpieczeń. Skażone środowisko zabijało ludzi. Nie tylko nas – zabijało też trzodę, ryby, ptaki, zatruwało plony.

Wszystkie te historie sprawiały, że nasze przetrwanie stawało się coraz bardziej wątpliwe, a mnie napełniały lękiem i poczuciem winy. Staralem się jak najlepiej wywiązywać z zadania, które sam przed sobą postawiłem: chronić Augusta, ale myślami byłem przy Pii. Porzuciłem ją. Jeśli umarła, to moja wina. W kółko odtwarzałem w głowie ostatnie wspólne chwile i próbowałem się utwierdzić w przekonaniu, że nic więcej nie mogłem zrobić. Nie chciała pojechać ze mną. Czy miałem użyć przemocy? Może tak, ale trudno jest porwać kobietę siłą, gdy stoi się na chwiejnej drabinie pod oknem na piętrze. Czy August by przeżył, gdybyśmy wszyscy zostali w domu? Byłem pewien, że nie, ale to nie eliminowało poczucia winy. Rozmawiałem w duszy z tą wyższą istotą, w której istnienie właściwie nie wierzyłem, i prosiłem, żeby ocaliła Pię.

A jednak, chociaż przygniatały mnie wyrzuty sumienia, nigdy nie żałowałem, że nie ma jej teraz z nami. Chciałem tylko mieć pewność, że jest gdzieś bezpieczna, gdy ja zajmuję się Augustem i próbuję zrozumieć ten nowy, nieznaną świat. Z ulgą przyjąłbym wiadomość, że wyjechała, oby tylko była cała i zdrowa. I ta ulga była stokroć gorsza niż tęsknota i złamane serce, bo zwiększała poczucie winy. Czy można być bardziej bezdusznym, egocentrycznym typkiem niż facet, który wykorzystuje najtragiczniejszą katastrofę żywiołową w dziejach Ameryki, żeby tchórzliwie uciec od żony? Nienawidziłem samego siebie.

Życzliwość otoczenia była pożądaną, acz niezasłużoną odtrutką na odrazę, jaką do siebie czułem. Niektórych mieszkańców schroniska znałem już wcześniej.

Bill z podkomisji spędził tu kilka dni z żoną i dwojgiem dzieci, gdy czekali, aż ich droga stanie się przejezdna. Kasjerka z lokalnego supermarketu okazywała nam wiele sympatii. Inni pochodzili z okolicznych miejscowości: Irasburga, Derby, Glover. Czasem docierały transporty z innych przepelnionych przytułków, czasem zwalniało się łóżko, gdy po kogoś przyjeżdżała rodzina. Skład grupy się zmieniał, ale jednak stanowiła niewielką społeczność.

Większość dnia spędzaliśmy na śledzeniu wiadomości CNN – reporterzy telewizyjni dokumentowali ogrom zniszczeń. Spora część kraju legła w gruzach już w ciągu pierwszych dwudziestu ośmiu godzin Wielkiej Burzy; dziesiątki tysięcy, a nawet setki tysięcy ludzi zaginęło – wielu z nich nigdy nie zostanie odnalezionych. Prawodawcy z Waszyngtonu uruchomili wszystkie możliwe fundusze, z całego świata płynęła ogromna pomoc materialna, ale potrzeby były dużo większe. Burza nie przypominała kataklizmów znanych nam z przeszłości. Dewastacja była zbyt wielka, zbyt kosztowna i niosąca nazbyt długotrwałe konsekwencje, aby dało się ją łatwo odrobić. Manhattan, Boston, Filadelfia i Waszyngton leżały w gruzach; doprawdy, trudno było znaleźć pociechę w mediach. Nawet wytrawni dziennikarze, którzy zawsze mieli przyklepiony do twarzy zawodowy uśmiech, z trudem zachowywali spokój w obliczu grozy, jaką niosła rzeczywistość. Niewiele uwagi poświęcano wiejskim, zapomnianym zakątkom kraju, przez które przetoczyła się powódź; my, mieszkańcy Północno-wschodniego Królestwa, nie mieliśmy z tym problemu. Pozostawanie na uboczu było sposobem życia i źródłem dumy dla Vermontczyków, Wielka Burza tego nie zmieniła.

Kiedy tylko mieliśmy w schronisku wystarczająco dużo agregatów prądotwórczych i przywrócono łączność internetową (jedyną w okolicy), ustawialiśmy się w kolejki do komputerów w szkolnej pracowni, żeby sprawdzić e-maile i media społecznościowe, żeby szukać znaków życia zostawionych przez naszych bliskich. Po czterech dniach udało mi się zlokalizować rodziców Augusta – zostali przeniesieni do schroniska, gdy ewakuowano szpital. Kiedy wreszcie połączyliśmy się telefonicznie, wszyscy płakaliśmy, każde z innego powodu. Ojciec Augusta potrzebował rehabilitacji, ale miał szansę na wyzdrowienie. Po tej rozmowie podziękowałem bezimiennemu bogu, do którego się wcześniej modliłem; byłbym niewdzięcznikiem, gdybym tego nie zrobił.

Nie mam pojęcia, dlaczego niebiosa zdecydowały się ocalić Johna, ale czułem się ich dłużnikiem. Wyraz twarzy Augusta, gdy usłyszał głos matki, zmienił mnie na zawsze. Najpierw wydał z siebie głośne, nieświadome westchnienie ulgi, potem na jego twarzy pojawiła się niepewność, bo zdał sobie sprawę, że jego los pozostaje niewiadomy. Pewnie miał ochotę wtulić się w mamę i liczyć na to, że osłoni go przed potwornością świata. Jednak ona nie była tego typu matką i ich relacja nie przypominała normalnej relacji między mamą

a dzieckiem. August cieszył się, ale był też wystraszony i zdezorientowany. A ja wcale nie chciałem go oddawać.

– Szkoda, że nie jedziesz – powiedział August, gdy podsadzałem go na transporter opancerzony, który miał go dowieźć do rodziców.

– Ja też żałuję. Muszę zostać i odszukać Pię.

– A może kiedy już zobaczę mamusię i tatusia, będę mógł wrócić i zamieszkać z tobą?

– Całkiem możliwe – odparłem. Nie chciałem rzucać słów na wiatr, gdy nic nie jest pewne. Świat wywrócił się do góry nogami, w tej chwili nie miałem żony ani domu. Nie wiedziałem, jakie mamy opcje. – Znajdę cię najszybciej, jak się da. – I to była prawda.

Pomogłem Augustowi zapiąć pasy – być może ten sam pojazd uratował nas przed tygodniem – i uścisnąłem go tak mocno, że zaczął się wiercić. Będzie mi brakowało tego małego człowieczka, jego lepkiej łapki, która w nocy sięga po moją rękę, rozczochranej czupryny, gdy rano wstaje z łóżka. Pokochałem chłopca miłością, która nie przypominała żadnego ze znanych mi uczuć, rozstanie łamało mi serce. Nie jest twoim dzieckiem, powtarzałem sobie. Ale jeśli nie moim, to czym?

Transporter ruszył, a ja długo jeszcze machałem ręką.

Bez Augusta ogarnął mnie smutek i strach o Pię.

Tak minęły mi kolejne dwa tygodnie. Rano szukałem przez Internet żony i pozostałych członków rodziny i nieustannie natykałem się na ponure historie ludzi, którzy przeżyli niewyobrażalny horror podczas Burzy. Rodzice i krewni, jak się okazało, wyszli z tego cało. Ich domy były mniej lub bardziej zniszczone. Podejrzywałem, że rodzice wegetują w prowizorycznych warunkach i oszukują mnie, żebym się nie martwił, ale nie mogłem im zaproponować niczego lepszego, więc nie dopytywałem o detale. Nie mogłem ich nawet odwiedzić – nie miałem auta, a drogi nadal były nieprzejezdne.

Któregoś popołudnia, chociaż przekroczyłem swój limit dostępu do Internetu na dzielonym z innymi komputerze, odnalazłem na czacie Pię. Podała swoje nazwisko i – jak się spodziewałem – także mnie poszukiwała. Serce zabiło mi szybciej na widok jej imienia i ikonki świadczącej, że jest dostępna.

Pia? Tu Ash! stukąłem gorączkowo.

Bogu dzięki. Gdzie jesteś? odpowiedziała.

Wymieniliśmy się informacjami o miejscu pobytu, stanie zdrowia, uszczęśliwieni, że to drugie jest bezpieczne. Napisała, że do końca Wielkiej Burzy była w domu, woda wtargnęła także na piętro i zabrała ze sobą wszystkie pamiątki naszego poprzedniego życia. Dziwnie i jakoś niestosownie było czytać o tym na ekranie publicznego komputera, ale nie było innego sposobu.

Pia: Byłam odwodniona i miałam początki zapalenia płuc, gdy wydostali

mnie stamtąd ratownicy, więc szczegóły są zamglone. Nie wiem, skąd wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Ja: Ode mnie! Alarmowałem, gdzie się dało. Umierałem ze strachu o ciebie. Jak się czujesz?

Pia: Zabrali mnie do szpitala polowego w Shelburne, gdzie nadal jestem. Trochę czasu to zajęło, ale czuję się dobrze. Doświadczenie koszmarne. Wokół ciężko ranni ludzie. Niektórzy umarli, Ash.

Ja: Nie wiem, co powiedzieć. Bardzo ci współczuję.

Pia: Teraz czuję się dobrze. Spotkałam tu interesujących towarzyszy niedoli. Nie jest tak źle, jak to zabrzmiało.

Ja: Cieszę się, że jesteś bezpieczna.

Przez pewien czas tak konwersowaliśmy: Pia opowiadała o tragediach, których była świadkiem, ja przesyłałem słowa otuchy. Było mi jej żal, czułem się odpowiedzialny za to, co ją spotkało, i nie bardzo wiedziałem, jak mam reagować. Prawie nie pytała o przeżycia moje i Augusta, zresztą tego nie oczekiwałem. Wreszcie musieliśmy się wylogować. Czas przy komputerze był ściśle reglamentowany, i tak go znacznie przekroczyłem. Nie wiedziałem, w jaki sposób się pożegnać, ale kolejne osoby mnie popędzały, więc dodałem tylko: *Kocham cię. Do jutra*. Odpowiedziała tym samym. Musieliśmy się spotkać, zdecydować, co robimy dalej, ale nie wszystko na raz.

Kiedy się upewniłem, że Pia żyje, odetchnąłem. Zniknęło gdzieś koszmarne uczucie dławiące mnie od kilku tygodni. Uwierzyłem, że życie potoczy się dalej. Teraz jeszcze nie miałem pojęcia jak. Trudno mi było wyobrazić sobie ten postapokaliptyczny świat, w którym wracamy do siebie, ale też trudno było wyobrazić sobie świat, w którym nasze drogi się rozchodzą. A jednak coś się zmieniło, kiedy opuściłem ją w czasie Burzy – a raczej gdy ona postanowiła zostać beze mnie. (Jak właściwie było?). Zbyt wiele śmierci widzieliśmy wokół nas, żebyśmy umieli zobaczyć różnicę między tymczasowymi zmianami a permanentnym końcem. Naprawdę nie wiedziałem, czy nasze małżeństwo da się uratować po wszystkim, co między nami zaszło.

Snułem się bez celu po korytarzach liceum, które stało się moim tymczasowym domem, patrzyłem na współtowarzyszy niedoli, którzy starali się pozbierać ocalałe okruchy minionego życia i robić plany na przyszłość.

Następnego dnia podczas lunchu oznajmiono, że autostrada międzystanowa 89 nie jest już pod wodą i służby drogowe mają nadzieję otworzyć ją dla ruchu kołowego w ciągu kilku najbliższych dni. Spotkało się to z brawami, aczkolwiek trudno było o entuzjazm. Większość powodzian nie miała dokąd jechać, ale była to pierwsza optymistyczna wiadomość od wielu dni.

Następnego dnia zatkały się ubikacje po wschodniej stronie budynku i całe skrzydło zostało odcięte.

W stołówce zabrakło soli i serwetek.

Pewien starszy człowiek umarł we śnie.

Takie były realia naszego życia: te ważniejsze i te bardziej prozaiczne. Wszystkie traktowaliśmy równie poważnie, bo od jednych i drugich zależało nasze fizyczne i duchowe przetrwanie. Borykaliśmy się z egzystencjalnymi wyzwaniami nowego, zdewastowanego świata, modląc się o to, żeby w stołówce nie zabrakło czarnej kawy. W poprzednim życiu uznałbym, że żyję w warunkach urągających ludzkiej godności, ale kawa nabiera wyjątkowego smaku, gdy jest jedyną przyjemnością z możliwych.

Przez kolejny tydzień Pia i ja siedzieliśmy na czacie codziennie, zanim okazało się, że wkrótce otwarta zostanie droga łącząca nasze miejscowości. Zapowiedziała, że zabierze się z kolejną dostawą artykułów codziennego użytku, za dwa dni. Byłem uszczęśliwiony. Szansa spotkania z żoną była najlepszym, co mi się zdarzyło od wyjazdu Augusta. Nagle gdzieś się rozwiały wątpliwości podsycane przez rozłąkę. Byłem pewien, że jej widok, zapach i dotyk podziałają na mnie ozdrowieńczo; nasze ciała przypomną sercom, dlaczego potrzebujemy siebie nawzajem.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Drogi nadal były w dużej mierze nieprzejezdne, a służby drogowe musiały przyznać, że naprawy zajmą więcej czasu, niż pierwotnie zakładano, więc przyjazd Pii odwlokł się o kilka dni. Przeżyłem je w stanie szarpiącego nerwy stresu nie tylko z powodów osobistych, ale i dlatego, że w schronisku narastało napięcie, bo opóźniały się dostawy produktów pierwszej potrzeby. Nauczyliśmy się żyć bez ręcznika papierowego, jednak brak papieru toaletowego, tamponów i leków przeciwbólowych był dla ludzi trudniejszy do wytrzymania. Pewnego popołudnia trzech nastolatków pobilo się na pięści na korytarzu, a chociaż należałem do dorosłych, którzy spacyfikowali krewkich chłopaków, pozazdrościłem im, że choć w części wyładowali frustrację, którą wszyscy w sobie tłumiliśmy. Nie da się dłużej wegetować w podobnych warunkach.

Po bójce dorośli uradzili, że trzeba otworzyć drzwi i dać ludziom szansę wyjścia na dwór. Wcześniej większość terenu była zalana, a woda tak głęboka i zatruta, że wolno było oddalać się od budynku szkoły tylko w towarzystwie ratowników. Jednak po kilku dniach słonecznej pogody każdy właściciel porządnej pary kaloszy mógł sobie poradzić, brodząc przez błotniste kałuże. Można było wreszcie zaczerpnąć powietrza.

Byłem jedną z pierwszych osób, które wyrwały się na swobodę. Pożyczyłem parę trochę za dużych gumiaków od mężczyzny, który spał trzy prycze ode mnie, i ruszyłem przed siebie. Woda sięgała po kostki, była brudna i pokryta oleistymi plamami od wszystkich świństw, które się w niej rozpuściły. Mówiono nam, że większość zanieczyszczeń to odpady naturalne z położonych wyżej farm, ale wiedzieliśmy swoje. Gdy wiatr zawiewał od wschodu, śmierdziała jak trudne do zidentyfikowania związki chemiczne i ludzkie ścieki. Rozkładała się w niej padlina, może też ludzkie zwłoki, tego ostatniego nie chcieliśmy nawet brać pod uwagę. A jednak słońce przygrzewało, miałem dwie zdrowe nogi i dobrze było znaleźć się na zewnątrz.

Obszedłem boisko szkolne, ruszyłem drogą do opuszczonej stacji benzynowej, a potem na przełaj, przez boisko do baseballu wciąż przykryte przez stojącą wodę. Minęło mnie pięć ciężarówek, każda przetaczała się powoli przez trujące bagna, w każdej tłoczyli się ludzie, od których na kilometr można było wyczuć desperację. Nie miałem pojęcia, dokąd jada; chyba nie było teraz miejsc, do których można by uciec. Podejrzewałem, że poszukują bliskich, zagubionych podczas Wielkiej Burzy – podobnych im zdesperowanych ludzi w równie przygnębiających miejscach.

Kiedy wreszcie znalazłem się w schronisku, wolontariusz skierował mnie do męskiej szatni, żebym wziął prysznic i przebrał się przed powrotem na salę –

wszyscy przed wyjściem musieliśmy się zgodzić na te środki ostrożności. Wziąłem z kosza cienki różowy ręcznik i wracałem pustym korytarzem. Skręcając w kierunku części dla mężczyzn, wpadłem na kogoś. To była Maggie.

– Ash! – krzyknęła i objęła mnie na powitanie. – Miałam nadzieję, że cię tu znajdę. Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy.

Poczułem mieszankę ulgi i podniecenia; była jak sen, który się nagle urzeczywistnił. Denerwując się przez cały czas o Pię, starałem się usilnie nie myśleć o Maggie. Uznałem, że nie zasługuję na to, żeby za nią tęsknić albo fantazjować, jak mogłoby być między nami. Prawie uwierzyłem, że nie istniała, a oto stała przede mną – dziewczyna z krwi i kości. Miała włosy zebrane w luźny koński ogon i smugę brudu nad lewym okiem. Na jej twarzy pojawiły się nowe piegi, jakby spędzała czas na dworze, gdy my wszyscy szarzeliliśmy w czterech ścianach.

– Maggie! Co tu robisz? Schroniłaś się w szkole?

– Nie... W pewnym sensie. – Wetknęła paczkę bandaży do tylnej kieszeni spodni i obciągnęła koszulkę z wyblakłym niebieskim napisem „Finał Mistrzostw Stanowych w Slalomie 2009”. – Spędziłam tu kilka pierwszych dni, z drugiej strony szkoły, aż udało mi się przedostać do domu rodziców. Teraz pomagam jako wolontariuszka. A ty? Straciłeś dom?

– Tak sądzę. Właściwie nie wiem – wyjąkałem. Wydawało mi się, że od naszego ostatniego spotkania minęły lata, i nie potrafiłem streścić w prostych słowach wszystkiego, co się zdarzyło w międzyczasie.

– Pia też tu jest?

– Nie. Trafiła do Shelburne. Mamy się wkrótce spotkać.

– Jasne. – Maggie pokiwała głową. – Cieszę się, że nic jej się nie stało.

Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu, niepewni, jak się zachować. Najbardziej na świecie chciałbym teraz wziąć ją w ramiona, ale właśnie na to nie mogłem sobie pozwolić. Nie chodziło tylko o pociąg fizyczny. Budziła we mnie dobre emocje, których nie chciałem się wyrzekać. Po tygodniach spędzonych w przytułku, gdzie czułem się całkiem anonimowy i poruszałem jak automat, Maggie przypomniała mi, że jestem osobą, ktoś mnie zna, jestem kimś więcej niż duchem w Isole. Zapragnąłem zobaczyć Peg i Salty’ego, dowiedzieć od nich, jak przetrwali pozostali mieszkańcy. Widok Maggie uświadomił mi, gdzie jest moje miejsce. Tutaj, w Isole. To mój dom.

– Masz samochód, którym da się jeździć? – zapytałem niepewnie.

– Mam! – Ona też wyraźnie chciała zmienić temat. – Jeżdżę pikapem taty. Na razie tylko kilka dróg jest przejezdnych, ale to wystarczy. Dokąd chcesz jechać?

– Dałoby się wjechać na naszą ulicę? Chciałbym zobaczyć swój dom. I Augusta, i Peg. Byłaś u siebie?

– Nasza ulica wciąż jest pod wodą. Potrzeba jeszcze kilku dni, żeby

obeschła. Jakieś inne życzenia?

Odpowiedź przyszła mi do głowy sama.

– Zabierzesz mnie do mojego kumpla, Crowa?

– Znam go. – Roześmiała się. – Wszyscy znają Crowa. Oczywiście!

Maggie nie pytała, dlaczego chcę zobaczyć się z Crowem. Wiedziała, że należałem do grupy lobbującej za systemem rowów przeciwpowodziowych, i może tym wytłumaczyła sobie moją dziwną prośbę. Myślę jednak, że przede wszystkim miała ochotę wyrwać się stąd choć na chwilę, bo atmosfera w schronisku z dnia na dzień stawała się coraz cięższa. A może po prostu chciała spędzić ze mną trochę czasu.

W naszym poprzednim życiu przejażdżka spod szkoły na tamto wzgórze, gdzie znajdowała się działka Crowa, zajęłaby nam kwadrans. Tego dnia jednak jechaliśmy przez ponad godzinę. Przetoczyliśmy się w ślimaczym tempie przez wciąż zalane główne ulice miasteczka, zostawiając za sobą brzydkie oleiste smugi na zmaconej cieczy, aż znaleźliśmy się u stóp trudnej do rozpoznania góry, na którą miała się wdrapać nasza terenówka. Zwalone drzewa blokowały najkrótszą drogę, więc wybraliśmy objazd, już wyczyszczony z przeszkód przez służby drogowe. Jak okiem sięgnąć leżały pokotem drzewa powalone przez huragan. Zbocze góry wyglądało jak gigantyczna scenografia do filmu katastroficznego. Drogowcy pocięli pnie i oczyścili wąski przejazd, na którym z trudem mieścił się nasz samochód. Modliliśmy się oboje, żeby nie natknąć się na auto jadące w przeciwnym kierunku.

Widok zniszczeń odebrał nam mowę. Budynki, które tkwiły w tym lesie od dziesięcioleci, zamieniły się teraz w sterty desek wśród wyrwanych z korzeniami drzew, które kiedyś dawały ludzkim siedzibom zaciszne schronienie. Wszędzie dało się zauważyć wielobarwne resztki dawnego życia – ubrania, zabawki, meble, wszystko to wałało się wśród zwalonych ścian i rozsypujących się ceglanych kominów. Znaleźliśmy się nad doliną, więc nie taplaliśmy się już w wodzie, ale tu także huragan zostawił po sobie straszliwe pobojuwisko, doskonale widoczne w blasku popołudniowego słońca. (Był wciąż marzec, jednak pogoda przestała stosować się do podziału na pory roku).

Kiedy tak rozglądałem się wokół, próbując ogarnąć umysłem skalę destrukcji, uświadomiłem sobie, że Crow mógł zginąć. Na tym wzgórzu nie dało się przeżyć Wielkiej Burzy. Czy jego bunkier był wystarczająco mocny? Wiele razy wspomniano tę część miasta w rozmowach toczonych półgłosem, gdy mowa była o „zaginionych”.

Maggie wydała z siebie zdławiony jęk i wtedy dotarło do mnie, że płacze bezgłośnie, trzymając kurczowo pokrytą skórą kierownicę. Łzy spływały jej po policzkach, kapwały na spłowiałe dzinsy. Miałem ochotę wyciągnąć rękę i pogłodzić ją po włosach, ale się powstrzymałem. Siedziałem na swoim fotelu i czułem ten

sam ból. Zapłakałbym, gdybym potrafił, jednak byłem odrętwiały ze smutku i poczucia nieodwracalnej straty, płacz wymagał zbyt dużego wysiłku.

Niespełna kilometr od wjazdu na działkę Crowa przetarty szlak się skończył. Przy grubym pniu pozostałym po sędziwym drzewie parkowała duża półciężarówka, na której leżała piła łańcuchowa. Dotąd dotarła ekipa drogowców. Nie było rady. Musieliśmy zostawić samochód i ruszyć dalej pieszo.

Szedłem przodem, a Maggie tuż za mną. Przestała płakać. Słyszałem, jak patyki trzaskają pod jej górskimi butami, oboje wpatrywaliśmy się w kamienie i płataninę gałęzi.

– Po przeciwnej stronie tej góry jest szkółka, w której co roku kupowaliśmy choinkę na Boże Narodzenie. Zawsze jodłę balsamiczną, musiała być jodła. Najpierw ją wybieraliśmy, po paru tygodniach tata wracał po drzewko i wycinał je tępą ręczną piłą. Była stara, należała jeszcze do mojego dziadka.

Pomyślałem o moich własnych wspomnieniach bożonarodzeniowych. Jak zbierałem szyszki dla mamy, zjeżdżałem na nowych sankach z odwiecznych pagórków.

– Wszystko przepadło – powiedziałem. – Przywiązujemy się do naszych rytuałów i miejsc. Mają dla nas znaczenie... ale może wcale nie są konieczne do życia.

– Co ty mówisz? – Maggie zatrzymała się nagle i spojrzała mi w twarz, gdy się do niej odwróciłem. – Nie wierz w takie nihilistyczne brednie, Ash! – Sprawilem jej przykrość. – Jesteś zrozpaczony, bo straciliśmy miejsca dla nas ważne. Masz to wypisane na twarzy. I to w tobie kocham. Uratowałeś siedmioletniego chłopca, którego ledwo znasz. Nie gadaj podobnych głupot, że nic nie ma znaczenia... O Jezu.

Wyminęła mnie i pomaszerowała do przodu. Rozgniewała się na mnie? Chciałem zawołać za nią, że ma rację, że kochałem te lasy jak żadne inne miejsce na świecie i patrząc na obraz nędzy i rozpacz wokół nas, czuję się tak, jakby mi ktoś wyrwał pół serca. Zamiast tego powiedziałem:

– Dobrze znam Augusta.

Z ulgą stwierdziłem, że znaleźliśmy się przy wejściu na działkę Crowa. Wreszcie miałem przed sobą konkretne zadanie. Przeleźliśmy przez kilka wyrwanych z korzeniami drzew, przedarliśmy się przez gąszcz kłujących gałęzi, żeby wreszcie dotrzeć do jego nędznego domku. Ponieważ był usytuowany na szczycie wzgórza i w pewnej odległości od drzew, spotkał go lepszy los niż wiele domostw znajdujących się poniżej. Rozglądałem się za oznakami życia, ale niczego nie dostrzegłem. Elektryczność wciąż była wyłączona, linie telefoniczne pozrywane na obszarze setek kilometrów kwadratowych. Jeśli nawet ktoś tu mieszka, wiedzie prawdziwie pustelniczą egzystencję.

Maggie zatrzymała się za mną, zapukałem do drzwi, najpierw nieśmiało,

później mocno. Nikt nie odpowiedział. Przeprowadziłem z nogi na nogę, niepewni, co robić. Słońce zniżyło się, zbliżała się czwarta po południu, wciąż jednak mocno przygrzewało. Westchnąłem w duchu do bliżej nieokreślonego bóstwa, do którego się zwracałem w tych dniach, ale i na modlitwie nie mogłem się skoncentrować. Po kolejnej minucie odstepiłem od drzwi i ruszyłem sprawdzić, co się dzieje za domem; Maggie szła za mną krok w krok.

Za rogiem, na tyłach domu, spał w cieniu owczarek niemiecki. Uniósł tylko głowę, ale poza tym nas całkowicie zignorował. Obok niego stał rozłożony leżak.

– Czego tu szukacie? – odezwał się dziewczęcy głos.

Ktoś tu jednak był, ale z pewnością nie Crow. Podbiegłem i zobaczyłem dziewczynę, może szesnastoletnią, wyciągniętą na leżaku z zamkniętymi oczami, ze starym kolorowym pismem rozłożonym na brzuchu. Wygrzewała się w słońcu, ale była ubrana – miała na sobie dżinsy i czarny T-shirt z nazwą zespołu, którego nazwa nic mi nie mówiła. Była bardzo chuda i blada, z wyraźnymi niebieskimi żyłami na przegubach dłoni. Paznokcie u nóg miała pomalowane na czarno.

– Zastaliśmy Crowa? – zapytałem. – Jestem jego przyjacielem.

– Jakim? – odparła obojętnie, nie otwierając oczu i nie obdarzając mnie nawet jednym spojrzeniem.

– Bywałem na zebraniach... Spotykaliśmy się w mieście. Zwykłym przyjacielem. A więc żyje?

– Żyje – prychnęła i wreszcie raczyła otworzyć oczy. – Jest tam.

Wskazała na szopę, w której krył się bunkier Crowa. Dałem znak Maggie. Uspokoilem się, że przeżył, teraz mogłem zaspokoić ciekawość, jak się spisał jego schron podczas Wielkiej Burzy. Szybko pokonałem niewielką odległość i szarpnąłem za drewniane wrota.

Metalowe drzwi były wprawdzie zamknięte, ale nie na zamek szyfrowy. Zastukałem i wsadziłem głowę. Crow siedział na kanapie nad kupką starych fotografii. Wnętrze wyglądało tak, jak je zapamiętałem, ale z paroma dodatkami. Na stoliku w kuchni stała stara kawa z grudkami skwaśniałego mleka. W kącie leżała sterta brudnych ciuchów.

Crow patrzył w przestrzeń pustym wzrokiem. Upłynęła dłuższa chwila, zanim mnie zauważył i uśmiechnął się lekko na powitanie.

– Ash. Jak się miewasz, chłopie?

– W porządku – powiedziałem i wszedłem do środka. Oparłem się o ścianę, w której chowało się łóżko. – Chciałem się upewnić, że nic ci nie jest... sprawdzić, co u ciebie. Znasz Maggie?

Na jej widok uśmiechnął się szerzej, ale nie ruszył się z miejsca.

– Miło cię zobaczyć, moja droga.

– Schron się sprawdził. Pozostał jedynym miejscem w miasteczku, które się nie zmieniło po Burzy. Miałeś rację.

– Nie. – Pokręcił głową i wbił wzrok w podłogę. – Guzik wiedziałem.

Coś było bardzo nie w porządku.

– Co się stało?

Crow westchnął ciężko i oparł się o kanapę.

– Widzieliście tę małą tam na dworze? To moja córka. Świetna dziewczyna, umysł jak żyłeta. Straciła mamę podczas Burzy, moją była żoną. Mogłem ją uratować, ale tego nie zrobiłem. Ja żyję, a ona nie. I po co?

Jego oczy znów nabrały nieobecnego wyrazu. Nie istnieliśmy dla niego.

– Crow, powiedz wszystko po kolei – poprosiła łagodnie Maggie. Przesiadła po turecku na podłodze.

Crow wreszcie zaczął mówić o bolesnych przeżyciach z ostatnich kilku tygodni. Jego była żona chciała przyjechać z Putney już przed sztormem, ale wtedy Crow się opierał, powiedział, że nie ma miejsca dla trzech osób. Pierwszego dnia Wielkiej Burzy zmienił zdanie. Zrozumiał, że się pomylił, i zapragnął ściągnąć żonę i córkę do swojego schronu. Ustalili, że spotkają się w White River Junction, stamtąd Crow miał odebrać obie kobiety i przewieźć je do siebie na północ. Jednak kiedy dotarł na ustalone miejsce, zastał tam tylko córkę, ranną i w szoku. Na bus, którym podróżowały z grupą innych osób, spadło drzewo; większość pasażerów zginęła na miejscu. Jedną z ofiar była jej matka.

Jakimś cudem Crow z córką dotarli z powrotem do Królestwa cało i zdrowo, mimo że Wielka Burza rozszałała się na dobre. Nie miało sensu przypominać mu teraz, jakie mieli szczęście. Był pogrążony w najgłębszej żałobie. Został samotnym ojcem nastolatki, której prawie nie widywał przez ostatnich kilka lat. Jego bunkier ocalał, ale życie zmieniło się niewyobrażalnie.

Zostaliśmy u niego na herbatę; głos mu się łamał i wiele razy zapadał w bolesne milczenie. Czasem leciały mu łzy. Maggie przytuliła go niezgrabnie, a ja nie wiedziałem, jak się zachować. Nigdy nie byłem tak blisko cierpienia: żałoby po gwałtownej, niepotrzebnej śmierci. Doznałem czegoś podobnego jak w trakcie rytualnej kąpieli w indiańskiej saunie, do której Pia namówiła mnie kiedyś podczas wakacji na pustyni, w Sedonie. Lekka fizyczna niewygodność zmieniła się w nieznośne uczucie gorąca i duszności, po czym odniosłem wrażenie, że moja dusza oddzieliła się od ciała. Tutaj, z Crowem, straciłem całkowicie świadomość własnego bólu i winy. Doznałem oczyszczenia, ale nie mogło to trwać długo.

Crow zamilkł, siedzieliśmy w milczeniu. Nie wiedziałem, jak długo wypadało zostać, ale ściemniało się szybko i zaczęliśmy się denerwować, jak będzie wyglądała droga powrotna. Nie mieliśmy już czasu. Maggie uściśliła Crowa, tkwiącego bezsilnie na kanapie, ja zapowiedziałem, że wkrótce go znów odwiedzę. Zostawiliśmy go w niezniszczalnym schronie, który jednak nie mógł go ochronić przed najgorszym.

Droga powrotna wydawała nam się dłuższa, towarzyszył nam tylko odgłos

kroków na leśnym poboju; w mojej głowie każdy trzask brzmiał jak ogłuszający wybuch. Próbowałem uporządkować w myślach to, czego się dziś dowiedziałem. Crow włożył wszystkie siły w zapewnienie sobie przetrwania – udało mu się, ale jego życie i tak legło w gruzach. Ale czyż to samo nie spotkało również rodziców Augusta, tego pocziwiny, który w tym tygodniu umarł w schronisku, oraz rodzin wszystkich zaginionych podczas Burzy? Nie prepersi, ale zwykli ludzie, dla których rodzina była najważniejsza, zostali pokarani przez gniewną naturę w ten sam sposób. Jeśli z tej lekcji należało wyciągnąć jakieś wnioski, nie umiałem ich znaleźć. Nie było żadnego wyższego ładu ani sensu w bezrozumnej niszczycielskiej sile, co wydawało się równie przerażające jak sam obraz zniszczenia.

Maggie wyprzedziła mnie, gdy tak wlokłem się, pogrążony w myślach. Zobaczyłem, jak wspina się do szoferki czerwonej terenówki. Znów płakała, wydawała mi się blada, nawet z tej odległości. Co takiego powiedziała do mnie wcześniej? „I to w tobie kocham”. Nie powiedziała, że kocha mnie, tylko moją miłość do tej ziemi. A jednak użyła tego właśnie słowa. Co ważniejsze, dostrzegła ją we mnie, bo ją podzielała. Niewiele o sobie wiedzieliśmy, ale jedno było oczywiste: łączył nas lokalny patriotyzm i umiłowanie natury. Wśród lasów Vermontu czuliśmy się jak w domu... takich lasów, jakie znaliśmy przed kataklizmem.

Wdrapałem się na swoje siedzenie, ale nie zatrzasnąłem drzwi. A kiedy dostrzegłem oczekiwanie na twarzy Maggie, burzę rudych loków spadających na ramiona i silne, szczupłe ciało za kierownicą, wezbrało we mnie coś dzikiego i pierwotnego, jakbym nagle obudził się do życia. Wyciągnąłem ramię i przygarnąłem Maggie do siebie. Zaczęliśmy się desperacko, łapczywie całować w szoferce samochodu jej ojca. Miała ciało sprężyste i ciepłe, a choć oboje wydzielaliśmy zapaszek charakterystyczny dla ludzi, którzy dawno nie widzieli wody i mydła, podobało mi się wszystko, co razem robiliśmy.

Sięgnęła do mojego rozporoka, potem położyła się na plecach, a ja na niej, niezgrabnie szukając podparcia dla kolan. Było nam ciasno i niewygodnie, ale żadne nie zamierzało przerywać, po omacku szukaliśmy gołej skóry pod kolejnymi warstwami szorstkiej odzieży. Komar ugryzł mnie w tyłek, miałem ochotę zabić go plaśnięciem dłoni, ale wtedy... wreszcie się odnaleźliśmy. Pod suwakami, ciuchami i gniewem, który w nas buzował. Złączyliśmy się, wydając chrapliwe odgłosy, dziwnie pasujące do tych nawiedzonych, zdewastowanych lasów. Nie pamiętałem już, kiedy ostatni raz uprawiałem seks, ale nie dlatego wydawał mi się tak niezbędny, konieczny do przetrwania. Oboje próbowaliśmy się zmierzyć ze strachem, z bezradnością i samotnością, których doświadczyliśmy w nadmiarze w czasie minionych tygodni, a seks – nawet jeśli ich nie unicestwił – pozwalał o nich na chwilę zapomnieć.

Nie próbuję wyjaśniać ani usprawiedliwiać, dlaczego tamtego dnia w szoferce terenówki zdradziłem Pię, jednak jestem przekonany, że potrzebowałem jakiegoś radykalnego działania, żeby podjąć zdecydowane kroki w sprawie swego życia po apokalipsie. Bez tego szturchańca trwałbym w bezsilnej inercji, usychał jak reszta pobojuwiska wokół nas. Właśnie akt seksualny – czyn nieodwracalny i komplikujący sytuację – przywrócił mnie do życia.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Minęły kolejne trzy dni, zanim ciężarówka dostawcza, którą zabrała się Pia, przedostała się przez górę dzielącą jej dolinę od mojej. Trzymałem się z dala od Maggie, próbując zachować trzeźwy umysł i nie ulegać pokusie, ale wspomnienie tego, co robiliśmy w terenówce, przewijało się przed moimi oczami jak niemy film. Kiedy jadłem śniadanie w stołówce, myślałem o jej nagim ciele pod palcami i przypominałem sobie niezbyt świeży zapach naszych splecionych ciał i cuchnące wonie z za okna szoferki. Było to zarazem ekscytujące wspomnienie i nieustający wyrzut sumienia.

W ciągu kolejnych trzech dni tylko raz rozmawiałem z Maggie. Poprosiłem o pożyczanie terenówki jej ojca. Większość dróg w Isole obeschła, nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć, co się stało z moim domem. Pożyczyła mi go chętnie, nie spytała nawet, dlaczego wolę jechać sam. Wszyscy wokoło z wolna próbowali poskładać szczątki wcześniejszego życia – oglądali ruiny domów albo, co gorsza, identyfikowali zwłoki bliskich – panowało ogólne zrozumienie, że każdy robi to na własny sposób.

Jechałem do domu, rozglądając się po najbardziej ponurym i surrealistycznym krajobrazie, jaki można sobie wyobrazić. To wszystko, co zostało po Północno-wschodnim Królestwie – po puszczy, która miała trwać wiecznie. W gospodarstwie Atkinsów brakowało szopy, w której stał parownik do produkcji syropu klonowego, a dom był w połowie zawalony. Niecały kilometr dalej zardzewiały zielony chrysler sedan blokował wjazd na farmę rodziny Pinault. Obok walał się na ziemi połamany i nieczytelny znak reklamujący świeży miot króliczków. Stuletnie kamienne mury wyznaczające granice posiadłości przekazywanych w tej samej rodzinie z pokolenia na pokolenie leżały teraz zmiecione w proch i pył przez żywioł silniejszy niż skały.

Najbardziej niesamowite wrażenie robił brak jakichkolwiek oznak życia. Gdzie się podzieli ludzie? To prawda, że niektórzy mieszkańcy wyjechali jeszcze przed Wielką Burzą. Inni utknęli w schroniskach jak ja. Ale przecież nie wszyscy. I nie chodziło tylko o to, że nikogo nie spotkałem; nigdzie też nie dostrzegłem żadnych śladów świadczących o ludzkiej obecności: dymu z komina, rowów wrytych w błocie przez buksujące koła ciężarówek czy zgniecionej puszki po piwie porzuconej przez sfrustrowanego nastolatka. Zupełnie nic.

Zaparkowałem samochód na poboczu przy zjeździe na naszą działkę, dalej nie dało się podjechać. Ruszyłem pieszo, brnąc w błocie. Drzewa po lewej stronie leżały pokodem, wszystkie zwrócone koronami w tę samą stronę; te po prawej ku memu zaskoczeniu pozostały nietknięte. Kolejne świadectwo ślepej furii sił natury. Nie warto szukać sensu tam, gdzie go nigdy nie było.

Był wyjątkowo ciepły kwiecień, a może taka już jest nowa norma. Na ocalałych z pogromu drzewach pojawiły się pąki, ale nie było słyhać śpiewu ptaków, tylko brzęczenie wszechobecnych komarów. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że stanie się stałą melodią obecną w naszym postapokaliptycznym świecie. Nowa generacja komarów jest szybka i uparta. Zanim zdoła się pacnąć bzyzącego owada, odlatuje napęczniały od krwi w poszukiwaniu kolejnego dawcy. Byłem zadowolony, że chroniły mnie nogawki spodni i długie rękawy koszuli, choć pocilem się niemilościernie.

Po pierwszym spojrzeniu na dom miałem wrażenie, że ktoś mnie kopnął w brzuch. Ściany stały, ale gruby pień zwalonego klonu wbił się w sam środek dachu; jego konary sterczały na wszystkie strony. Szyby były powybijane, szczątki desek i poszycia dachu walały się po trawniku i smażyły na słońcu. Jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości, czy mógłbym wrócić do minionego życia, znalazłem tu niezbity dowód, że przeszłość jest nieodwracalnie zamknięta. Czas patrzeć w przyszłość.

Błąkałem się po domu, szacując rozmiar destrukcji, z niejasnych powodów bałem się czegokolwiek dotknąć. Byłem w koszmarze sennym, z którego chciałem się obudzić. Powódź w dziwny sposób poprzestawiała meble, wysysała barwy z tkanin i obić. W sypialni u stóp naszego łóżka osy założyły gniazdo, nawet nie próbowałem tam wchodzić. Najbardziej zdziwił mnie brak zabytkowej armatury w obu łazienkach: padła łupem szabrownika. Nie potrzebowałem jej – nie przedstawiała wielkiej wartości materialnej ani sentymentalnej – ale jej brak wymownie świadczył, jak zdesperowani byli niektórzy ludzie, skoro posuwali się do kradzieży. Dopiero później się dowiedziałem, że w całym kraju szajki złodziejasków grasowały w opuszczonych domach, zabierając, co się dało. Były to pierwsze oznaki praw nowej ekonomii.

Kiedy już nie było na co patrzeć, po raz ostatni przysiadłem na zapadającym się ganku. Myślałem, że znajdę tu więcej prywatnych pamiątek – spłowiałych zdjęć w pękniętych ramkach, kupowanych we dwoje drobiazgów – ale nie było niczego. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Pia i ja po nabyciu domu przestaliśmy właściwie budować wspólne życie. Przeprowadzka do Vermontu była realizacją wszystkich snutych razem marzeń, a kiedy stała się faktem, przestało nam na tym zależeć i już nie umieliśmy określić wspólnych celów. Przyszłość jawiła się nieokreślona.

Na koniec ruszyłem ścieżką prowadzącą do domu Augusta – budynek był zniszczony, ale przetrwał. Nikogo nie zastałem, jednak wyglądało na to, że jego rodzice wrócili. Zostawiłem kartkę w drzwiach z obietnicą rychłych odwiedzin. Świadomość, że chłopiec przeżył, była jasnym punktem w mojej beznadziejnej egzystencji – spełnionym życzeniem (lub wysłuchaną modlitwą) i antidotum na ogarniający mnie marazm.

Nie poszedłem do Peg. Sam nie wiem, co mnie powstrzymało przed przechadzką przez las – wśród drzew, które o mało mnie nie zabiły kilka tygodni wcześniej, a teraz leżały bezsilne i odarte z majestatu – ale jakoś nie potrafiłem. Do tej pory nie miałem żadnych wieści o mojej przyjaciółce i obawiałem się najgorszego. Wysiłając wzrok, popatrzyłem przez plataninę połamanych gałęzi i spróbowałem sobie wyobrazić, że siedzi przy kuchennym stole z filiżanką kawy, po czym wróciłem do samochodu. Byłem pewien, że jej tam nie ma.

– Zajrzałeś do domu Peg? – zapytała Maggie, gdy godzinę później oddawałem jej kluczyki.

Pokręciłem głową.

– Usiądź. – Poszukała wzrokiem moich oczu.

Staliśmy pośrodku zatłoczonej sali gimnastycznej, służyła mieszkańcom schroniska za przestrzeń rekreacyjną. Po lewej stronie wianuszek kobiet robił na drutach, gdy dzieciaki hałaśliwie bawiły się w berka.

Miejsce dobre jak inne, usiedliśmy na podłodze, Maggie po turecku, ja z podwiniętymi nogami, zgarbiony, pochylony do przodu. Byłem zeszywniały i czułem się nieswojo.

– O co chodzi?

– Usłyszałam o tym po twoim wyjściu – zaczęła. – Niewiele wiadomo...

– Chodzi o Peg?

– Tak. Przyszedł Salty. Chciał ci sam powiedzieć. Znaleźli jej ciało.

Opuściłem głowę, niepewny, czy zwymiotuję, czy wybuchnę płaczem. W uszach mi dzwoniło, podłoga wirowała.

– Przykro mi, Ash. Wiem, że byliście blisko.

Prawie nie słyszałem Maggie przez świdrujące dzwonięcie, dopiero po minucie udało mi się wykrztusić:

– Była na dworze? Sama w lesie?

– Tak, ale skąd wiesz? Znaleźli ją dobry kilometr od domu. Nikt nie wie, jak właściwie Burza ją zabiła. Było już za późno, gdy ją znaleźli.

– Wiem, co się stało – szepnąłem.

– Co?

– Wiem, co się stało – powtórzyłem, tym razem głośniejszym głosem. – Burza jej nie dopadła, to ona wyszła jej na spotkanie. Chciała umrzeć.

– Dlaczego?

– Peg nie chciała wiedzieć, jak będzie wyglądało życie po Burzy, jak straszliwie zniszczy ona środowisko naturalne. Ta perspektywa była ponad jej siły. Wiedziała, że nadchodzi niewyobrażalny kataklizm, który zmiecie z powierzchni ziemi wszystko, co kochała. Nic jej nie zostało.

Maggie patrzyła na mnie z niedowierzaniem, ale nie oponowała.

Położyłem się na boku i przytuliłem policzek do zimnej, brudnej podłogi.

Maggie klęknęła przy mnie, ale mnie nie dotykała. Przemawiała niskim, łagodnym głosem, jakim pewnie uspokajała swoich najmłodszych uczniów. Przymknąłem oczy i pogrążyłem się w półśnie, kołysany melodią jej słów. Opowiadała o zwykłych, miłych spotkaniach z Peg: rozmowach w kawiarni, wspólnych przejażdżkach konnych. Nie byłem w stanie zaakceptować nieodwracalności decyzji mojej przyjaciółki. Potrzebowałem jej tutaj i teraz, żeby pomogła mi odnaleźć sens dzięki swojej szczególnej duchowości, którą dopiero zaczynałem rozumieć.

Kiedy Maggie wyczerpały się opowieści o Peg, zaczęła powtarzać wszystko, czego dowiedziała się od Salty'ego. Orientował się, które drogi wciąż były nieprzejezdne, jakie budynki publiczne nadają się już tylko do rozbiórki i kto z mieszkańców zamierza się wyprowadzić z Isole. Nie poruszyłem się ani razu, ale Maggie musiała wyczuć, że jestem jej wdzięczny. Salty miał się dobrze, to pierwszorzędna wiadomość. Był jeszcze bardziej zajęty – od razu przystąpił do odbudowywania zrujnowanego miasteczka i starał się dodawać ludziom otuchy. Jego najstarsza córka, która po studiach zamierzała wrócić do Isole, postanowiła wyjechać do San Francisco. Zdaniem Maggie to zmartwiło jej ojca, ale pewnie miała rację; przez dłuższy okres w Królestwie nie będzie świetlanych perspektyw dla młodych. I tak dalej, i tak dalej. Maggie została ze mną, aż wreszcie zasnąłem, skulony na podłodze gwarnej sali gimnastycznej.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Spotkajmy się w kawiarni Mountain Roasters o dziesiątej.

Taką instrukcję dostałem w e-mailu od Pii tego ranka, gdy wreszcie miało dojść do spotkania. Spodziewałem się zobaczyć ją w schronisku, planowałem pokazać jej, gdzie mieszkałem przez ostatnie tygodnie. Czułem się dziwnie podekscytowany, że nasze dwie osobne egzystencje znowu splecą się w jedną. Jednak coś się zmieniło i teraz chciała się spotkać w miasteczku.

Po Burzy w centrum Isole otwarto dokładnie trzy biznesy, jednym z nich była kawiarnia. Słyszałem od ludzi, którzy się tam wybrali, że kawa smakuje dziwnie (to z powodu wody, mimo zapewnień odpowiednich służb, że jest zdatna do picia) i można płacić tylko gotówką, ale muffiny są dobre jak dawniej. Ubrałem się lekko, spodziewając się ciepłego dnia, i zdecydowałem się pójść piechotą cztery kilometry do centrum na spotkanie z Pią. W kieszeni miałem pięć dolarów, pożyczonych.

Już nie pamiętam, czego się spodziewałem po naszym spotkaniu, ale byłem optymistyczny i gotowy na kompromis. Mimo wszystkich zaszłości i mimo magnetycznego pociągu, jaki czułem do Maggie, nadal zamierzałem rozpocząć nowe życie z żoną. Byłem pewien, że pójdę za nią, jeśli tylko będzie mnie chciała. Trzeba będzie wiele zmienić w naszych relacjach, zerwać ze złymi nawykami, ale jeśli Pia gotowa jest popracować nad związkiem, powinienem wyciągnąć rękę do zgody – takie myśli mi towarzyszyły, gdy szedłem dawną ulicą i zastanawiałem się, jak powinno wyglądać nasze spotkanie po rozłące.

Na koniec z ulgą wszedłem do mrocznego lokalu przepełnionego aromatem kawy. Przy oknie znalazłem wolny stolik. Wziąłem wczorajszy wyczytany egzemplarz „Burlington Free Press” i usiadłem, żeby czekać na Pię. Nie miałem cierpliwości potrzebnej do uważnego studiowania artykułów, czytałem tylko nagłówki, zaskoczony, jak szerokim echem odbiła się Wielka Burza na całym świecie: giełdy w Azji zanotowały spadki, miejski system transportowy w Nowym Jorku został zamknięty do odwołania, chmura podejrzanego smogu zebrała się nad Youngstown w Ohio... Nie miałem w tej chwili głowy, żeby to ogarnąć. Wielka Burza spowodowała materialną, ekonomiczną i instytucjonalną zapaść, która zdawała się nie mieć końca. To mną wstrząsnęło. Nie miałem zamiaru wyjeżdżać z Isole, jednak kojąca była świadomość, że gdzieś na świecie są bezpieczne miejsca – tymczasem okazała się złudna, niestety.

– Czasem lepiej nie wiedzieć – usłyszałem za sobą głos Pii.

Podskoczyłem i wziąłem ją w ramiona. Wydawała mi się mniejsza i szczuplejsza, jej uścisk był słabszy.

– Brakowało mi ciebie – powiedziałem.

Przez ułamek sekundy pozwoliła się obejmować, po czym odsunęła mnie delikatnie i zajęła miejsce naprzeciwko. Ja też usiadłem i uśmiechnąłem się szczerze, po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– I ja tęskniłam – przyznała z półuśmiechem.

– Jak minęła ci droga? Jak się czujesz? Zamówić ci herbatę? Coś do jedzenia? – mówiłem szybko, niepewny, jak zacząć.

– Nie, nie trzeba. Jest w porządku. Chciałam pogadać, to wszystko.

– Rozmawiajmy zatem. – Chwyciłem dłonie, które nerwowo wykręcała, i przytrzymałem je w swoich. Nie wiedziałem, czy jej się to podoba, ale nie mogłem się powstrzymać. Dziwnie było tak siedzieć w pomieszczeniu pełnym obcych ludzi, przy zbyt dużym stoliku stanowiącym barierę między nami.

Pia wzięła głęboki oddech. Wyraźnie zamierzała przejść do sedna sprawy.

– Ash, powinniśmy się stąd zbierać – oznajmiła.

– Z kawiarni?

– Nie, z Isole – powiedziała. – Chyba nie myślałeś, że zostaniemy tu po tym wszystkim? Tutaj już nic nie przetrwało.

– Gdzie indziej też niewiele się zachowało.

– Wystarczy pojechać odpowiednio daleko. – Pia nie przyszła dyskutować, miała już urobione zdanie. – Pamiętasz Benny'ego, mojego kolegę ze studiów? Jego rodzice mają wielką posiadłość w Boulder, w Colorado. Część z nas się tam wybiera.

– Część z nas? Kogo masz na myśli? Decyzja już zapadła? – Poczulem znajome dławienie w gardle. – Przecież tu jest nasz dom. Kocham Isole.

– Nie przesadzaj – skarciła mnie Pia. – Czujesz się tu dobrze, bo znasz okolicę, jest swojsko i wygodnie.

– Znacznie więcej – zaprotestowałem. – Związałem się z miasteczkiem emocjonalnie. No i August tu mieszka. Nie zapominaj o Auguście.

– Ale nie możesz zostać. – Pia przewróciła teatralnie oczami.

Wyciągnęła szminkę i bardzo starannie malowała usta, jakby nie miała w tej chwili ważniejszego zadania. Nie słuchała mnie. Pia już wiedziała, co chce zrobić; była pewna, że pójdę za nią.

– Dlaczego chcesz, żebym ci towarzyszył? – zapytałem.

– Przecież jesteś moim mężem. – Spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– To nie jest wystarczający powód, Pio. Brzmi sensownie, ale nie wystarcza. Prawdziwym powodem byłoby, gdybyś mi powiedziała: kocham cię, nie mogę żyć bez ciebie, troszczę się o ciebie. Każde z tych słów by wystarczyło.

Machnęła ręką, jakbym niepotrzebnie dramatyzował i zawracał jej głowę. Ten gest uruchomił we mnie wewnętrzny dreszcz, który zaczął się gdzieś w żołądku i ogarnął całe moje ciało niczym małe trzęsienie ziemi. Zdałem sobie sprawę, że już nic nie czuję do kobiety siedzącej naprzeciwko mnie. Mieliśmy

wspólną historię, ważną dla nas obojga, ale obecnie już nic nas nie łączyło. Nie mamy szansy na nowy start, najmniejszej i już nigdy. To definitywny koniec. I tak jak nie miałem wystarczającej siły, żeby naprawić nasz związek, tak nie byłem odpowiedzialny za jego rozpad. Kiedy sobie to uświadomiłem, nagle opadły ze mnie wstyd i poczucie winy, które hodowałem w sobie od momentu, gdy porzuciłem Pię podczas Burzy.

Stało się dla mnie klarownie jasne, że pęknięcie między nami było darem – może jedynym pozytywnym skutkiem Wielkiej Burzy. Nie zamierzałem się samobiczować. Kataklyzm ujawnił i zintensyfikował niewielkie podziały, już wcześniej istniejące w społecznościach lokalnych i całym społeczeństwie w skali kraju – nasz związek nie był pod tym względem wyjątkiem. Postanowiłem wyciągnąć wnioski z destrukcji i zacząć żyć od nowa. W niepewnej przyszłości więzi między mną a bliską osobą muszą się opierać na mocniejszych fundamentach.

Wstałem od stolika ze łzami w oczach, przez chwilę zbierałem siły i wyszedłem. Kiedy opuściłem kawiarnię bez Pii, zostawiłem za sobą ostatnią istotę, która mnie łączyła z wcześniejszą egzystencją. Teraz byłem całkiem pusty, nie niosłem żadnego bagażu emocjonalnego. Jednak ta pustka była moim bogactwem; wraz z nią zyskałem nadzieję na przyszłość pełną nieopisanych możliwości. I czułem się z tym dobrze.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Amerykanie są najwspanialszy po klęskach, gdy ramię przy ramieniu uczestniczą w dziele odbudowy. Obiecujemy sobie podnieść z gruzów nasze wspaniałe miasta – tym razem jeszcze większe i piękniejsze – aby dowieść, że jesteśmy niepokonani. Nasi przywódcy mówią, że nic nie złamie amerykańskiego ducha i nigdy się nie poddamy. I tym razem też tak było. Politycy zapewniali o żelaznej woli, z jaką Ameryka wraca na ścieżkę rozwoju. Odniesiemy sukces! A jednak właśnie uporczywy przymus ciągłego prześcigania samych siebie, wzrostu za wszelką cenę, leżał u źródeł naszych problemów – my, Amerykanie, nie byliśmy w tym odosobnieni, ale odegraliśmy istotną rolę w przegrzaniu naszej nieszczęsnej planety. Tak długo, jak sukces definiowany jest przez rozwój, będziemy na błędnym kursie – docierało to do nas coraz wyraźniej.

Po Wielkiej Burzy wyczułem zmianę w sposobie myślenia ludzi, aczkolwiek na razie okazywaną nieśmiało, w subtelny sposób. Tam, gdzie wcześniej królował rozmach i przepych, teraz budowaliśmy skromniej. W miejsce pysznych, ogromnych budowli zniszczonych przez kataklizm stawialiśmy niepozorne, ale praktyczne budynki mieszkalne. W całym kraju spadło zapotrzebowanie na dobra konsumpcyjne – i ta tendencja okazała się trwała – chociaż setki tysięcy ludzi straciło przecież cały majątek. Władze stanowe zaczęły wydawać uszczuplone zasoby finansowe z rozmysłem, głównie na drogi i mosty, kosztem stadionów sportowych i gigantycznych centrów handlowych. Wszystko ma swoją cenę, to jasne. Niski popyt konsumencki utrzymuje gospodarkę na zwolnionych obrotach, toteż trudno jest znaleźć pracę. Jednak powolna, bardziej rozważna odbudowa dawała ludziom poczucie bezpieczeństwa. Idziemy wreszcie we właściwą stronę i nie grozi nam, że zboczymy z tej drogi.

W Północno-wschodnim Królestwie powrót do prostoty powitaliśmy ze szczerym zapalem, jak wspólną religię. Powoli znikają podziały, które zarysowały się tak wyraźnie w miesiącach poprzedzających Wielką Burzę. Wracamy do naszych korzeni, bo pokładamy ufność w ludziach, których znamy, i rzeczach wytwarzanych własnymi rękami. Nawet Rodney Riggins zdał sobie sprawę wkrótce po Burzy, że jego nauczanie straciło pierwotną siłę. Słyszałem, że założył własną kongregację w Południowej Karolinie i tam rozprowadza swoje zestawy survivalowe na wypadek końca świata. Nie odcisnął swego piętna na naszej społeczności.

Jak większość ludzi zamieszkałem teraz bliżej miasta, mam pod ręką sklep spożywczy i bibliotekę, bez wysiłku pokonuję pieszo tę odległość. Moje skromne mieszkanie jest jednym z czterech w dużym budynku w pobliżu Main Street. Zapewnia mi prywatność, ale jednak sporo wiemy o sobie z sąsiadami. Dzielę

samochód z kilkoma osobami i taki układ jak na razie dobrze się sprawdza. W soboty wraz z grupką miejscowych pracuję społecznie – naprawiamy szlaki turystyczne, na co nie stać by było lokalnych władz. Szacujemy, że potrzeba co najmniej roku wspólnych sobotnich wypraw, żeby odtworzyć pieszy szlak łączący Isole i Newport. Zajmie nam to sporo czasu, ale będzie zrobione solidnie i powinno przetrzymać kolejną burzę.

Dzielę nowe życie z Augustem jako jego zastępczy rodzic. Wcześniej to było nie do pomyślenia, żeby opieka społeczna powierzyła dziecko samotnemu facetowi, ale czasy się zmieniły, a wraz z nimi przepisy. Bev, nasza pracownica socjalna, pomogła załatwić wszystkie formalności, gdy już miałem gdzie mieszkać. Ta decyzja zasadniczo odmieniła moje życie, może na równi z Wielką Burzą. August i ja chodzimy w miasteczku utartymi ścieżkami i zdążyliśmy wypracować sobie codzienną rutynę. Jest w niej miejsce na szkołę, pracę, gotowanie, wycieczki górskie, czytanie i sen. Potrzebowałem jej w tym samym stopniu co chłopiec. Obaj jesteśmy w lepszej formie niż kiedykolwiek. Co ważniejsze, August znowu jest sobą: buduje szałas, rozmawia z ptakami i na każdym kroku miesza rzeczywistość z fantazją. Mam zamiar chronić go przed rzeczywistością, jak długo się da. Kiedyś wyrośnie z fantasmagorii, którymi karmi go wyobraźnia, ale nie pozwolę, żeby stało się to choćby o dzień wcześniej, zanim sam będzie gotowy.

Moja nowojorska firma graficzna po Burzy błyskawicznie straciła klientów, byliśmy zmuszeni ją zamknąć. Martwię się tym ze względu na pracowników, którzy mają dzieci na utrzymaniu, chętnie zrobiłbym więcej, żeby im pomóc. Jeśli o mnie chodzi, ten koniec był błogosławieństwem. Zgłosiłem się do Rady Turystyki Vermontu jako wolontariusz, żeby pomóc im prowadzić działalność promocyjną, a w efekcie zostałem przez nich zatrudniony na pół etatu jako projektant stron internetowych. Płaca jest niewielka, ale takie są też moje wydatki. I mam czas dla Augusta.

Podoba mi się takie życie. Spędzamy mnóstwo czasu razem: Maggie, August i ja, oczywiście z Badgerem płaczącym się pod nogami. Maggie zabiera nas po południu, gdy mały skończy zajęcia w szkole, a ja swoją pracę na dany dzień, i wszyscy jedziemy do niej remontować dom. Budynek został uszkodzony podczas Wielkiej Burzy, ale na szczęście konstrukcja jest solidna i da się go naprawić. Oczyszcziliśmy podwórze ze śmieci, wypompowaliśmy wodę z piwnicy, wycyklinowaliśmy drewniane podłogi i odbudowaliśmy taras. Po pomalowaniu całości dom będzie się prezentował piękniej niż kiedykolwiek; zajmie nam to jeszcze z miesiąc. Przeprowadzimy się tam z Augustem, kiedy skończymy remont i sfinalizuje się mój rozwód. Oczekuję tego z przyjemnością, ale niczego nie przyspieszam. Jak wiele innych rzeczy w tym nowym żywocie – budujemy powoli i trwale.

Moje ciało także się zmienia. Pionierskie życie wymaga używania rąk,

ramion, pleców i wykazania się umiejętnością robienia rzeczy, o które siebie wcześniej nawet nie podejrzewałem. Pod koniec dnia jestem wykończony fizycznie i każdej nocy śpię jak zabity. Podczas ostatniej wizyty u rodziców – a odwiedzam ich teraz znacznie częściej – mój tata zażartował, że z syna komputerowca wyrósł mu niezły osiłek. W jego oczach widziałem dumę. Przypominam go bardziej, niż myślałem. Dużo czasu mi zajęło, żeby docenić wielkość własnego ojca. Jest nieustępliwym, twardo chodzącym po ziemi prawnikiem, człowiekiem kochającym naturę, urodzonym działaczem społecznym – podziwiam go i staram się go naśladować. Nie mówię tego głośno, ale jestem pewien, że o tym wie. Rąbamy razem drewno, a August pomaga układać polana. Pytam tatę o rady w sprawach remontu. Więcej nam nie trzeba.

W domu Maggie ciężka praca nie przeszkadza nam śmiać się z byle czego. Maggie przytrzymuje mi deski, gdy zbijam nowe półki na książki, i spieramy się, jak je zabejcować. Wciąż muszę jej przypominać, że powinna zwolnić i bardziej uważać na siebie teraz, gdy jest w ciąży. Będziemy mieli dziecko! Co za niezwykle świadectwo odporności natury. Irracjonalny wyraz wiary w świetlaną przyszłość, choć tyle jest wokół nas przesłanek, że sprawy mogą przybrać niekorzystny obrót. Kilka miesięcy temu byłem człowiekiem pojedynczym. Nawet w małżeństwie w gruncie rzeczy byłem samotny. A teraz już wkrótce będę miał dwoje dzieci i idealną, choć nietypową rodzinę. Pod koniec dnia, gdy kładę rękę na upačkanej farbie bluzce, napiętej na powiększającym się brzuchu, nie mogę się nadziwić, jak pełne jest dziś moje życie. Maggie rośnie – rośniemy – w najbardziej zadziwiający i cudowny sposób.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Krajobraz Północno- wschodniego Królestwa uformował się kilka milionów lat temu, w okresie epoki lodowej. Przesuwanie się i cofanie lodowców wyłobiło doliny, nadało charakter przyszłym polom i lasom. Topniejące wody odsłoniły malownicze góry i dały początek strumieniom. A zanim zieleń pokryła nieużytki, bezkresny, martwy łądolód wycofał się pod naporem mas ciepłego powietrza.

Teraz nie jest inaczej. Wielka Burza i powódź starły z powierzchni ziemi otaczające nas formy życia. Harmonijnie współgrająca sieć powiązań między fauną a florą, trwająca od tysięcy lat, została brutalnie unicestwiona. Na poboju zostali ludzie i owady. Te ostatnie mają się najlepiej w postapokaliptycznym świecie.

Chcę wierzyć, że się odrodzimy, że dzisiaj zaczyna się kolejny etap w odwiecznym cyklu życia. Chcę wierzyć, że za dwieście lat na cmentarzysku prastarych lasów otaczającym Isole powstanie nowa puszcza, gdzie w cieniu sędziwych sosen będą rosły młode iglaki i niskopienne krzaki; chcę wierzyć, że bujnie odtworzy się świat fauny, a na niebie zaroi się od ptaków migrujących z północy na południe i z powrotem. Całym sercem pragnę wierzyć, że każdy gatunek będzie się zachowywał zgodnie z tym, co dyktuje mu instynkt i pory roku. Baribale powinny wiedzieć, że brak pożywienia i niskie temperatury są sygnałem, że pora szukać nory na sen zimowy. W moich marzeniach puszcza nadal będzie skazana na okresowe ubytki – na skutek pożarów i przedwczesnych przymrozków – lecz wszystkim będą rządziły nieodmienne prawa natury, w które straty wpisane są jako ewolucyjny proces budowania odporności. Chcę znów uwierzyć, że natura jest niezniszczalna.

Wiem, nic takiego się nie stanie. Planeta, na której w tej chwili mieszkamy, jest fundamentalnie inna niż tamta, która zrodziła moją ukochaną puszcę. Wszystko się zmienia. Natura nie znosi pustki. Coś wyrośnie na zgliszczach; już wykiełkowało. A jednak będzie inne niż wcześniej. Zastanawiam się, jak te zmiany odbiją się na kulturze Królestwa – tego miejsca, gdzie człowiek definiował siebie w odniesieniu do świata przyrody.

Wśród tego, co utraciłem z powodu Wielkiej Burzy -małżeństwa, wszystkiego, co posiadałem, tożsamości mojej grupy społecznej – najbardziej dojmująca jest strata środowiska naturalnego. Vermonckie lasy nie tylko wyglądają inaczej, one są inne – fundamentalnie i nieodwracalnie. Mam wrażenie, że zmieniło się powietrze – do tego stopnia, że odczuwam to przy każdym oddechu.

Jesteśmy relikdami przeszłości w habitacie nowej ery.

PODZIĘKOWANIA

Nic nie byłoby możliwe, gdyby nie mój niezmordowany agent, John Silbersack, i wspaiała redaktorka, Kathy Sagan. Oboje daliście mi szansę, jestem wam nieskończenie wdzięczna.

Całym sercem dziękuję rodzicom, Anne i Josephowi Little – pokazaliście mi puszcę i nauczyliście zamiłowania do przygody, podziwu i wdzięczności dla natury. Obiecuję wam, że przekażę wpojony przez was idealizm swoim dzieciom. Dziękuję też córkom, Josephine i Annabelle.

Nie mam słów, by wyrazić wdzięczność miłości mego życia, Danielowi Reilly'emu. Nigdy nie kwestionowałeś sensu tego przedsięwzięcia, nie pukałeś się w głowę, gdy wstawałam o czwartej rano, żeby pisać przed wyjściem do pracy w Białym Domu. Dziękuję ci za słowa otuchy i poczucie humoru, i za wszystko inne.

I wreszcie dziękuję kobietom i mężczyznom, którzy nieustrudzenie podnoszą kwestię ocieplenia klimatu i praw człowieka, walczą z wciąż doskwierającą nam niesprawiedliwością ekonomiczną i rasową. Stoimy za wami murem.

[1] Za *Biblią Tysiąclecia*, cytat zmieniony zgodnie z komentarzem do wersetu.

Tytuł oryginału: *We Are Unprepared*
Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2016
Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Mira Weber
Korekta: Sylwia Sandowska-Dobija

© 2016 by Margaret Reilly

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Mark Owen/Trevillion Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-2564-9

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

